

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA

ZWIERCADIADŁO

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika
Tekst Jeff Rovin

Tom Clancy
Zwierciadło

1

Tłumaczył

Leszek Erenfeicht

Tytuł oryginału

The Mirror Image

2

Podziękowania

Chcielibyśmy serdecznie podziękować Jeffowi Rovinowi za jego inspirujące pomysły i znaczący wkład w powstanie rękopisu. Podziękowania za współpracę należą się także Martinowi H. Greenbergowi, Larry'emu Segriffowi, panu Robertowi Yondelmanowi oraz wspaniałemu zespołowi wydawnictwa Putnam Berkeley Group, w skład którego wchodziłi Phyllis Grann, David Shanks i Elizabeth Beier. Jak zwykle dziękujemy naszemu agentowi i przyjacielowi, Robertowi Gottliebowi z agencji Williama Morrisa, bez którego ta powieść zapewne nigdy by nie powstała. Osądźcie, drodzy Czytelnicy, na ile ten nasz wspólny wysiłek zakończył się sukcesem.

Tom Clancy i Steve Pieczenik

3

Prolog

♦ Piątek, 17.50 - Sankt Petersburg

- Paweł - odezwał się Pietia Wołodin - ja tu czegoś nie rozumiem.

Paweł Makarow mocniej ścisnął kierownicę i z rozdrażnieniem spojrzął na swojego sąsiada.

- Czego ty znowu nie rozumiesz, Pietia?

- No bo skoro wybaczyliśmy Francuzom - odparł pytający, gładząc syntetyczną tapicerkę - to dlaczego Niemcom nie? Przecież jedni i drudzy napadli na *Matuszku Rassiju*, nie?

Paweł zmarszczył brwi.

- Słuchaj, skoro nie widzisz różnicy, to z ciebie naprawdę patentowany osioł.

- To nie jest odpowiedź - odezwał się Iwan, jeden z czterech pasażerów z tyłu.

- No cóż, Paweł ma rację, ale to rzeczywiście nie jest odpowiedź - dorzucił Eduard, siedzący obok Iwana.

Paweł przerzucił biegi. Tej części codziennej półgodzinnej jazdy z pracy do ich hotelu na Prospekcie Niepokorniennych najbardziej nie lubił. Parę minut od wyjazdu z Ermitażu z reguły pakowali się nad Newą w korek.

Paweł wyjął z kieszeni papierosa, a Pietia podał mu ogień.

- *Spasiba*, Pietia.

- No to w końcu odpowiesz mi, czy nie? - zapytał Pietia.

- Odpowiem, tylko najpierw wjedźmy na ten cholerny most. Nie potrafię jednocześnie myśleć i słać jobów.

Paweł dostrzegł lukę otwierającą się przed nimi i szarpnął kierownicę, zjeżdżając ze środkowego na lewy pas. Ich mikrobus gwałtownie zakołysał się przy tym manewrze, budząc Olega i Konstantina, którzy przysnęli na siedzeniach w ostatnim rzędzie.

- Co się tak ciskasz, Pawka? - zapytał Iwan. - Odkąd to ci się zaczęło tak do żony śpieszyć, co?

- Aleś ty dowcipny, Wania - odpowiedział Paweł znad kierownicy.

Nie śpieszył się donikąd ani do nikogo. Chciał tylko jak najszybciej wyrwać się z tego tłoku, znaleźć jak najdalej od roboty i tego napięcia, które ich zżerało przez ostatnie tygodnie, od terminu, który wisiał im nad głowami jak miecz Damoklesa. Teraz, gdy praca była już na ukończeniu, nie mógł się doczekać powrotu do Mosfilmu, do projektowania animacji komputerowej.

Szybko zmieniając biegi, Paweł bezceremonialnie rozpychał się wśród rzędów Toyot.

Mercedesów i Volkswagenów, które od niedawna zaczęły dominować w motoryzacyjnym krajobrazie Rosji. Ich, użyczony przez telewizję Chrysler Minivan, skądinąd ulubiony środek transportu mafii, sprawiał, że pozostali użytkownicy jezdni powściągali uwagi cisnące im się na usta. Niestety, kiedy skończą swoją pracę, trzeba go będzie oddać. Jedynym aspektem tego kontraktu, za którym mógłby kiedyś tęsknić, będzie ten wóz.

No, może jednak nie, pomyślał spoglądając na zachód.

Po drugiej stronie Newy oko cieszyły strzeliste iglice Twierdzy Pietropawłowskiej. Tych widoków też mu brakowało w pudełkowatym chaosie Moskwy. Będzie tęsknił za Pitrem, za tymi ognistopomarańczowymi zachodami słońca nad Zatoką Fińską, za Fontanką, za kojącym nerwy nurtem Newy, za przejmującym pięknem zapuszczonych w większości kanałów. Teraz, gdy po upadku komunizmu zajęto się trochę ekologią, z ich wód, choć nadal brudnych, zniknęła warstwa oleistej mazi, co dawało nadzieję na to, że budynkom da się przywrócić dawny splendor Wenecji Północy. Będzie tęsknił za majestatycznym, rubinowoczerwonym masywem Pałacu Biełozierskiego, kapiącym od złota wnętrzem soboru Aleksandra Newskiego, gdzie czasami chodził się modlić, za cebulastymi kopułami pałacu Katarzyny Wielkiej, pełnymi spokoju ogrodami i zapierającymi dech w piersiach fontannami Petrodworca, pałacu Piotra Wielkiego, zaćmiewającego rozmachem Wersal. Będzie mu brakowało tych smukłych, białych wodolotów przemykających po Newie niczym statki kosmiczne z powieści Stanisława Lema. Będzie też tęsknił za widokiem przytłaczających je swym ogromem okrętów wojennych wpływających do portu *Nachimowskiego Uczyliszczia*, szkoły morskiej na Wyspie Aptekarskiej na Newie.

A przede wszystkim będzie tęsknił za Ermitażem. Nie mieli czasu na zwiedzanie, ale gdy tylko ich cerber, pułkownik Rosski czymś się zajął, Paweł wyrwał się ukradkiem i włóczył po salach, napawając oczy pięknem. Mieli przykazane siedzieć w studiu i nigdzie nie wychodzić, ale nawet jeżeli ktoś by go tam codziennie spotykał, to w końcu przecież tam pracował, nie? Zresztą nikt się na pewno nim nie interesował. A poza tym, być człowiekiem wierzącym i nie zobaczyć z bliska „Zdjęcia z krzyża” Rembrandta, „Opłakiwania Chrystusa”

Carracciego albo jego ulubionego „Św. Wincentego w lochu” ze szkoły Ribalta? Zwłaszcza, że w tej pracy było coś, co bardzo go zbliżało do uwięzionego, ale niezłomnego świętego.

Tak, będzie mu tego wszystkiego brakować, ale z radością zostawi za sobą tą ciężką harówkę w świątek, piątek i niedzielę, po kilkanaście godzin dziennie, a zwłaszcza świdrujący, jawnie dozorujący wzrok pułkownika Roskiego. Służył już pod jego rozkazami w Afganistanie i miał szczerą nadzieję, że więcej tego sukinsyna w życiu nie zobaczy.

Przeklinał ślepy los, gdy dowiedział się, kto będzie kierował pracą nad tym kontraktem. Co on

takiego przeskróbał w życiu?

Jak zawsze za mostem na Prospekcie Kirowa zjechał na prawy pas, którym ruch wzdłuż niskiej betonowej balustrady odbywał się nieco spokojniej. Odetchnął z ulgą i wcisnął pedał gazu.

5

- Dalej chcesz odpowiedzi? - zapytał Pietię, zaciągając się papierosem.

- Na które pytanie, to o Niemców, czy to o żonę? - zapytał Iwan.

Paweł przewrócił oczyma.

- Powiem ci, jaka jest różnica między Francuzami a Niemcami. Francuzi poszli za Napoleonem z głodu. Zawsze przedkładali wygodę nad uczciwość.

- Tak, to dlaczego w czasie ostatniej wojny mieli ruch oporu?

- To było chwilowa dewiacja, odruch konwulsyjny. Gdyby mieli tyle determinacji, co nasi w Stalingradzie, Hitler nigdy nie zająłby Paryża.

Paweł docisnął gaz, nie puszczać Mercedesa 500, który próbował skrócić ze środka na ich pas. Obrzucił pogardliwym wzrokiem kobietę siedzącą za kierownicą. Jeszcze jedna kochanka miejscowego mafioso, pomyślał. Ciekawe, ile narkotyków musiał przerzucić przez Polskę do Niemiec, żeby ci go kupić? W lusterku zauważył ciężarówkę, która zjechała na ich pas za nimi.

- Francuzi nie są tacy źli - ciągnął. - A Niemcy wciąż w duszy zostali Wandalami. Tylko spuścić ich z oka, a zobaczysz, rok nie minie, jak ich fabryki znowu zaczną wypuszczać bombowce i czołgi.

- To co powiesz o Japończykach? - zapytał Pietia, kręcąc głową.

- Bydlaki. Zobaczycie, jak Dogin wygra wybory, też im da popalić. Kuryli im się zachciało, złotkom przeklętym.

- Czyli według ciebie paranoja to dobry powód, żeby na kogoś głosować w wyborach prezydenckich, tak?

- Obawa przed dawnymi wrogami to nie paranoja, to ostrożność.

- Podpuszczasz nas, Pawka - odpowiedział Wołodin. - Przecież nie głosuje się na kogoś tylko dlatego, że obiecał uderzyć na Niemcy po pierwszych oznakach remilitaryzacji.

- To tylko jeden z powodów. - Droga przed nimi opustoszała i Paweł przyśpieszył, gdy przejechali

nad szerokim, ciemnym kanałem. Silny wiatr sprawił, że zamknęli okna. - Dogin przyrzekł ożywić program kosmiczny, co wzmocni gospodarkę. Takich studiów jak to, któreśmy budowali, też będzie więcej. Powstaną nowe fabryki wzdłuż Kolei Transsyberyjskiej, które dadzą na rynek dużo tanich i dobrych towarów, uruchomi się program budownictwa mieszkaniowego.

- Ale kto zapłaci za te cuda, Pawełku? To nasze przytulne gniazdko pod Ermitażem kosztowało drobne dwadzieścia pięć miliardów rubli! Skąd ten twój Dogin weźmie tyle szmalu? Z budżetu? Może zabierze tym biurokratom na Kremlu, co?

Paweł wydmuchał dym i pokiwał głową.

6

Pietia wybuchł.

- Trzeba było słuchać co pułkownik mówił tam, na dole. Podśledzałem, jak gadał z adiutantem o funduszach od mafii. To od nich będą te pieniądze, głąbie, a to bardzo niebezpieczny...

Paweł instynktownie nacisnął hamulec i skręcił kierownicą w prawo, gdy Mercedes zajechał mu drogę. W tym momencie usłyszeli głucho pyknięcie, a spod deski rozdzielczej zaczął się wydobywać gęsty zielony dym.

- Co to jest? - zapytał Pietia, krztusząc się.

- Otwórzcie okno! - krzyknął ktoś z tyłu.

Nieprzytomny Paweł opadł na kierownicę. Nikt już nie prowadził mikrobusu, gdy najechała na niego od tyłu ciężarówka.

Popychany przez ciężarówkę Chrysler otarł się o bok Mercedesa, dojechał do bariery, wspiął się na nią i przeleciał na drugą stronę. Pękła lewa przednia opona, a tylny most ze zgrzytem przetoczył się przez wierzch bariery, gdy mikrobus nosem w dół runął w fale brudnej rzeki.

Wóz uderzył w wodę z głośnym pluskiem, przez chwilę stał pionowo na wodzie, a potem przechylił się na bok i do góry kołami. Para i bańki powietrza wydobywały się bokami, mieszając się z zielonym dymem, gdy mikrobus zaczął pogrążyć się w falach. Wkrótce już tylko koła wystawały nad powierzchnię.

Krępy kierowca ciężarówki i młoda blondynka z Mercedesa byli pierwszymi osobami, które znalazły się przy wyszczerbionej barierce. Chwilę później dołączyli do nich pasażerowie innych samochodów.

Oboje nie odezwali się do siebie ani słowem, w milczeniu śledząc odpływający na południowy zachód, lekko kołyszący się w nurcie rzeki wrak. Z pojazdu wydobywało się coraz mniej baniek powietrza, dym także się już rozwiął. Samochód był za daleko, by ktokolwiek próbował ratować

kogokolwiek.

Oboje odpowiadali, że czują się dobrze. Potem wrócili do swoich pojazdów, czekając na milicję.

Nikt nie zauważył, że kierowca ciężarówki dyskretnie upuścił do rzeki małe pudełko, przypominające telewizyjnego pilota.

◆ Sobota, 10.00 - Moskwa

Wysoki, postawny minister spraw wewnętrznych Mikołaj Edmundowicz Dogin zajął

miejsce za stuletnim biurkiem w swoim gabinecie na Kremlu. Na środku poczerńiałego ze starości blatu jarzył się ekran komputera. Na prawo od niego stał czarny telefon, a z lewej fotografia jego rodziców w ramce. Zdjęcie miało na środku ślad załamania. To jego ojciec, ruszając na wojnę złożył je na połowę, by mieściło się w kieszeni *gimnastiorki*.

Srebrzystosiwe włosy ministra zaczesane były do tyłu. Policzki miał zapadnięte, a w jego ciemnych oczach wyraźnie malowało się zmęczenie. Jego nie wyróżniający się tani brązowy garnitur był zawsze lekko pognieciony, jasnobrązowe buty lekko rozdeptane, tworząc starannie wystudiowany obraz ciężko pracującego swojaka, który aż do dzisiaj, przez tyle lat działał na rodaków. A teraz przestał, pomyślał z goryczą.

Po raz pierwszy od z górą trzydziestu lat służby państwowej, jego obraz faceta z sąsiedztwa zawiódł. A tak się starał rozbudzić w nich narodową dumę, której podobno tak pragnęli. Odnowił szacunek dla munduru, pieczołowicie podsyczał ogień zadawnionych strachów i niechęci, pamięć o odwiecznych wrogach Rosji. A Rosjanie odsunęli się od niego.

Dogin wiedział doskonale dlaczego tak się stało. To jego rywal, Kirył Żanin jeszcze raz wyciągnął z zanadru złotą rybkę kapitalizmu i kazał im wierzyć, że spełni ich wszystkie życzenia.

Czekając na swego asystenta, Dogin patrzył ponad głowami siedmiu ludzi siedzących w gabinecie na świadectwa zwyczajnych pochodów ozdabiające ściany.

Podobnie jak jego biurko, wystrój ścian ucieleśniał historię. Pokrywały je oprawione w ozdobne ramy mapy Rosji, niektóre pociemniałe przez wieki, ukazujące zdobycze carów od czasów Iwana Groźnego. Zmęczone oczy Dogina prześlizgiwały się po nich, raz jeszcze omiatając je wszystkie, od tej pergaminowej mapy Księstwa Moskiewskiego, o której wieść niosła, że malowano ją krwią jeńców krzyżackich, aż po drukowany na jedwabiu plan Kremla, znaleziony w nogawce zabitego niemieckiego agenta.

Taki był świat, pomyślał, zawieszając spojrzenie na mapie ZSRR, którą zabrał w kosmos Herman Titow w 1962 roku. I taki znów będzie.

Siedmiu mężczyzn, siedzących przed nim na fotelach i kanapach, również nie było młodzieniaszkami. Większość miała więcej niż pięćdziesiąt lat, dwóch mocno ponad sześćdziesiąt. Część w garniturach, część w mundurach. Nikt nic nie mówił. Ciszę przerywał

jedynie szum komputera. W końcu rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść.

W otwartych drzwiach stanął młody człowiek. Serce Dogina zamarło na widok ponurego wejrzenia gościa. Dogin domyślił się co ma do obwieszczenia, jeszcze zanim przybysz otworzył usta. Zresztą gość nie śpieszył się z zakomunikowaniem złej wieści.

- No i co tam? - przynaglił go w końcu minister.

- Bardzo mi przykro, panie ministrze - smutnym głosem zaczął młodzieniec - ale to już oficjalne dane. Sam sprawdzałem wyniki.

- Dziękuję - skinął głową Dogin.

- Czy mogę się odmeldować?

Dogin ponownie skinął głową i gość zniknął, cicho zamykając drzwi.

Minister spojrział na uczestników zebrania. Starzy wyjadacze zachowali kamienne twarze pokerzystów, podobnie jak ich gospodarz.

- *Nu gaspada*, tego się można było spodziewać - zaczął.

Przysunął bliżej ramkę ze zdjęciem rodziców i zaczął mówić, bardziej do nich, niż do reszty obecnych w gabinecie. - Pan minister spraw zagranicznych Żanin wygrał wybory prezydenckie. Takie to już czasy, sami wiecie. Wszyscy są pijani wolnością, ale i pijacka właśnie to wolność, bez odpowiedzialności, rozsądku i ostrożności. Rosja wybrała sobie prezydenta, który chce ustanowić nową walutę, uczynić naszą gospodarkę niewolnicą eksportu, zlikwidować czarny rynek przez pozbawienie wartości naszego rubla i majątku, na którym się opierał. W ten sposób pozbędzie się też opozycji, bo usunięcie go wystraszyłoby przecież inwestorów, którzy za jego łaskawym pozwoleniem grabią *Matuszku Rassiju*.

Wojsko też sobie kupi, płacąc generałom i marszałkom tyle, żeby bardziej im się opłacało trzymać z nim niż z ojczyzną. Z naszym potencjałem gospodarczym, powiada, możemy być drugą Japonią czy Niemcami i żaden wróg nie będzie nam straszny. - Oczywiście Dogina pociemniały od gniewu, gdy spoglądał na zdjęcie ojca w mundurze. - Przez siedemdziesiąt lat żaden wróg nie był nam straszny! Nasz wódz, towarzysz Stalin rządził nie Rosją, tylko całym światem! Nasi ludzie byli wtedy ze stali, a nie z gówna jak teraz! Szli za głosem władzy, a nie hucpy i próżnych obietnic.

- No cóż, Mikołaju Edmundowiczu, witamy w zaczarowanej krainie demokracji -

grzmącym głosem podsumował monolog ministra generał Wiktor Mawik. - Witamy w świecie, w którym NATO przyjmuje w swoje szeregi kraje naszej strefy bezpieczeństwa, nawet nie pytając nas o zdanie.

- Panowie, nie przesadzajmy z czarnowidztwem - włączył się wiceminister finansów Jewgienij

Growlew, opierając wąski podbródek na kciukach złożonych jak do modlitwy rąk, wspartych łokciami o blat stołu. - Reformy Żanina nie zadziałają od razu, ludzie odwrócą się od niego jeszcze szybciej niż od Gorbaczowa i Jelcyna.

- Mój konkurent jest młody, ale nie głupi - odparł Dogin. - Nie obiecywałby złotych gór, gdyby tego wcześniej nie ustalił z zagranicą. I zobaczycie, że nie minie wiele czasu, jak Niemcy i Japończycy zdobędą tu więcej niż w czasie II wojny światowej, a Amerykanie osiągną bez trudu to, czego nie wymusili w czasie zimnej wojny. Tak, czy inaczej, zagarną 9

całą Rosję. - Dogin przerwał i odwrócił się do klawiatury komputera. Na ekranie widniała mapa środkowo-wschodniej Europy i Rosji. Nacisnął klawisz i Europa wypełniła cały ekran.

Rosja zniknęła. - Zobaczycie, historia naciśnie klawisz i będzie po nas.

- I to przez nasze zaniechanie - dodał Growlew.

- Tak - zgodził się Dogin. - Przez zaniechanie. - W pokoju zrobiło się duszno. Otarł

chusteczką pot z górnej wargi. - Ludzie zwiedzeni mirażem łatwego zarobku zatracili nieufność w stosunku do obcych. Trzeba im pokazać, że nie tędy droga. - Podniósł wzrok na zebranych. - To, że nasi kandydaci przegrali wybory, najlepiej pokazuje, jak dalece Rosjanie postradali rozum. Ale to, że się tu zebraliśmy, dowodzi, że chcemy coś na to zaradzić.

- Zgadza się - odezwał się generał Mawik, rozluźniając kołnierzyk. - I wierzymy, że pan, panie ministrze, może coś z tym zrobić. Dobrze sobie pan radził jako mer Moskwy, w Politbiurze dowiódł pan lojalności Partii. Kiedy spotkaliśmy się tu pierwszy raz, usłyszeliśmy, że ma pan coś w zanadru na wypadek, gdyby starej gwardii nie udało się wrócić na siodło.

No cóż, wszyscy wiemy, że do tego doszło. Chcielibyśmy więc dowiedzieć się jakichś szczegółów tego planu, jeżeli mamy brać udział w jego realizacji.

- Zgadzam się ze zdaniem przedmówcy - powiedział generał Pokrywkin z lotnictwa.

Jego szare oczy lśniły spod ciężkich brwi. - Każdy z nas mógłby przewodzić opozycji.

Dlaczego mielibyśmy na piękne oczy udzielić poparcia akurat panu, panie ministrze?

Obiecywał pan współpracę wojskową z Ukrainą. I co z tego wyszło? Jak dotąd miało miejsce zaledwie kilka gier wojennych z udziałem oficerów z obu państw, a i to poszło na konto Żanina. Zresztą, nawet gdyby doszło do wspomnianych manewrów, to co z tego? Ot, pobawiliśmy się z braćmi Słowianami, Zachód przelotnie się zaniepokoił, co to zmieni? Czy to ma cokolwiek wspólnego z odbudową silnej Rosji? Prosimy o konkrety, panie ministrze.

Bez nich będzie pan musiał sam sobie radzić.

Dogin zmierzył Pokrywkina badawczym spojrzeniem. Pełne policzki generała płonęły rumieńcem podniecenia, jego tłusty drugi podbródek opadał na kołnierz koszuli, wylewając się znad ciasno zaciągniętego krawata. Opasłe wieprze, pomyślał minister. Gdybyście znali szczegóły tego planu, podkulilibyście ogony i uciekli z piskiem do Żanina.

Przesunął wzrokiem po pozostałych. Większość spojrzeń i twarzy wyrażała siłę woli i przekonanie, ale w spojrzeniach kilku, zwłaszcza Mawika i Growlewa jedynie ostrożne zainteresowanie. Ich powściągliwość była dla niego obrazą, przecież tylko on oferował Rosji zbawienie. Zapanował nad uczuciami i zachował spokój.

- Chcecie konkretów? - bardziej stwierdził niż zapytał Dogin. Wystukał ciąg komend na klawiaturze i obrócił laptopa tak, by zebrani widzieli ekran. Podczas gdy twardy dysk komputera zgrzytał i szumił realizując polecenia, minister raz jeszcze spojrzął na zdjęcie ojca. Dogin-senior był w czasie wojny bohaterskim żołnierzem, obsypanym odznaczeniami, a po niej jednym z najbardziej zaufanych ochroniarzy Stalina. Powiedział kiedyś synowi, że wojna nauczyła go nosić zawsze przy sobie Flagę. Gdziekolwiek był, w każdych okolicznościach, w każdym niebezpieczeństwie, ten płat materiału zawsze znajdzie mu przyjaciół i sojuszników.

10

Gdy dysk umilkł i obraz zmienił się, do stojącego Dogina dołączyło pięciu innych mężczyzn, którzy zerwali się na równe nogi. Mawik i Growlew wymienili podejrzliwe spojrzenia i także wstali, choć z ociąganiem.

- Oto mój plan odbudowy Rosji - odezwał się Dogin. Obszedł biurko i stojąc przed zebranymi wskazał palcem na ekran, wypełniony przez czerwony prostokąt, w rogu którego widniały: złoty sierp, młot i gwiazda. - Chcę przypomnieć ludziom o ich obowiązkach.

Patrioci nie odmówią zrobienia tego co niezbędne, niezależnie od tego, czego plan będzie wymagał i nie zwracając uwagi na koszty.

Zebrani usiedli z powrotem, prócz Dogina stał teraz tylko Growlew.

- Wszyscy jesteśmy patriotami - przemówił. - Te tanie zagrywki nie były potrzebne.

Jeżeli jednak mam w pańskie ręce oddać zasoby, nad którymi sprawuję pieczę, chcę wiedzieć na co zostaną wydatkowane. Na zamach stanu? Czy też może nie zasługujemy na to, by się o tym dowiedzieć?

Dogin zmierzył go wzrokiem. Nie mógł mu powiedzieć wszystkiego. Nie mógł mu zdradzić swoich planów dotyczących roli armii ani powiedzieć o swoich układach z mafią.

Wielu Rosjan nadal żyło w przekonaniu o swojej prowincjonalności. Było pozbawionych globalnego spojrzenia na sytuację. Gdyby mu powiedział o wszystkim, Growlew mógłby się wystraszyć, odmówić udziału albo przejść do obozu Żanina.

- Ma pan rację, panie ministrze. Tak, nie ufam panu - odpowiedział Dogin. Growlew wyraźnie zeszytniał na takie dictum. - A z pańskich pytań wynika, że i pan mi nie ufa.

Jestem zdecydowany zasłużyć sobie na pańskie zaufanie czynami, ale i pan musi w ten sam sposób zdobyć moje. Żanin wie, kto stawał przeciw niemu, a w tej chwili jest prezydentem.

Wiele może zrobić. Może panu zaproponować stanowisko albo jakąś łakomą synekurę i pan może na to pójść. A wtedy musiałby pan stanąć przeciw mnie. Proszę się uzbroić w cierpliwość. Przez najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny będzie to musiało wszystkim panom wystarczyć.

- Dlaczego akurat siedemdziesiąt dwie godziny? - zapytał wiceminister bezpieczeństwa Skulin.

- Bo tyle jeszcze potrwa rozruch mojego centrum dowodzenia.

Skulin zamarł z wrażenia.

- Trzy dni? Chyba nie mówi pan o Sankt Petersburgu?

Dogin skinął głową.

- Jak to? To pan kieruje petersburskim centrum?

Dogin ponownie skinął głową.

Skulin westchnął cicho. Wszyscy spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

11

- Moje najszczerze gratulacje, panie ministrze. To znaczy, że cały świat spoczywa teraz w pańskich rękach.

- Dosłownie - uśmiechnął się Dogin. - Zupełnie jak w rękach Josifa Wissarionowicza.

- Przepraszam - przerwał im Growlew - ale znowu nie mam pojęcia, o czym panowie mówią. Panie ministrze, o co chodzi z tym Sankt Petersburgiem? Czym pan kieruje?

- Petersburgskim Ośrodkiem Kontroli Operacyjnej, panie Growlew. Najbardziej zaawansowanym technicznie centrum łączności i rozpoznania w Rosji. Stamtąd można uzyskać wszelkie informacje: od zdjęć satelitarnych po dostęp do światowej sieci łączności elektronicznej. Prócz tego Ośrodek ma również specjalny oddział operacyjny, do wykonywania precyzyjnych uderzeń tam, gdzie słowa nie wystarczą.

- Zaraz, czy pan mówi o tym nowym studiu telewizyjnym w Ermitażu? - zapytał

osłupiały Growlew.

- Tak - odparł Dogin. - To studio to tylko przykrywka. Pańskie ministerstwo wyasygnowało pieniądze na studio, resztę prac finansował i nadzorował mój resort.

- Widzę, że przygotowywał się pan do tej chwili już od dawna - powiedział Growlew.

- Od dwóch lat, panie ministrze. A wieczorem w poniedziałek wchodzimy na antenę.

- Ten Ośrodek - odezwał się Pokrywkin. - On ma na celu coś więcej niż tylko szpiegowanie Żanina, prawda?

- Dużo więcej, panie generale.

- Ale co, to już pan nam nie powie, tak? - głos Growlewa znowu nabrał napastliwego tonu. - Od nas wymaga pan współdziałania. ale sam się pan do tego nie pali!

- Chce pan. żebym się panu zwierzył, panie ministrze? Proszę bardzo. Przez ostatnie pół

roku moi ludzie z Ośrodka doskonalili swoje umiejętności, używając środków technicznych i przydzielonych im fachowców do skrytego zbierania wiadomości o moich potencjalnych sojusznikach i wrogach. Zebraliśmy wiele informacji o korupcji, podejrzanych powiązaniach i hmm, oryginalnych preferencjach w życiu osobistym - tu wymownie spojrzął na Growlewa. -

Bardzo chętnie się nimi podzielę, teraz czy kiedy indziej, z wszystkimi razem albo z każdym z osobna. - Z zadowoleniem zauważył, że większość obecnych zmieszała się i nerwowo wierciła w fotelach. Tylko Growlew pozostał niewzruszony.

- Skurwysyn - mruknął.

- Mogę być i skurwysynem, panie Growlew - odparł spokojnie Dogin. - Ale jeżeli już, to przynajmniej skutecznym. - Spojrzał na zegarek, potem podszedł do Growlewa i spojrzął mu prosto w oczy. - Muszę teraz wyjść, panie ministrze, nowy prezydent czeka. Trzeba mu pogratulować, parę papierów podsunąć do podpisu. Kiedy już z tym skończę, w ciągu dwunastu godzin będzie pan mógł sam ocenić, czy robię to wszystko dla własnej próżności, czy dla tego - wskazał na monitor. Nie mówiąc już nic więcej, skinął zebranym głową i wyszedł z biura. Wraz z depczącym mu po piętach sekretarzem pośpieszył do samochodu, 12

który zawiezie go do Żanina i z powrotem. A kiedy już zostanie sam, jednym telefonem puści w ruch maszynę, która zmieni świat.

◆ Sobota, 10.30 - Moskwa

Keith Fields-Hutton wpadł do swego pokoju w niedawno wyremontowanym hotelu

„Rossija”, rzucił klucz na łóżko i pobiegł do łazienki. Po drodze zatrzymał się i podniósł dwie zwinięte w rulon kartki, leżące obok komórkowego faksu, który przywiózł ze sobą.

Tej części swojej pracy najbardziej nie lubił. Nie chodziło mu o to, że czasami było to naprawdę niebezpieczne. Nawet nie normowany czas pracy i godziny zmarnowane na lotniskach w oczekiwaniu na wiecznie spóźniające się samoloty Aeroflotu, ani długie tygodnie rozłąki z Peggy nie stanowiły problemu. Nienawidził tego morza herbaty, które musiał wypijać.

Przyjeżdżając co miesiąc do Moskwy Fields-Hutton zawsze zatrzymywał się w

„Rossiji”, tuż obok Kremla, i siedział godzinami w eleganckim barku hotelowym. W tym czasie czytał też kilka gazet od deski do deski, ale przede wszystkim wypijał mnóstwo herbaty, którą uzupełniał mu kelner Andriej, przynosząc trzy, cztery, czasem pięć torebek. Do etykiety na końcu sznureczka każdej z nich przymocowany był odcinek mikrofilmu, który Fields-Hutton wrzucał do kieszeni, gdy nikt nie patrzył. Zwykle był jednym z nielicznych gości, więc kierownik sali wciąż mu się przypatrywał. Musiał czekać, aż któryś z kelnerów go zasłoni albo zagadnie kierownika.

Andrieja zwerbowała Peggy. Znalazła jego nazwisko na liście afgańskich weteranów. Po wojsku Andriej chciał pracować w przemyśle naftowym na zachodniej Syberii, ale postrzał w łądzwia doprowadził do tego, że nie mógł dźwigać ciężarów. Po reformach Gorbaczowa ledwie wiązał koniec z końcem. To był idealny łącznik między agentami, których nie znał i nigdy nie widział, a Fields-Huttonem. Gdyby wpadł, mógł sypanąć tylko Fields-Hutтона, ale to już było ryzyko zawodowe.

Wbrew temu, co uważała opinia publiczna, KGB nie zniknęło wraz z upadkiem ZSRR.

Przeciwnie, nowe Ministerstwo Bezpieczeństwa było jeszcze bardziej wszechobecne. Na jego usługach była teraz nie tylko armia zawodowych agentów, ale także cała rzesza cywilnych kapusiów, którym nie opodatkowane honoraria pozwalały przeżyć do pierwszego. Każdy chciał zarobić, więc polowanie na szpiegów stało się nowym narodowym sportem. Prócz szpiegów zwierzyną byli wszyscy zagraniczni goście, którzy nieświadomi tego, że każdy ich krok jest meldowany gdzie trzeba, co krok pakowali się w kłopoty, a to nielegalnie sprzedając walutę swoim rosyjskim przyjaciółom i przyjaciółkom, a to kupując im towary na czarnym rynku, albo szpiegując poczynania konkurencji. Aresztowanym dawano do wyboru sprawę sądową albo współpracę. Fields-Hutton żartował, że ministerstwo bardziej zajmuje się teraz ochroną handlu niż bezpieczeństwem narodowego. Sami tylko Japończycy płacili agentom MGB miliony dolarów rocznie za ochronę ich przedsiębiorstw w Rosji. Podobno wpompowali nawet parę milionów dolarów w kampanię wyborczą Dogina w nadziei na to, że po jego zwycięstwie zagraniczni inwestorzy machną ręką na Rosję.

W szpiegowskim biznesie ruch był jak za najlepszych czasów i, mimo siedmiu już lat pracy w Rosji, Fields-Hutton wciąż był w oku cyklonu.

Keith był absolwentem rusycystyki w Cambridge, po studiach chciał zostać powieściopisarzem. Parę dni po otrzymaniu dyplomu, siedział w niedzielę w kawiarni w Kensington, czytając „Notatki z podziemia” Dostojewskiego. W pewnym momencie kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku obróciła się ku niemu.

- A nie chciałby pan więcej dowiedzieć się o Rosji? - zapytała. - Znacznie więcej -
dodała z uśmiechem.

Okazję do tego poznawania Rosji dawała praca w brytyjskim wywiadzie. Nieco później dowiedział się, że DI 6 miało ściśle związki z Cambridge od czasów wojny i szukało nowych pracowników wśród absolwentów. Fields-Hutton zgodził się, więc wyszli na spacer porozmawiać i Peggy umówiła go na rozmowę kwalifikacyjną. W ciągu roku od tej niedzieli wywiad założył mu wydawnictwo komiksowe, specjalizujące się w wydawaniu komiksów dostarczanych przez rosyjskich rysowników. Ta specjalizacja dawała mu znakomitą przykrywkę do częstych podróży do Rosji z bagażami pełnymi teczek z rysunkami i czasopism, kaset wideo, nawet zabawek produkowanych według rosyjskich projektów. Keith szybko nauczył się, jak potężnym i czyniącym cuda argumentem w rozmowie z pracownikami lotnisk, hoteli, nawet z milicjantami, mogły być zwykłe, niemal bezwartościowe na Zachodzie kubeczki, koszulki czy ręczniki z postaciami z komiksów.

Wypchane bagaże miały jeszcze jedną, dużo większą zaletę. W ich licznych zakamarkach można było przemycać mikrofilmy i sprzęt dla agentów. Poza tym przykrywka zaczęła żyć własnym życiem i wkrótce ku zdumieniu dyrekcji DI 6 firma Keitha zaczęła przynosić spory dochód. Ponieważ jednak przepisy stanowiły, że wywiad jest instytucją budżetową, a nie przedsiębiorstwem zarobkowym, pieniądze szły na specjalny fundusz zapomogowy dla rodzin poległych agentów.

Fields-Hutton szczerze polubił swoje zajęcie wydawcy komiksów, a z pracy dla DI 6

wyniósł tyle doświadczeń, że na emeryturze mógł przez długie lata żyć z pisania powieści sensacyjnych. W zamian za to prowadził nadzór nad działalnością krajowych i zagranicznych firm budowlanych we wschodniej Rosji. Świat się zmieniał, ale tajna działalność państw niezmiennie wymagała ukrytych pomieszczeń, podwójnych ścian, podziemnych kompleksów w miejscach, gdzie diabeł mówi dobranoc i nawet satelity nie zaglądną zbyt często. Wszelkie plotki i prawdziwe wiadomości na ten temat, podejrzane lub podsłuchane, dostarczały ważnych informacji wywiadowczych. Jego obecni współpracownicy, kelner Andriej oraz Leonid, rysownik z Sankt Petersburga, dostarczali mu szkice i zdjęcia wszelkich nowych budowli i podejrzanych remontów w swoich rejonach działania.

Po wyjściu z łazienki Keith usiadł na brzegu łóżka, wyjął z kieszeni etykiety od torebek herbaty i porozrywał je, ostrożnie oddzielając krążki mikrofilmu. Kładł je kolejno pod silnym szkłem

powiększającym przeglądarki do przeźroczy, którą przywiózł do oglądania wyciągów ilustracji, tak przynajmniej powiedział celnikom. Tłumaczeniu towarzyszyło wręczenie kilku czapeczek z wizerunkiem Duszka Artioma dla syna celnika i jego kolegów, co zakończyło kontrolę, zanim zdarzyła się sposobność do zadawania bardziej kłopotliwych pytań o resztę sprzętu.

15

To, co zobaczył na jednym ze zdjęć, przypomniało mu artykuł, który przeczytał przy śniadaniu w barze. Zdjęcie przedstawiało scenę pakowania sterty rolek papy do windy towarowej na podwórzu Ermitażu. Kolejne fotografie pokazywały sterty skrzyń, według napisów zawierających dzieła sztuki, znikające w tej samej windzie. Na pozór nie było w tym nic niezwykłego. Ermitaż ciągle był remontowany i rozbudowywany, zwłaszcza że jubileusz trzechsetlecia miasta w 2003 roku był już za pasem i cały Sankt Petersburg szykował się do obchodów. Poza tym, budynek stał tuż nad Newą i być może papa miała służyć do lepszego zabezpieczenia zbiorów przed wilgocią.

Tyle że coś tu nie grało. Faks, który podniósł z podłogi po powrocie do pokoju ze śniadania, zawierał dwustronicową opowieść rysunkową autorstwa Leonida. Pierwsza strona opowiadała o locie Kapitana Legendy na planetę Eremitów, czyli innymi słowy o wizycie Leonida w Ermitażu, w tydzień po tym, jak wykonał zdjęcia z papą i skrzyniami. Na żadnym z trzech poziomów żadnego z trzech budynków nie prowadzono żadnych prac z użyciem papy. Nic też nie przybyło na salach wystawowych, a i w magazynach nikt nie wiedział nic o nowych nabytkach. DI 6 pewnie sprawdzi, czy ktoś wysyłał ostatnio coś do Ermitażu, ale Keith wątpił, żeby się czegoś dowiedzieli.

No i godziny pracy robotników dawały dużo do myślenia. Według komiksu Leonida niewolnicy Eremitów przywozili zapasy tajnej broni wczesnym rankiem, znikali wraz z nią w czeluściach planety i wracali dopiero pod wieczór. Leonid zwrócił uwagę zwłaszcza na dwóch, którzy pojawiali się tam codziennie. To mogli być tylko robotnicy dokonujący jakichś prac remontowych w muzeum, ale równie dobrze prace te mogły stanowić przykrywkę dla jakiejś tajnej działalności w podziemiach.

Drugi faks od Leonida zawierał inny komiks, relacjonujący wypadek opisany w porannej gazecie. Poprzedniego dnia mikrobus wiozący sześciu pracowników muzeum spadł

z nabrzeża Prospektu Kirowa do Newy. wszyscy pasażerowie utonęli.

Leonid był na miejscu wypadku i jego komiks powiedział Keithowi dużo więcej niż wzmianka w gazecie. Kapitan Legenda ratował w nim niewolników Eremitów, których rakieta rozbiła się na ruchomych piaskach. Tonący korpus rakiety spowity był gazem, który Leonid opisał strzałką z napisem „zielony”. Cholera, zielony dym? Chyba chlor.

Czyżby tych ludzi zagazowano? A więc ta ciężarówka, która uderzyła ich od tyłu, nie znalazła się tam przypadkowo? Ten wypadek miał po prostu zamaskować morderstwo. Co tam się działo? To mógł być zwykły wypadek, ale coś tu za dużo zbiegów okoliczności. Coś było nie tak w Sankt Petersburgu i Fields-Hutton postanowił rzucić na to okiem.

Przesyłając komiksy Leonida do biura w Londynie, Keith dopisał na jednym z nich, żeby wysłali mu 270 funtów, co znaczyło, że jego szefowie powinni zajrzeć na siódmą stronę dzisiejszego wydania gazety „Dień”. Powiadomił ich także, że jedzie do Sankt Petersburga spotkać się z rysownikiem, który szykował projekt okładki. Jeżeli uda się powiązać historię kopalni Eremitów z katastrofą rakiety na ruchomych piaskach, wyjdzie z tego fascynująca historia” - dopisał.

Po uzyskaniu potwierdzenia z Londynu, Keith spakował aparat fotograficzny, kosmetyczkę, discmana, rysunki i zabawki do torby, zszedł do holu i zamówił taksówkę, która zawiozła go na Dworzec Petersburski na ulicy Krasnopriestnej. Tam kupił bilet i usiadł na 16

twardej ławce w poczekalni, oczekując na pociąg mający zawieść go do oddalonej o 600 kilometrów, dawnej carskiej stolicy nad Zatoką Fińską.

◆ Sobota, 12.20 - Waszyngton

W czasie zimnej wojny piętrowy, niepozorny budynek koło pasa startowego marynarki w bazie sił powietrznych Andrews, pełnił rolę poczekalni, miejsca dyżurów elitarnej grupy pilotów, których zadaniem była ewakuacja władz USA ze stolicy w przypadku wybuchu wojny nuklearnej.

Po zakończeniu zimnej wojny beżowy budynek nie stał się jej martwym pomnikiem.

Trawniki wokół wyraźnie się poprawiły, ciężkie wojskowe buciory nie deptały ich już tak bezlitośnie. Gdzieś tam pojawiły się klomby oraz ciężkie betonowe kwietniki, które prócz właściwości estetycznych miały też inną zaletę - nie dopuszczały w pobliże samochodów-pułapek. Ludzie przybywający rano do pracy w tym budynku nie przyjeżdżali już teraz dżipami ani nie przylatywali wojskowymi śmigłowcami. Parking zapełniały kombi, czasem jakieś Volvo, Saab, a czasem trafiało się też i BMW. Ich kierowcy i pasażerowie, łącznie siedemdziesiąt osiem osób, pracowali teraz na pełnych etatach w Narodowym Centrum Zapobiegania Kryzysom. Tych ludzi: taktyków, generałów, dyplomatów, analityków wywiadu, specjalistów od komputerów, psychologów, specjalistów od rozpoznania, środowiska naturalnego, prawników i rzeczników prasowych dobrano bardzo starannie. Prócz nich w Centrum pracowały jeszcze czterdzieści dwie osoby oddelegowane z Departamentu Obrony i CIA, a całości dopełniał dwunastoosobowy zespół interwencyjny Iglica, stacjonujący w pobliskiej Akademii FBI w Quantico.

Centrum Kryzysowe nie miało sobie równych w historii Stanów Zjednoczonych. Przez dwa lata na jego organizację i wyposażenie wydano ponad 100 milionów dolarów, przekształcając poczekalnię zimnej wojny w centrum kierowania agencjami połączone bezpośrednio z CIA, Agencją Bezpieczeństwa Narodowego, Białym Domem, Departamentem Stanu, Departamentem Obrony, DIA i Narodowym Biurem Zwiadu. Po sześciu miesiącach rozruchu, w ciągu których jego pracownicy mieli pełne ręce roboty rozwiązując sytuacje kryzysowe zarówno w kraju, jak i na świecie, Centrum, jak je w skrócie nazwano, osiągnęło pozycję równą wcześniej powołanym instytucjom. Dyrektor Centrum, Paul Hood, składał

raporty bezpośrednio prezydentowi Michaelowi Lawrence'owi. Nikt już nie negocjował

uprawnień Centrum do samodzielnego inicjowania, planowania i przeprowadzania operacji na całym świecie, choć początkowo uważano je za instytucję zajmującą się jedynie sortowaniem informacji, której nie wiadomo po co nadano uprawnienia interwencyjne.

Zespół Centrum łączył w jedno rutynowanych zawodowców, rozważnych, metodycznych i polegających raczej na ludziach niż na technice, z młodymi zapaleńcami, lubującymi się w elektronicznych zabawkach i błyskotliwych akcjach rodem z komiksów.

Paul Hood miał nimi kierować i wyciągać to co najlepsze z zapału i rutyny. Hood nie był

może świętym, ale jego oddanie służbie i altruizm powodowały, że współpracownicy nazywali go

Papieżem. Był to człowiek do głębi uczciwy, co nie przeszkadzało mu za kadencji Reagana zrobić błyskotliwej kariery w bankowości. Nawet dwa lata na stanowisku burmistrza Los Angeles nie wpędziły go w nadmierną dumę. Bezustannie szkolił swój zespół

18

w sztuce likwidowania w zarodku kryzysów. Jego doktryna odrzucała tradycyjny waszyngtoński model ignorowania problemów aż do momentu, w którym dla jego rozwiązania trzeba było przerzucać dziesiątki tysięcy żołnierzy. W Los Angeles wypracował

inną metodę, która sprowadzała się do tego, by rodzący się konflikt podzielić na poszczególne zagadnienia, póki jeszcze dawało się je załatwić, a następnie zlecać ich rozwiązywanie ludziom kompetentnym w swoich dziedzinach, ściśle ze sobą współpracującym.

To, co sprawdziło się w LA, dawało rezultaty i tutaj, choć wymagało zerwania z tradycyjnym modelem jednoosobowego kierownictwa. Zastępca Hooda, generał Mike Rodgers, powiedział mu kiedyś, że narobił sobie w ten sposób więcej wrogów w stolicy, niż miał ich na całym świecie. Szefowie biur, dyrektorzy agencji, dygnitarze uznawali doktrynę współpracy Hooda za zagrożenie dla ich pozycji. Rodgers ostrzegał, że urażeni urzędnicy mogą się nie ograniczyć w swoim odwecie do prostego sabotowania działalności Centrum.

- Tutejsi bonzowie są jak wampiry. Wstają ze swych trumien, gdy tylko zmieni się polityczna moda i zaczynają żyć na nowo. Popatrz na takiego Nixona, albo Jimmy'ego Cartera. Skutek jest taki, że rywale nie zaspokoją się tym, że zniszczą twoją karierę. Nie spoczną, póki nie wbiją ci jeszcze osikowego kołka, nie zrujną cię całkowicie. Czasem i to im nie wystarcza, a wtedy zabiorą się za twoją rodzinę i przyjaciół.

Hood nie przejmował się jego przestrogi. Jego zadaniem było umacnianie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, a nie dobrego imienia i popularności swojej czy Centrum. Hood był człowiekiem, który bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Wierzył

też, że, jeżeli Centrum będzie funkcjonować bez zarzutu, jego rywale nie będą mu w stanie zaszkodzić.

Ann Farris, siedząca teraz naprzeciwko Hooda, nie widziała w nim w tej chwili ani polityka, ani błyskotliwego organizatora, ani świętego. Jej ciemne oczy potrafiły wydobyć z jego wnętrza zakłopotanego chłopca. Za fasadą masywnej szczęki, lekko szpakowatych, czarnych, kędzierzawych włosów i stalowego wejrzenia krył się chłopiec, który wolałby zostać w Waszyngtonie i dalej bawić się ze swoimi kolegami w policjantów i złodziei przy użyciu najnowocześniejszych komputerów i satelitów szpiegowskich. Wyjazd z rodziną na wakacje nie był dla niego wystarczająco atrakcyjną alternatywą. Ann wiedziała, że gdyby nie to, że dzieciaki tęskniły za dawno nie widzianymi przyjaciółmi, a przenosiny na Wschodnie Wybrzeże bardzo zaciążyły na jego małżeństwie, nic nie byłoby go w stanie zmusić do tego wyjazdu.

Czterdziestotrzyletni dyrektor Centrum siedział w swoim biurze w samym środku ściśle strzeżonego budynku. Jego zastępca, generał Mike Rodgers, zajmował fotel po lewej stronie biurka, a rzeczniczka prasowa Centrum, Ann Farris, siedziała na kanapie stojącej pod prawą ścianą gabinetu. Na ekranie komputera widać było rozkład podróży Hooda do Kalifornii.

- Sharon musiała wywalczyć ten tydzień urlopu od swojego szefa, który uważa, że jego kablówkę szlag trafi bez jej programów o zdrowym żywieniu. A wiecie, co jest w tym najśmieszniejsze? Czuję, że jak tylko tam trafimy, to dzieciaki zaciągną nas do „Bloopers”, a to przecież zaprzeczenie zdrowego żywienia. Tak, czy inaczej - pierwszy wieczór mam z głowy. Sądząc z tego co pokazują w MTV, nawet nie usłyszę pagera, gdybyście chcieli się ze mną skontaktować.

Ann pochyliła się i poklepała go po dłoni.

19

- Założę się, że urwą ci łeb, jeśli ośmielisz się bąknąć choć słowo na ten temat -

powiedziała. - Czytałam co nieco o „Bloopers”. Zamów sobie hotdoga z piklami i smażone ciastko. Powinny ci smakować.

Hood prychnął pod nosem.

- Słuchajcie, a może byśmy to umieścili w naszym herbie? „Czyni świat bezpiecznym dla hotdogów z ogórkiem” - piękne motto.

- Trzeba tylko będzie zapytać Lowella, jakby to było po łacinie - uśmiechnęła się Ann. -

Wtedy będzie to brzmieć bardziej podniosłe.

Rodgers chrząknął, przerywając tę doskonale zapowiadającą się konwersację. Generał siedział w fotelu, z nogą założoną na nogę.

- Przepraszam, Mike - powiedział Hood. - Chyba za wcześnie wczułem się w rolę dyrektora na wakacjach.

- Nie, to nie to - odpowiedział Rodgers. - Po prostu mówicie w jakimś obcym języku.

Ann wyczuła w jego głosie krytykę, ale i lekki ton zazdrości.

- Dla mnie to też obcy język, ale dzieci uczą człowieka, a myślę, że i Ann to potwierdzi, że warunkiem przeżycia jest zdolność przystosowania. Ostatnio zauważyłem, że mówię o rapie i heavy metalu dokładnie to samo, co moi rodzice o The Rolling Stones. Tak to już bywa.

Rodgers nie był do końca przekonany.

- Wiesz, co George Bernard Shaw powiedział o przystosowaniu?

- Nie mam pojęcia.

- Powiedział, że ponieważ człowiek rozumny przystosuje siebie do otaczającego świata, a tylko nierozumny stara się przystosować świat do siebie, cały postęp ludności zależy od tych bezrozumnych. Rapu nie lubię i nie polubię. Nikt mnie nie zmusi, żebym chociaż udawał, że jest inaczej.

- To co robisz, gdy pułkownik Squires go słucha?

- Każę mu wyłączyć. A on mi mówi, że to bez sensu...

- A wtedy ty mu cytujesz Shawa, tak? - dokończyła Ann.

Generał spojrział na nią i skinął głową.

- Fascynujące. No dobra, zastanówmy się nad planami na najbliższe dni. Po pierwsze, mój rozkład jazdy. - Z twarzy Hooda zginął chłopięcy uśmiešek, a jego umysł ponownie skoncentrował się na zagadnieniu, które mieli omawiać. Wrócił do ekranu komputera. Ann usiłowała z kolei wydusić uśmiech z jego zastępcy, ale bezskutecznie. Rodgers uśmiechał się 20

bardzo rzadko, a wyraz szczęścia gościł na jego twarzy tylko wtedy, gdy polował na dziki, terrorystów albo oficerów przedkładających swoje ambicje nad bezpieczeństwo podwładnych.

- W poniedziałek będziemy na wycieczce w Magna Studio, we wtorek w Parku Wallace'a. Dzieciaki chciały posurfować, więc w środę pewnie wylądujemy na plaży.

Wszędzie będę zabierał komórkę, więc gdybym był potrzebny, jestem pod ręką. Gdyby to było coś poważnego, zawsze mogę się urwać i pójść na policję albo do FBI, żeby porozmawiać na bezpiecznej linii.

- Zapowiada się, że to będzie spokojny tydzień - tuż przed odprawą Ann skończyła wpisywać do komputera prognozę Boba Herberta, analityka wywiadu. Otworzyła teraz swojego noteboka i włączyła go. - Na Bałkanach, w Europie Środkowej i na Bliskim Wschodzie cisza i spokój. CIA bez większych ofiar pomogła Meksykanom zlikwidować bazy rebeliantów w Jalapa. Nawet w Azji się uspokoiło po tym ostatnim ostrym kryzysie z Koreą.

Rosja i Ukraina wznowiły rokowania na temat Floty Czarnomorskiej i Krymu.

- Mike, jak myślisz, czy wybory prezydenckie w Rosji mogą w tym przeszkodzić? -

zapytał Hood.

- Uważamy, że nie - odparł generał. - Nowy prezydent Rosji, Kirył Żanin był kiedyś na noże z

prezydentem Ukrainy, Wiesnikiem, ale to zawodowiec. Na pewno wyciągnie teraz gałązkę oliwną. Tak czy owak, nasza prognoza nie przewiduje żadnych Czerwonych Alarmów w najbliższym tygodniu.

Hood skinął głową. Ann wiedziała, że dyrektor po staremu nie dowierzał prognozom, badaniom opinii publicznej i psychoanalitykom, ale teraz przynajmniej nauczył się udawać, że ich słucha. Na początku pracy w Centrum, Paul i psycholog Centrum, Liz Gordon omijali się szerokim łukiem.

- Mam nadzieję, że się nie mylicie. Gdyby jednak ogłoszono cokolwiek powyżej Niebieskiego, pamiętajcie, że to ja mam podpisywać rozkazy.

Noga Rodgersa przestała się kiwać. Jego piwne oczy pociemniały.

- Paul, dam sobie radę...

- Nigdy nie uważałem inaczej. W czasie kryzysu koreańskiego udowodniłeś, że nikt poza tobą nie byłby w stanie zatrzymać tych rakiet.

- No to o co chodzi?

- O nic. To nie sprawa zdolności, tylko odpowiedzialności, Mike.

- Rozumiem i doceniam, ale przepisy pozwalają na to. Zastępca ma prawo prowadzić operacje pod nieobecność dyrektora.

- Tam jest napisane „niezdolny do wykonania swych obowiązków”, a nie „nieobecny”, Mike - zauważył Hood. - Nie będę „niezdolny”, a wiesz, jak Kongres reaguje na działania za granicami. Jak coś pójdzie nie tak, to mnie zaciągną przed komisję, żebym się tłumaczył, a 21

nie ciebie. Chcę móc udzielać wyjaśnień na podstawie tego, w czym uczestniczyłem, a nie tego, co wyczytałem w raportach.

Uniesiony nos Rodgersa opadł nieco.

- Rozumiem.

- Ale nadal się nie zgadzasz, tak?

- Nie. I prawdę mówiąc, miałbym cholerną ochotę stanąć przed komisją kongresową i pogonić kota tym pierdzistołkom, żeby raz w życiu zobaczyli, jak się rządzi podejmując decyzje, a nie zawierając ugody.

- I właśnie dlatego ja się nimi będę zajmował. Mike. Tak się składa, że to oni płacą nasze rachunki.

- Co doprowadza ludzi takich jak Ollie North do tego, że próbują obejść te zasrane Rady

Konsultacyjne Zastępców Członków Komitetów Doradczych. Te zgraje dupków, którzy dostają do zatwierdzenia plany pilnych operacji, a potem siedzą na nich przez pół roku, żeby w końcu nie zezwolić na użycie siły i wyasygnowanie środków, bez których te operacje nie mają sensu.

Hood wyglądał jakby chciał coś powiedzieć, a generał jakby tylko na to czekał, żeby przejąć piłkę i odbić ją z powrotem. Zamiast tego obaj popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Tak - odezwała się Ann - czyli zwalasz na nas czarną robotę z alarmami Zielonymi i Niebieskimi, czyli zakładnikami w kraju, a sobie zostawiasz łatwiznę, same Żółte, zakładnicy za granicą, i Czerwone, czyli wojny. - Zamknęła notebooka, spojrzała na zegarek i wstała. -

Paul, może byś rozesłał swój rozkład do naszych komputerów, co?

Hood spuścił wzrok z generała i pochylił się nad klawiaturą. Wystukał F6/Alt, potem PB/Enter i Mr/Enter.

- Gotowe.

- Fajnie. Obiecujesz, że postarasz się rozerwać i mieć wspaniałe wakacje?

Kiwnął głową, a potem odwrócił się do Rodgersa.

- Dzięki za pomoc - powiedział, wstając i podając mu dłoń nad biurkiem. - Wiesz, że gdybym tylko mógł, rozegrałbym to inaczej.

- Do zobaczenia za tydzień - odpowiedział generał i wyszedł.

- Do zobaczenia - powtórzyła Ann, machając ręką na do widzenia Paulowi. Uśmiechnęła się. - Pisz często. Wyluzuj się.

- Przyślę ci kartkę z „Bloopers” - odpowiedział, także się uśmiechając.

22

Ann zamknęła za sobą drzwi i pośpieszyła za Rodgersem, wymijając współpracowników.

- Wszystko w porządku? - zapytała, gdy się z nim zrównała.

Rodgers kiwnął głową.

- Nie wygląda na to.

- Ciągłe nie mogę się z nim dogadać.

- Wiem. Czasem zdaje się, że on naprawdę jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, ale

na co dzień zachowuje się jak przemądrzały belfer, który ciągle sprawdza, czy aby na pewno znasz swoje miejsce w szeregu.

Rodgers spojrział na nią.

- Słuszna ocena, Ann. Wygląda na to, że sporo o nim, znaczy, o tym, myślałaś.

Zarumieniła się.

- Mam taki brzydki nawyk, że staram się każdemu znaleźć jakąś szufladkę. -

Zaakcentowała to „każdemu”, żeby zmienić temat rozmowy. Od razu zrozumiała, że to był

błąd.

- O, a do jakiej szufladki mnie włożyłaś?

- Jesteś prostolinijnym, uczciwym, zdecydowanym człowiekiem żyjącym w świecie, który stał się zbyt skomplikowany, żeby docenić te cechy.

- To dobrze, czy źle? - zapytał, gdy stanęli przed drzwiami jego gabinetu.

- To przede wszystkim kłopotliwe - odparła. - Gdybyś czasem choć trochę ustąpił, mógłbyś dużo więcej uzyskać.

Generał wystukał kod otwierający drzwi gabinetu na klawiaturze wpuszczonej we framugę, nie odwracając wzroku od Ann.

- Ale jeżeli to coś nie jest tym, czego by się chciało, to czy warto to mieć?

- Zawsze mi się wydawało, że lepiej mieć pół niż nic - odpowiedziała.

- Rozumiem. Ale się nie zgadzam. - Uśmiechnął się. - Wiesz co, Ann? Jak następnym razem będziesz chciała mi powiedzieć, że jestem upartym palantem, to się nie krępuj i wal prosto z mostu. - Machnął jej ręką na pożegnanie, jakby salutując i wszedł do swego gabinetu, zamykając drzwi.

Ann postąpiła tam jeszcze chwilę, a potem odwróciła się i poszła do swego biura. Żal jej było Mike'a. To był dobry człowiek, jasny umysł, ale wciąż przedkładał działanie nad dyplomację, nawet wtedy, gdy działanie stało w sprzeczności z takimi drobiazgami, jak zgoda 23

Kongresu czy zasada samostanowienia suwerennych państw. To właśnie jego reputacja połykacza ognia spowodowała, że przeszło mu koło nosa stanowisko zastępcy sekretarza obrony i na pocieszenie mianowano go zastępcą dyrektora Centrum. Przyjął nominację, bo dobry żołnierz słucha rozkazów, ale nie był z tego powodu szczęśliwy. Jeszcze gorzej znosił

podleganie cywilom...

No cóż, każdy dźwiga jakiś krzyż, pomyślała. Ona też. I zdaje się, że widać to po niej, bo Mike półgębkiem o tym wspomniał.

Będzie tęsknić za Paulem, swoim dobrym, szlachetnym rycerzem, który nie opuści swej żony, choćby nie wiem jak bardzo było między nimi źle. Co gorsza, Ann nie mogła uwolnić się od marzeń o tym, jak mogłaby pomóc dyrektorowi naprawdę się rozluźnić, gdyby to ona i jej syn, a nie Sharon i ich dzieciaki, pojechali z nim do Kalifornii...

◆ Sobota, 14.00 - Brighton Beach, Nowy Jork

Od czasu przerwania z Rosji w roku 1989, Jefrimow, przystojny brunet, pracował w piekarni precli należącej do sieci Bestonia Bagel w części Brooklynu zwanej Brighton Beach.

Pokrywał tam gorące ciasto solą, ziarnami sezamu, czosnkiem, cebulą, makiem czy czym tam jeszcze klienci sobie życzyli. Praca przy piecach była w lecie uciążliwa, w zimie przyjemna, a przez resztę roku dawała się wytrzymać. Tak czy owak, z tym co robił w Moskwie i tak się nie dawała porównać.

Rozległ się dzwonek telefonu.

- Aliosza, zajrzyj do mnie do biura - to był głos Arnolda Bielnika, właściciela piekarni. -

Mam specjalne zamówienie.

Te słowa zawsze powodowały, że trzydziestosiedmioletni moskwianin rozkwitał w oczach. Stare nawyki i uśpione instynkty budziły się z letargu. Znowu będzie miał okazję użyć umiejętności, których dla przeżycia, wykonania zadań i służby dla ojczyzny nauczyli go przez dziesięć lat służby w KGB, zanim Związek się rozpadł.

Zrzucił fartuch, zostawił swoją robotę młodszemu synowi Bielnika i pognął po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wszedł bez pukania do gabinetu rozświetlonego przez lampę na biurku i słabe światło pochmurnego dnia przebijające się z trudem przez brudne okienko. Zamknął drzwi, przekręcił zamek i stanął koło starszego pana siedzącego za biurkiem.

Bielnik spojrzał na niego przez chmurę papierosowego dymu.

- Masz - powiedział, wręczając Jefrimowowi kartkę papieru.

Jefrimow popatrzył na nią przez chwilę, potem oddał ją Bielnikowi. Otyły, łysiejący szef strzepnął popiół z trzymanego w palcach papierosa i przytknął żarzący się tytoń do rogu kartki, która zapaliła się jasnym płomieniem. Puścił ją na podłogę i roztarł podeszwą popiół

na proszek.

- Pytania?

- Tak. Po robocie chowam się w melinie?

- Nie. Nawet gdyby cię ktoś śledził, to w żaden sposób nie wpadnie na to, że masz z tym jakiś związek.

Jefrimow kiwnął głową. Już raz chronił się w domku na Forest Drive w Valley Stream.

To było po tym, jak zastrzelił tego Czeczeńca, który przyjechał zbierać wśród swoich 25

pieniądze na następne powstanie. Melina była własnością rosyjskiej mafii. Leżała o zaledwie kwadrans drogi od lotniska JFK i dwadzieścia pięć minut od brzegu oceanu. Jeżeli robiło się zbyt gorąco, łatwo było ewakuować zagrożonego człowieka drogą morską lub powietrzną.

Wtedy sprawa szybko przyschła i wkrótce mógł wrócić do Brighton Beach i piekarni.

Jeprimow podszedł do szafki w rogu biura, opróżnił ją, wyjął tylną ściankę i zaczął

wyjmować to, czego potrzebował równie spokojnie, jakby rozkładał sól, czosnek czy mak na gorące precle.

◆ Niedziela, 12.00 - Sankt Petersburg

Keith Fields-Hutton kupił bilet w kiosku przed Ermitażem, na nabrzeżu Newy, a potem podszedł do wejścia zwieńczonego złotą kopułą muzeum. Jak zawsze poczuł się przytłoczony przechodząc między białymi marmurowymi kolumnami i wchodząc do przedsionka pałacu.

Jego ogrom, rozmach i dzieje działały tak na niego, ilekroć tu wchodził.

Państwowe Muzeum Ermitażu jest największym i najszlachetniejszym muzeum Rosji.

Założyła je w roku 1764 caryca Katarzyna II w wydzielonym skrzydle dwuletniego wówczas Pałacu Zimowego. Kolekcja Ermitażu szybko rosła i z 225 dzieł sztuki kupionych dla niego przez założycielkę, obecnie zwiększyła się do ponad trzech milionów. W kolekcji są prace Leonarda da Vinci, Van Gogha, Rembrandta, El Greca, Moneta i niezliczonych zastępów innych twórców wszystkich epok, od paleolitu po artystów współczesnych. Rosnąca kolekcja pożerała kolejne skrzydła pałacu, a w końcu i sąsiednie budynki: Mały Ermitaż, na północny wschód od pałacu i położony bezpośrednio za Małym, Duży Ermitaż. Do roku 1917 wstęp do muzeum mieli tylko członkowie rodziny panującej i arystokraci. Dopiero po rewolucji Ermitaż stał się muzeum publicznym.

Wchodząc do głównego holu z kioskami sprzedającymi pamiątki i biletami, Fields-Hutton rozmyślał nad tym, co go tu sprowadziło. Katarzyna zakładając muzeum ustanowiła bardzo sensowny regulamin dla zwiedzających, którego pierwszy artykuł mówił, że:

„Wchodzący tu zostawiają swoją pozycję i tytuły w szatni wraz z kapeluszem i szpadą”.

Miała rację. Sztuka winna łagodzić spory, a nie służyć ich ukrywaniu. A Rosjanie sprzeniewierzyli się tej zasadzie, tego był pewien zarówno on, jak i Leonid. Poza śmiercią robotników i tajemniczymi dostawami materiałów świadczył o tym wzrost poziomu emisji mikrofalowych. Leonid sprawdził to, używając telefonu komórkowego. Im bliżej rzeki podchodził, tym bardziej rozmowa była zakłócana. To by tłumaczyło dostawę dużych ilości papy. Jeżeli Rosjanie założyli tu jakieś centrum łączności, to sprzęt trzeba było chronić od wilgoci.

Umieszczenie centrum pod muzeum miało sens ze strategicznego punktu widzenia.

Sztuka jest wartością ogólnoludzką, nikt liczący się z opinią publiczną nie będzie bombardował muzeów. Dotąd tylko Hitler pogwałcił świętość tego muzeum bombardując je.

Inna rzecz, że zbiory były wówczas ewakuowane za Ural.

Czyżby Rosjanie spodziewali się wojny? Czy dlatego zbudowali centrum łączności w takim miejscu? Zajrzał do przewodnika. Rozkład pomieszczeń znał na pamięć, ale po co się z tym zdradzać, gdy w pustym holu ściągał na siebie wzrok bileterów? Każdy z nich mógł być, a pewnie i był, kapusiem.

Skręcił w lewo, wzdłuż długiej kolumnady Galerii Rastrellego. Każdy centymetr posadzki był odsłonięty i nie było tu miejsca na żaden tajny gabinet czy klatkę schodową 27

prowadzącą w dół. Idąc wzdłuż ściany galerii, doszedł do miejsca, gdzie łączyła się ona ze Skrzydłem Wschodnim. Nagle zauważył, że na framudze niepozornych drzwi bieleje klawiatura elektronicznego zamka. Tablica, która wisiała obok, wywołała uśmiech na jego twarzy. TU BĘDZIE SIĘ MIEŚCIŁO TELEWIZYJNE STUDIO FUNDACJI «SZTUKA DZIECIOM».

Może tak, pomyślał, a może i nie. Wyjął przewodnik i, udając, że czyta, odprowadził

wzrokiem przechodzącego korytarzowego. Gdy jego plecy zniknęły za rogiem, podszedł do drzwi. Wiedział, że musi być przy nich kamera, więc starał się nie podnosić wzroku ani nie pokazywać twarzy. Udając, że kicha, zasłonił twarz dłonią i ukradkiem złustrował drzwi. Jest!

Krótki obiektyw, najwyżej ze dwa centymetry, a więc szerokokątny, o polu widzenia obejmującym całe drzwi i dość duży sektor na boki. Na boki tak, ale nie do dołu.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął chusteczkę. Wewnątrz chusteczki włożona była moneta, meksykański peso. Jedna z nielicznych walut, która w tym kraju była całkiem bezużyteczna.

W najgorszym razie znalazca zachowa ją sobie na pamiątkę. Jeżeli to będzie ktoś ważny za tymi drzwiami, kto będzie miał coś ciekawego do powiedzenia, to nie będzie wcale taki najgorszy raz, pomyślał.

Kichając ponownie pochylił się i wrzucił monetę pod drzwi. Spodziewał się, że za drzwiami jest jakiś system alarmowy, ale przemieszczenie tak małego obiektu jak moneta nie powinno go uruchomić. Gdyby było inaczej, alarm byłby bez przerwy, reagując na każdego muzealnego karalucha i mysz. Wyprostował się i z nosem wciąż wetkniętym w chusteczkę ruszył do wyjścia.

W holu jakiś strażnik zajrzał do jego torby, ale nic nie znalazł. Fields-Hutton wyszedł na zewnątrz, znalazł sobie miejsce pod drzewem nad rzeką i usiadł, wyciągając z torby przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych. Wybrał kilka utworów z płyty i wprowadził je do pamięci. Numery opisywały to, co widział w muzeum. Zostały one zapisane na płycie umieszczonej wewnątrz urządzenia, które tylko z zewnątrz przypominało odtwarzacz. Potem, kiedy już wyjdzie poza zasięg odbiorników nasłuchowych tego centrum łączności w piwnicach, wyśle zapis z płyty - znowu za pomocą tego samego „odtwarzacza” - do brytyjskiego konsulatu w Helsinkach, skąd transmisja trafi do Londynu.

Kiedy już skończył pisać raport o „studium telewizyjnym”, usiadł wygodniej, oparł się o drzewo i wsłuchał się w to, co nadawała meksykańska moneta.

◆ Niedziela, 12.50 - Sankt Petersburg

Keith mylił się. Moneta wsunięta pod drzwi uruchomiła system alarmowy, na który prócz czujników ruchu składały się także wykrywacze metalu. Czułość bramki ukrytej we framudze ustawiona była tak, by reagować nawet na przedmioty wielkości baterii do zegarka.

Zakłócenie pola elektromagnetycznego spowodowało wysłanie sygnału, który zabrzmiał

w słuchawkach zastępcy dyrektora do spraw bezpieczeństwa, Glinki. Glinko zignorowałby go zapewne, jako że sygnał był znikomy i krótkotrwały, ale wiedział, że pułkownik Roski by go nie zignorował. Nie w takiej chwili, na niewiele ponad dobę przed Godziną Zero, a już zwłaszcza nie po tym, jak ostrzeżono ich, że od kilku dni ktoś kręci się po okolicy i usiłuje wtykać nos gdzie go nie proszą. Zadzwoił do wartowni, gdzie powiedziano mu, że nikt nie wchodził ani nie wychodził na zewnątrz. Podziękował rozmówcy, zdjął słuchawki, przekazał

je asystentowi, wstał i ruszył wąskim korytarzykiem do gabinetu pułkownika. Od dawna czekał na możliwość rozprostowania nóg. Ostatnie dziewięć godzin spędził za swoim biurkiem, uruchamiając i sprawdzając „pluskwy” podłożone w ambasadach na całym świecie.

Cztery poprzednie upłynęły mu na testowaniu dwóch central telefonicznych Ośrodka.

Pomiary napięcia przy włączaniu, wyłączaniu, próby wysokim napięciem, pomiar szumów, wszystko co tylko mogło zdradzić, że prócz nich ktoś jeszcze z nich korzysta.

Główny korytarz miał długość dwóch autobusów. Oświetlały go zaledwie trzy dwudziestopięciowatowe żarówki wiszące pod sufitem w czarnych oprawkach. Sufit był tak wytłumiony akustycznie, że na zewnątrz słychać by było chyba tylko strzały albo młot pneumatyczny. Wewnętrzne i zewnętrzne ceglane mury pokryte zostały obustronnie warstwą gąbki, okrytej dodatkowo sześciowarstwowym laminatem z włókna szklanego i dwuipółcentymetrową warstwą gumy. Na zewnątrz całość dodatkowo wyłożona była grubą warstwą papy izolującej od wilgoci. Od wewnątrz ściany te zostały grubo otynkowane, a następnie pomalowane czarną, matową farbą, która pochłaniała światło, mogące przedostać się przez szczeliny w stropie i podłodze muzeum.

Korytarz miał kilka odgałęzień, z których każde prowadziło do innego działu: komputerowego, nasłuchu, rozpoznania powietrznego, łączności, biblioteki czy wyjścia. Na jednym końcu korytarza mieścił się gabinet generała Orłowa, a na drugim jego pierwszego zastępcy, pułkownika Roskiego.

Glinko doszedł do drzwi gabinetu pułkownika i wcisnął przycisk obok głośnika na framudze.

- Tak? - rozległ się z niego metaliczny głos.

- Panie pułkowniku, tu Glinko. W rejonie drzwi wejściowych odnotowano zakłócenie pola elektromagnetycznego na przeciąg 0,38 sekundy. Nikt nie zdążyłby tak szybko wejść, ale pomyślałem,

że chcielibyście o tym wiedzieć, więc...

29

- Gdzie jest konserwator?

- Pracuje w Skrzydle Kurgańskim, ale...

- Dziękuję. Sam się tym zajmę.

- Ja mógłbym się tym...

- Powiedziałem, że ja się tym zajmę! - uciał stanowczo pułkownik.

Glinko przyglądał ręką grzywkę.

- Tak jest! - odpowiedział i odszedł korytarzem. Tak, no to już sobie zrobiłem spacer na górę, pomyślał. Dobra, lepiej stracić okazję do rozprostowania kości, niż podpaść Rosskiemu. Starczy, że wiedział co Rosski zrobił z tym cymbałem Makarowem, który na swoje nieszczęście buchnął jakieś podzespoły przy montażu, Glinko musiał zameldować o tym pułkownikowi, bo inaczej poszłoby to na jego konto. Nawet nie przypuszczał, jaki okropny los zgotował tym Pawce i jego kolegom. Wszyscy w Ośrodku wiedzieli, że to robota pułkownika.

Usiadł z powrotem na swoim miejscu, założył słuchawki i wrócił do przerwanej pracy.

Był pewien, że jeszcze z pięć godzin będzie miał ręce pełne roboty. Wykonywał ją mechanicznie, zajmując myśli rozmyślaniami o tym, jak mógłby załatwić tego odrażającego skurwysyna, gdyby tylko zebrał się na odwagę...

Pułkownik Rosski, wbity w swój czarny mundur piechoty morskiej z czerwonymi naszywkami na klapach, odprasowany tak, że kantów spodni mógłby używać do golenia, wyszedł ze swojego gabinetu i ruszył do drzwi przeciwpożarowych, odgradzających Ośrodek od klatki schodowej. Jak wszyscy żołnierze Specnazu, odznaczał się charakterem i nerwami z granitu. Widać to było już choćby w jego twarzy. Ciemne brwi raptownie załamywały się nad długim, prostym nosem, a wąskie wargi tworzyły niemal trójkąt z głębokimi liniami wiodącymi w dół od nosa. W odróżnieniu od innych oficerów swojej służby nosił gęste, czarne wąsy, ale podobnie jak oni zdawał się wciąż szarpać niewidoczną smycz, jedyną przeszkodę w osiągnięciu jakiegoś tylko jemu znanego celu.

Otworzył drzwi, zamknął je starannie za sobą i nacisnął guzik na klawiaturze obok.

- Raisa, zamknij drzwi zewnętrzne - rzucił do głośnika.

- Tak jest - odpowiedział kobiecie głos.

Ruszył korytarzem, wspiął się na następne schody i, wystukawszy kod na klawiaturze kolejnych

drzwi, wszedł do studia telewizyjnego. Zwykle powinien się przebrać w cywilne ubranie, zanim tu wchodził, ale tym razem nie było na to czasu, a zresztą przez zablokowane drzwi zewnętrzne nie mógł wejść nikt niepowołany.

30

Robotnicy montowali oświetlenie, migwały monitory w reżyserce, pod ścianami stały kamery. Nikt nie zwracał uwagi na Rosskiego, który szedł przez studio, wymijając stojące na podłodze skrzynki i przekraczając wiązki kabli.

Za oszklonym akwariem reżyserki zaczynały się jasno oświetlone, strome schody.

Roski wszedł na nie, dochodząc do portierni na ich szczycie. Raisa wstała zza biurka i powitała go skinieniem głowy. Chciała coś powiedzieć, ale uciszył ją, kładąc palec na wargach. Rozejrzał się.

Zauważył monetę leżącą na podłodze, koło biurka po prawej stronie pomieszczenia.

Dwaj robotnicy rozpakowujący jakieś paczki przerwali na chwilę, by na niego spojrzeć.

Pokazał im, żeby sobie nie przeszkadzali, więc wrócili do rozmowy o piłce nożnej.

Pułkownik oglądał monetę. Krążył nad nią i wpatrywał się w nią jak wąż hipnotyzujący wzrokiem ofiarę. Nie dotykał jej i starał się nie wydać żadnego dźwięku, nawet powietrze wydychał bokiem. To mógł być przypadek, ta moneta mogła być tylko monetą i niczym więcej, ale dwadzieścia lat służby w Specnazie nauczyło pułkownika, że przeżywa tylko ten, kto nie dowierza pozorom.

To był peso, meksykańska moneta z 1982 roku. Stan zużycia zdawał się potwierdzać datę wybicia. Jej brzegi były pościerane, ząbki zaokrąglone, z powbijanym brudem.

Wyglądała bardzo autentycznie. Ale oko można zmylić. Poglądził się po karku i wyrwał

dłuższy włos. Zbliżył go do monety. Włos wygiął się jak różdżka, przywierając do powierzchni monety. Dotknął końcem wskazującego palca języka, a potem powierzchni monety. Zbliżył do oczu. Na wilgotnej opuszce były ślady kurzu. Na powierzchni monety powstał okrągły placek na równo pokrytej kurzem płaszczyźnie.

Coś w środku monety musiało wywołać powstanie pola elektrostatycznego. Z wargami zaciśniętymi w milczącym gniewie Roski wstał i wrócił do Ośrodka. Nadajnik w monecie nie mógł być zbyt silny. Ktokolwiek ją tu podrzucił, musi siedzieć gdzieś w promieniu kilkaset metrów od muzeum i słuchać. Teraz trzeba przejrzeć obraz z kamer dozoru i wybrać potencjalnego ciekawskiego. A potem zrobić z nim porządek.

31

◆ Niedziela, 9.00 - Waszyngton

Mike Rodgers wszedł przez zamknięte na elektroniczny zamek drzwi prowadzące na parter Centrum. Przywitał się z uzbrojonym wartownikiem siedzącym za biurkiem na korytarzu, odebrał od niego dzisiejsze hasło i pośpieszył na pierwsze piętro, do administracji Centrum, gdzie znajdowały się gabinety kierownika, zainstalowane w dawnych pomieszczeniach socjalnych zespołów ewakuacyjnych. Podobnie jak dyrektor Hood, generał

także wolał przesiadywać nie tu, ale w swoim pokoju na dole, w podziemnej części Centrum, tam, gdzie odbywała się jego zasadnicza działalność.

Przy windzie stała następna strażniczka, podał jej hasło, które poznał na parterze.

Dopiero po wymianie haseł został dopuszczony do windy. Od czasu gdy okazało się, że elektronika ma dwa końce i nie ma takiego urządzenia, którego nie da się oszukać, Centrum zdecydowało się na powrót do anachronicznego i znacznie tańszego systemu żywych strażników i haseł. Syntezatory mogą zmylić każdy czytnik kart, linii papilarnych, tęczówki czy głosu, ale nie człowieka. Mimo że widywał się z tą strażniczką niemal codziennie od pół

roku, znał imiona jej męża i dzieci, bez podania hasła nie miał nawet po co próbować wejść.

Zostałby natychmiast aresztowany, a gdyby się opierał, zastrzeliłaby go bez mrugnięcia powieką. Tu w Centrum precyzja, kompetencja i poczucie obowiązku spychały przyjaźń na dalszy plan.

Wysiadł z windy w sercu Centrum i ruszył korytarzem obok biur rozmieszczonych na obwodzie. W odróżnieniu od wygodnych gabinetów na piętrze, stąd można się było połączyć z każdym źródłem informacji wywiadowczych, od satelitów rozpoznania fotograficznego przez agentów rozsianych po całym świecie, aż po dostęp do komputerów i baz danych zdolnych w razie potrzeby prognozować urodzaj ryżu w Rangunie za pięć lat z dokładnością do stu ton.

Pod nieobecność Hooda Rodgers używał gabinetu dyrektora. Przylegał on do sali konferencyjnej nazywanej przez pracowników Czołgiem. Ściany Czołgu zaopatrzone były w mikrofalowe zagłuszarki, wykluczające możliwość podsłuchu elektronicznego. Plotka głosiła, że mikrofałe mogą też powodować bezpłodność lub doprowadzić do obłędu. Psycholog Centrum, Liz Gordon, pół żartem, pół serio mówiła, że to właśnie mikrofałe mogą być odpowiedzialne za to, co nieraz się w tych murach działo.

Mimo że w sobotę bawił się w mieście do bardzo późnego wieczora, Rodgers miał

świeży umysł i rozpierała go energia. Wystukał kod na klawiaturze przy drzwiach. Drzwi otworzyły się z lekkim trzaskiem, zapaliło się światło i po raz pierwszy od pół roku generał

uśmiechnął się z zadowoleniem. Nareszcie wodze Centrum spoczęły w jego rękach.

Chociaż nie mógł się tej chwili doczekać, wiedział, że nie jest sprawiedliwy w ocenie Hooda. Rzeczywiście, tak jak mówiła Ann, zdarzały mu się napady mentorstwa, ale miał

dobrze chęci, a co więcej miał doskonale zdolności menedżerskie. Poza tym nie miał oporów 32

przed delegowaniem swych uprawnień specjalistom, takim jak Martha Mackall, Lowell Coffey, Matt Stoll czy Ann Farris, którym pozostawił dużo swobody. To prawda, ale w opinii Rodgersa Centrum potrzebowało jednoosobowego kierownictwa, dyrektora o niezłomnej woli dojścia do celu, kogoś kto byłby dla Centrum tym, kim dla FBI był Hoover. Powinien to być ktoś, kto zdołałby doprowadzić do sytuacji, w której CIA i Agencja Bezpieczeństwa Narodowego mogłyby się dowiadywać o jakiejś akcji po jej zakończeniu, a nie tak jak teraz, łaskawie na nią zezwalać. Po rozładowaniu kryzysu w Korei i zażegnaniu niebezpieczeństwa ataku atomowego na Japonię, doszedł do wniosku, że Centrum powinno działać bardziej agresywnie, prowadzić akcje prewencyjne, a nie ograniczać się do reagowania, gdy sytuacja już się zaogniła.

Żeby myśleć o czymś takim, Centrum musi wyjść z cienia. Coś da się zrobić, pomyślał.

Tylko co? Zadziałać pasywnie: jakiś przeciek do prasy? A może raczej coś dramatycznego: wysłać Iglicę na jakąś błyskotliwą akcję, coś w rodzaju rajdów, które zbudowały reputację izraelskich komandosów? Ale jednocześnie akcję, której nikt nie będzie mógł przypisać komu innemu, w taki sposób jak ich ostatni wyczyn w KRLD przypisano południowokoreańskim siłom specjalnym.

Dyskutowali o tym z Hoodem wiele razy i zawsze kończyło się tym, że Paul wyciągał

ich statut, który zabraniał awanturnictwa. Mieli być policją, mówił, a nie piątą kolumną.

Rodgers oponował mówiąc, że ustawa jest jak partytura - trzeba zagrać wszystkie nuty, ale zawsze pozostaje prawo do interpretacji w granicach tego, co przewidział kompozytor. W

Wietnamie wielokrotnie przeczytał dzieło Edwarda Gibbona „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego”. Jedno z jego zdań stało się jego credo: „Najważniejszym z ziemskich błogosławieństw jest samodzielność”.

Rodgers odsłużył w Wietnamie dwie tury, zaczytując na śmierć Gibbona i „Wojnę jak ją poznałem” George'a Pattona, której egzemplarz dał mu ojciec. Po powrocie do Stanów skończył studia historyczne na Uniwersytecie Temple, a potem służył w Niemczech i Japonii.

W wojnie nad Zatoką Perską dowodził brygadą zmechanizowaną i pozostał po niej w Arabii Saudyjskiej jako doradca. Wrócił do kraju, starając się o posadę w Departamencie Obrony.

Zamiast tego prezydent mianował go zastępcą dyrektora Centrum. Nie miał żalu o to.

Rozwiązywanie konfliktów wciągało i było interesującą, pożyteczną pracą. Poza tym dawało możliwości uczestniczenia w czymś takim, jak ich ostatnia wycieczka do Korei. Nie lubił

tylko być spychany na ubocze, być czyimś cieniem, nawet Paula Hooda.

Komputer zabręczał. Rodgers podszedł do biurka. Wcisnął klawisze Control/A, by odebrać wiadomość. Na ekranie pojawiła się okrągła twarz Boba Herberta, widziana okiem światłowodowej kamery wkomponowanej w monitor. Na twarzy trzydziestoosmioletniego szefa wywiadu Centrum malowało się zmęczenie.

- Dzień dobry, Mike.

- Cześć, Bob. Co ty tu robisz w niedzielę?

- Ano siedzę od wczorajszego wieczora. Stephen Viens z Narodowego Biura Zwiadu zadzwonił do mnie wczoraj i siedzę do tej pory. Czytałeś moją notatkę?

- Jeszcze nie. Co jest grane?

33

- Zajrzyj do poczty elektronicznej i oddzwoń. W notatce są dokładne dane, daty, godziny, zapis z satelity i tak dalej...

- A nie możesz po prostu powiedzieć o co chodzi? - uciał Mike, przejeżdżając dłonią po twarzy. Cholera, poczty elektroniczne, brzęczyki, światłowody. Jak to się mogło stać, że rzemiosło szpiegowskie upadło tak nisko? Zbieranie informacji powinno być wyczerpujące fizycznie, jak uprawianie miłości, a nie ograniczać się do cholernego elektronicznego podglądactwa.

- Jasne, Mike, mogę ci to streścić - odpowiedział nieco zmieszany Herbert. - Wszystko w porządku?

- Tak, tylko trochę wypadłem z kontaktu z rzeczywistością końca XX wieku.

- Jak uważasz.

Rodgers darował sobie dalsze roztrząsanie tematu. Bob był fajnym facetem, któremu zajęcie obecnej pozycji nie przyszło łatwo i za darmo. W zamachu na ambasadę w Bejrucie w 1983 roku stracił żonę i władzę w nogach. Oswajanie się z komputerami, satelitami i światłowodami też nie przyszło mu bez oporu, ale teraz zakochał się w nich i uważał, że ta triada daje mu spojrzenie na świat „z pozycji Pana Boga”, jak mawiał.

- Są dwie sprawy, może mają ze sobą związek, może nie. Jak wiesz, od jakiegoś czasu w Newie na wysokości Ermitażu w Sankt Petersburgu wykrywamy wzmożoną emisję mikrofalową.

- Wiem.

- Najpierw myśleliśmy, że to z tego studia telewizyjnego, które Rosjanie budują w Ermitażu, wiesz, tego co ma pokazywać sztukę dzieciom. Tyle tylko, że nasi spece od telewizji rzucili okiem na zapisy

ich transmisji i okazało się, że one się wszystkie mieszczą w paśmie od 153 do 11.950 kHz. A z Newy dostajemy zupełnie co innego.

- Czyli to studio to tylko przykrywka, tak?

- Najprawdopodobniej. Potem myśleliśmy, że to może jakieś instalacje związane ze wzmocnieniem ochrony muzeum przed spodziewanym napływem turystów na uroczystości związane z trzechsetleciem miasta, ale to też nie pasuje.

- To znaczy?

- Martha Mackall zadzwoniła do znajomego w Departamencie Skarbu, żeby ściągnął

budżety rosyjskich ministrów kultury i edukacji. W żadnym z nich nie ma ani rubelka na inwestycję, która według naszych szacunków powinna kosztować jakieś pięć do siedmiu milionów dolarów. No to pobuszowaliśmy w ich sieciach jeszcze trochę i znaleźliśmy pieniądze na to studio w budżecie MGB.

- To jeszcze nic nie znaczy. Nasze resorty też sobie pożyczają.

- Tak, ale MGB zablokowało na to studio dwadzieścia milionów dolarów.

34

- Dogin dopiero co przegrał wybory. Może część z tych pieniędzy poszła na jego kampanię wyborczą?

- Możliwe. Ale jest jeszcze coś, co wskazuje na to, że to może być coś więcej niż tylko studio telewizyjne. Wczoraj o trzynastej trzydzieści przechwyciliśmy sygnał z tej części Sankt Petersburga do Nowego Jorku. To było zamówienie na precle.

- Na co? - ze zdziwieniem zapytał Rodgers.

- Zamówienie na drugie śniadanie, wysłane faksem z Sankt Petersburga do piekarni sieci Bestonia Bagel w Brighton Beach. Opiewało na precel cebulowy z twarogiem, solony z masłem, jeden bez dodatków i dwa czosnkowe.

- Zamówienie na parę precli na drugi koniec świata... - Rodgers w zamyśleniu tarł

podbródek. - I to nie było dla żartu?

- Nie. Bestonia przysłała potwierdzenie. To mi wygląda podejrzanie.

- Racja. Masz jakiś pomysł?

- Wysłaliśmy to do kryptologów - ciągnął Herbert - ale to nic nie dało. Lynne Dominick mówi, że różne rodzaje precli mogą oznaczać różne części miasta, ale równie dobrze świata.

Albo różnych agentów. Z kolei różne dodatki mogą oznaczać cele. Powiedziała, że będą nad tym pracować. Zadzwoniła do tej całej Bestonii i sprawdziła, że robią tam dwanaście odmian precli i ze dwadzieścia innych rodzajów wypieków. Sprawdzenie tego może zająć trochę czasu.

- A co z tą piekarnią?

- Jak dotąd są czyści jak łąza. Właścicielem jest rodzina Bielników, uciekinierów z Kijowa, którzy trafili tu przez Montreal w 1961 roku.

- O, to już stara inwestycja.

- Tak, bardzo - zgodził się Herbert. - Darrell zawiadomił od razu FBI i teraz piekarnia jest pod obserwacją. Nic ciekawego jak na razie, tylko dostawy precli.

Darrell McCaskey był łącznikiem między Centrum a FBI i Interpolem. Koordynacja działań różnych agencji pozwalała każdej z nich korzystać z dorobku i możliwości pozostałych.

- Jesteście pewni, że to były tylko precle?

- Filmowaliśmy z dachu odbiór towaru i pakowanie do toreb. Wyglądały normalnie.

Dostawcy otrzymywali od adresatów sumy proporcjonalne do zamówień. Nikt z adresatów nie wychodził na lunch, więc wygląda na to, że jedli to, co przyszło w torbach.

Rodgers kiwnął głową.

35

- A więc wracamy do punktu wyjścia, czyli tego, co się szykuje w Sankt Petersburgu.

Może Anglicy coś mają na ten temat?

- Wysłali tam swojego człowieka. Komandor Hubbard przyrzekł podzielić się tym, co wywąchają.

- Dobrze. A co ty o tym wszystkim myślisz?

- Czuję się jakbym się przeniósł w czasie w lata sześćdziesiąte. Zawsze zaczynam się bać, kiedy się dowiaduję, że Rosjanie wydają na coś dużo pieniędzy.

Rodgers skinął znowu głową. Herbert zniknął z ekranu. Bob miał rację. Rosjanie nie umieli przegrywać, a oni teraz mieli do czynienia z Rosjaninem, który przegrał wybory, ale zachował dostęp do tajnych operacji i w dodatku miał w Ameryce zakonspirowanych agentów. Generał też zaczynał

się martwić.

36

◆ Niedziela, 16.35 - Sankt Petersburg

O każdej porze roku wiatr, zrywający się po południu znad zatoki, w jednej chwili wychładza miasto. Bryza roznosi chłodne powietrze po całym mieście, wiejąc wzdłuż sieci kanałów i rzeczek przecinających Sankt Petersburg. Ludzie chronią się w domach i światła zapalają się w mieszkaniach wcześniej. Ten chłód powoduje, że po zachodzie słońca przechodnie, zmuszeni solidarnie znosić przenikające zimno i silne podmuchy, traktują się bardziej serdecznie niż za dnia.

Rezultaty zachodu słońca wydały się Fields-Huttonowi niemal nadprzyrodzone. Od dwóch godzin siedział pod drzewem nad brzegiem Newy, czytając teksty zapisane w pamięci notebooka Toshiba i słuchając transmisji z monety wsuniętej pod drzwi studia, odbieranej przez jego „odtwarzacz płyt kompaktowych”. Pierwsze oznaki zachodu słońca spowodowały, że tłum na ulicach zaczął się przerzedzać, a nadbrzeżny bulwar opustoszał, jakby wymieciony. Wyglądało to tak, jakby ludzie chronili się w domach przed wampirami i duchami wychodzącymi na żer po zachodzie słońca. Cholera, chyba za dużo czytam tych komiksów, przywołał się do porządku i wrócił do rzeczywistości.

Zaczął marznąć. Nawet jak na jego zahartowane, londyńskie ciało, było tu ciut za chłodno. Co gorsza, wyglądało na to, że zmarnował całe popołudnie. W słuchawkach słyszał

tylko rozmowy o sporcie, majstrów poganiających robotników, odgłos otwierania skrzyń łomami oraz ludzi wchodzących i wychodzących ze studia. Nic, co mogłoby zelektryzować ludzi z Firmy.

Popatrzył na rzekę, potem na Ermitaż. Muzeum było teraz jeszcze piękniejsze, tuziny białych kolumn nabrały w świetle zachodzącego słońca lekko czerwonego odcienia, a żebrowana kopuła miotała blaski. Autokary rozjeżdżały się, dzienna zmiana personelu wychodziła z muzeum, wchodziła nocna. Ludzie szli w kierunku przystanków trolejbusowych albo na stację metra przy Newskim Prospekcie, o kwadrans marszu od muzeum. Wkrótce Ermitaż opustoszeje. podobnie jak ulice.

Fields-Hutton miał nadzieję, że Leonid zarezerwował mu jakiś pokój w hotelu. Rano trzeba tu będzie wrócić i na nowo podjąć obserwację. Był przekonany, że jeżeli w muzeum coś jest nie tak, to ma to miejsce właśnie w studiu telewizyjnym.

Anglik zdecydował się wrócić tam i udając spóźnionego turystę przyjrzeć się ludziom wychodzącym ze studia, by sprawdzić, czy spotka kogoś poza robotnikami. Może wystawi stamtąd nos ktoś, kogo da się potem zidentyfikować w kartotece DI 6: jakiś wojskowy po cywilnemu, urzędnik państwowy, może jakiś agent. Poza tym, może jakiś robotnik wychodzący ze studia chlupnie coś użytecznego?

Zamknął komputer i wstał, przeciągając się z lubością. Otrzeptał spodnie, a potem ruszył

w kierunku muzeum, ciągle ze słuchawkami w uszach.

Po prawej zauważył parę, która wyszła z muzeum i spacerowała wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce. Pomyślał o Peggy, nie o tym pierwszym spotkaniu, na którym zwerbowała go do służby wywiadowczej, ale o tym sprzed pięciu dni, gdy tak jak ci spacerowali trzymając się za ręce nad brzegiem Tamizy. Po raz pierwszy mówili wtedy o małżeństwie i Peggy przyznała się, że i ona się ku temu skłaniała. To jeszcze nic nie znaczyło, bo Peggy w sprawach pozasłużbowych była jak krzywa wieża w Pizie i mogły minąć wieki, zanim padnie. Wiedział o tym, ale chciał spróbować. Nie była może akurat tą wyśnioną, wymarzoną, ale lubił z nią przebywać. Miała twarz anioła, a co najważniejsze, Keith przekonał się, że warto było poczekać, aż się zdecyduje.

Uśmiechnął się na widok młodej kobiety, która biegła ku rzece wyprowadzając na spacer russell-terriera. Nigdy by nie przypuszczał, że w Rosji hodują tak rzadką, angielską do szpiku kości, rasę. Z drugiej strony, czarny rynek obracał wszystkim co dawało się przemycić do Rosji, więc pewnie i takie psy można było na nim teraz kupić.

Kobieta ubrana, była w dres do joggingu, miała na głowie baseballową czapkę, a przy pasie małą plastikową manierkę. Kiedy zbliżyła się, zobaczył, że nie była spocona. To go zdziwiło. Najbliższe domy mieszkalne były dobre osiemset metrów stąd, więc gdyby biegła cały czas, powinna być już spocona. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem.

Nagle pies szarpnął się, wrywając jej smycz z ręki i rzucił się ku niemu, zatapiając zęby w jego lewej łydce, zanim kobieta zdążyła go odciągnąć

- Bardzo pana przepraszam! - powiedziała, przyciskając łokciem do boku wrywającego się psa.

- Nie szkodzi - wydusił, krzywiąc się z bólu. Przyklęknął na prawe kolano i obejrzał

lekko krwawiącą ranę. Odłożył na bok komputer, wyjął chusteczkę i obtarł krew.

Kobieta przyklęknęła obok z wyrazem zakłopotania i troski na twarzy. Trzymając prawą ręką psa za obrożę, lewą podała mu manierkę.

- Proszę przemyć, to pomoże - powiedziała.

- Nie, dziękuję - odparł Fields-Hutton. Coś tu nie grało. Ona się tym za bardzo interesowała, za bardzo chciała pomóc. To nie leżało w charakterze Rosjan. Trzeba się stąd wynosić.

Zanim zdążył ją powstrzymać, odkręciła manierkę i polała wodą jego ranę. Strumyki wody z krwią polały mu się do buta, gdy próbował ją poniewczasie powstrzymać.

- Co pani robi? - zapytał. - Oszalała pani, czy co?

Wstał. Ona też wstała, odwróciła się do niego plecami i bez słowa odeszła. Jej twarz była teraz całkowicie pozbawiona wyrazu. Nawet pies uspokoił się i przestał ujadać. Keitha ogarnęły straszne podejrzenia, wkrótce potwierdzone tym, że zaczął tracić czucie w nodze.

- Kim pani jest? - zapytał, czując, jak drętwienie przenosi się z łydki coraz wyżej. - Co mi pani zrobiła?

38

Nie odezwała się ani słowem. Zresztą nie musiała. Agent domyślił się i bez tego, że został otruty jakimś szybko działającym środkiem chemicznym. Świat zaczął wirować przed jego oczyma, pomyślał o Leonidzie i pochylił się, by podnieść komputer. Chwycił za uchwyt teczki, ale nie mógł się wyprostować i upadł. Poczołgał się ku rzece, ciągnąc za sobą komputer. Wkrótce nogi odmówiły mu całkowicie posłuszeństwa, podciągał się tylko na rękach. Bardzo chciał zdążyć wyrzucić komputer do Newy. Ale wkrótce i ręce mu zdrętwiały.

Opadł na łokcie, potem bezwładnie poleciał na chodnik.

Jego ostatnim widokiem była złocąca się w promieniach zachodzącego słońca Newa, odległa o zaledwie kilka metrów. Usłyszał jeszcze, jak kobieta powiedziała mu po angielsku

„Żegnaj”. Wyobraził sobie Peggy płaczącą w ramionach komandora Hubbarda po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci w Sankt Petersburgu. Jego głowa powoli przekręciła się, gdy stracił kontrolę nad mięśniami karku i za chwilę środek paraliżujący VX zatrzymał akcję serca.

39

◆ **Niedziela, 21.00 - koło Bielgorodu nad granicą Ukrainy** Śmigłowiec *Ka-32* wylądował na oświetlonym reflektorami lądowisku. Podmuchał łopaty jego podwójnego, koncentrycznego wirnika poderwał z ziemi chmurę pyłu, która przez chwilę kotłowała się wokół. Żołnierze podbiegli i zaczęli wylądowywać skrzynie ze sprzętem łączności z luku bagażowego, a z kabiny wysiadł minister spraw wewnętrznych, Mikołaj Edmundowicz Dogin. Przytrzymując papachę jedną ręką, a poły płaszcza drugą, pochylił się i szybkim krokiem odszedł od maszyny.

Dogin zawsze lubił takie bazy polowe - puste pola, które w ciągu jednej nocy zamieniały się w pulsujące życiem miasteczka namiotowe, ze ścieżkami zrytymi setkami żołnierskich buciorów, zapachem benzyny i smarów walczącym o lepsze z żywiczną wonią lasów.

Ten obóz przypominał mu bazy oglądane w górach Afganistanu pod koniec wojny. Po prawej, jakieś sto metrów od lądowiska, zaczynały się rzędy dużych namiotów, mieszczących po dwunastu ludzi. W każdym rzędzie było po dwadzieścia namiotów. Ostatnie z nich ginęły w mroku poza zasięgiem światła reflektorów lądowiska, sięgając niemal do podnóża pobliskich wzgórz. Za nimi, w północnym i południowym narożniku obozu wykopano stanowiska strzeleckie, do obrony w razie ataku. Z lewej, po przeciwnej stronie od wzgórz stały rzędy czołgów, bojowych wozów piechoty, śmigłowców, stały namioty kuchenne i jadalnia, natryski, punkt opatrunkowy, magazyny, kopano rowy na odpadki. Nawet teraz, wieczorem, cały obóz tętnił życiem, elektryzował i ożywiał swoją atmosferą.

Po drugiej stronie lądowiska stał błyszczący świeżą farbą *Bell Jet Ranger* Dymitra Sawczuka. Po obu stronach pilnowało go dwóch cywilów z *Kałasznikowami*. Pilot siedział w fotelu, przypięty pasami, gotów startować w każdej chwili.

Minister poczuł chłód patrząc na tę maszynę. To, co do tej pory było tylko słowami, miało wkrótce przejść w czyny. On już wyczerpał swoje możliwości. Zdołał zebrać tu tych ludzi i sprzęt, ale do tego by ich użyć dla odwrócenia katastrofalnych wyników wyborów, potrzebował pieniędzy. Żeby je dostać, musiał zaprzedać duszę diabłu. Mógł mieć tylko nadzieję, że Rybakow się nie mylił i jego dalsze plany dadzą się zrealizować, gdy przyjdzie na to czas.

Za rzędem namiotów magazynowych znajdowały się jeszcze trzy namioty, mieszczące stację meteorologiczną, wokół której na trójnogach rozmieszczone były instrumenty badające pogodę i przekazujące wskazania do komputerów prognozujących, centrum łączności z talerzami anten satelitarnych celującymi w różnych kierunkach oraz stanowisko dowodzenia.

Generał Michaił Anatoliewicz Rybakow stał obok tego ostatniego, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami założonymi za plecy i głową uniesioną na sztywno wyprostowanej szyi. Z prawej, za nim, stał ordynans, trzymający się równie wyniośle.

Rybakow zdawał się nie zauważać wiatru wściekle szarpiącego jego nogawkami, połami munduru i klapami namiotu. Od czarnych jak węgle oczu przez czerwonawą bliznę biegnącą ukośnie przez policzek aż po głęboko wcięty podbródek, generał był ucieleśnieniem kozackiej, mołojceckiej siły.

- Witajcie, Mikołaju Edmundowiczu - powitał ministra. - Dobrze znowu was widzieć. -

Głos Rybakowa nie był głośny, ale mimo to minister słyszał go doskonale, mimo wycia zwalniającego obroty silnika.

Dogin uścisnął rękę generała.

- Ja też się cieszę, że was spotykam.

- Skoro tak, to czemu wyglądacie na przygnębionego, Mikołaju Edmundowiczu?

- Nie jestem przygnębiony, po prostu zastanawiam się nad perspektywami naszego planu.

- No tak, wielkie umysły zawsze pracują. Zupełnie jak Trocki w Meksyku.

- To chyba nie najszcześniejsza metafora, panie generale. Nigdy nie stanąłbym przeciw Stalinowi i mam nadzieję, że mnie nikt nie zatłucze czekaniem. - Przez chwilę obaj rozmówcy mierzyli się wzrokiem. Generał był człowiekiem nieprawdopodobnie zrównoważonym.

Dzięki temu za młodu trafił do DOSAAF, organizacji paramilitarnej, zajmującej się szkoleniem młodzieży w sportach obronnych. To tam zaczęła się jego kariera wojskowa, łączona udanie ze sportową - Rybakow był dwukrotnym mistrzem świata i członkiem reprezentacji olimpijskiej w strzelaniu z pistoletu. Osiągnięcia, sława i niepohamowana ambicja szybko pchały go w górę drabiny, nie dość jednak szybko, by zaspokoić jego wybujałe ego. Dogin wiedział, że dopóki mu umożliwiał przeskakiwanie kolejnych przełożonych, dopóty może na nim polegać. Kłopot zacznie się na końcu drabiny. Z takimi ludźmi zawsze na końcu są problemy.

- Proszę się nie niepokoić, Mikołaju Edmundowiczu, tu nie ma zamachowców, tu są sami przyjaciele. Przyjaciele, którzy zaczynają mieć już dosyć ćwiczeń i chcieliby wreszcie coś zrobić na poważnie, ale - uśmiechnął się - jak zawsze są gotowi służyć swojemu ministrowi.

- I jego generałowi - dodał Dogin.

- To się rozumie samo przez się - odparł generał, zapraszając gestem do namiotu.

Wchodząc do namiotu Dogin ujrzał trzeciego członka tego niezwykłego triumwiratu, Dymitra Sawczuka, siedzącego w jednym z trzech składanych krzeseł wokół metalowego stolika.

- Witaj, przyjacielu - odezwał się Sawczuk wstając.

- Witajcie, Dymistrze Iwanowiczu. - Dogin nie potrafił się zmusić do nazwania tego człowieka przyjacielem. Uważnie spojrzał w jego piwne oczy. Były zimne i nieprzeniknione, a krótko obcięte, jasne, niemal białe włosy i brwi, jeszcze to wrażenie pogłębiały. Twarz 41

Sawczuka była pozbawiona wyrazu, a skóra wyciągniętej na powitanie dłoni nienaturalnie gładka. Dogin przypomniał sobie notatkę w jego aktach o tym, że wyszedłszy po dziewięciu latach z łagru na Syberii poddał się operacji głębokiego chemicznego peelingu, usuwając popękana i zniszczoną odmrożeniami skórę.

Sawczuk wrócił na swoje krzesło, nie spuszczać oczu z nowo przybyłego.

- Coś niezbyt szczęśliwy pan minister dzisiaj - zauważył.

- Widzicie, Mikołaju Edmundowiczu? - zapytał generał. - Każdemu się to rzuca w oczy.

- Przysunął sobie krzesło, usiadł i wycelował w ministra palec. - Gdyby pan bywał czasem nieco mniej poważny, być może nie musielibyśmy tu siedzieć. Nowa Rosja lubi przywódców, którzy potrafią się śmiać razem z nią i razem z nią dawać w gaz, a nie takich, po których widać, że niosą na barkach brzemień całego świata.

Dogin rozpiął płaszcz i zajął ostatnie krzesło. Na stole stała taca, a na niej filiżanki, imbryk i butelka wódki. Nalał sobie herbaty.

- Nowa Rosja poszła za flecistą, który przez ten śmiech i pijaństwo zaprowadzi ją do katastrofy.

- To brzmi całkiem słusznie - przyznał Rybakow. - Rosjanie nigdy nie wiedzieli, co dla nich dobre, ale na szczęście my wiemy i wybieramy za nich. Jakież to szlachetne z naszej strony.

- Panowie, ja nie jestem szlachetny, a i zbawienie Rosji nic mnie nie obchodzi - odezwał

się Sawczuk, składając dłonie na stole. - To Rosja zesłała mnie do piekła na ziemi i trzymała tam dziewięć lat, zanim Gorbaczow nie ogłosił amnestii. Jedyne co mnie interesuje, to dotrzymanie warunków, które uzgodniliśmy uprzednio. Czy nasza umowa pozostaje w mocy?

- Tak - odparł generał.

- Czy pan generał mówi także w pańskim imieniu, panie ministrze? - gangster przeniósł spojrzenie na Dogina.

Minister spraw wewnętrznych wrzucił kostkę cukru do swojej herbaty i zaczął ją powoli mieszać. W ciągu dziewięciu lat od zwolnienia z łagru Sawczuk ze skazanego za morderstwo stał się niekwestionowanym władcą imperium zbrodni, na którego usługi pracowało 100.000

ludzi w Rosji, Europie, w USA, Japonii i w wielu innych krajach. Wielu z tych ludzi było członkami najwyższej kasty, którzy swej lojalności dowiedli mordując na polecenie mafii przyjaciela lub krewnego.

Czyż sojusz z kimś takim nie jest szaleństwem? Kupował jego lojalność za dwadzieścia procent

globalnego dochodu byłych republik radzieckich, które uda mu się znów połączyć.

Dwadzieścia procent największych na świecie rezerw ropy naftowej, zasobów drzewa dwukrotnie większych niż puszcza amazońska, jednej czwartej światowych złóż diamentów, złota, największych na świecie złóż uranu, ołowiu, rudy żelaza, węgla, miedzi, niklu, srebra i platyny. Ten człowiek nie był patriotą. Chciał eksploatować zasoby naturalne odrodzonego Związku Radzieckiego i używać go jako pralni brudnych pieniędzy z handlu narkotykami.

Doginowi robiło się niedobrze, gdy o tym myślał, ale Rybakow uspokajał go, że dopóki on i 42

jego koledzy mają kontrolę nad największą armią świata, a minister trzyma w tajemnicy petersburski Ośrodek operacyjny, nie muszą się obawiać niczego ze strony Sawczuka. A za parę lat, gdy się umocnią, zawsze mogą go wyślizgać z tego interesu i zmusić do ucieczki do jednej z jego zagranicznych kryjówek, do Nowego Jorku, Londynu, Mexico City, Hongkongu czy Buenos Aires. Albo zlikwidować, gdyby odmówił.

Dogin nie był tego tak pewien, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia. Będzie potrzebował mnóstwa pieniędzy na przekupienie polityków i wojskowych, przy których pomocy mógłby wszcząć wojnę bez zgody Kremla. W odróżnieniu od Afganistanu, tę wojnę Rosja mogła wygrać. Pieniądze były jednak kluczem do sukcesu. Marks by się oburzył.

- Nie, ja sam mówię za siebie - odrzekł po chwili milczenia. - Zgadzam się na pańskie warunki. Kiedy obalimy Żanina i zostanę prezydentem, człowiek, którego pan wybierze, Dymitrze Iwanowiczu, zostanie ministrem spraw wewnętrznych.

Twarz Sawczuka rozciął zimny uśmiech.

- A gdybym desygnował sam siebie? - zapytał.

Dogin poczuł napływ przerażenia, ale jego doświadczenie polityczne pozwoliło mu zachować nieporuszony wyraz twarzy.

- Słowo się rzekło, Dymitrze Iwanowiczu, wybór należy do pana.

- A co z Ukrainą? Co z Wiesnikiem? - włączył się do rozmowy generał Rybakow.

Dogin przeniósł wzrok z twarzy Sawczuka na generała.

- Prezydent Ukrainy jest po naszej stronie.

- Po co mu to? - zapytał Sawczuk. - Przecież Ukraińcy dopiero co wywalczyli niezawisłość, o którą bili się tak długo.

- Wiesnik ma wiele problemów społecznych i gospodarczych, z którymi ani on, ani jego wojskowi nie mogą sobie poradzić. Sprawy zaczynają mu się wymykać z ręki, więc chce swoich wziąć krótko

za pysek, zanim wszystko się rozleci. My mu w tym pomożemy. Poza tym on też tęsknił za dawnymi, dobrymi czasami, jak ja i Rybakow. Nasi ludzie w Polsce szykują akcję na wtorek, o wpół do pierwszej w nocy.

- Co to będzie za akcja?

- Mój asystent do spraw operacji specjalnych wysłał już zespół z Sankt Petersburga do Przemysła. Jego członkowie podłożą bombę pod katedrę, o którą od wielu lat rzymscy katolicy toczą boje z grekokatolikami, kościołem ukraińskim. Potem roześle się listy do redakcji gazet, w których odpowiedzialność weźmie na siebie odrodzona Ukraińska Powstańcza Armia. To powinno wywołać rozruchy, bo tam wciąż toczy się, czasami tylko przygasający, konflikt między Polakami a Ukraińcami. Nasi ludzie postarają się, żeby doszło do pogromu Ukraińców, wtedy przyjedzie wojsko. Niewykluczone, że i ono przyłączy się do pogromów, a nawet jeśli nie, to i tak zamieszki rozciągną się do granicy. A w nocy, w 43

zamieszaniu, dojdzie do tragicznego wypadku. Wojska ukraińskie, broniące swoich obywateli, postrzelają się z polskimi.

- A kiedy do tego dojdzie - powiedział Rybakow - Wiesnik poprosi nas o pomoc wojskową. Żanin już będzie wtedy wiedział, że nie ma nic do gadania i kto tu naprawdę rządzi. Będzie się miotał, sprawdzał, którzy generałowie są po jego stronie, zupełnie jak Jelcyn, gdy jego podwładni rozpoczęli wojnę w Czeczenii, zapominając go o tym powiadomić. Szybko się dowie, że może liczyć na bardzo niewielu sojuszników. Nasi ludzie w Polsce postarają się, by pogromy rozpoczęły się też na pograniczu białoruskim, tak by i Białorusini mogli się do nas przyłączyć, gdy front stanie sto kilometrów od Warszawy.

Zagrożeni bankierzy i doradcy Żanina rozbiegną się w popłochu, a rosyjski naród powstanie i odrodzi się. Żanin będzie skończony.

- Kluczem do sukcesu jest powstrzymanie Europy i Stanów Zjednoczonych od wtrącania się i interwencji wojskowej - tłumaczył Dogin, wpatrując się w twarz Sawczuka. -

Będziemy na nich wpływać kanałami dyplomatycznymi, tłumacząc im, że to żaden imperializm, a jedynie słuszna obrona Federacji i kontratak. A gdyby to nie odniosło skutku, to generał Rybakow ma plany zastraszenia kluczowych osobistości, które na pewno już z panem omawiał...

- Tak, omawialiśmy to - potwierdził Rybakow. - Omówiliśmy to, ale Dymitr ma lepszy pomysł. Może być o tym opowiedział, Dymitrze Iwanowiczu?

Dogin spojrzał wyczekująco na Sawczuka. Gangster poprawił się w krześle, a minister wyczuł, że zrobił to tylko po to, by przedłużające się milczenie wzmogło zaciekawienie rozmówców. Odchylił się na oparciu. Założył nogę na nogę i zdrapał błoto z krawędzi podeszwy.

- Moi ludzie w Ameryce donieśli mi, że to może się okazać bardzo trudne, bo FBI znacznie

udoskonalilo techniki ochrony czołowych osobistości. Zresztą w ogóle wyspecjalizowali się w „punktowaniu”, jak w boksie. Kiedy ograniczamy się do handlu narkotykami czy kontroli hazardu, ich ludzie starają się jedynie nie dopuścić do zbytniego rozwoju naszych interesów. Ale jeżeli zabijamy kogoś, biją w nas, i to mocno. Dzięki temu ulice nie stają się polem bitwy. Gangsterom nie chodzi o politykę, tylko o pieniądze, i dlatego nie przyjmą zamówienia na zabicie polityka, bo to ich będzie zbyt wiele kosztować.

- No więc co proponują?

- Pokazowy atak na cel cywilny.

- Zwrócimy tym uwagę całej Ameryki - odpowiedział za Sawczuka generał - A wtedy będziemy mogli zaproponować Białemu Domowi jasny układ: oni nam zostawiają wolną rękę we wschodniej Europie, a my zadamy o to, żeby nie było dalszych aktów terroru. Więcej nawet, wydamy im terrorystę, żeby prezydent Lawrence mógł się wykazać szybkim i zdecydowanym działaniem.

- Oczywiście, potem trzeba będzie moim kolegom z Ameryki wynagrodzić stratę tego człowieka, ale to już pójdzie z waszej kasy, panowie - dokończył Sawczuk.

44

- Oczywiście - zgodził się Rybakow. Sięgnął po butelkę wódki i zwrócił się do Dogina. -

Jak mówiłem, trzeba trzymać Amerykanów z dala od tego wszystkiego tak długo, aż dzienniki będą mogły pokazać zdjęcia zabitych i rannych. Naród amerykański nie pozwoli prezydentowi Lawrence'owi wysłać żołnierzy tam, gdzie śmierdzi prochem. Zwłaszcza nie w roku wyborczym, parę miesięcy przed wyborami. Lawrence na to nie pójdzie.

Dogin spojrzął na Sawczuka.

- O jakim cywilnym celu mówimy?

- Wszystko jedno - obojętnie odpowiedział gangster. - Moi ludzie tam mieszkają. Część z nich to najemnicy, część to patrioci. Tak czy inaczej, będą wiedzieli gdzie uderzyć, żeby Amerykę zabolalo. W tym względzie zdaję się całkowicie na nich. A co wybiorą - no cóż, zobaczymy w dzienniku telewizyjnym jutro, o tej porze.

- Tak, jutro! - Nalał wódki do filiżanek swojej i Sawczuka. - Nasz przyjaciel Mikołaj jest abstynentem, więc pozwólmy mu spełnić toast herbatą. - Podniósł filiżankę. - Za nasze przymierze!

Dogin poczuł, że ściska go w dołku, gdy brzęknęli brzegami filiżanek. Zamach stanu, druga rewolucja. Odrodzi się Imperium, zginą ludzie. Godził się z tym, to było nieodzowne, ale nie mógł znieść obojętności, z jaką mówił o tym Sawczuk. Ten bandyta mówił o porwaniach i zamachach bombowych z równą dezynwolturą jak o podlewaniu kwiatków!

Dogin popijał herbatę i raz jeszcze przekonywał sam siebie, że ten mariaż jest niezbędny i pożyteczny. Każdy wielki przywódca musiał czasem iść na kompromis, by jego dzieło mogło posuwać się naprzód. Piotr Wielki musiał wywrócić do góry nogami rosyjską sztukę i kulturę, by przywiezione z Zachodu idee pomogły mu zbudować podstawy silnego państwa.

Bez niemieckiej pomocy Lenin pewnie nie zdołałby obalić republiki Kiereńskiego i wycofać Rosji z pierwszej wojny światowej. Stalin umocnił swe panowanie mordując miliony ludzi.

Jelcyn musiał dla zapobieżenia kompletnemu upadkowi gospodarczemu wejść w układy z rekinami czarnego rynku.

A teraz on wchodził w układy z bandytą. Dobrze chociaż, że Sawczuk to Rosjanin, a nie jakiś kaukaski brudas. Lepsze to niż ruszać do Ameryki z kapeluszem w rękę po jałmużnę, jak Gorbaczow czy teraz Żanin.

Dogin unikał oczu Sawczuka, gdy opróżniali filiżanki. Starał się myśleć nie o środkach, ale o celach. Wyobrażał sobie nową mapę na ścianie swojego gabinetu - mapę nowego Związku Radzieckiego.

◆ Niedziela, 20.00 - Nowy Jork

Po przyjsciu zamówienia z Sankt Petersburga, Aliosza Jefrimow włożył pięć kilogramów plastiku C-4 do firmowej torby, na wierzch położył precle i zaniósł trzy przecznice dalej, do rosyjskiej księgarni. Godzinę później następane pięć kilogramów plastiku zaniósł do lombardu Mickey'a.

Tego dnia Jefrimow rozniósł łącznie 75 kilogramów materiału wybuchowego pod piętnaście różnych adresów. Nie wiedział, czy jest śledzony, ale zakładał, że tak, więc za każdym razem brał zapłatę, nawet kilkakrotnie głośno narzekając na zbyt niski napiwek.

Po wyjściu Jefrimowa inni łącznicy znosili ładunki C-4 do rosyjskiego domu starców pod wezwaniem świętego Mikołaja. Tam ładowano go do worka na zwłoki, który po wypełnieniu zawieszony został do zakładu pogrzebowego Czerkasowa w dzielnicy St. Marks, gdzie worek wraz z jego zawartością zapakowano do trumny. Materiał i zapalniki dostarczyła rodzina Czajkowów; specjalnością rodziny Bielników było planowanie i przeprowadzanie operacji.

Biegnący pod East River tunel Queens-Midtown, rozpoczynający się przy 36. Ulicy między Drugą a Trzecią Aleją, łączy Manhattan z autostradą na Long Island i kończy się w Queens. Pięćdziesięcioletni, trzykilometrowy tunel jest jedną z głównych arterii wylotowych miasta i o każdej porze jest pełen samochodów.

W ciepły niedzielny wieczór w tunelu nie było tłumu dojeżdżających do pracy urzędników. Jaskrawopomarańczowe lampy oświetlały drogę dla rodzin wracających do miasta i podróżnych zdążających na lotniska JFK czy La Guardia.

Wysoki, brodaty blondyn, Eivalds Ekdols, opuścił szybę karawanu. Odetchnął

przesyconym spalinami powietrzem, które przypominało mu rodzinną Rygę, a potem Moskwę. Nie myślał o ludziach jadących wokół, kim byli, co robili. To nie miało znaczenia.

Ich śmierć była ceną walki o nowy, lepszy świat.

Zbliżając się do wyjazdu wcisnął zapalniczkę. Lewa opona pękła, więc skierował

kulejący karawan pod ścianę, ignorując przekleństwa kierowców, którzy musieli go wymijać.

Ci Amerykanie! Ciągłe klęli na wszystko, jakby nic złego nie miało prawa się zdarzyć albo wszystko co złe, było złośliwością wymierzoną w nich osobiście.

Ekdols włączył światła awaryjne, wysiadł z kabiny karawanu i ruszył do wyjścia z tunelu. Kiedy wyszedł, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i udawał, że rozmawia przez niego. Kontynuował rozmowę, kierując się ku budkom, w których pobierano opłatę za wjazd.

Kiedy przechodził koło gliny z drogówki, siedzącego w radiowozie obok budek, ten zapytał go, czy potrzebuje pomocy.

46

- Nie, dziękuję - odparł Ekdols z silnym akcentem. - Już zadzwoniłem po wóz AAA.

- To tylko opona? - zapytał policjant.

- Nie, oś.

- Trzeba będzie wyjąć pasażera - powiedział policjant. - Założę się, że chłopaki z pomocy drogowej będą się bali wrzucić trumnę na pakę.

- Zaraz zadzwonię do firmy, tylko muszę najpierw zawiadomić żałobników.

- Koniecznie - zgodził się policjant, uśmiechając się. - To by był numer, pogrzeb w toku, a tu nieboszczyka ani widu, ani słuchu.

- Właśnie, panie władzo.

Funkcjonariusz wysiadł z wozu i ruszył do tunelu, trzymając w dłoni obrotową lampę sygnalizacyjną.

Ciągle udając, że rozmawia przez telefon, Ekdols przeszedł między budkami. Chwilę później wsiadł do limuzyny, która właśnie podjechała i zatrzymała się obok niego. Wsiadając przycisnął jeden z guzików na klawiaturze telefonu i zamknął drzwi za sobą.

Limuzyna ruszyła, a z wylotu tunelu wyłoniła się wielka, żółtopomarańczowa kula ognia. Dym, odłamki metalu i kamienie rozleciały się na wszystkie strony. Podmuch eksplozji porzucił samochody wyjeżdżające z tunelu. Jeden z nich płonął, przekoziołkował nad budkami kasowymi i spadł na furgonetkę z gazowni, której kierowca właśnie płacił za wjazd.

Płonąca benzyna z obu pojazdów rozlała się wokół i zamieniła wjazd do tunelu w morze ognia, które rozszerzyło się jeszcze, gdy eksplodowały butle z gazem. Wjazd do tunelu zawalił się, zgniatając kilkanaście samochodów, które po chwili zaczęły eksplodować, gdy docierała do nich płonąca benzyna. Kolejne wybuchy dochodziły z wnętrza tunelu. W ciągu kilku chwil słupy dymu przesłoniły okoliczne wieżowce i zapanowała straszliwa cisza, w której słychać było przerażający zgrzyt zgniatanych konstrukcji stalowych i trzask pękającego betonu. Moment później odcinek autostrady i budynki wokół zatrzęsły się, gdy runęło sklepienie tunelu. Ryk wdzierającej się w wyłomy wody był ogłuszający. Ściany tunelu, naruszone przez wybuch, zostały zmiażdżone przez ciśnienie i bloki betonu porwane przez wdzierającą się wodę rozbiły kolejne wraki samochodów w tunelu. Woda wypychała samochody stojące jej na drodze. Syk gaszonego ognia zagłuszony został przez ryk fali wylewającej się z tunelu, porywającej z autostrady samochody i przewracającej latarnie. W

powietrze wzbily się słupy pary, mieszając się z tłustym, czarnym dymem.

Gdy woda opadła i przestała rozrzucać gruz, z oddali rozległy się syreny. W ciągu kilku minut nad autostradą zaczęły krążyć nisko śmigłowce policyjne, filmując pojazdy oddalające się z miejsca zdarzenia.

Ekdols nie martwił się tym. Za pół godziny będzie już bezpieczny w melinie, samochód zostanie rozmontowany w garażu, a fałszywa broda, wąsy, okulary słoneczne i czapka baseballowa - spalone.

47

Jego walka dobiegła końca. Arnold Bielnik i jego najemnicy z piekarni otrzymują godne honorarium za swój udział w operacji, a potem reszta opryczników będzie kontynuować walkę, którą on zaczął.

Powodzenie akcji oznaczało koniec jego wygodnego życia w Ameryce, ale osładzała mu to myśl, że poświęcił je dla Sprawy, dla nowego Związku Radzieckiego.

48

◆ Niedziela, 21.05 - Waszyngton

Mike Rodgers uwielbiał film „Chartum”. Miał go pod ręką w swoim archiwum, nagrany na dysku laserowym, podobnie jak inne ulubione filmy, „Cyda”, „Lawrence'a z Arabii” i wszystko, co kiedykolwiek nakręcono z Johnem Waynem. Dzięki temu nie musiał wychodzić w środku nocy, żeby je zobaczyć, nie musiał się z nikim spotykać - po prostu wyjmował płytę z pudełka, włączał odtwarzacz, siadał w fotelu i mógł się nimi cieszyć.

Cały dzień czekał na chwilę, w której będzie mógł obejrzeć „Chartum”, więc choćby z tego powodu powinien wiedzieć, że na pewno coś mu przeszkodzi.

Niedzielę zaczął, jak zwykle, od siedmiokilometrowego biegu. Potem zrobił sobie kawę, czarną, mocną, bez cukru i usiadł do komputera, przeglądając plan zajęć Hooda, a więc teraz własny, na następny tydzień. W najbliższych dniach czekały go spotkania z szefami innych instytucji wywiadowczych na temat usprawnienia obiegu informacji i obiad z komendantem francuskiej *Gendarmerie Nationale*, Benjaminem. Na samą myśl o tym zaschło mu w gardle.

Ale prócz tej czezej gadaniny w planie były też poważne zadania. Na przykład narada z Bobem Herbertem i Mattem Stollem, ich komputerowym geniuszem, nad oprogramowaniem dla nowego satelity szpiegowskiego, zdolnego zakłócać działanie nawet tak małych obiektów jak przenośne komputery. Poza tym w planie było opracowanie raportu z materiałów dostarczonych przez agentów z Bliskiego Wschodu, Ameryki Południowej i innych miejsc na kuli ziemskiej, od amerykańskich agentów w rosyjskiej armii. Interesowały go zwłaszcza dane na temat dystrybucji [MPS*](#). Ciekawiło go też jak nowy prezydent, Żanin, zamierza skompensować niezbędne cięcia w służbach tyłowych.

No i był w tym nadchodzącym tygodniu prawdziwy rodzynek: pierwsza narada z technikami Centrum poświęcona wypracowywaniu koncepcji utworzenia regionalnych centrów operacyjnych. Po kryzysie koreańskim dała się odczuć potrzeba utworzenia ruchomych filii Centrum, zdolnych dotrzeć do każdego zakątka kuli ziemskiej. To było absolutnie wykonalne, a jedno czy dwa ruchome centra mogły znacznie podnieść ich skuteczność działania. Po obiedzie pojechał na strzelnicę w bazie Andrews. Na strzelnicy miewał dni dobre i takie sobie. Czasem cały dzień dziurawił tarczę z pistoletu maszynowego i nie mógł trafić w środek, innym razem mógł używać *Colta Woodsmana* kalibru 0,22 cala jako wykałaczkę. Tej niedzieli miał dobry dzień. Po dwóch godzinach treningu, którego wyniki wprawiały obsługę strzelnicy w zdumienie, pojechał odwiedzić matkę w domu spokojnej starości w Van Gelder. Nic jej się nie poprawiło od czasu wylewu sprzed dwóch lat, ale czytał

jej ulubione wiersze Walta Whitmana, a potem siadał przy niej i trzymał jej rękę. Po wyjściu stamtąd pojechał na kolację ze starym kumplem z Wietnamu. Andrew Porter był teraz właścicielem sieci klubów na Wschodnim Wybrzeżu, w których zatrudniał najlepszych komików w kraju. Znał się na tym i sam miał talent. Rozbawiał Rodgersa jak nikt inny.

Pili kawę i generał szykował się do płacenia, gdy zapiszczał pager. O pilny kontakt prosiła zastępczyni dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Tobey Grummet.

Zadzwonił z telefonu komórkowego.

Tobey poinformowała go o zamachu w Nowy Jorku i posiedzeniu sztabu kryzysowego w Gabinetcie Ovalnym, zwołanym przez Prezydenta. Mike przeprosił Portera i wyszedł

pośpiesznie.

Pędząc autostradą wrócił myślami do generała Charlesa Gordona. Jego beznadziejna obrona Chartumu przed hordami fanatyków Mahdiego przeszła do annałów historii wojskowości jako jedno z najszczytniejszych i jednocześnie najbardziej bezsensownych świadectw ludzkiej odwagi. Gordon zapłacił za nią śmiercią, ginąc w walce wręcz, zabity dzidą, na którą potem nabito jego głowę i obnoszono wokół miasta. Rodgers wiedział, że Gordon chciał właśnie takiej śmierci. Oddał swe życie za możliwość powiedzenia tyranowi, że nie zdobędzie Chartumu bez walki.

Rodgers myślał tak samo. Nikt nie będzie robił czegoś takiego jego krajowi. Nie bez walki.

Po drodze do Białego Domu słuchał dziennika i rozmawiał przez telefon. Cieszył się, że może coś zrobić, to odganiało od niego przerażenie na myśl o ponad dwustu ofiarach śmiertelnych. East River zamknięto dla żeglugi, Trasa Roosevelta na wschodnim Manhattanie została wyłączona z ruchu, dopóki komisja nie zakończy badań i nie dopuści jej na powrót do użytku. Specjalne ekipy poszukują bomb w innych ważnych punktach miasta, na mostach, dworcach kolejowych, w metrze, portach lotniczych, na autostradach. Sprawdzenia nie da się pewnie skończyć do rana, co oznacza, że jutro centrum światowej gospodarki wciąż będzie sparaliżowane.

Oficer łącznikowy FBI przy Centrum, McCaskey zadzwonił do generała informując go, że FBI przejęło śledztwo i że dyrektor Biura, Egenes, będzie obecny na odprawie sztabu kryzysowego. Było wiele telefonów od biorących na siebie odpowiedzialność za zamach, ale były to te .same co zwykle grupki ekstremistów i według McCaskeya nie było wśród nich prawdziwych sprawców.

Potem dzwoniła jego asystentka, Karen Wong, która tego wieczora pełniła dyżur w Centrum.

- Panie generale, czy został pan już wezwany na odprawę do Białego Domu?

- Tak.

- Więc to powinno pana zainteresować. Gdy tylko dowiedzieliśmy się o wybuchu, Lynne Dominick z kryptografii zabrała się na nowo do tego zamówienia na precle. Wygląda na to, że rozkład czasowy i adresy zamówień zaczynają pasować do tej sprawy.

- Jak do tego doszło?

- Znając rezultat mogła prześledzić całość od końca. Wyrysowała mapę zakładając, że ten ostatni

precel to tunel. Reszta adresów znajdowała się na Manhattanie, to zapewne punkty, do których dostarczono komponenty bomby.

50

Czyli mamy do czynienia z Rosjanami, pomyślał, a ta konstatacja przejęła go dreszczem. Jeżeli to ich robota, zamach nie jest aktem terroru, ale aktem wojny.

- Przekaż Lynne moje podziękowania. Spisz jej ustalenia i wyślij bezpiecznym faksem do Ovalnego Gabinetu.

- Już się robi. Jest coś jeszcze, w Sankt Petersburgu. Komandor Hubbard z DI 6 z Londynu przekazał właśnie, że stracili tam człowieka. To miało miejsce dziś po południu. Ten facet nazywał się Keith Fields-Hutton i był doświadczonym oficerem wywiadu. Rosjanie przekazali, że zmarł na atak serca koło Ermitażu, nad brzegiem Newy.

- Akurat, zawał. To na pewno ich robota - skomentował Rodgers. - Czy on może sprawdzał to ich studio telewizyjne?

- Tak, ale rozpracowali go i wykończyli tak szybko, że nie zdążył nadać ani jednego meldunku.

- Dzięki. Czy Paul już wie?

- Tak, zadzwonił zaraz po tym, jak wiadomość o zamachu poszła w dzienniku telewizyjnym. Prosił o rozmowę z panem po powrocie z odprawy.

- Dziękuję, zadzwonię do niego po powrocie - powiedział Rodgers, zwalnając na podjeździe do wartowni przy bramie Białego Domu.

51

◆ Poniedziałek, 6.00 - Sankt Petersburg

Kiedy Siergiej Nikołajewicz Orłow był jeszcze małym chłopcem w Narjan-Marze nad brzegiem Oceanu Lodowatego, a było to w początku lat 50., zdawało mu się, że żaden widok nie zapadnie mu w pamięć bardziej niż pomarańczowy odbłask ognia palącego się w piecu w domu jego rodziców. Ten blask prowadził go, gdy przemarznięty wracał brnąc w głębokim śniegu z workiem, w którym były zamrożone na kość ryby, złowione w pobliskim jeziorze.

Dla Siergieja to nie był tylko punkt orientacyjny w ciemnej, zimnej nocy. Dla niego stanowił oznakę życia i nadziei na mroźnym pustkowiu.

Okrążając w latach 70. Ziemię, gdy pięć razy uczestniczył w lotach *Sojuzów*, z których trzema dowodził, Orłow zobaczył coś, co przebiło tamto wspomnienie. Nic nowego pod słońcem, w końcu tuziny kosmonautów przed nim i wielu po nim także oglądało swoją planetę z orbity. Niezależnie od tego, jakimi słowami to potem opowiadali, czy mówili o niebieskiej bańce mydlanej, marmurowym bibelocie czy choinkowej bombce, wszyscy musieli się zgodzić, że ten widok, z tej perspektywy, dawał im do myślenia i zmieniał ich spojrzenie na życie. Żadna ideologia nie wytrzymała zderzenia z tą kruchą, delikatną bańką. Kosmiczni wędrowcy rozumieli, że jeśli ludzkość miała jakieś przeznaczenie, to nie była nim walka o kontrolę nad planetą, ale piecza nad jej spokojem i pięknem w czasie, gdy oni ruszali ku gwiazdom.

Tak, a potem się wraca na Ziemię i wszystko zaczyna się od nowa, pomyślał generał

Orłow wysiadając z trolejbusu linii 44 na Newskim Prospekcie. Niewzruszone postanowienia gwiazdowego wędrowca słabną i bledną w starciu z rozkazami ziemskich przełożonych. Taka to już słabość Rosjan, że nie odmawiają wykonania rozkazu. Jego dziadek był carskim oficerem, ale bez zmrużenia powieki walczył z Białymi. Jego ojciec, gdy przyszła pora i otworzyły się przed nim bramy łagru, poszedł na Wielką Wojnę Ojczyźnianą, wyzwalać narody Europy, by i one zaznały łaskowości Wodza Postępowej Ludzkości, towarzysza Stalina. To dla nich, a nie dla Breżniewa, Sierioża został zdobywcą kosmosu, a potem uczył

takich jako on młodych entuzjastów szpiegować z orbity i produkować broń chemiczną w warunkach zerowej grawitacji. Ci, którzy nigdy tam nie byli, kazali mu patrzeć na to szmaragdowe cacko nie jako na dom wszystkich ludzi, ale pomarańczę, którą można obrać ze skórki, podzielić i zjeść w imię człowieka, który nazywał się Lenin.

A teraz tacy jak Dogin czczą ich i ich czyny, pomyślał idąc bulwarem. Mimo wczesnej pory, do Ermitażu przybywali już pracownicy, szykując muzeum na codzienny najazd turystów.

Dogin, mimo powierzchownej oglądy, zdradzał objawy maniakałnego uwielbienia dla czarnych kart historii Rosji, zwłaszcza dla czasów Stalina. Był człowiekiem końca dwudziestego wieku, ery komputerów i elektroniki, ale jego światopogląd zdawał się w tym otoczeniu zupełnie nie na miejscu.

na miesiąc jego ocena tych czasów ulegała coraz głębszej idealizacji, coraz bardziej zaskorupiał się w swoim dla nich uwielbieniu.

No, ale poza nim byli jeszcze tacy, jak Rosski. Tacy wydawali się w ogóle nie mieć żadnego światopoglądu. Upajała ich władza, możliwość wpływania na losy innych. Rano zadzwonił do zastępcy dyrektora ds. bezpieczeństwa. Glinko. Orłów niezbyt ufał takim jak on, którzy zawsze wiedzieli jak upaść na cztery łapy, ale tym razem czujność Glinki wydawała się uzasadniona. W ciągu ostatniej doby Rosski wydawał się podejrzanie aktywny i jednocześnie bardzo tajemniczy. Najpierw uparł się na osobiste badanie banalnego sygnału o naruszeniu strefy bezpieczeństwa. Potem łączył się po bezpiecznych łączach z jakimś agentem w terenie, przekazując mu zakodowany meldunek, po czym usunął zapis z dziennika łączności. Później zniknął na jakiś czas, nikomu nie mówiąc, gdzie się wybiera, a w końcu wyszły na jaw jakieś podejrzane kontakty z wydziałem medycyny sądowej.

Kazali mu pracować z Rosskim, dobra, ale to nie znaczy, że ma mu pozwalać na zrobienie się w balona! Czy się to tamtemu podoba czy nie, jest niższy stopniem i albo będzie znał swoje miejsce, albo wyląduje za biurkiem bez dostępu do pracy operacyjnej. Dopóki ma poparcie Dogina, generał nie mógł mu otwarcie grozić, ale Orłowi już nie takie przeszkody udawało się pokonywać. Nieraz przy tym sam obrywał, ale był w stanie zaryzykować raz jeszcze, gdyby zaszła potrzeba.

Postawił kołnierz szarego płaszcza, chroniąc się przed przejmującymi podmuchami lodowatego wiatru i schował do kieszeni okulary w czarnej drucianej oprawce. Cholerne szkła, zawsze zachodziły mgłą, gdy wysiadał z autobusu. Nie miał teraz głowy do tego, żeby się z nimi bawić. Zresztą w ogóle sam fakt, że musiał je nosić, on, który z orbity, z odległości niemal pięciuset kilometrów gołym okiem był w stanie wypatrzeć Mur Chiński, był już dla niego wystarczającą obrazą.

Problemy z Rosskim nie odbijały się na twarzy generała. Jego czoła, widocznego pod brzegiem szarej papacy, nie przecinały zmarszczki. Ciemnobrązowe oczy, wysokie kości policzkowe i ciemna cera były, podobnie jak jego żądna wrażeń natura, spadkiem po azjatyckich przodkach. Jego pradziadek opowiadał mu kiedyś, że jego rodzina pochodzi z prostej linii od Mandżurów, którzy w początkach siódmego wieku skolonizowali część wschodniej Rosji. Orłów nie miał pojęcia, skąd stojący wówczas nad grobem staruszek ma tak precyzyjne informacje, ale chętnie zaliczał się do potomków pionierskiego ludu, który choć trafił do Rosji jako najeźdźcy, szybko zasymilował się tak dokładnie, że dziś śladu po nich nie zostało.

Krępa, ale proporcjonalna budowa ciała Orłowa, mierzącego sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu czyniła z niego idealnego kandydata na kosmonautę, od którego wymagano wytrzymałości, a nie siły. Jego kariera pilota myśliwego była bez zarzutu, ale jego ciało i dusza nosiły liczne ślady tego, że droga wiodąca go do szczytów nie była usłana różami. Kariera kosmonauty skończyła się, gdy podczas piątego lotu zawiódł jeden ze spadochronów, na których lądowała kabina. Śruby pomogły się pozrastać potrzaskanym kościom, ale stale utykał na lewą nogę. Prawe ramię doznało

poważnych obrażeń, gdy wyciągał z płonącego wraku *MiG'a-27* nieprzytomnego kandydata na astronautę. Gdy ramię się zagoiło, nie dał sobie zrobić operacji plastycznej, mówiąc, że lubi, jak jego żona lituje się nad swoją biedną ptaszyną.

53

Uśmiechnął się na wspomnienie Maszy. Nawet mimo porannego telefonu Glinki, który przerwał im śniadanie, wspomnienie jej ciepła wciąż mu towarzyszyło. Do jutrzejszego wieczora to mu będzie musiało wystarczyć. Jak zwykle przed wyjazdem powtórzyli rytuał, który zaczęli dwadzieścia lat wcześniej, przed tym jak pierwszy raz pomknął w kosmos rakieta w chmurze ognia. Objęli się i każde z nich zrobiło krótki rachunek sumienia, upewniając się, że nie pozostało między nimi żadnych nie wypowiedzianych myśli ani pretensji, czegoś, czego mogliby żałować, gdyby się więcej nie zobaczyli. Mimo że już nie latał w kosmos, powtarzali to co rano, bo Masza była przesądna i wierzyła, że jeżeli kiedyś tego nie zrobią, Sierioża nie wróci.

Ech, to były czasy, pomyślał z uśmiechem, wspominając dni i tygodnie spędzone na stacjach kosmicznych *Mir* i *Salut*, lata pracy z Kizimem, Sołowiowem, Titowem, Manarowem i tyloma innymi kosmonautami, którzy też spędzali miesiące i lata na orbicie.

Przypominał sobie sterylne piękno *Sojuzów* i *Progresów*. Cuda modułu astronomicznego *Kwant*, dzięki któremu poznawali kosmos. Z tej perspektywy, nawet napięcie i niepewność związane z narowami potężnych rakiet *Energia* wydawały mu się cudowne. Bardzo za tym wszystkim tęsknił, ale dwadzieścia jeden miesięcy temu, zdając sobie sprawę z tego, że program kosmiczny rozsypuje się w gruzy, czterdziestodziewięcioletni generał zgodził się objąć dowództwo tej ultranowoczesnej placówki szpiegowskiej, pozwalającej śledzić przyjaciół i wrogów w kraju, i poza jego granicami. Minister bezpieczeństwa Rosji Czerkasow kadził mu przy tym, że Orłow zawdzięcza ten awans umysłowi zdolnemu do chłodnej analizy szczegółów, niezbędnemu do kierowania placówką wywiadowczą tak wysokiej rangi, ale generał w głębi duszy czuł się zdegradowany. On, który dotykał nieba miał teraz siedzieć w tej piwnicy, niby w piekle, służąc tym, którzy władzy i podstęp używali do kontrolowania ludzi i narzucania im swoich poglądów, a nie do polepszania ich losu. Ech, rozpuścili go ci naukowcy z Centrum Gagarina, nie ma co!

Masza zgadzała się z Czerkasowem. Mówiła mężowi, że lepiej żeby Ośrodkiem dowodził ktoś z jego temperamentem, niż ten nieokrzesany brutal, pułkownik Rosski. Miała rację. Ani pułkownik, ani jego nowy protektor, minister spraw wewnętrznych Dogin, nie potrafili rozdzielić interesów Rosji od osobistych ambicji.

Orłow szedł sprężystym krokiem po granitowym chodniku nadrzecznego bulwaru, ściskając pod pachą zawiniątko z kanapkami przyszykowanymi przez Maszę. Spojrzał na budynki Akademii Morskiej im. Frunzego położone po drugiej stronie rzeki, w których znajdowały się także kwatery dwunastoosobowego oddziału uderzeniowego Ośrodka, grupy Młot.

Co do Roskiego, Masza też się nie myliła. Gdy tylko powiedział jej, kto będzie jego zastępcą, że będzie to człowiek, który miał coś do czynienia z moskiewskim incydentem, w który zamieszany był

ich syn, Nikita, Masza ostrzegła go, by nie pozwolił pułkownikowi wejść między niego a Dogina. Z góry wiedziała, że prędzej czy później dojdzie między nimi do konfliktu, podczas gdy on łudził się, że wspólna praca nad projektem tej wagi, może zmusić ich do pogodzenia się, a może nawet nabrania szacunku do siebie. Jego żona miała rację, a on, pogromca przestworzy, okazał się naiwny jak dziecko.

Przesunął wzrokiem po fasadach budynków za rzeką, rozświetlonych ostrym światłem wschodzącego słońca, które powodowało, że stateczne budynki Akademii Nauk i Muzeum Antropologicznego pokryte były figlarnymi żółtymi zajęczkami i rzucały brązowe cienie pod jego nogi. Przez dłuższą chwilę napawał się pięknem tego widoku, po czym wszedł do 54

muzeum i skierował się do swego Hadesu. Rozkoszował się widokami wokół, choć nie dorównywały one obrazowi Ziemi z kosmosu. Miał za złe Roskiemu i Doginowi, że nigdy nie zatrzymywali się, by popatrzeć na rzekę, budynki, a zwłaszcza na dzieła sztuki wokół. Dla nich to piękno było tylko parawanem, pozwalającym ukryć ich sprawki.

W przedsionku muzeum skierował się ku Schodom Jordańskim, a nimi do tajnego kompleksu. Jego konstrukcją rządziły czynniki zarówno racjonalne, jak i irracjonalne.

Wybór tego miejsca był bez wątpienia decyzją racjonalną. Ermitaż miał wiele zalet, których pozbawione były inne proponowane miejsca w Moskwie i Wołgogradzie. Zawsze przewalał się tu tłum ludzi, więc pracownicy łatwo mogli wchodzić i wychodzić, udając zwiedzających i pracowników muzeum. Sankt Petersburg był, jak za cara Piotra, oknem Rosji na Europę, agenci mieli stąd najkrótszą drogę do Skandynawii i na Zachód. Bliskość rzeki pomagała tłumić silne promieniowanie mikrofalowe, którego poziomu nie dałoby się usprawiedliwić obecnością studia telewizyjnego. Z kolei studio pozwalało zbudować ośrodek łączności satelitarnej, oficjalnie służącej do transmisji programów. Najważniejsze było jednak to, że żaden wróg nie śmiałby zaatakować Ermitażu, jednego z największych i najznakomitszych zbiorów sztuki na świecie, któremu dorównywało rangą chyba tylko Muzeum Watykańskie.

Projekt architektoniczny samego Ośrodka był wynikiem irracjonalnego uwielbienia Dogina dla historii. Minister zbierał stare mapy i dokumenty, a w jego kolekcji znalazły się także plany wojennej kwatery głównej Stalina, wybudowanej pod Kreml. Kwatera była nie tylko bunkrem, schronem przeciwlotniczym, ale i drogą ewakuacji dla wodza w razie zagrożenia, gdyż łączyła się z tunelami metra. Dogin wielbił Stalina i włożył wiele wysiłku w to, by przekonać ministra bezpieczeństwa i Żanina, wówczas jeszcze ministra spraw zagranicznych, by planowane centrum telekomunikacyjno-szpiegowskie mające pomóc Jelcynowi utrzymać się przez trzecią kadencję, wybudować według tych planów. Co było dobre dla wielkiego Stalina, będzie dobre i dla nas, przekonywał. Rzeczywiście, musiał

przyznać Orłowi, projekt był dobry. Ciasne, ponure, nieco klaustrofobiczne wnętrza przypominające okręt podwodny, pomagały pracownikom skupić się na sprawach, którymi mieli się zajmować.

Orłowi skinął głową wartownikowi, po czym podeszedł do drzwi i wystukał na klawiaturze kod.

Przeszedł przez nie, a wewnątrz pokazał drugiej strażniczce legitymację. To, że znali się osobiście, gdyż była kuzynką Maszy, nie miało znaczenia. Przeszedł przez wartownię i schodami zszedł do studia telewizyjnego. W narożniku korytarza gospodarczego za studiem wystukał aktualny czterocyfrowy kod na kolejnej klawiaturze i drzwi uchyliły się z syknięciem. Orłow wszedł do ciemnego wnętrza i zamknął drzwi za sobą. Zatrzaszkiwany zamek automatycznie zapalił słabą żarówkę pod sufitem, oświetlając wąską klatkę schodową.

Generał zszedł schodami, które zaprowadziły go do kolejnych drzwi. Za nimi zaczynał się już Ośrodek. Zamknął je za sobą, wchodząc do centralnego korytarza i ruszył do gabinetu Roskiego.

◆ Niedziela, 21.40 - Waszyngton

Rodgers szybko przeszedł przez zewnętrzną i wewnętrzną bramę, a przed drzwiami Białego Domu powitała go zastępczyni dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Tobey Grummet. Pani Grummet miała około pięćdziesiątki, metr siedemdziesiąt wzrostu, nosiła długie, proste blond włosy, a na jej twarzy ledwie widoczne były ślady makijażu.

Rodgers bardzo ją cenił - była podobnie jak on weteranem wojny wietnamskiej, z której wyszła jako inwalidka, tracąc lewą rękę w katastrofie śmigłowca.

- Widzę, że już na mnie czekasz - zaczął. - Spóźniłem się?

- Ani trochę, sir - odpowiedziała, żartobliwie salutując. - Poza nami cała reszta to starsi ludzie, którzy mają rodziny na karku. Siedzieli sobie z nimi przed telewizorami, kiedy to się zdarzyło, i mieli nad nami przewagę. Cholera, to się zdarzyło w momencie, gdy wszyscy myśleli, że najgorsze już za nami, że już gorzej być nie może...

- Za dużo czytam o historii, by snuć takie głupie myśli - odpowiedział generał.

Weszli do przedsionka, gdzie Rodgers zdjął kurtkę mundurową i oddał ją uzbrojonemu wartownikowi z piechoty morskiej. Guziki i odznaczenia na pewno włączyłyby bramkę do wykrywania metali, przez którą przechodził. Bramka nie zadziałała, a generał odebrał swoją kurtkę, którą w tym samym czasie także sprawdzono ręcznym wykrywaczem, i założył ją, po czym wymienili z wartownikami honory.

- Co się dotąd działo? - zapytał Rodgers, dopinając guziki po drodze do Owального Gabinetu.

- Na razie działamy według standardowych procedur. Zamknęliśmy porty, lotniska i granice, aresztowano paru ludzi, których mieliśmy na oku. FBI postawiono w stan pogotowia, ich nurkowie grzebią w rumowisku, szukając śladów. Dyrektor Rachlin płacze, że CIA musiała wydawać za dużo pieniędzy na unikanie zadrażeń i nie starczyło ich na porządne wzięcie pod lupę socjopatów, szalonych naukowców i zagranicznych ekstremistów.

- Cały Larry, cały on. Zawsze znajdzie coś na usprawiedliwienie. Czy już wiadomo, czego chcą ci ludzie, Tobey?

- Póki się czegoś więcej nie dowiemy, traktujemy to standardowo, jak każdy atak terrorystyczny. To może być zwykły bandytyzm, może pojawi się jakieś żądanie okupu. To może być też robota jakiegoś psychopaty albo ekstremistów politycznych.

- Jak ta bomba w Oklahoma City?

- Właśnie. Jakaś banda świrów, którą do zbrodni popchnął gniew czy alienacja.

- Wierzysz w to?
 - Nie, Mike. My uważamy, że to robota zagranicznych terrorystów.
 - Terrorystów?
 - Tak. Jeżeli mamy rację, to zrobili to dla nagłośnienia swojej sprawy. Oni zwykle przeprowadzają ataki z myślą o osiągnięciu jakiegoś wyznaczonego celu.
 - Czyli teraz trzeba się zastanowić, o co im może chodzić, tak?
 - Niedługo się dowiemy. Pięć minut temu FBI dostało telefon z Nowego Jorku, że terroryści chcą się skontaktować z prezydentem. Dzwoniący poinformował FBI o sile ładunku, miejscu jego podłożenia i rodzaju materiału. Przedstawione przez niego dane pokryły się dokładnie z wyjściowymi ustaleniami FBI.
 - Czy prezydent będzie z nimi rozmawiał?
 - Nie bezpośrednio, ale będzie obecny przy rozmowie. Myślę, że to zaspokoi ich... -
- przerwała i podniosła piszczący pager. -Wzywają nas, Mike.

Pobiegli korytarzem. Asystent prezydenta stojący w przedsionku ponaglał ich machając ręką. Drzwi otworzyły się z brzękiem elektrycznego zamka. Prezydent Michael Lawrence stał

wyprostowany za biurkiem, z rękami, wystającymi z równo zawiniętych rękawów koszuli, opartymi na biodrach. Naprzeciw niego stał sekretarz stanu, Av Lincoln, była gwiazda baseballu, obecnie starszy pan o okrągłej twarzy z podwójnym podbródkiem.

Poza nimi w pokoju byli jeszcze dyrektor FBI Griffen Egenes, dyrektor CIA Larry Rachlin, przewodniczący kolegium szefów sztabu Melvin Parker i dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Steve Burkow.

Wszyscy patrzyli z ponurymi minami na przełączony na głośnik telefon, z którego dochodził głos z lekkim, ale wyraźnie rosyjskim akcentem.

- ...darować sobie wysiłek namierzania miejsca, z którego dzwonię. Nazywam się Eivalds Ekdols, jestem obecnie na Forest Road 1016 w Valley Stream na Long Island To jest melina Opryczniny, chodźcie tu i weźcie sobie ją, razem ze mną. Stanę przed sądem i będę sypał tych, którzy mnie tu sprowadzili i wydali polecenie. To będzie niezłe widowisko.

Oprycznina, pomyślał Rodgers, siadając koło Burkowa. O Boże!

Dyrektor FBI Egenes podniósł żółtą kartkę z bloku, na której napisał: „Moi ludzie zajmą się nim”. Prezydent kiwnął głową i Egenes wyszedł.

- Jak mnie już zamkniecie, nie będzie kolejnych ataków.

- Zaraz, najpierw wysadzasz tunel, a potem poddajesz się bez walki? Coś tu nie gra. A co chcesz w zamian? - zapytał Burkow.

- Nic. To znaczy, chcemy, żeby Stany Zjednoczone nic nie robiły.

57

- Gdzie, kiedy i dlaczego? - zapytał znów Burkow.

- W Europie Środkowej i Wschodniej - odparł Ekdols. - Wytworzy się tam wkrótce napięta sytuacja, w którą Stany ani ich sojusznicy nie powinni się mieszać.

Generał Parker podniósł słuchawkę z biurka obok jego krzesła. Odwrócił się i osłonił mikrofon ręką, by nikt nie słyszał, co mówi.

- Nie możemy tego obiecać. Stany Zjednoczone mają żywotne interesy w Polsce, na Węgrzech...

- Żywotne interesy to wy macie w Ameryce, panie Burkow - uciął głos. Burkow podniósł brwi ze zdziwienia.

Rodgers słuchał dalej uważnie.

- Czy to oznacza, że gdybyśmy nie posłuchali, dojdzie znów do ataków?

- Z ust mi to pan wyjął - odparł niewzruszony Ekdols. - Jeżeli nie dogadamy się co do tego, piętnaście po dziesiątej wyleci w powietrze most wiszący w jednym z wielkich miast. -

Wszyscy w pokoju spojrzeli na zegarki. - Bez wątplenia zdajecie sobie panowie sprawę z tego, że to już tylko cztery minuty.

- Panie Ekdols, tu prezydent Lawrence. Musimy mieć więcej czasu.

- Ma pan tyle czasu, ile pan zapragnie, panie prezydencie - odparł zamachowiec. - Tyle tylko, że będzie on pana drogo kosztował. Do tego czasu nie zdążycie mnie ująć, nawet jeśli wasi ludzie ruszyli już w momencie, gdy podałem adres. Mnie możecie mieć, ale Opryczniny nie zatrzymacie.

Prezydent machnął ręką i Burkow wyłączył mikrofon.

- No i co teraz? - zapytał Lawrence.

- Nie pertraktujemy z terrorystami i kropka - rzekł Burkow.

- Pewnie, że pertraktujemy, tylko nie na oczach milionów - odparł Lincoln. - Nie mamy innego wyboru, trzeba się z nimi układać.

- Tak, a co będzie, jak zadzwoni jakiś nowy Tojo z następną bombą w walizce? - zapytał

Burkow. - A jak to będzie Saddam albo jakiś miejscowy neohitlerowiec? Co wtedy?

- Nie dopuścimy do powtórki - zapewnił dyrektor CIA Rachlin. - Wyciągniemy nauki z tej tragedii. Przygotujemy się. Ale na razie nie chcemy następnego Nowego Jorku. Najpierw trzeba rozbroić bombę, czas na przygwożdżenie tych skurwysynów przyjdzie później.

- A jeśli to blef? - upierał się Burków. - Może to tylko jakiś czubek, który już zrobił swoje pod East River?

58

- Panie prezydencie - włączył się Rodgers - zgódźmy się. Mamy trochę wiadomości o tych oprycznikach. Oni nie blefują, a wszyscy widzieliśmy, że potrafią uderzyć boleśnie.

Popuśćmy im teraz i dobierzemy im się do skóry, jak tylko się pozbieramy.

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Tak - krótko odpowiedział generał.

- No to przynajmniej mamy jakiś punkt wyjścia - podsumował prezydent.

- W tej sytuacji nawet funt kłaków byłby jakimś punktem wyjścia - burknął Burkow. -

Ale czy to aby na pewno jest ten punkt wyjścia, o który mam chodziło?

Lawrence przeciągnął obiema dłońmi po twarzy. Szef Agencji Bezpieczeństwa Narodowego nie umiał przegrywać z klasą, poza tym spodziewał się wsparcia ze strony Rodgersa. W normalnej sytuacji pewnie by je dostał, ale teraz gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę. Potrzebowali czasu i spokoju, by się tym zająć.

- Przykro mi, Steve - zaczął prezydent. - Zgadzam się z tobą co do zasady. Bóg mi świadkiem, że z całego serca. Ale musimy dać temu palantowi to, czego żąda. Daj go znowu na linię.

Kręcąc głową Burkow dziobnął palcem w klawisze telefonu odblokowując mikrofon.

- Jest pan tam jeszcze? - zapytał prezydent.

- Jestem.
- Jeżeli przyjmujemy pańskie warunki, zaręcza pan, że nie będzie drugiego wybuchu?
- Tylko wtedy, jeżeli się pośpieszycie - odparł Ekdols. - Została nam niecała minuta.
- No więc zgadzamy się - ciężkim głosem powiedział prezydent. - Niech cię cholera, zgadzamy się.
- Bardzo dobrze - odparł Ekdols, potem rozległo się kliknięcie i na chwilę telefon zamilkł.
- Gdzie jest bomba? - zapytał Burkow, gdy znów linia ożyła.
- Była na skrzyni ciężarówki przejeżdżającej przez most - odparł oprycznik. - Właśnie dzwoniłem do kierowcy, że dostawa odwołana. A teraz, jak już mówiłem, możecie tu przyjechać po mnie. Nie puszczę pary z ust o naszym porozumieniu. Ale jeżeli pan nie dotrzyma słowa, panie prezydencie, to nikt nie będzie w stanie powstrzymać naszych ludzi przed atakami w innych miastach. Zdaje pan sobie z tego sprawę?
- Rozumiem - odparł prezydent.

Słuchawka na drugim końcu linii została odłożona.

◆ **Poniedziałek, 6.45 - Sankt Petersburg**

Orłow wcisnął guzik obok głośnika we framudze drzwi, prowadzących do gabinetu Roskiego.

- Tak? - zapytał pułkownik oschle.

- Generał Orłow.

Zabrzmiał brzęczyk i Orłow mógł wejść. Pułkownik siedział za małym biurkiem pod lewą ścianą gabinetu. Na blacie widać było komputer, telefon z faksem, kubek kawy i proporczyk na żeliwnej podstawie, wszystko na swoim miejscu, poukładane jak do przeglądu. Pod prawą ścianą za zawalonym stertami papierów biurkiem siedziała porucznik Walentyna Bielajewa, jego sekretarka i asystentka. Oboje wstali i zasalutowali wchodzącemu generałowi, Bielajewa służbiście, Roski bardziej powściągliwie.

Orłow oddał salut i poprosił Bielajewą, żeby wyszła. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, podszedł do pułkownika.

- Czy w ciągu ostatniej doby zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć? - zapytał.

Roski powoli usiadł.

- Dużo się zdarzyło, panie generale. A czy zasługuje to na pańską uwagę, to już sam będzie mógł pan zdecydować dziś po południu, gdy nasz obiekt przejmie kontrolę nad satelitami rozpoznawczymi, agentami terenowymi, stacjami nasłuchowymi i deszyfrazu, jakimi rozporządza nasz kraj. Będzie pan miał dużo do roboty, panie generale.

- Od tego jestem generałem - odparł Orłow - żeby podwładni za mnie się tym zajmowali. Ja was pytam, czyście czasem nie wzięli na swoje barki więcej niż powinniście.

- A o co konkretnie pan pyta, panie generale?

- Coście załatwiali z zakładem medycyny sądowej?

- Musieliśmy pozbyć się ciała - spokojnie odpowiedział pułkownik. - To był angielski agent. Odważny gość, śledziliśmy go od kilku dni, a kiedy chcieliśmy go zdjąć, popełnił samobójstwo.

- Kiedy to było?

- Wczoraj po południu.

- Dlaczego tego nie zgłosiliście?

- Zgłosiłem, jak najbardziej. Ministrowi Doginowi.

Twarz Orłowa pociemniała z gniewu.

- Wszystkie raporty mają być archiwizowane, a ich kopie trafiać na moje biurko... -

zaczął.

- To prawda - przerwał mu Roski - ale to dotyczy raportów operacyjnych, a my jeszcze nie osiągnęliśmy pełnego rozruchu. Pańskie biuro nie jest jeszcze podłączone do bezpiecznej sieci łączności z ministerstwem, to stanie się dopiero w ciągu najbliższych trzech-czterech godzin. Ponieważ moje połączenie z ministrem było już czynne i sprawdzone, przesłałem mu raport bezpośrednio.

- A co z połączeniem między waszym i moim gabinetem? Też jeszcze nie działa? A może nie jest zabezpieczone?

- To pan nie dostał raportu, panie generale?

- Dobrze wiesz, draniu, że nie.

- Och, to tylko przeoczenie - uśmiechnął się przepaszająco pułkownik. - Już ja za to obtańczę Bielajewą. Zaraz ją poproszę z powrotem i wyślemy ten raport za kilka minut.

Orłow obrzucił pułkownika przeciągłym spojrzeniem.

- Trafiliście do DOSAAF w wieku czternastu lat, prawda, pułkowniku?

- Zgadza się.

- W wieku lat szesnastu zostaliście wykwalifikowanym snajperem, a w ośrodku szkoleniowym skakaliście przez rów z zaostrzonymi palikami w najszerszym miejscu i w pełnym oporządzeniu, podczas gdy inni w stroju gimnastycznym i na skrajach Diabelskiego Rowu. Generał pułkownik Odincew szkolił was osobiście i wziął do swojej grupy dywersji bojowej. Z tego co pamiętam, w Afganistanie zabiliście jakiegoś zwiadowcę mudżahedinów, rzucając w niego saperką z trzydziestu metrów...

- Trzydziestu dwóch - poprawił pułkownik. - W Specnazie to do dziś nie pobity rekord.

Orłow podszedł jeszcze krok i usiadł na brzegu jego biurka,

- Spędziliście trzy lata w Afganistanie, prowadząc patrole, aż do momentu, gdy wasz podwładny został ranny w czasie rajdu za linię frontu, mającego na celu porwanie jednego z przywódców

duszmanów. Wasz dowódca postanowił zabrać ranego zamiast go dobić. Wtedy wy, będąc jego zastępcą, zażądaliście od niego, by postąpił zgodnie z regulaminem. Kiedy ten odmówił, zabiliście go ciosem noża w krtań i sami odebraliście życie rannemu.

- Gdybym tego zaniechał, dowództwo rozstrzelałoby nas po powrocie jako zdrajców.

61

- Oczywiście - zgodził się Orłow. - Ale po powrocie wszczęte było dochodzenie, czy rana była na tyle poważna, że ranny musiał zginąć.

- To była rana nogi, on spowalniał posuwanie się grupy. Regulamin jasno określa zasady postępowania w takich przypadkach, więc dochodzenie było tylko formalnością.

- Niemniej części waszych podwładnych się to nie spodobało - zauważył Orłow. -

Nadmierna ambicja i chorobliwy pęd do awansu to tylko dwa zarzuty z wówczas podniesionych. Doszło do tego, że musiano was odwołać z obawy o wasze bezpieczeństwo.

Zostaliście wtedy wykładowcą Wojskowej Akademii Dyplomatycznej. Tam mieliście do czynienia z moim synem i poznaliście ministra Dogina, gdy ten był jeszcze merem Moskwy, zgadza się?

- Tak jest.

Orłow zbliżył się do pułkownika jeszcze bardziej, a jego głos zniżył się do niemal szeptu.

- Służyliście krajowi i armii przez ponad dwadzieścia lat, służyliście z oddaniem, ryzykując życiem, zdrowiem i reputacją. I teraz odpowiedzcie mi, pułkowniku: jak to się stało, że przez tyle lat nie nauczono was, że w obecności przełożonego nie siada się bez wyraźnego polecenia?

Tym razem twarz pułkownika zapłonęła. Zerwał się na równe nogi i stanął wyprężony.

Orłow nadal siedział na brzegu jego biurka.

- Moja kariera była całkiem inna od waszej, pułkowniku. W czasie wojny mój ojciec na własnej skórze zaznał tego, co Luftwaffe była zdolna robić z Armią Czerwoną, zanim nasze lotnictwo stanęło na nogi po 22 czerwca. Swój szacunek do siły lotnictwa zdołał zaszcześcić mi w dzieciństwie. Osiem lat latałem w WOPK, z tego cztery lata na samolotach rozpoznawczych, potem szkoląc młodych pilotów, jak wciąga się wroga w strefy ognia artylerii i rakiet z ziemi. - Generał powoli wstał i spojrzał w oczy Rosskiemu. - Wiedzieliście o tym, pułkowniku? Czytaliście moje akta?

- Tak jest, panie generale.

- To wiecie pewnie też, że przez całe moje wojskowe życie nigdy nie musiałem się uciekać do kar przewidzianych regulaminem, by utemperować podwładnego. Większość z nich, nawet ci z poboru,

to ludzie uczciwi. Chcą tylko zrobić swoje i czasem dostać coś za to, co robią. Czasem się mylą, są tylko ludźmi, nie ma co im plamić kartoteki z tego powodu.

Każdy żołnierz, patriota, korzysta u mnie z domniemania niewinności. To dotyczy nawet was, pułkowniku. - Orłow znowu zbliżył się do swego rozmówcy, starając już tylko kilka centymetrów przed nim. - Ale jeżeli jeszcze raz wykorzystacie to do tego, żeby robić coś za moimi plecami, to dobiorę wam się do tyłka i odeślę tam, skąd przyszlście, do Akademii, tego Cmentarzyska Słoni, i to z naganą wpisaną do akt na pamiątkę. Czy wyrażam się jasno pułkowniku?

- Tak jest - z trudem wydusił przez zaciśnięte ze wściekłości szczęki pułkownik.

- To dobrze.

62

Wymienili honory, generał odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Panie generale - odezwał się Rosski.

- Tak?

- A to, co wasz syn zrobił w Moskwie, czy to też była tylko pomyłka?

- To była głupota i brak odpowiedzialności. Wraz z ministrem obeszlście się z nim o wiele łagodniej, niż na to zasłużył.

- Zawdzięcza to tylko pańskim osiągnięciom, panie generale. Poza tym znakomite rezultaty szkolenia przemawiały za tym, że stoi przed nim wielka kariera. Czy czytał pan akta jego sprawy?

- Nie. - Oczy generała zwęziły się podejrzliwie. - Nigdy się tym nie interesowałem.

- Mam tu kopię usuniętą z jego akt w sztabie generalnym. Był do niej dołączony pewien wniosek. Wiedzieliście o tym?

Orłow nie odpowiedział.

- Jego dowódca wnosil o wydalenie chłopaka za chuligaństwo. Chodziło zresztą nawet nie o zbezczeszczenie greckiego kościoła na ulicy Archipowej czy o pobicie popa, ale o włamanie do magazynu gospodarczego akademii, kradzież farby i pobicie wartownika, który usiłował mu w tym przeszkodzić. - Rosski uśmiechnął się. - Zdaje się, że to mój wykład o tym, jak grecka armia uzbrajała i szkoliła Afganów, tak go wzburzył.

- O co wam chodzi? Chcecie mi udowodnić, że byliście w stanie nauczyć mego syna bicia bezbronnych ludzi?

- Cywile są miękkim podbrzuszem państwa, które utrzymuje siły zbrojne i nimi kieruje, panie generale. Z naszego punktu widzenia atak na cywilów jest więc tak samo zasadny, jak na członków sił zbrojnych. Ale chyba nie mieliśmy w planie dyskusji na temat strategii, panie generale?

- Jeżeli o mnie chodzi, to nie miałem w planie żadnej dyskusji z wami. Mamy tu robotę do wykonania, trzeba uruchomić Ośrodek. - Ruszył do drzwi, ale głos pułkownika znowu go zatrzymał.

- Oczywiście. Ponieważ żądaliście informacji o wszystkich moich poczynaniach, przygotuję notatkę z tej rozmowy, ze wszystkimi szczegółami. Zarzuty przeciw waszemu synowi są nadal aktualne. Raportowi dowódcy kompanii po prostu nie nadano wtedy biegu, a to nie jest równoznaczne z jego wycofaniem. Jeżeli trafi do zarządu personalnego, trzeba będzie go uwzględnić.

Orłow położył rękę na klamce, odwrócony plecami do pułkownika.

63

- Mój syn będzie musiał ponieść konsekwencje swojego czynu, choć pewien jestem, że sąd wojskowy weźmie pod uwagę późniejszą wzorową służbę i sposób, w jaki istnienie tego raportu ukryto i ujawniono.

- Teczki czasem trafiają na biurka, panie generale.

Orłow otworzył drzwi. Za nimi stała Bielajewa, która wyprężyła się na baczność na jego widok.

- Wasza impertynencja zostanie odnotowana w moim raporcie, pułkowniku. Chcecie coś jeszcze dodać?

- Nie, panie generale. Na razie nie.

Generał Orłow wyszedł na korytarz, a Bielajewa wsunęła się do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Od tej chwili generał mógł tylko wyobrazić sobie, co działo się za wyciszonymi drzwiami. Zresztą, co za różnica. Pokazał mu należne miejsce i pułkownik będzie teraz chodził jak w zegarku, przestrzegając każdej litery przepisów. Tyle tylko, że nie wiadomo, czy te przepisy nie zaczną się zmieniać, gdy tylko pułkownik dodzwoni się do Dogina.

64

◆ Niedziela, 22.15 - Waszyngton

Griff Egenes wrócił do Owального Gabinetu.

- Policja stanowa jest w drodze na Forest Road, jeden z moich zespołów leci tam śmigłowcem z Nowego Jorku - powiedział. - Będą mieli tego szaleńca za pół godziny.

- Nie będzie stawiał oporu - odezwał się Burkow.

- Jak to: nie będzie? - zapytał szef FBI, ciężko siadając.

- Zwyczajnie. Dostał to, co chciał, więc dla pucu trochę pokrzyczy i podda się.

- Cholera - mruknął Egenes. - A miałem nadzieję, że będzie okazja dać bydlakowi wycisk.

- Ja też - dorzucił Burkow, odwracając się do Rodgersa. Nastrój w Gabinetcie Owalnym daleki był od wesołego, ale twarz szefa Agencji Bezpieczeństwa Narodowego miała bez wątpienia najbardziej ponury wyraz. - No, Mike - zaczął. - Co wiemy o tych potworach i jak według ciebie mamy ich rozbić?

- Zanim odpowiesz, może których z was powie mi, czy Ruscy rzeczywiście szykują coś.

co może przerodzić się w inwazję? Zdaje się, że do waszych zadań należy ostrzeżenie mnie przed tego typu niespodziankami? - przerwał im prezydent.

Odpowiedział mu Mel Parker, przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów i szara eminencja administracji Lawrence'a.

- Kiedy Ekdols dyktował swoje warunki kapitulacji zadzwoniłem do sekretarza obrony Colona, a on do Pentagonu. Powiedziano mi, że Rosjanie prowadzą manewry na samej ukraińskiej granicy, w których uczestniczy kilkanaście dywizji. To więcej niż ostatnio udawało im się uruchomić na raz, ale w czasach Związku Radzieckiego organizowali ćwiczenia nawet w sile kilku armii, więc wywiad nie podnosił alarmu.

- Poza tym żadnych ruchów wojsk? - zapytał Rodgers.

- Narodowe Biuro Zwiadu pracuje na pełnych obrotach nad znalezieniem odpowiedzi na to pytanie - odpowiedział Parker.

- Te manewry na granicy to pewnie przykrywka dla koncentracji wojsk - zauważył prezydent.

- To bardzo prawdopodobne - skwitował Parker.

- Tak, najgorszy problem z naszym wywiadem, to ten, że mamy tam za mało źródeł osobowych - wtrącił się szef FBI. - Te wasze cholerne satelity nie nadstawiają ucha, gdy jakiś żołnierz klnie jutrzejszy wymarsz, ani nie podejrzy, co jest wyrysowane na mapie w namiocie.
- To jest prawdziwy wywiad, a nie te wasze zabawki.
- To jest problem - zgodził się Rodgers - ale to ma niewiele wspólnego z sytuacją, w której się znajdujemy.
- Jak to nie? - zdziwił się Rachlin.
- Słuchajcie, przecież ten oprycznik nic na tym wszystkim nie zyskał - powiedział Rodgers.
- O co ci chodzi? - zapytała Tobey, która dotąd milczała, robiąc notatkę dla Burkowa.
- Założmy, że doszło do tej inwazji, powiedzmy, że Rosjanie weszli na Ukrainę.
- Przecież i tak byśmy nie interweniowali.
- Dlaczego nie?
- Bo to by oznaczało wojnę z Rosją. I co wtedy? Przecież my nie mamy sił do efektywnego prowadzenia wojny konwencjonalnej z nimi. Daliśmy tyłka nawet na Haiti i w Somalii. Gdybyśmy na to poszli, straty byłyby wysokie. Telewizja zjadłaby nas żywcem, a Kongres rozpędził na cztery wiatry sprawniej niż Jezus przekupniów ze świątyni. Z kolei na całość nie możemy pójść z uwagi na potencjalne straty wśród ludności cywilnej.
- Dlaczego nie? Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - odezwał się Burkow. - Jest wojna, to cywile też dostają. Oni pierwsi zaatakowali, o ile się nie mylę?
- Ale nadal nie wiemy, czy ten atak miał sankcję ze strony rosyjskiego rządu.
- Właśnie - poparł go sekretarz stanu Lincoln. - Poza tym jakoś nie widzę ani u nas, ani u naszych sojuszników zbyt wielkiego zapału do wojny, choćby i słusznej, o Europę Wschodnią, mimo całego tego gadania. Niemcy i Francja nas nie poprą, za nimi może pójść reszta NATO. A zresztą, nawet gdyby nas poparli, to nakłady, jakich wymagałoby rozbicie Rosji, a potem odbudowa państw, które by przy tym ucierpiały, mogłyby nas puścić z torbami.
- Nie - pokręcił głową Burkow z wyraźnym niesmakiem. - Pewnie, lepiej wybudujmy nową linię Maginota, żeby odgradzić się od wroga i udawajmy świnki trzy. Dla mnie to bzdura. Według mnie

powinniśmy pójść do matecznika wilka, wypalić z niego całe zło napalmem, a potem zrobić palto z tego, co zostanie. Może nie jest to zbyt politycznie poprawna recepta, ale nie myśmy to zaczęli.

- Mike - Lincoln zwrócił się do Rodgersa - czy Japończycy wysłali ci bombonierkę z podziękowaniami za to, że rozwaliłeś te północnokoreańskie rakiety, które były w nich wycelowane?

- Nie robiłem tego dla podziękowań - odparł Rodgers. - Zrobiłem to, co było słuszne.

66

- I jesteśmy z ciebie dumni - ciągnął Lincoln. - Ale rachunek dalej brzmi: dwóch naszych zabitych, a Japończyka ani jednego.

- Jestem po stronie Mela - odezwał się prezydent. - Nie możemy jednak tracić z oczu tego, co teraz najważniejsze: kto za tym stoi i dlaczego? - Spojrzał na zegarek. - Dziesięć po jedenastej będę miał oświadczenie dla telewizji na temat zamachu. Tobey, każ z łaski swojej uzupełnić tekst o wzmiankę na temat sprawnej akcji FBI, CIA i całej reszty, która pozwoliła na ujęcie sprawcy.

Tobey kiwnęła głową i odeszła do telefonu.

- Generale - Lawrence zwrócił się z kolei do Rodgersa - czy to dlatego doradził mi pan skapitulować przed tym zamachowcem? Czy to dlatego, że żądał od nas zrobienia tego, co i tak byśmy zrobili?

- Nie, sir - odparł Mike. - Tak naprawdę wcale zresztą przed nim nie skapitulowaliśmy.

My tylko odwróciliśmy jego uwagę.

Lawrence odchylił się na swoim fotelu i podłożył ręce pod głowę.

- Od czego?

- Od naszego kontraktaku.

- Kontraktaku? Jakiego kontraktaku? Przeciw komu? - wzburzył się Burkow. - Przecież ten fiut sam powiedział, kim jest i podał nam się na tacy.

- Pójdziemy po nitce do kłębka - wyjaśnił spokojnie Rodgers.

- Zamieniamy się w słuch - powiedział prezydent.

Rodgers pochylił się w przód, opierając łokcie na kolanach.

- Panowie, Oprycznina wzięła swą nazwę od gwardii cara Iwana IV, zwanego Groźnym...

- To wiemy - wtrącił się prezydent. - Co dalej?

- Oprychnicy odrodzili się po rewolucji 1917 roku, byli czymś w rodzaju idealistycznych najemników, działali dla chwały partii, nie za pieniądze. W latach 20.

wspomagali niemiecki ruch komunistyczny, potem prowadzili kampanię sabotażu w czasie wojny. W latach zimnej wojny trafili nawet tutaj, przypisuje się im nasze problemy na początku programu rakiet *Redstone*.

- Kto ich utrzymywał? - zapytał Parker.

- Do niedawna Oprychninę utrzymywały skrajnie nacjonalistyczne kręgi elity władzy, chcące terrorem narzucić reszcie świata swoje wyobrażenia o wiecznym szczęściu, W

połowie lat 80. Gorbaczow rozpedził ich, więc przyczaili się za granicą, zwłaszcza w Stanach 67

i w Ameryce Południowej. Kiedy skończyły się pieniądze, przyłączyli się do rosyjskiej mafii, by z jej pomocą obalić zdrajców, którzy zaczęli rządzić ojczyznę.

- To znaczy, że muszą nienawidzić Żanina - podsumował krótko Lincoln.

- Racja - odparł Rodgers.

- Zaraz, ale skoro nie mają nic wspólnego z rosyjskim rządem, to co mogą planować w Europie Wschodniej? - zapytał prezydent. - Przecież operacji na taką skalę nie da się prowadzić bez zgody Kremla. To nie są już czasy Czeczenii, gdy kilku generałów było w stanie ledwie żywemu Jelcynowi dyktować politykę.

- Cholera - wtrącił Rachlin. - A mnie się wtedy do końca zdawało, że to jednak on pociągał za sznurki zza kulis.

- A widzisz - powiedział Rodgers - właśnie o tym mówię. Można zorganizować coś nawet na tak wielką skalę bez wiedzy Kremla. To, co było w Czeczenii, to był początek procesu decentralizacji. To jest wielki kraj, osiem stref czasowych. Może ktoś się obudził

pewnego ranka i wpadł na to, że ten dinozaur potrzebuje kilku mózgów, żeby funkcjonować prawidłowo?

- Czy tak mogło być w rzeczywistości? - zapytał prezydent.

- Panie prezydencie, przed tym wybuchem przechwyciliśmy zamówienie na precle wysłane z Sankt Petersburga do Nowego Jorku.

- Na precle? - zapytał Burkow. - Żarty sobie stroisz?

- Moja reakcja była identyczna. Próbowaliśmy coś z tego wyciągnąć, ale aż do zamachu nic nam nie wychodziło. Dopiero po nim nasi kryptolodzy nałożyli adresy na plan Nowego Jorku i wyszło im, że

tunel leży w samym środku.

- Czy te pozostałe adresy to były zapasowe cele? - zapytał Egenes. - Pamiętajcie, że ci, którzy podłożyli bombę w World Trade Center, mieli jeszcze w zapasie Tunel Lincolna.

- Chyba nie - odparł Rodgers. - Nasi analitycy uważają, że to były punkty, w których montowano bombę. A co do reszty... Larry. mówiłeś, że od kilku miesięcy notujecie wzrost emisji mikrofal w Nowie, w Sankt Petersburgu?

- To prawda. Rzeka się prawie gotuje - potwierdził Rachlin.

- Wydawało nam się, że promieniowanie to pochodzi ze studia telewizyjnego zbudowanego w Ermitażu - ciągnął Rodgers. - Teraz uważamy, że to studio jest tylko przykrywką dla jakiejś supertajnej operacji.

- Może to ten drugi mózg dinozaura? - pomyślał na głos Lincoln.

- O właśnie - zgodził się Rodgers. - To studio zbudowano za fundusze, które przeznaczył na nie minister spraw wewnętrznych Dogin.

68

- Ten, który przegrał wybory? - zapytał prezydent.

- Ten sam. I coś jeszcze. Brytyjski agent zginął, gdy spróbował dokładniej przyjrzeć się temu studiu. Czyli coś tam się jednak dzieje. I cokolwiek to jest, centrum dowodzenia, czy nie, przez to zamówienie na prele to coś jest zamieszane w zamach w Nowym Jorku.

- A więc - podsumował Lincoln - mamy do czynienia z akcją rządu rosyjskiego, a może tylko jakiejś jego części, którą zorganizowano w porozumieniu ze zdelegalizowaną organizacją terrorystyczną i rosyjską mafią. Przy czym jest to grupa na tyle wpływowa, by móc wydać wojsku rozkazy do ataku na Europę Wschodnią.

- Zgadza się - potwierdził Rodgers.

- Jezu, z jaką przyjemnością przypiekałbym tego małego, aroganckiego skurwysyna z Opryczniny na wolnym ogniu - rozmarzył się Rachlin.

- Nic byś z niego nie wyciągnął, zaręczam ci - zgasił go Egenes. - Chyba nie myślisz, że opowiadaliby mu wszystko ze szczegółami wiedząc, że ma się oddać w nasze ręce?

- No tak, na tyle durni nie są - zgodził się Rachlin. - Podali go nam na tacy, żebyśmy mogli opowiadać opinii publicznej bajeczki o tym, jaką to pewną i krzepką ręką dzierzymy miecz sprawiedliwości, trzymając gębę na kłódkę co do naszej małej umowy na boku.

- Przestańcie już tak narzekać - uciał prezydent. - Pamiętajcie, jak Kennedy musiał

wycofać część naszych sił z Turcji, żeby Chruszczow wycofał rakiety z Kuby? Na jaw wyszła tylko część ich umowy, dzięki czemu JFK został bohaterem, a Chruszczow wyszedł na durnia. Zastanówmy się nad sytuacją. Zakładamy więc, że poprzez Sankt Petersburg jeden z członków ich rządu rozkazał przeprowadzenie ataku w Nowym Jorku. Czy mógł nim być prezydent Żanin?

- Wątpię - odparł Lincoln. - On chce dobrych stosunków z Zachodem, a nie wojny.

- A bo to z nimi co wiadomo? - zapytał Burkow. - Jelcyn też nas wpuścił w maliny.

- Żanin nic by na tym nie zyskał - ciągnął Lincoln. - Zawsze występował przeciw podwyżce wydatków wojskowych. Poza tym, on i Oprycznina zupełnie do siebie nie pasują.

- A Dogin? - zapytał znów prezydent. - Czy to może być jego robota?

- On już szybciej - zgodził się Rodgers. - To on zapłacił za to coś w Sankt Petersburgu i pewnie on rządzi ludźmi, którzy to coś obsługują.

- Czy możemy pomówić o tym z Żaninem? - zapytała Tobey.

- Nie ryzykowałbym - odparł Rodgers. - Nawet jeśli nie ma z tym nic wspólnego, w jego otoczeniu mogą być ludzie niegodni zaufania.

- Co więc proponujesz, Mike? - ostrożnie zapytał Burkow. - Według mnie ta bomba zepchnęła nas na ławkę rezerwowych. Jezu, jeszcze nie tak dawno coś takiego spowodowałoby, że spięlibyśmy wszystkie siły i ruszyli do boju.

69

- Ta bomba wcale nie zepchnęła nas z boiska, Steve - odparł Rodgers. - Ze strategicznego punktu widzenia to nam może pomóc.

- Jak, na litość boską? - zapytał Burkow.

- Ktokolwiek za tym stoi, pomyśli, że teraz już nie musi pilnować nas tak dokładnie -

wyjaśnił Rodgers. - Zupełnie tak, jak Rosjanie myśleli o Niemcach po pakcie Ribbentrop-Mołotow.

- Mylili się wtedy - wyjaśnił Lincoln. - Hitler i tak ich zaatakował.

- Właśnie. - Rodgers popatrzył na prezydenta. - Zróbmy tak samo, sir. Proszę mi pozwolić na wysłanie Iglicy do Sankt Petersburga. Tak jak obiecaliśmy, nie ruszymy palcem w sprawie Europy Wschodniej, niech sobie nawet nasi europejscy sojusznicy ponarzekają na neoizolacjonizm.

- To by się nawet zgadzało z nastrojami większości waszych współobywateli - zauważył z przekąsem Lincoln.

- A tymczasem - kontynuował Rodgers - Iglica zajmie się ich mózgiem.

Prezydent przesunął wzrokiem po twarzach obecnych. Rodgers wyczuł zmianę atmosfery w gabinecie.

- To mi się podoba - uśmiech rozjaśnił mroczne oblicze Burkowa. - Bardzo mi się podoba.

Prezydent wrócił oczyma do Rodgersa.

- Zrób to - powiedział. - I przynieś mi na tacy głowę Złego Wilka.

◆ Niedziela, 20.00 - Los Angeles

Paul Hood siedział na leżaku koło hotelowego basenu. Obok niego leżał pager i telefon komórkowy, a słomkowy kapelusz nasadzony miał głęboko na oczy, by nikt go nie rozpoznał.

Nie miał ochoty na rozmówki z byłymi wyborcami, w każdym razie nie w tej chwili. Gdyby nie zdradzający przybysza brak opalenizny, można by go wziąć za jednego z tych współczesnych egocentrycznych niezależnych producentów filmowych.

Nawet tu, z Sharon i dzieciakami dokazującymi zaledwie parę metrów obok, w głębszej części basenu, czuł się dziwnie samotny, opuszczony. Jego przenośne radio włączone było na program informacyjny, czekał na zapowiedziane przemówienie prezydenta. Już dawno nie musiał śledzić ważnych wydarzeń, słuchając radia jak zwykły obywatel. Od środka, jako urzędnik państwowy i aktor wydarzeń miał dużo lepszy obraz. Nie podobało mu się to teraz.

Nie podobało mu się to poczucie bezsilności, niemożność dzielenia się odczuciami z prasą, z kolegami. Chciał wraz z nimi dochodzić do siebie, dzielić ich gniew i pragnienie odwetu, a był tylko małym faceciakiem, który gdzieś tam, daleko od wielkiej sceny, opalał się na leżaku i słuchał dzienników, jak każdy. No, może nie tak zupełnie jak każdy, pomyślał. Czekał na telefon od Rodgersa. Nawet gdyby Mike miał coś, co nie nadawało się do rozmowy na otwartej linii, zawsze mógł mu to jakoś nie wprost powiedzieć. Jeżeli, oczywiście, miałby cokolwiek do przekazania.

Czekając, wrócił myślami do zamachu. To nie musiał być tunel, pomyślał. Równie dobrze tę bombę można było umieścić w tym hotelu, pełnym biznesmenów i turystów z Azji.

filmowców z Hiszpanii, Włoch, Ameryki Południowej, a nawet z Rosji. Nie trzeba by ich było nawet zabijać. Gdyby się wystraszyli, ucierpiałaby cała gospodarka w tym rejonie, od wypożyczalni limuzyn po restauracje. Jeszcze w czasach, gdy Hood był burmistrzem Los Angeles, uczestniczył w paru seminariach na temat terrorystów. Chociaż kierowały nimi różne pobudki i mieli różne metody, łączyło ich jedno. Zawsze uderzali w miejsca, których ludzie musieli używać: centra dowodzenia, środki transportu, urzędy. W ten sposób mogli zmusić władze do układania się z nimi, mimo oporu ze strony obywateli.

Myślał też o Bobie Herbercie, który w zamachu stracił zdrowie i żonę. Zastanawiał się, jak to na niego wpłynęło w takim momencie.

Kelner, młody tleniony blondyn, zatrzymał się obok jego leżaka i zapytał, czy życzy sobie coś do picia. Zamówił tonik. Po chwili kelner wrócił z oszronioną butelką na tacy i zaczął mu się przyglądać.

- To pan, prawda? - zapytał w końcu po chwili.

Hood zdjął słuchawki z uszu.

- Słucham?

71

- Pan burmistrz Hood, prawda?

- Tak, to ja - kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Fajnie - odparł młody człowiek. - A wczoraj obsługiwałem córkę Borisa Karloffa -

powiedział, stawiając szklankę na chybotliwym stoliku. - Cholerna sprawa z tym Nowym Jorkiem, prawda? Nie do pomyślenia, a przecież nie można o tym nie myśleć.

- Ma pan rację - zgodził się Hood.

Kelner przysunął się bliżej i zaczął nalewać pieniący się płyn do szklanki.

- Może się to panu przyda, a może nie, ale słyszałem, jak nasz dyrektor, Mosura, mówił

hotelowemu detektywowi, że firma ubezpieczeniowa chce, żebyśmy prowadzili codziennie instruktaże alarmowe, zupełnie jak na transatlantykach. Chodzi o to, żeby nikt nie mógł nas podać do sądu za zaniedbanie tego, w razie gdyby tu coś wybuchło.

- Tak, chroń gościa swego i kasę swoją - skomentował Hood.

- *Exactamundo* - odparł kelner.

Hood podpisywał właśnie rachunek, gdy zadzwonił telefon. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- No jak tam Mike, co słychać? - zapytał. Wstał i ruszył ze słuchawką w kierunku ocienionego zakątka, gdzie nie było innych gości.

- A co może być słychać? Chodzę wściekły jak wszyscy.

- Możesz mi powiedzieć co się tam dzieje?

- Właśnie wracam do biura po spotkaniu z szefem. Dzieje się dużo. Zgłosił się sprawca.

Poddał się. Mamy go.

- Tylko tyle?

- Niestety, postawił warunki. Mamy siedzieć cicho, jak coś się zacznie dziać w dawnej czerwonej strefie, albo dostaniemy znowu po nosie.

- To coś poważnego?
- Nie jesteśmy pewni. Wygląda na to, że to ma coś wspólnego z wojskiem.
- Ich nowy szef?
- Chyba nie. To raczej reakcja na jego wybór, niż jego robota.
- Rozumiem.

72

- Zdaje się, że polecenie wyszło z tego studia telewizyjnego, które namierzyliśmy. Są na to dowody. Szef pozwolił nam się tam trochę rozejrzeć, jak sobie załatwimy koncesję.

Posadziłem nad tym Lowella.

Hood stanął pod palmą. A więc prezydent pozwolił wysłać do Sankt Petersburga zespół

Iglica, a prawnik Centrum, Lowell Coffey II miał na to uzyskać zgodę komisji wywiadu w Kongresie. To będzie ciężkie zadanie. Spojrzał na zegarek.

- Mike, spróbuję wrócić najbliższym samolotem.

- Daj spokój - odparł Rodgers. - Będzie jeszcze czas i na to. Jak coś się zacznie dziać, wyślę po ciebie śmigłowiec z Sacramento, który podrzuci cię do bazy March i stamtąd przylecisz tutaj.

Hood spojrzał na dzieci. Jutro mieli jechać na wycieczkę do Magna Studio. Poza tym Mike miał rację. Do March było stąd pół godziny śmigłowcem, a stamtąd wojskowym samolotem dostanie się do Waszyngtonu w pięć godzin. Ale z drugiej strony, przysięgał robić co do niego należy, a była to robota, czy raczej brzemie odpowiedzialności, którego nie chciał

i nie mógł przerzucać na cudze barki. Serce biło mu szybko. Hood wiedział dlaczego. Już pompowało więcej krwi do nóg, które poniosą go do samolotu.

- Pogadam z Sharon - powiedział do Mike'a.

- Ona cię zabije - odparł Rodgers. - Daj spokój, Paul. Weź głęboki wdech, przebiegnij się dookoła parkingu i wyluzuj się. Damy sobie z tym radę.

- Dzięki, ale już się zdecydowałem. Dziękuję za wiadomości, o szczegółach pogadamy wkrótce.

- Pewnie - zrezygnowanym głosem odezwał się Rodgers.

Hood wyłączył i złożył telefon, ważąc go w otwartej dłoni.

Sharon go zabije, to pewne, a dzieciaki będą bardzo zawiedzione. Alex tak chciał usiąść wraz z nim do partii Teknophage w rzeczywistości wirtualnej. Jezu, dlaczego nic na tym świecie nie może być proste?

- Bo wtedy między ludźmi nic by się nie działo - odpowiedział sam sobie półgłosem - i życie byłoby nudne.

Z drugiej strony akurat w tej chwili chętnie by się ponudził. Właśnie po to przyjechał do Los Angeles z rodziną.

- Cześć, tato, idziesz do nas? - krzyknęła jego córka Harleigh, gdy podszedł do basenu.

- Akurat, kapuściana głowo - zgasił ją jej brat, Alexander. - Nie widzisz, że ma w ręku telefon?

- Nic nie widzę na tę odległość bez okularów, głąbie - odparła.

73

Sharon przestała opryskiwać się wodą z nimi i podpłynęła do brzegu. Na twarzy miała wypisane, że już wie, co się zaraz stanie.

- Chodźcie tutaj - odezwała się do dzieci. - Tatuś chyba chciał wam coś powiedzieć.

- Muszę wracać - Hood nie silił się na przemówienia. - Wiecie, co się dzisiaj stało. Nie możemy tego tak po prostu odpuścić.

- Oni chcą, żeby tatuś nakopał im w tyłek - przetłumaczył słowa ojca Alex.

- Cicho sza - powiedział dyrektor Centrum. - Pamiętaj, wróg...

- Czuwa - dokończył dziesięciolatek i zanurkował.

Jego dwunastoletnia siostra próbowała wykorzystać sytuację i przytopić go, ale Alex zdołał się wymknąć. Sharon nie mówiła nic, tylko patrzyła na męża.

- A bez ciebie - odezwała się w końcu - nie da się tego zrobić?

- Pewnie by się dało.

- No to niech się da.

- Nie mogę na to pozwolić - powiedział Hood. Popatrzył pod nogi, a potem w bok, starając się nie patrzeć jej w oczy. - Przepraszam. Zadzwoń później.

Wstał i zawołał coś na pożegnanie do dzieci, które z tej okazji przerwały na chwilę zażartą walkę

akurat na tak długo, by zdążyć pomachać mu ręką.

- Przywieźcie mi koszulkę z Teknophage - poprosił.

- Przywieziemy - obiecał Alex.

Odwrócił się, by odejść.

- Paul - powiedziała Sharon.

Zatrzymał się i obejrzał.

- Wiem, że to dla ciebie trudne, i że ja ci tego nie ułatwiam, ale potrzebujemy cię.

Zwłaszcza Alexander. Cały dzień będzie jutro mówił, że to by się tacie spodobało, tamto by się tacie spodobało. Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce będziesz ponosić konsekwencje swojej nieobecności.

- Myślisz, że mnie to nie niepokoi?

- Nie na tyle, żebyś na każde gwizdnięcie nie leciał na złamanie karku do Waszyngtonu bawić się swoimi kolejkami - powiedziała, odpychając się od brzegu basenu. - Pomyśl o tym, Paul.

74

Obiecał sobie, że na pewno poważnie się nad tym zastanowi. A na razie musiał się śpieszyć na samolot.

75

◆ Poniedziałek, 3.35 - Waszyngton

Pułkownik W. Charles Squires stał na pograżonym w ciemnościach pasie startowym w Quantico. Ubrany był w cywilne ubranie, miał na sobie skórzaną kurtkę, a pomiędzy jego stopami stał pokrowiec z komputerem. Jego sześciu ludzi pakowało się do dwóch śmigłowców *Bell Jet Ranger*, które miały ich przetransportować do bazy Andrews. Tam przejdą na pokład ich służbowego *C-141B Starlifter*, który zabierze ich w jedenastogodzinną podróż do Helsinek.

Noc była rześka, ale jak zwykle, gdy ruszali do akcji, orzeźwiała go myśl o zadaniu, a nie chłód. Gdy dorastał na Jamajce, czuł to samo, wybiegając na boisko przed meczem w piłkę nożną, zwłaszcza gdy mieli grać przeciw silniejszej drużynie.

Squires spał w swoim domu na terenie bazy, gdy Rodgers zadzwonił, rozkazując mu ruszać do Finlandii. Generał przeproszał, że nie udało mu się wycisnąć z Kapitułu pozwolenia na wysłanie całego zespołu, dwunastu ludzi, a jedynie grupy siedmioosobowej. Pewnie myśleli, że jeśli to wyjdzie na jaw, będą się mogli tłumaczyć Rosjanom, że przecież nie wysłali tam zespołu w pełnej sile. W skali światowej polityki pewnie miało to jakieś znaczenie. Na szczęście po ostatniej wyprawie Squires zmodyfikował system szkolenia Iglicy tak, że każdy z jej członków był w stanie wykonywać zadania niemal wszystkich pozostałych.

Squires nie pocałował żony na do widzenia. Pożegnania zawsze były łatwiejsze, gdy jeszcze spała. Zamiast tego wziął telefon do łazienki i porozmawiał z Rodgersem, ubierając się. Plan zakładał, że po przybyciu na miejsce mieli udawać turystów. Jeżeli cokolwiek by się zmieniło, generał zadzwoni do nich i poinformuje ich o tym, co zaszło. Według pierwszej wersji planu trzy osoby miały ruszyć do Sankt Petersburga, a cztery pozostać w odwodzie w Helsinkach.

Ci, którzy zostaną w Helsinkach, nie będą zachwyceni. Nieczęsto zdarzało się, że Iglica wchodziła do akcji, przerywając ciąg ćwiczeń i symulacji, za których pomocą Squires utrzymywał ich w gotowości. Ale być tak blisko i nie móc pójść na akcję, to już naprawdę pech. Rodgers, jak każdy dobry wojskowy, chciał mieć jednak ludzi w rezerwie, w razie gdyby trzeba było osłaniać ewakuację.

Gdy członkowie zespołu zapakowali się do *Jet Rangerów*, Squires wsiadł do jednego z nich. Zanim jeszcze śmigłowiec oderwał się od asfaltu, wyjął komputer z pokrowca, rozłożył

go na kolanach i włączył zasilanie. Wsunął do portu dyskietkę otrzymaną od pilota i zaczął

przeglądać listę sprzętu załadowanego na pokład *Starliftera*, uzbrojenia i umundurowania wszelkich państw, w których mogło przyjść działać zespołowi. Był tam sprzęt do nurkowania, wspinaczkowy, kombinezony arktyczne, wszystko czego dusza zapagnie. Nie było tylko tego, co zwykle mają przy sobie turyści: aparatów fotograficznych, kamer wideo, przewodników, słowników i biletów lotniczych. Squires znał jednak Rodgersa wystarczająco dobrze, by być pewnym, że wszystko to trafi do Andrews jeszcze zanim oni tam wylądują.

Rozejrzał się po kabinie, po twarzach ludzi, z którymi ruszał na akcję. Zauważył

Daniela George'a, blondyna, którego Rodgers wysadził z samolotu, by zająć jego miejsce, kiedy lecieli na poprzednią akcję. Obok siedziała Sondra DeVonne, dziewczyna, która ukończyła szkolenie komandosów marynarki SEAL, a potem trafiła do nich na miejsce po członku Iglicy, który zginął w Korei.

Jak zawsze tak i teraz ten przegląd nappełnił go dumą, ale i przypomniał mu o odpowiedzialności za to, że niektórzy z nich mogą nie wrócić. Ciężko pracował na swoją obecną pozycję, ale wierzył w przeznaczenie. Jakoś nie mógł się przekonać do motta, które wybrał sobie Rodgers: „Jeśli mam broń w swoich rękach, mój los nie jest w rękach Boga”.

Oderwał na chwilę wzrok od ekranu komputera i wyobraził sobie twarze ufnie śpiących żony i Billy'ego, jego synka. Znowu poczuł dumę z faktu, że są bezpieczni w swoich łóżkach, ponieważ od z górą dwóch wieków są mężczyźni i kobiety, których umysł zaprzatają takie myśli jak jego.

◆ **Poniedziałek, 8.20 - Waszyngton**

Mały bufet kierownictwa mieścił się na parterze Centrum, na tyłach stołówki dla pracowników. Ponieważ często omawiano tu zagadnienia bieżące, pomieszczenie zabezpieczono przed podsłuchem. Ściany były wyłożone dźwiękochłonną izolacją, a okna zasłonięte na stałe. Obok na nie używanym pasie startowym ustawiono mikrofalową zagłuszkę.

Po objęciu posady dyrektora Centrum Paul Hood zarządził, by obie stołówki prowadziły pełny jadłospis barów szybkiej obsługi, od jajek na grzance po pizzę ze składnikami do wyboru. Decyzja ta nie była podyktowana dbałością o wygodę pracowników, lecz względami bezpieczeństwa. Parę lat wcześniej, podczas Pustynnej Burzy Rosjanie domyślali się, że coś się będzie działo, analizując nagły napływ zamówień na posiłki, kierowanych z Pentagonu do pizzerii i chińskich restauracji. Gdyby w Centrum ogłoszono alarm, żaden szpieg ani wścibski dziennikarz nie stwierdziłby tego licząc dostawców hamburgerów.

Największy ruch w bufecie kierownictwa trwał między ósmą a dziewiątą rano. Dzienna zmiana przychodziła o szóstej rano, zastępując tych, którym wypadł nocny dyżur. Zapoznanie się z wydarzeniami ubiegłej nocy i analiza napływających dokumentów zajmowała im około dwóch godzin, po których między ósmą a dziewiątą dyrektorzy działów spotykali się tu, by wymienić uwagi, uzyskując szerszy obraz spraw. Dziś Rodgers rozesłał pocztą elektroniczną wezwanie na odprawę o dziewiątej, więc parę minut przed dziewiątą bufet opustoszał, gdy wszyscy ruszyli do Czołgu.

Elegancko skrojony czerwony kostium Ann Farris znalazł uznanie w oczach Lowella Coffeya II. To też było oznaką zmęczenia, bo zwykle krytykował wszystko, od mody po lektury.

- Ciężka noc? - zapytała Ann.

- Miałem spotkanie z kongresową komisją do spraw wywiadu - odparł, wracając do równo złożonego egzemplarza „Washington Post”.

- Aha, a więc to musiała być długa i ciężka noc - poprawiła się Ann. - Co się działo?

- Mike uważa, że dokopał się do tych Ruskich, którzy naprawdę stoją za zamachem w tunelu. Wysłał Iglicę, żeby ich dorwali.

- A więc ten Ekdols nie działał sam?

- Absolutnie nie.

Anna podeszła do automatu z kawą i wsunęła w szczelinę dolarowy banknot.

- Czy Paul już o tym wie?

- Paul wraca.

- Naprawdę? - zapytała i aż rozbłysła z radości.

- Naprawdę - odparł Lowell. - Złapał nocny samolot z Los Angeles i miał tu być rano.

Mike zwołał odprawę całego zespołu w Czołgu na dziewiątą.

Ann odebrała swoją podwójną espresso i resztę. Biedy Paul, pomyślała. Tam i z powrotem w ciągu jednej doby. Sharon musi być po prostu zachwycona...

Krzesła wokół sześciu stolików zajęte były przez członków kierownictwa, pogrążonych w zdumiewającej beczynności. Psycholog Liz Gordon żuła gumę z nikotyną, bo panował tu zakaz palenia i nerwowo kręcąc brązowymi lokami, przerywała lekturę tygodników ilustrowanych tylko po to, by pociągnąć łyk mocnej kawy z potrójnym cukrem. Oficer wsparcia operacyjnego Matt Stoll grał w pokera z geografem Centrum, Philem Katzenem. Na stole pomiędzy nimi leżał niewielki stosik ćwierćdolarówek, ale zamiast miętosić w rękę karty, obaj stukali w klawisze przenośnych komputerów. Stoll przegrywał. Sam zresztą przyznawał, że nie ma pokerowej twarzy. Jeżeli coś szło nie tak, obojętnie czy była to partia pokera za dwa i pół dolara, czy naprawa komputera kierującego obroną wolnego świata, pot zlewał jego okrągłą twarz cherubina.

Stoll wyrzucił na „stół” szóstkę pik i czwórkę trefl, na co Phil odpowiedział piątką pik i siódmką karo.

- No, nareszcie miałem jakieś wyższe karty - powiedział Matt, składając talię. - Jeszcze jedno rozdanie - zarządził. - Szkoda, że to nie jest tak, jak z komputerem kwantowym.

Wpycha się jony w sieć pól magnetycznych i elektrycznych, a potem taką uwięzioną cząstkę traktujemy laserem, wprawiając w stan energii rozbudzonej i jeszcze raz laserem, żeby ją uziemić. I to już wszystko. Powstaje najmniejszy, najszybszy komputer na świecie. Czysto, jasno, doskonale.

- Tak - przyznał Phil. - Szkoda tylko, że to niemożliwe.

- Wsadź sobie gdzieś swój sarkazm - odciął się Stoll, wpychając do ust oblaną czekoladą pączek, który popił czarną kawą. - Następnym razem zagramy w bakarata i wtedy ci dołożę.

- Akurat - spokojnie stwierdził Katzen, zgarniając ze stołu wygraną. - W bakarata też ciągle przegrywasz.

- Wiem - odparł Stoll - ale zawsze mi nieprzyjemnie, jak przegram w pokera. Sam nie wiem, dlaczego.

- Bo to uraża męską dumę - wtrąciła się Liz Gordon, nawet nie podnosząc oczu znad

„National Enquirer”.

- Że co proszę? - Stoll obrócił się na krześle.

79

- No pomyśl. Krzepkie dłonie ściskające karty, blefowanie z kamienną twarzą, cały ten sztafaż Dzikiego Zachodu, dym cygar, wieczór z chłopakami i tak dalej.

Stoll i Katzen patrzyli na nią, nadal nie rozumiejąc.

- Zaufajcie mi, wiem co mówię - ciągnęła pani psycholog, przewracając stronę.

- Mamy ufać komuś, kto szuka wiadomości w brukowcach? - zdumiał się Katzen.

- Nie wiadomości, tylko rodziników - odparła spokojnie Liz. - Gwiazdy żyją w rozrzedzonych warstwach atmosfery, a to sprawia, że są interesującym obiektem do studiowania. A jeśli chodzi o hazard, to kiedyś w Atlantic City zajmowałam się leczeniem chronicznych przypadków. Poker i bilard to dwie gry, w które mężczyźni nie znoszą przegrywać. Spróbujcie grać w chińczyka albo tenis stołowy, to mniej rujnujące dla waszego ego.

Obok Liz usiadła Ann.

- A co z grami intelektualnymi, takimi jak szachy albo scrabble?

- One są też *macho*, ale w trochę inny sposób. Faceci też nie lubią w nie przegrywać, ale jeżeli już muszą, to łatwiej im uznać wyższość drugiego mężczyzny niż kobiety.

- No tak, tego się po was można było spodziewać, moje panie - włączył się lekko rozdrażniony Lowell Coffey II. - Wiecie co? Senator Barbara Fox dała mi wczoraj dużo większy wycisk, niż jakikolwiek mężczyzna.

- A może tylko wykonywała swoją robotę lepiej, niż jakikolwiek mężczyzna dotąd -

odparła Liz.

- Nie, po prostu z nią nie dało się nic robić na skróty, tak jak z pozostałymi członkami komisji. Zresztą zapytaj Marthy, ona też tam była.

- Pani senator Fox jest zaciekle izolacjonistką od czasu, gdy wiele lat temu we Francji zamordowano jej córkę - wtrąciła się Ann.

- Słuchajcie, to nie tylko moja opinia - próbowała zakończyć Liz. - Na ten temat napisano setki rozpraw.

- Co z tego? O latających talerzach też napisano setki rozpraw, co nie zmienia faktu, że to bzdury. Ludzie stykają się z ludźmi, a nie z płciami.

- A co powiesz o Carol Laning, Lowell? - zapytała ze słodkim uśmiechem Liz.

- O kim?

- Mnie o tym nie wolno mówić, ale ty możesz, jeżeli oczywiście masz odwagę o tym mówić.

80

- Chodzi ci o prokurator Laning? Tę, która oskarżała w sprawie Frazer przeciw stanowi Maryland? Czy to jest w moich aktach?

Liz nic nie odpowiedziała. Coffey splonął się lekko. Przewrócił stronę, złożył gazetę, potem znowu ją rozłożył i zatopił w niej wzrok.

- To nie o to chodziło, Elizabeth. To, że po procesie wjechałem w jej samochód, to był

tylko wypadek. To był mój pierwszy poważny proces i byłem bardzo spięty. Fakt, że przegrałem akurat z kobietą nie miał tu nic do rzeczy.

- Ależ oczywiście - stwierdziła Liz.

- Naprawdę tak było - pośpieszył zapewnić Coffey.

W tym momencie zabrzmiał sygnał jego pagera. Wyjął go, spojrzął na wyświetlacz, po czym rzucił złożoną gazetę na stół i wstał. - Niestety, drogie dzieci, mojej druzgoczącej repliki będziecie musieli wysłuchać kiedy indziej. Muszę zadzwonić do kogoś bardzo ważnego.

- To ona czy on? - zapytał Phil.

Coffey wyszedł z sali bez słowa.

- Nie sądzisz, że trochę przesadziłaś? - zapytała Ann po wyjściu prawnika.

Liz skończyła akapit, złożyła „National Enquirer”, zebrała ze stołu „Star” i „Globe”, po czym wstała.

- Może troszeczkę - odpowiedział po chwili. - Ale to mu nie zaszkodzi. Mimo wszystko Lowell słucha, co inni mówią i część tego zostaje mu w pamięci. Czego nie można powiedzieć o innych - dodała, spoglądając na hazardystów.

- Dziękuję ci bardzo - powiedział Stoll, zamykając komputer i odłączając kable. - Zanim przyszedł, Ann, dyskutowałem z Liz o tym, czy jej wrodzony brak talentu do pracy z komputerem to rezultat fizycznego upośledzenia czy podświadoma niechęć do mężczyzn.

- Raczej to pierwsze - odparła Liz. - To tak jakby mówić, że twoje uzdolnienia w tej dziedzinie same z siebie robią z ciebie mężczyznę.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję.

- O Boże - westchnęła Ann. - Chyba powinniście zrezygnować z picia tej kawy z cukrem od rana.

- Nie, to nie to - zaczął znowu Stoll, gdy Liz wyszła. - To tylko szewski poniedziałek po zamachu z międzynarodowymi reperkusjami. Wszyscy chodzą lekko podminowani, bo nikt nie zdążył zaprogramować magnetowidu, żeby nagrać to, co stracą siedząc tutaj przez najbliższy tydzień.

Katzen wetknął swój komputer pod pachę i wstał.

81

- Muszę jeszcze zebrać trochę informacji przed odprawą. Do zobaczenia o piętnastej.

- A potem co kwadrans, aż się rozpadniemy ze starości - dokończył za niego Stoll i też wyszedł.

Ann samotnie dokończyła swoją kawę, oceniając w myśli zespół Centrum. Była to grupa ludzi bardzo różniących się od siebie. Stoll był z nich najbardziej dziecinny. Liz Gordon zaś najbardziej rozpychała się łokciami. Wybitni ludzie są często ekscentrykami, więc zebranie ich w tym samym miejscu, by wspólnie pracowali, musiało być niewdzięcznym zadaniem. Paul Hood mógł od nich wymagać co najwyżej pokojowego współistnienia, świadomości wspólnoty interesu i do pewnego stopnia wzajemnego szacunku wynikającego z codziennej współpracy. Dokonać mógł tego jedynie żyjąc problemami Centrum i osobiście prowadząc jego działania. Wiedziała też, ile go to kosztowało w życiu prywatnym Wychodząc ze stołówki na odprawę wpadła na Marthę Mackall.

Czterdziestodwuletnia ekspertka językowa i doradca polityczny Centrum również śpieszyła się na odprawę, ale po niej nigdy nie było widać pośpiechu. Była córką nieżyjącego już piosenkarza soul, Macka Mackalla. Odziedziczyła po nim promienny uśmiech, lekko zachrypnięty głos i łatwość w kontaktowaniu się z ludźmi, które okrywały jak płaszczem jej stalowy charakter. Zawsze zachowywała zimną krew. Tego nauczyło ją dzieciństwo spędzone z ojcem w drodze z koncertu na koncert, gdy nauczyła się, że na pijaków, wsiowych osiłeków i ciemnych parobków ostry umysł działał dużo skuteczniej niż ostry nóż. Kiedy Mack zginął w wypadku, Marthą zajęła się ciotka, która dopilnowała jej edukacji, przepchnęła ją przez ogólniak i studia, a potem żyła jeszcze na tyle długo, by dożyć chwili, w której jej wychowanica wyrosła z dziecka drogi na pracownika Departamentu Stanu.

- Witaj, złotko - rzuciła Martha do Ann, która z trudem próbowała dotrzymać jej kroku.

- Witaj Martho. Mieliście dziś ciężką noc, co?

- Razem z Lowellem tańczyliśmy taniec siedmiu zasłon na Kapitolu. Przekonywanie kongresmenów to nielekkie kawałek chleba.

Resztę drogi przebyły w milczeniu. Martha nie lubiła gadać po próżnicy w żadnym z języków, które znała, chyba że z możliwymi tego świata. Ann coraz bardziej czuła, że jeśli ktoś tu zazdrości posady Hoodowi, to nie Rodgers.

Mike Rodgers, Bob Herbert, Matt Stoll, Phil Katzen i Liz Gordon siedzieli już wokół

dużego, owalnego stołu konferencyjnego w Czołgu. Ann zauważyła, że Bob Herbert wygląda na bardzo zmęczonego. Domyśliła się, że wraz z Rodgersem spędzili całą noc na przygotowaniach do wysłania Iglicy. Uczucia, jakie zamach wywołał u jeżdżącego na wózku oficera wywiadu Centrum, też pewnie miały w tym swój udział.

Tuż za paniami do pokoju narad wkroczyli Paul Hood i nieco zadyszany Lowell Coffey.

Ledwie zdołał wejść, Rodgers nacisnął umieszczony z boku biurka guzik zamykający ciężkie drzwi.

Niewielkie pomieszczenie oświetlone było jarzeniówkami. Wielki zegar odliczający wstecznie czas, wiszący naprzeciwko biurka prowadzącego odprawę, ustawiony był na zero.

W razie kryzysu, gdy działania wyznaczone były jakimś rozkładem lub ultimatum, zegar 82

puszczany był w ruch, a jego wskazania powtarzały zegary umieszczone w pozostałych pomieszczeniach, tak by nikt nie miał wątpliwości, ile czasu zostało mu na wykonanie jego części zadania.

Ściany, podłoga i sufit Czołgu pokryte były warstwami Acoustixu, szaro-czarnej maty pochłaniającej dźwięki. Pod nimi umieszczona była warstwa korka, potem ćwierć metra betonu i znowu maty z Acoustixu. Wewnątrz betonowych ścian zatopione były druciane maty tworzące klatkę Faradaya, stanowiącą barierę dla fal radiowych wchodzących i wychodzących z Czołgu. Każda transmisja z wnętrza była całkowicie i nieodwracalnie zakłócana.

Hood zasiadł na szczycie stołu. Z prawej, na wysięgniku, umieszczone były monitor i klawiatura komputera oraz modem. Umocowana na szczycie obudowy monitora kamera światłowodowa umożliwiała używanie go jako wideotelefonu, jeżeli oczywiście rozmówca korzystał z podobnego urządzenia.

- To, jak się czujemy po tym, co wydarzyło się wczoraj jest oczywiste, więc nie traćmy czasu na dalsze roztrząsanie naszych uczuć - zaczął Hood po zamknięciu drzwi. - Chciałbym podziękować Mike'owi za wspaniałą pracę, którą wykonał pod moją nieobecność. Sam wam zresztą o niej zaraz opowie. Gdyby ktoś jeszcze o tym nie wiedział, ta historia ma drugie dno, o którym w dzienniku nie było mowy, Sam z zainteresowaniem posłucham, co Mike ma nam do powiedzenia, bo trafiłem tu prosto z samolotu i miałem czas tylko na prysznic.

Przypominam, że to co usłyszymy stanowi materiał tajny specjalnego znaczenia. Przekazanie go komukolwiek spoza tego grona wymaga zgody mojej i Mike'a albo Mike'a i Marthy. -

Spojrzał na Rodgersa. - Zaczynaj.

Generał podziękował dyrektorowi, a potem pokrótce przedstawił opis wydarzeń w Gabinetie Ovalnym. Poinformował ich o tym, że Iglica odleciała z bazy Andrews o godzinie 4.47 i że dotrze do Helsinek około 23.50 miejscowego czasu.

- Lowell - zwrócił się do prawnika - jak ci idzie z fińskim ambasadorem?

- Dostaliśmy tymczasową zgodę, to jeszcze wymaga tylko podpisu ich prezydenta.

- Ile im to zajmie?

- Dostaniemy wszystko jeszcze dziś rano.

- U nich jest teraz już czwarta po południu... - mruknął Rodgers, patrząc na zegarek. -

Jesteś tego pewien?

- Tak, jestem. Oni tam późno zaczynają pracę i późno kończą. Przed obiadem nie podejmują żadnych ważnych decyzji odnośnie spraw państwowych.

Rodgers zwrócił się z kolei do Darrella McCaskeya.

- Czy Interpol może nam w jakikolwiek sposób pomóc w wywłachaniu co się dzieje w Sankt Petersburgu, zakładając, że dostalibyśmy zgodę Finów?

- To zależy. Chodzi o Ermitaż, tak?

83

Rodgers skinął głową.

- Mam im powiedzieć o tym angielskim agencie, który zginął tam wczoraj?

- DI 6 straciło tam wczoraj człowieka, który próbował podsłuchiwać, co się dzieje w studiu telewizyjnym - wyjaśnił Mike dyrektorowi.

- Czy prosimy Interpol o to, żeby rozpoznawał ten sam obiekt? - zapytał Hood.

Rodgers znowu kiwnął głową.

- To musimy im powiedzieć o tym Angliku. Na pewno znajdą kogoś chętnego, żeby dobrać się do nich.

- A co z granicą? - zapytał Rodgers. - Czy Finowie mogliby pomóc nam się prześlizgnąć przez nią, gdybyśmy chcieli dostać się tam lądem?

- Znam kogoś w ich Ministerstwie Obrony, kto mógłby pomóc - powiedział McCaskey.

- Może coś by się dało wykombinować. Ale weź pod uwagę, Mike, że oni mają na całej granicy zaledwie cztery tysiące żołnierzy, więc myśl o drażnieniu Rosjan może tam nie znaleźć zbyt wielu entuzjastów.

- Rozumiem. - Zastępca dyrektora zwrócił się z kolei do Stolla, który w napięciu stukał

w blat złączonymi palcami. - Matt, chciałbym, żebyś użył swoich kontaktów do sprawdzenia, czy Rosjanie zamawiali lub składowali ostatnio coś nadzwyczajnego. Sprawdź też, czy w ciągu ostatniego roku przenosili do Sankt Petersburga kogoś z wybitnych specjalistów lub naukowców.

- Ci ludzie trzymają raczej język za zębami - odparł Stoll. - Jeżeli rząd przestanie im ufać, to nie mają alternatywy w prywatnym biznesie. Ale spróbuję...

- Nie próbuj, tylko się dowiedz - ostro przerwał mu Rodgers. Natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że przesadził. - Przepraszam - powiedział po chwili. - Matt, mam za sobą ciężką noc, być może będę musiał wysłać zespół do Rosji i to nie na plażę, ale na akcję. Chcę, żeby wiedzieli wszystko o tym, co i kogo mogą tam spotkać. Dobrze byłoby wiedzieć też, jaki sprzęt elektroniczny sprowadzili do tego „studia”.

- Rozumiem - odparł Stoll, choć bez zbytniej serdeczności. - Pobuszuję trochę po internecie, spróbuję pogrzebać w ich komputerach, może coś wypłynie.

- Dziękuję.

Po Stollu przysłała kolej na Liz Gordon. Ann była nieco zaskoczona tą kolejnością. W

odróżnieniu od Hooda, który niezbyt przejmował się profilami psychologicznymi, Rodgers wierzył w ich przydatność.

- Liz, przepuść proszę przez komputer ministra spraw wewnętrznych Dogina.

Uwzględnij wybory przegrane z Żaninem i wpływ generała Rybakowa. Wiadomości na jego temat udzieli ci Bob Herbert.

84

- To nazwisko wydaje mi się znajome - wtrąciła Martha. - Na pewno mam coś o nim i w moich teczkach.

Rodgers zwrócił się z kolei do geografa, Phila Katzena, który oczekując już na swą kolejkę otworzył i uruchomił komputer.

- Phil, potrzebuję opracowania o ujściu Newy do Zatoki Fińskiej i o Newie na odcinku do Ermitażu.

Temperatury, prędkość pływów, wpływ wiatru i tak dalej.

Odezwał się komputer koło miejsca Hooda. Dyrektor wcisnął F6 i Control, odbierając i od razu każąc czekać rozmówcy.

- Chciałbym też dostać wszystko, co mamy na temat profilu geologicznego gruntu pod Ermitażem. Chciałbym wiedzieć, jak głęboko mogli się wkopać.

Phil kiwnął głową, gdy skończył notować.

Hood ponownie wcisnął klawisz Control. Na ekranie monitora pojawiła się twarz jego asystenta, Stephena Beneta.

- Panie dyrektorze, mam na linii komandora Hubbarda z DI 6. Mówił, że to pilne, a poza tym ma związek z tematem narady, więc pomyślałem, że...

- Dzięki, połącz go - powiedział Hood, włączając głośnik. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz rozmówcy.

- Dzień dobry, panie komandorze - przywitał go Hood. - Siedzimy tu z całym zespołem, więc przełączyłem pana na głośnik.

- Dobrze, ja zrobię to samo - mocno akcentowany głos komandora brzmiał głęboko i chropawo. - Panie Hood, chciałbym przejść od razu do sedna. Mamy tu agenta, który chciałby dołączyć do waszego zespołu w Helsinkach.

Rodgers zachmurzył się i energicznie pokręcił głową.

- Panie komandorze, nasz zespół to jednostka w pełni... - zaczął Hood.

- Rozumiem, ale niech pan weźmie pod uwagę, że straciłem tam oficera i dwóch agentów, a trzeci musi się ukrywać. Moi szefowie chcą, żebym tam wysłał nasz zespół

Bengal, a chyba byłoby nam obu nie w smak, gdyby na miejscu jeden drugiemu plątał się pod nogami.

- Czy ten pański Bengal może mnie połączyć z szefem tego nowego ośrodka w Sankt Petersburgu?

- Że co proszę?

- Chodzi mi o to, że nie może mi pan zaoferować niczego, czego nie mógłbym sobie sam załatwić. Oczywiście, jak zwykle podzielimy się tym, czego się dowiemy.

85

- Oczywiście. Ale w jednym punkcie się z panem nie zgadzam. Możemy wam zaoferować Peggy

James.

Hood wcisnął Control/F5, by uzyskać dostęp do bazy danych. Nacisnął F6 i wypisał

„James, Peggy”. Na ekranie pojawiło się dossier.

Rodgers wstał i podszedł do fotela dyrektora, czytając mu przez ramię, gdy Paul przeglądał plik z wiadomościami zebranymi nie tylko z DI 6, ale także z niezależnych źródeł

Centrum oraz przez CIA i inne agendy rządu USA. Sporo tego było.

- Wygląda nieźle - mruknął Hood. - Wnuczka lorda, trzy lata pracy terenowej w południowej Afryce, dwa w Syrii, potem siedem w centrali. Trening sił specjalnych, sześć języków, cztery pochwały. Remontuje i jeździ wyczynowo na starych motocyklach...

Rodgers wskazał palcem na odnośnik do innej kartoteki.

- Panie komandorze, tu Mike Rodgers. Mamy tu napisane, że to pani James zwerbowała Fields-Hutтона.

- Tak, panie generale - potwierdził Hubbard. - Byli ze sobą bardzo blisko związani.

- Strzeżcie się mścicieli - grobowym głosem odezwała się Liz Gordon, kręcąc głową.

- Słyszał pan, komandorze? - zapytał Hood. - To była opinia naszego psychologa.

- Słyszeliśmy - odpowiedział ostry kobiecy głos. - Zapewniam was, że nie szukam odwetu. Ja tylko chcę dopilnować, by to, co rozpoczął Keith, zostało dokończzone.

- Nikt tu nie kwestionował pani umiejętności, pani James - wyjaśniła Liz głosem, w którym trudno było wyczuć zaproszenie do dyskusji. - Chodzi o to, że osobiste zaangażowanie i brak emocjonalnego dystansu mogą przytępić ostrożność, a tego właśnie chcielibyśmy uniknąć w tej...

- Bzdura - ucięła ostro Peggy. - Jadę tam z wami, albo sama!

- Dostyc tego - spokojnie, ale zdecydowanie odezwał się Hubbard.

Coffey odchrząknął i złożył dłonie na blacie stołu.

- Panie komandorze, pani James, nazywam się Lowell Coffey II, jestem radcą prawnym Centrum. - Zakończywszy prezentację spojrzął na Hooda. - Paul, pewnie będzie to nie po twojej myśli, ale uważam, że powinieneś poważnie rozważyć tę propozycję.

Hood nawet nie mrugnął powieką, ale w oczach Rodgersa wyraźnie odbił się gniew.

Coffey odwrócił od niego wzrok.

- Martha i ja mamy jeszcze sporo do przepchnięcia przez kongresową Komisję Wywiadu - ciągnął nie zrażony. - Gdybyśmy im powiedzieli, że wysyłamy tam zespół

międzynarodowy, moglibyśmy wytargować parę rzeczy, powiedzmy dłuższy okres czasu trwania operacji, poszerzenie zasięgu działań i tak dalej.

86

- Mnie pewnie też byś chętnie udusił, Mike - włączył się McCaskey - ale ja też uważam, że włączenie pani James mogłoby nam pomóc. Fiński minister obrony utrzymuje bliskie kontakty z admirałem Marrowem i angielską królewską piechotą morską. Może się zdarzyć, że rozwój sytuacji zmusi nas do szukania u niego pomocy.

Rodgers nic nie mówił, a i Londyn wyczekująco milczał. W końcu Hood spojrział na Boba Herberta. Oficer wywiadu Centrum wydał wargi w zamyśleniu i bębnił palcami w podłokietniki wózka.

- No, Bob - zapytał Hood. - A ty co powiesz?

- Uważam, że możemy to zrobić własnymi siłami - odparł głosem, w którym słychać było miękki akcent z nad Missisipi. - Jeżeli ta młoda dama chce tam jechać, to już zmartwienie komandora Hubbarda. Nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy w doskonale funkcjonującą maszynę wpychać na siłę jeszcze jeden trybik.

- Chyba zaczynamy tracić z oczu meritum sprawy, zbyt koncentrując się na dzieleniu ludzi na swoich i obcych - odezwała się Martha Mackall. - Pani James jest profesjonalistką, na pewno dobrze wpasuje się w tę waszą maszynę.

- Dziękuję pani - powiedziała Peggy - kimkolwiek pani jest.

- Martha Mackall, doradca polityczny - przedstawiła się. - Nie ma za co dziękować.

Wiem, jak to jest, kiedy chłopcy trzymają cię z dala od swojej piaskownicy.

- To bzdura! - oburzył się Herbert. - Tu nie chodzi o to czy ktoś jest biały, czarny, jest kobietą czy mężczyzną, stąd czy stamtąd. Mamy już w zespole jednego debutanta, Sondrę DeVonne, która zajęła miejsce Bassa Moore'a. Chodzi mi o to, że musiałoby nam odbić, żeby brać w taką podróż jeszcze jedną...

- Jeszcze jedną babę, tak? - zapytała Martha.

- Jeszcze jedną nowicjuszkę - dokończył Hubert. - Mój Boże, odkąd to wszelkie decyzje operacyjne są skierowane przeciw konkretnym osobom?

- Dziękuję wszystkim za wygłoszone sugestie - Hood dał do zrozumienia, że dyskusję uważa za zamkniętą. - Panie komandorze, mam nadzieję, że wybaczy nam pan tę dyskusję na temat pańskiej

oferty w obecności osoby, której ona dotyczyła.

- Bardzo dobrze, że tak wyszło - odezwała się Peggy. - Zawsze lepiej wiedzieć, na czym się stoi.

- Nadal żywię zastrzeżenia, ale zgadzam się z Lowellem. Umiędzynarodowienie tej sprawy ma sens, a pani James wydaje się rozporządzać odpowiednimi kwalifikacjami do tego rodzaju pracy.

Herbert z rezygnacją położył ręce na stole i zaczął gwizdać początek piosenki „Dziwny jest świat”. Rodgers wrócił na swoje krzesło bez słowa. Jego wzburzenie zdradzał jedynie rumieniec na karku i to, że jego brwi wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle.

87

- Dopilnuję, byście dostali pełną informację o naszych ustaleniach, tak by wasza agentka mogła bez zgrzytów włączyć się w działania grupy Iglica - powiedział. - Nie muszę chyba dodawać, że dowódca grupy, pułkownik Squires cieszy się naszym pełnym zaufaniem i że oczekujemy ze strony pani James pełnego podporządkowania jego rozkazom.

- Oczywiście, panie generale - odpowiedział Hubbard. - Dziękuję.

Monitor mignął i zgasł. Hood spojrzał na Rodgersa.

- Mike, on i tak by ją tam wysłał, a teraz przynajmniej będziemy ją mieli na oku.

- Co się tłumaczysz, to był telefon do ciebie - odparł generał. - Mnie by do głowy nie przyszło zadzwonić. - Wbił oczy w dyrektora. - To nie desant w Normandii ani Zatoka Perska.

Nie potrzebowaliśmy do tej operacji zgody nikogo zza granicy. Zaatakowano Stany Zjednoczone, więc siły zbrojne Stanów Zjednoczonych powinny odpowiedzieć na atak.

Kropka.

- Średnik - poprawił Hood. - DI 6 także poniosło straty. Dostarczyli nam danych, które zwróciły naszą uwagę na obiekt naszej akcji. Zasłużyli na to, by wziąć w niej udział.

- Jak już mówiłem, nie zgadzam się z tobą w tej sprawie. Pani James powinna podlegać własnym zwierzchnikom. Na pewno będzie próbowała ignorować rozkazy Squiresa. Ale ty siedzisz tu, z tyłu, i ty dowodzisz. - Potoczył wzrokiem wokół stołu. - Skoro wyczerpaliśmy porządek dnia, dziękuję wszystkim za uwagę.

Hood także spojrzał wokół stołu.

- Czy ktoś ma jakieś uwagi?

- Tak - odezwał się Herbert. - Myślę, że Mike Rodgers, Lynne Dominick i Karen Wong zasłużyli dziś

w nocy na cholerny medal. Podczas gdy wszyscy w kraju załamywali ręce nad tym zamachem w Nowym Jorku, oni troje doszli do tego kto i dlaczego to zrobił. I po tym wszystkim, zamiast zawiesić na Mike'u kolejną blachę, daliśmy mu kopa w tyłek.

Przepraszam, ale ja tego nie rozumiem.

- Przecież to, że się z nim w jakiejś kwestii nie zgadzamy, nie znaczy, że mamy go za nic - zaprotestował Coffey.

- Bob, jesteś zmęczony i podenerwowany - powiedziała Liz Gordon. - Tu nie chodziło o Mike'a. Taki już jest ten świat.

Herbert odjechał od stołu międląc w ustach to, co myślał o takim świecie.

Hood wstał.

- Dziękuję za przybycie. Będę w stałym kontakcie z wami wszystkimi, żeby zobaczyć jak idą sprawy.

- Przeniósł wzrok na Rodgersa. - Raz jeszcze, gdyby umknęło to czyjejs uwadze, chciałbym podkreślić, że nikt inny nie byłby w stanie zrobić dziś w nocy lepiej tego, co zrobił Mike.

88

Generał lekko skinął głową, wcisnął guzik otwierający drzwi i bez słowa ruszył w ślad za Herbertem.

89

◆ **Poniedziałek, 20.00 - Sankt Petersburg**

W chwili, gdy na zegarach umieszczonych w rogu każdego ekranu monitora pojawiła się godzina 19.59.59. w Ośrodku zaszła zmiana. Niebieskawa poświata, bijąca od martwych dotąd ekranów dwudziestu paru monitorów ustąpiła feerii barw, odbijających się na twarzach i ubraniach obecnych w głównej sali operacyjnej ludzi. Wraz z barwami zmianie uległ nastrój.

Nikt wprawdzie nie bił brawa ani nie krzyczał z radości, ale rozruch Ośrodka w widoczny sposób rozładował napięcie wiszące w powietrzu.

Oficer operacyjny Ośrodka, Fiodor Buriba, obrócił się ku Orłowowi od pojedynczej konsoli nadzoru. Uśmiech przebijał się przez jego brodę, oczy jaśniały zadowoleniem.

- Mamy pełny rozruch, panie generale. Sto procent systemów działa.

Siergiej Orłow stał na środku dużej, choć niskiej sali, z rękami założonymi za plecy i lustrował po kolei wzrokiem stanowiska kontrolne.

- Dziękuję, Buriba. Dziękuję wszystkim za dobrą robotę. Proszę o ponowne sprawdzenie danych, zanim wyślemy do Moskwy meldunek o udanym rozruchu.

Orłow ruszył na spacer po sali, zaglądając przez ramię na ekrany monitorów na stanowiskach. Dwa tuziny komputerów ustawione zostały na podwyższeniu w kształcie podkowy. Przed każdym monitorem siedział operator.

Orłow także poczuł odprężenie, kiedy o ósmej wieczorem monitory rozbłysły strumieniem obrazów, zdjęć, map i wykresów. Dziesięć stanowisk zajmowało się danymi z satelitów rozpoznawczych. Cztery podłączone były do baz danych o zasięgu światowym, przechowujących informacje ze źródeł legalnych, ale i wykradzone z archiwów policyjnych, ambasad i agend rządowych różnych państw. Dziewięć stanowisk zajmowało się nasłuchem łączności radiowej i sieci telefonii komórkowej, przyjmując raporty od agentów działających na całym świecie. Ostatnie stanowisko połączone było bezpośrednio z Kremlem, z biurami ministrów, w tym z biurem Dogina. Jego operatorem był podporucznik Iwaszyn, osobiście wybrany przez pułkownika Roskiego na to stanowisko i jemu bezpośrednio podległy.

Wszystkie dane na wszystkich ekranach, oczywiście poza tymi, które wyświetlały mapy, były zakodowane. Słowa wyświetlone na monitorze nic nie znaczyły ani dla Orłowa, ani dla operatorów z sąsiednich stanowisk. Każde stanowisko miało swój własny szyfr, by w ten sposób zlokalizować i ograniczyć szkody wywołane zdradą operatora. Gdyby znający szyfr operator nie był zdolny do wykonywania swoich obowiązków, można było odkodować zapis, ale wymagało to wprowadzenia hasła, którego poszczególne człony znane były tylko Orłowowi i Roskiemu.

Generał czuł ulgę, że wszystko poszło według planu. Tego samego uczucia doświadczał

w przeszłości za każdym razem, gdy potężna rakieta, na której szczycie siedział, budziła się do życia z rykiem silników. Tyle, że tym razem jego życie nie było zagrożone. Nigdy o tym wcześniej nie myślał, ruszając w kosmos. Nie to było najważniejsze w życiu odkrywcy, pilota myśliwskiego czy nawet w zwyczajnym życiu z dnia na dzień. Dla niego reputacja liczyła się bardziej od egzystencji, więc w takich chwilach myślał o tym, żeby dać z siebie wszystko i niczego nie spieprzyć.

Jedną z dłuższych ścian sali pokrywała mapa świata. Można na niej też było, używając zamontowanych w suficie projektorów, wyświetlić obrazy z każdego z monitorów. Boczne ściany pokryte były regałami, na których półkach spoczywały dyskietki z kopiami zapasowymi, ściśle tajnymi danymi, informacjami o rządach, armiach, instytucjach rządowych z całego świata. Za stanowiskami, w środku ściany, znajdowały się drzwi prowadzące do głównego korytarza, a stamtąd do ośrodka deszyfracji, wartowni, jadalni, toalet i wyjścia. Drzwi do gabinetów Orłowa i Roskiego umieszczone były odpowiednio z prawej i z lewej strony drzwi wyjściowych z sali.

Stojąc w sercu Ośrodka Orłow czuł się jak dowódca statku kosmicznego, lecącego donikąd, ale zdolnego zaglądać spod chmur na Ziemię, a nawet pod jej powierzchnię, by w każdej chwili wiedzieć niemal wszystko o niemal każdym. Nigdy dotąd, nawet na orbicie, gdy Ziemia krążyła powoli pod jego stopami, nie czuł takiej wszechwiedzy. W dodatku, niezależnie od politycznych zawirowań w Rosji, każdy kolejny rząd będzie potrzebował

dokładnych i aktualnych danych wywiadowczych, więc budżet i praca Ośrodka nie powinny ucierpieć. Zaczynał rozumieć jak musiał się czuć car Mikołaj II, dożywający swoich dni w oderwaniu od spraw, którymi żyli ludzie. W takim miejscu łatwo było o utratę kontaktu z rzeczywistością. Orłow rozumiał to doskonale i zabezpieczał się przed taką możliwością codziennie czytając trzy-cztery gazety. Podporucznik Iwaszyn wstał i zameldował się generałowi.

- Panie generale, centrala łączności melduje transmisję osobistą do was - powiedział, podając mu słuchawki.

- Dziękuję, odbiorę u siebie - odparł generał i odwrócił się, ruszając do swojego gabinetu. Wystukał na framudze osobisty kod i wszedł. Jego asystentka, Nina Tierowa, wysunęła głowę zza przepierzenia, oddzielającego jej biurko. Była to stateczna, tęga kobieta w wieku lat trzydziestu pięciu, ubrana w dopasowany do figury granatowy żakiet i spódnicę.

Jej kasztanowe włosy, związane z tyłu w kok, stanowiły ładną oprawę dużych oczu i lekko zakrzywionego nosa, ale nie zakrywały ukośnej blizny biegnącej przez czoło w miejscu, gdzie kiedyś o jej czaszkę otarł się pocisk. Ta blizna, podobnie jak rany postrzałowe klatki piersiowej i prawego ramienia były pamiątkami z czasów, gdy jako milicjantka udaremniła napad na bank, zabijając dwóch bandytów.

- Proszę przyjąć moje gratulacje, panie generale - powiedziała.

- Dziękuję - odparł Orłow, zamykając drzwi - ale to chyba za wcześnie, mamy jeszcze kilkaset punktów do sprawdzenia.

- Wiem - odparła Nina - ale nawet po ich sprawdzeniu nie spocznie pan, panie generale, zanim nie skończy sukcesem kolejnego dnia, potem tygodnia, miesiąca i roku.

91

- A czymże byłoby życie bez coraz to nowych celów? - retorycznie zapytał generał, siadając za swoim biurkiem, składającym się z czarnej akrylowej płyty osadzonej na czterech nogach wykonanych z resztek silników startowych *Sojuza*, którym pierwszy raz poleciał w kosmos. Na ścianach widać było fotografie, modele, odznaczenia i pamiątki z lotów kosmicznych, w tym fragment tablicy rozdzielczej z *Wostoka*, który wyniósł w kosmos Jurija Gagarina.

Opadł na wyściełany fotel obrotowy, obrócił się w kierunku monitora i wystukał na klawiaturze kod dostępu. Na ekranie ukazał się tył głowy ministra Dogina.

- Panie ministrze... - powiedział generał do mikrofonu wbudowanego w lewy dolny róg monitora.

Minęło jeszcze kilka sekund, zanim Dogin się odwrócił. Orłow nigdy nie wiedział, czy robi to, by ludzie na niego czekali, czy też po to, by nie wyglądało, że to on na nich czeka.

Tak czy inaczej, generał nie lubił takich gier.

- Podporucznik Iwaszyn zameldował mi o pomyślnym rozruchu - powiedział z uśmiechem minister.

- Podporucznik po pierwsze wyrwał się przed gospodarza, a po drugie jego meldunek był przedwczesny - odparł Orłow. - Procedura sprawdzająca nie została jeszcze zakończona.

- Ale jestem pewien, że zakończy się pozytywnie - ciągnął minister. - Proszę nie mieć za złe Iwaszynowi jego entuzjazmu. To wielki dzień dla całego zespołu.

Całego zespołu, powtórzył w myślach generał. Kiedy latał w kosmos, zespół był

zwykle grupą ludzi oddanych osiągnięciu jednego, szczytnego celu: rozszerzenia możliwości ludzkich działań w przestrzeni pozaziemskiej. Miało to służyć też polityce, ale waga tego, co robili usuwała ją w cień. Orłow nie kierował „całym zespołem”, lecz kilkoma, wyraźnie oddzielającymi się od siebie zespołikami, z których każdy ciągnął w inną stronę. Jednej grupie zależało głównie na uruchomieniu samego Ośrodka, innej na informowaniu Dogina.

Jeszcze inna, której przewodził zastępca do spraw bezpieczeństwa Glinko, sama nie wiedziała czego chce i gorączkowo śledziła zmagania dwóch pierwszych grup, gotowa przyłączyć się do zwycięzców. Orłow postanowił zrobić z nich jeden zespół, choćby miało go to kosztować karierę.

- Przypadek sprawił, że wybraliśmy najlepszą z możliwych chwilę do uruchomienia Ośrodka - mówił

Dogin. - Znad południowego Pacyfiku w kierunku Japonii zmierza samolot odrzutowy *Gulfstream*. Po zatankowaniu paliwa w Tokio, skieruje się do Władywostoku. Mój asystent prześle wam dokładne dane dotyczące tego lotu. Chciałbym, żeby Ośrodek śledził

ruchy tej maszyny. Pilot został poinformowany, że ma się z wami skontaktować po wylądowaniu we Władywostoku, co ma nastąpić według planu około piątej rano czasu lokalnego. Proszę zameldować mi o jego zgłoszeniu, a wtedy wydam dalsze dyspozycje, które mu prześlecie.

- Czy to ma być test do kalibrowania sprzętu?

- Nie, generale. Ten *Gulfstream* wiezie ładunek o bardzo dużym znaczeniu dla ministerstwa.

92

- Dlaczego w takim razie nie zleci pan tego Wojskom Ochrony Powietrznej? Ich wojska radiotechniczne z pewnością...

- To zbyt cenne - uśmiechnął się minister. - Poleciałem wam śledzić ten samolot i ufam, że Ośrodek jest do tego wystarczająco wyposażony. Korespondencja z samolotem ma być kodowana, a o wszystkich problemach proszę meldować mi osobiście lub przez pułkownika Rosskiego. Czy macie jakieś pytania?

- Tak - przyznał generał - mam kilka, ale zapiszę ten rozkaz i wykonam tak, jak sobie pan minister życzy. - Wcisnął kilka klawiszy, wprowadzając komendy do automatycznego zapisania rozmowy wraz z datą i czasem trwania. W wolnym polu wpisał: Minister Dogin polecił śledzenie samolotu *Gulfstream* zdążającego do Władywostoku.

Przeczytał raz jeszcze i wprowadził całość zapisu do dziennika. Komputer dał sygnał dźwiękowy potwierdzający zapis.

- Dziękuję - odparł Dogin. - We właściwym czasie poznacie odpowiedzi na wasze pytania. Życzę powodzenia w rozruchu urządzeń. Oczekuję meldunku o osiągnięciu pełnej zdolności operacyjnej korony naszego wywiadu za mniej więcej trzy godziny.

- Tak jest, panie ministrze. Jedno mnie tylko zastanawia: czyją głowę ozdobi ta korona?

Uśmiech ministra lekko przygasł, ale nie zniknął.

- Zawiedliście mnie, generale. Impertynencja do was nie pasuje.

- Przepraszam - odparł Orłow. - Po prostu niepokoi mnie ta kwestia. Nigdy dotąd nie polecano mi zadań nie informując o uwarunkowaniach zewnętrznych, zwłaszcza jeżeli miałem je wykonywać przy użyciu nie sprawdzonego sprzętu. Nie zdołałem także przywyknąć do sytuacji, w której moi podwładni pozwalają sobie na obchodzenie drogi służbowej w kontaktach z moimi przełożonymi.

- No cóż, wszyscy musimy dorosnąć do zmian, generale. W lipcu 1941 roku Stalin powiedział do narodu: „Nie może być w naszych szeregach miejsca dla tchórzów i dekowników, siewców paniki i dezertersów. Nasi ludzie muszą być nieustraszeni”. Jesteście odważnym i rozsądnym człowiekiem, generale. Zaufajcie mi, a wasza ufność zostanie nagrodzona.

Dogin sięgnął do klawisza i obraz zgasł. Orłow jeszcze przez chwilę patrzył na martwy ekran. Odpowiedź ministra nie zaskoczyła go, choć i nie uspokoiła. Przeciwnie, zaczął się zastanawiać czy czasem nie zaufał Doginowi za bardzo. Pomyślał o okolicznościach, w których Stalin wygłosił słowa, na które powołał się minister. Ta myśl zdjęła go przerażeniem, nad którym natychmiast zapanował. Wtedy była wojna. Czyżby Dogin przewidywał, że Rosja znów będzie ją prowadziła? Ale z kim?

◆ Wtorek, 3.05 - Tokio

Simon „Kruk” Lee, urodzony i wychowany w Honolulu postanowił zostać policjantem 24 sierpnia 1967 roku. Miał wtedy siedem lat, a jego ojciec uczestniczył jako statysta w kręceniu kolejnego odcinka telewizyjnego serialu „Hawaii Five-0” z Jackiem Lordem i Jamesem MacArthurem w rolach głównych. Nie pamiętał już teraz, czy to postanowienie było wynikiem znakomitej gry Lorda, czy raczej tego, że rzucał jego starym jak workiem kartofli.

Tak czy inaczej, w 1983 roku wstąpił do FBI, ukończył akademię z trzecią lokatą na roku i wrócił do Honolulu jako agent federalny z prawdziwego zdarzenia. Dwukrotnie odrzucał propozycje promocji, by pozostać agentem terenowym i robić to, co uwielbiał: oczyszczać świat z niegodziwców.

To hobby sprawiło, że był teraz w Tokio, działając w przebraniu mechanika linii lotniczej z pełnym błogosławieństwem japońskich władz. Do Japonii prowadził szlak przerzutu narkotyków z Południowej Ameryki przez Hawaje, który rozpracowali „Kruk” Lee i jego partner. Zadaniem agenta było zbieranie wiadomości o podejrzanych prywatnych samolotach przybywających i odlatujących z Tokio.

Ten *Gulfstream III* śmierdział. Partner Kruka wysledził, że samolot, należący do firmy piekarniczej w Nowym Jorku regularnie lata do Kolumbii. Oficjalnie przywoził stamtąd egzotyczne składniki dla pieczonych przez nią precli. Zbudzony telefonem z Honolulu agent zadzwonił z kolei do swojego japońskiego partnera, sierżanta Kena Sawary i ruszył na oddalone o pięć minut drogi lotnisko.

Teraz grzebał w otwartej osłonie silnika *JT3D-7* w kącie hangaru, podsłuchując rozmowy wieży kontrolnej z pilotami. Po dwóch tygodniach grzebania w tym silniku całymi dniami, znał go już chyba lepiej niż prawdziwi mechanicy z firmy Pratt & Whitney, która go wyprodukowała. *Gulfstream* wylądował i miał startować do Władywostoku zaraz po zakończeniu tankowania. Ta wiadomość jeszcze bardziej ugruntowała jego podejrzenia, dodając do obrazka jeszcze rosyjską mafię, z którą mógł być powiązany właściciel sieci piekarni z Nowego Jorku.

Kamizelka kuloodporna noszona pod białym kombinezonem trochę go uwierała, gdy podszedł do telefonu wiszącego na ścianie hangaru. Wybierając numer telefonu komórkowego Sawary czuł ciężar wiszącego w kaburze pod pachą rewolweru *Smith & Wesson* kalibru 0,38 cala.

- Ken, *Gulfstream* właśnie wylądował i kołuje pod hangar numer dwa. Tam się spotkamy.

- Może ja tam sam pójde?

- Ale twój japoński jest okropny, Kruk.

- A twój hiszpański jeszcze gorszy. Ruszajmy.

Słońce jeszcze nie wzeszło i chociaż lotnisko nie było bardzo zapchane, ruch ze wschodu i zachodu gęstniał z każdą minutą. Lee wiedział, że wielcy gangsterzy, jak Aram Woniewian czy Dymitr Sawczuk, woleli zatłoczone międzynarodowe porty lotnicze od małych, prywatnych lądowisk, gdzie agenci mieli dużo większe możliwości inwigilacji ich poczynąń. Zwłaszcza ci dwaj lubili przerzucać towar swoimi samolotami na oczach wszystkich, w biały dzień, gdy ani policja, ani konkurencja się tego nie spodziewali. Robili to w Honolulu, Mexico City, Bogocie, gdzie tylko chcieli.

Gulfstream podkołował do cysterny firmy Yaswee Oil, która czekała na niego obok hangaru, tuż przy skraju pasa startowego. To też było typowe - nawet mimo ufności w swoje siły i tupetu, którego wymagał przerzut prochów pod nosem policji, zamawiali zawsze cysternę, by pobyt na lotnisku skrócić do niezbędnego minimum.

Jeżeli wszystko pójdzie według schematu dotychczasowych lotów, a Lee nie widział

powodów, dlaczego by tak być nie miało, cały pobyt w Tokio, od pierwszego dotknięcia kołami asfaltu pasa, do chwili, w której dwa silniki *Rolls-Royce Spey Mk511-8* oderwą go od ziemi, będzie trwał krócej niż pięćdziesiąt minut. Potem skieruje się północny zachód i wkrótce będzie już po drugiej stronie Morza Japońskiego, w Rosji.

Odgarniając przydługie czarne włosy z czoła, Lee wyciągnął z kieszeni kombinezonu zlecenie i udawał, że je czyta. Po chwili, pogwizdując, ruszył w kierunku hangaru. W

ciemności z daleka widział błyskające światła pozycyjne małego samolotu, szykującego się do napełnienia zbiorników, prawie pustych po liczącej niemal 6.000 kilometrów podróży.

Obsługa już rozwijała wąż, a ich nadzwyczajna pilność i wydajność pracy utwierdzała podejrzenia Lee, że samolot wiezie kontrabandę.

Kątem oka zauważył światła zbliżającego się samochodu. To pewnie Sawara, pomyślał.

Według planu miał się trzymać z boku i w razie potrzeby udzielić mu wsparcia. Agent FBI chciał podejść do samolotu i wejść na podkład, przedstawiając szefowi obsługi naziemnej fałszywe zlecenie na naprawę zaworu paliwowego. Zanim ten załatwiłby sprawę z pilotem, miałby chwilę czasu na zlustrowanie wnętrza.

Toyota nie zatrzymała się z boku, lecz podjechała, równając się z nim. Lee stanął, nieco zdezorientowany. Okno od strony kierowcy otworzyło się i Lee zobaczył pozbawioną wyrazu twarz Sawary.

- W czym mogę pomóc? - zapytał go uprzejmie po japońsku, choć jego szeroko otwarte oczy i ściągnięta twarz wyrażała raczej pytanie: „Co jest, do kurwy nędzy?!”

Zamiast odpowiedzi nad krawędzią szyby pojawiła się lufa rewolweru *Smith & Wesson Model 60*,

skierowana w stronę agenta. Lee zareagował instynktownie, rzucając się na asfalt ułamek sekundy przed wystrzałem. Padając, wyrwał swoją broń spod pachy i strzelił, ale Japończyk wrzucił wsteczny bieg i pocisk przebił tylko oponę. Sawara wystawił rękę przez okno i jego drugi strzał był już celniejszy, trafiając Kruka w prawe biodro.

95

To skurwysyn, kupili go, zaklął w myślach Lee. Tym razem i on lepiej celował. Trzy pociski przebiły drzwi samochodu z głuchymi pacnięciami. Sawara strzelał w tym samym momencie, ale uderzenia pocisków agenta spowodowały, że jego trzeci i czwarty strzały chybiły. Ręka z bronią osunęła się w dół, rewolwer upadł na asfalt, głowa kierowcy opadła na kierownicę, a ciężar ciała wgniół pedał gazu, sprawiając, że samochód przyśpieszył na wstecznym, zrzucając dziko na boki. Lee śledził go wzrokiem z nadprzestrzeni celowniczych, czekając na rezultat tej jazdy, zadowolony, że w każdym razie zagrożenie oddala się od niego. Toyota uderzyła w pusty wózek bagażowy, a potem wjechała na niego i zatrzymała się w tej pozycji.

Rana pulsowała bólem od biodra po kolano. Każdy ruch nogą wysyłał falę bólu przeszywającego go od pięt po kark. Spojrzał na samolot, odległy o jakieś 150-180 metrów od niego. Spód kadłuba pobłyskiwał światłem pozycyjnym, a obsługa pracowała bez zmian. W

drzwiach ukazało się dwóch ludzi w drelichowych spodniach i podkoszulkach, ale bez broni.

Obaj szybko zniknęli, krzycząc coś do siebie.

Wiedział, że nie zniknęli na długo, więc całym wysiłkiem woli, na jaki go było stać, przewrócił się na brzuch, podciągnął lewe kolano, uniósł się na nim i powoli wstał.

Postępując z bólu zaczął skakać na lewej nodze, kierując się ku maszynie. W miarę zbliżania się do *Gulfstreama* przyglądał się obsłudze krzątającej się wokół niego. Pracowali szybko, obrzucając go przelotnymi spojrzeniami, ale nie śpieszyli się, dając jasno do zrozumienia, że robią to, za co im zapłacono, a ta strzelanina to nie ich sprawa.

Była to natomiast sprawa Lee, i to sprawa jego życia, o jakiej zawsze marzył, do której tyle lat się szkolił. Nie miał zamiaru się stąd wynosić - a w każdym razie nie teraz, gdy zwierzyna, na którą tyle lat polował czeka na strzał, unieruchomiona w zasięgu ręki.

Zbliżał się właśnie do nosa maszyny, gdy w drzwiach pojawił się jeden z wcześniej widzianej pary pasażerów, trzymający teraz w rękach niemiecki pistolet maszynowy *Walther MPK*. Od razu posłał serię w kierunku Amerykanina. Lee spodziewał się tego, więc wyprzedzając drugą, lepiej wycelowaną serię zanurkował pod nos samolotu, tak że zasłonił

go on przed ogniem. Zastanowił się, gdzie się podziała ochrona portu lotniczego. Czyżby oni też byli na liście płac przemysłowców, jak obsługa naziemna i ten skurwysyn Sawara?

Kolejna seria wyszczerbiła beton parę metrów od niego. Przeczłogał się na łokciach dalej, po czym

wyprostował rękę z rewolwerem, by strzelić w przednie koło podwozia i w ten sposób unieruchomić samolot do czasu gdy nadejdzie pomoc. O ile nie zapłacili rzeczywiście wszystkim.

W chwili, gdy właśnie ściągał spust, seria wystrzelona z tyłu trafiła go w kark, tuż nad kołnierzem kewlarowej kamizelki, i w ramię. Ręka poderwała się i pocisk trafił gdzieś z tyłu samolotu. Druga seria rozorała mu prawą nogę.

Obejrzał się i ujrzał nad sobą skrwawioną zjawę, Kena Sawarę z pistoletem maszynowym w rękach.

- Nie mogłeś tego po prostu odpuścić? - wystękał Japończyk. - Nie mogłeś wysłać mnie tu samego? - Lufa jego broni lekko opadła.

Lee zebrał się w sobie, lewą ręką poderwał rewolwer i skierował go w jego stronę.

96

- Chciałeś, żeby cię wysłać, co? - zapytał, ledwie chwytając oddech. - No to idź. Do diabła! - I wpakował ostatni pocisk z bębna w czoło zdrajcy.

Gdy Sawara upadł, Lee spojrział w kierunku samolotu. Walczył o tlen, patrząc, jak wystraszeni mechanicy podnosili się z betonu i wracali do swoich zajęć, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. Nie, tak nie może być, przekonywał sam siebie. Jak to tak: pogromca występku, zdradzony przez przyjaciela ma, tak po prostu zdechnąć na zaplamionym betonie?

Bez świadków, odległych syren nadciągającej odsieczy, bez nikogo, kto by przyskrzynił sprawców, bez pomocy znikąd? Nawet żadnemu z tych mechaników sumienie nie zagra?

„Kruk” Lee zmarł z poczuciem przegranej.

Pół godziny później samolot wystartował w stronę Rosji. Wciąż jeszcze było ciemno, więc nikt nie zauważył cienkiej smużki czarnego dymu ciągnącej się za jednym z silników.

97

◆ Poniedziałek, 12.30 - Waszyngton

Po lunchu zamówionym ze stołówki, Lowell Coffey, Martha Mackall i ich asystenci usiedli do pracy w wyłożonym boazerią gabinecie radcy prawnego. Jak zwykle, gdy Iglica ruszała w pole, mieli mnóstwo roboty z czyszczeniem go z prawnych i politycznych min.

Prezydent Finlandii zaaprobował obecność na terytorium kraju międzynarodowej grupy mającej zbadać poziom promieniowania w wodach wpływających do zatoki, a Andrea Stempel, pierwszy zastępca Coffeya, omawiała właśnie przez telefon z biurem Interpolu w Helsinkach sprawę fałszywych rosyjskich wiz dla trzech członków zespołu mających ruszyć do Sankt Petersburga. Obok, na skórzanej sofie jej asystent, Jeffrey Dryfoos przeglądał

testamenty członków zespołu. Póki byli jeszcze w drodze, dokumenty wymagające zmian lub uzupełnienia można im było wysłać faksem na pokład samolotu.

Coffey i Mackall siedzieli przed komputerem, szykując brudnopis raportu, który Lowell miał przedstawić do zaaprobowania połączonym, senackiej i kongresowej, komisjom do spraw wywiadu, jeszcze zanim Iglica wylądaje. Dokument regulował rodzaj broni, której użycie było dopuszczalne, rodzaj działań, których akcja wymagała, okres jej trwania i wiele innych ograniczeń. Trzeba w nim było uwzględnić nawet takie szczegóły, jak częstotliwości radiowe używane do porozumiewania się z zespołem i dokładny czas rozpoczęcia oraz zakończenia operacji. Kiedy już wszystko to zostanie przedstawione komisjom, ich aprobatą oznaczać będzie, że akcja Iglicy prowadzona będzie w zgodzie z prawem międzynarodowym.

Chociaż nie da im to automatycznie prawa do wtargnięcia w głąb Rosji, w razie aresztowania oznaczać będzie, że członkowie grupy nie zostaną pozostawieni samym sobie, lecz będzie się zabiegać o ich zwolnienie kanałami dyplomatycznymi. Przy głównym korytarzu, za gabinetami Rodgersa i Ann Farris, mieściło się królestwo Boba Herberta. Na wyposażenie tego wąskiego, prostokątnego pokoju składało się kilka komputerów, dokładne mapy świata, pokrywające trzy ściany i dwanaście monitorów telewizyjnych pokrywających czwartą.

Ekrany większości z nich były ciemne, choć na pięciu widoczne były obrazy z satelitów wiszących nad Rosją, Ukrainą i Polską. Obrazy na nich zmieniały się co sekundę.

W kręgach wywiadu od dawna toczyły się spory o to, czy elektroniczni szpiegowie z orbity przekazują lepsze informacje niż osobowe źródła informacji na ziemi. Dyskusje bywały krótsze i dłuższe, bardziej lub mniej natężone, ale wynik był zawsze jeden: do optymalnego działania agencja wywiadowcza musi mieć i jedno i drugie źródło. Dobrze jest móc sprawdzić z orbity temperaturę oleju w dziupie jadącym siedemdziesiąt kilometrów niżej, ale tylko uszy na ziemi mogą usłyszeć rozmowę lub odprawę zwołaną za zamkniętymi drzwiami gabinetów decydentów. Szpiegowanie z satelity jest czyste. Satelitę trudno aresztować, a i z jego przesłuchania pożytek niewielki. Jeszcze trudniej skłonić go do gry na dwie strony i podsyłania dezinformacji. Łatwiej natomiast oszukać niż agenta na ziemi, stawiając makiety i pozoratory.

Wywiadem kosmicznym na potrzeby Pentagonu, CIA, FBI i Centrum zajmowała się ściśle nadzorowana pod względem kontrwywiadowczym Narodowa Agencja Zwiadu. Na jej czele stał Stephen Viens, kolega ze studiów Matta Stolla, ale w odróżnieniu od niego skrupulatny aż do bólu. W pomieszczeniach agencji stały dziesiątki monitorów telewizyjnych, na których wyświetlone były obrazy z różnych punktów globu. Każdy obraz trwał na monitorze 0,89 sekundy, tak że w ciągu minuty ukazywało się sześćdziesiąt siedem czarno-białych obrazów o żądanych parametrach i powiększeniu. Agencja zajmowała się także testowaniem nowego satelity *AIM*, wyposażonego w czujniki dźwięku, umożliwiające obrazowanie wnętrza samolotu czy okrętu podwodnego na podstawie analizy badanych dźwięków i ich echa wewnątrz kadłuba.

W tej chwili trzy satelity Agencji śledziły ruchy wojsk na pograniczu rosyjsko-ukraińskim, a dwa na pograniczu ukraińsko-polskim. Ze źródeł zbliżonych do ONZ Herbert wiedział, że Polacy świadomi są rosyjskiej koncentracji i zaczynają się nią poważnie niepokoić. Nie ogłoszono wprawdzie jeszcze mobilizacji, ale wstrzymano przepustki i urlopy w wojsku, a polski Urząd Ochrony Państwa wziął pod lupę wszystkie przedsiębiorstwa i organizacje kulturalne, zarówno rosyjskie, jak i ukraińskie. Viens i Herbert zgadzali się, że sytuacja na wschodzie Polski wymaga bliższej uwagi, więc zdjęcia z tego rejonu przesyłano na bieżąco do Centrum, by tam można je było analizować równolegle z pracami Agencji.

Zestawiany przez komputer rozkład zajęć żołnierzy obozu koło Białgorodu według Herberta nie odbiegał od normy. Podniósł wydruk i czytał w milczeniu.

Czas Czynność

5.50 pobudka

6.00 apel

6.10-7.10 zaprawa poranna

7.10-7.15 s ł anie ł ó żek

7.15-7.20 inspekcja

7.20-7.40 odczytanie rozkazu dziennego

7.40-7.45 mycie

7.45-8.15 śniadanie

8.15-8.30 porządki

8.30-9.00 przygotowanie zajęć

9.00-14.50 zajęcia szkoleniowe

14.50-15.00 zbiórka na obiad

99

15.00-15.40 obiad

15.40-16.10 czas wolny

16.10-16.50 czyszczenie broni

16.50-19.20 czyszczenie rejonów

19.20-19.30 przygotowanie do kolacji

19.30-20.00 kolacja

20.00-20.30 oglądanie dziennika telewizyjnego

20.30-21.30 czas wolny

21.30-21.45 apel wieczorny

21.45-21.55 wieczorna inspekcja

22.00 capstrzyk

Odłożył kartkę i zajął się sytuacją w Sankt Petersburgu, którą rozpoznawali dla Squiresa i jego ludzi. Wokół Ermitażu nie działo się według satelity nic ciekawego. Stoll miał

problemy z programem do filtrowania dźwięków z muzeum, który pisał dla satelity *AIM*. Nie mieli tam nikogo. Egipt, Japonia, nawet Kolumbia miały wtyki i to bardzo wysoko, ale w Moskwie. Sankt Petersburgiem, leżącym od rewolucji na uboczu wydarzeń w Rosji, nikt się nie interesował. Poza tym Herbert, obawiając się niedyskrecji, nie chciał zwracać ich uwagi na to, że coś się szykuje w Sankt Petersburgu. Stara miłość nie rdzewieje, a nowe sojusze dopiero się tworzyły. Lepiej stracić trochę więcej czasu na samodzielne rozpoznanie sytuacji, niż zaalarmować Rosjan.

Wszystko szło utartym trybem aż do 20.00 czasu moskiewskiego. Boba Herberta wezwano do centrali łączności, mieszczącej się w północno-zachodnim rogu podziemi Centrum. Bob pojechał tam spotkać się z Johnem Quirkem, szefem służby rozpoznania radioelektronicznego Centrum. Był to dobrotliwy olbrzym o twarzy świętego, ciepłym głosem i benedyktyńskiej cierpliwości. Quirk obsługiwał komputerowy moduł translatorski *UTHER*, maszynę sprzężoną z radiostacją nasłuchową, zdolną tłumaczyć i stenografować w czasie rzeczywistym transmisje radiowe w ponad dwustu językach i dialektach świata.

Na widok Herberta Quirk zdjął słuchawki z głowy. W pomieszczeniu pracowało jeszcze trzech operatorów, których konsole nastawione były na transmisje z rejonu Moskwy i Sankt Petersburga.

- Bob, przechwyciliśmy transmisje mówiące o przygotowaniach do przerzutu dużych ilości sprzętu wojskowego ze składnic od Riazania po Władywostok w rejon Biełgorodu.

- Biełgorodu? Czekaj, Rosjanie tam teraz prowadzą manewry. O jaki sprzęt chodziło?

100

- Co tylko chcesz. - Quirk machnął głową w kierunku monitora. - Wozy dowodzenia, samobieżny i latający sprzęt radiotechniczny, pojazdy i przyczepy MPS, samobieżne bazy remontowe, sprzęt kwatermistrzowski, szpitale polowe, kuchnie...

- Może to tylko jakieś ćwiczenia? - zastanawiał się Herbert. - To by się zgadzało, ćwiczą zakładanie linii telekomunikacyjnych i przerzut zaopatrzenia.

- Nigdy nie widziałem u nich nic tak nagłego.

- Co masz na myśli?

- To wygląda na kolejną koncentrację na pozycjach wyjściowych, ale dotąd, zanim Rosjanie ruszali do natarcia na manewrach, w eterze aż huczało od rozmów o planowanym czasie nawiązania styczności bojowej, o przewidywanej sile przeciwnika. Namierzaliśmy mnóstwo transmisji o ruchach wojsk, kalkulacji i rozkładów jazdy, rozmów o taktyce, omówień manewrów okrążających, obejść, frontalnych natarć i tak dalej.

- A teraz nic z tych rzeczy?

- Absolutne zero. Jeszcze nigdy nie widziałem niczego podobnego.

- A kiedy to wszystko dojdzie na miejsce - zastanawiał się na głos Herbert - będą gotowi do zrobienia czegoś na naprawdę wielką skalę... Choćby inwazji na Ukrainę.

- Zgadza się.

- Ale Ukraińcy nic nie robią.

- Może nie wiedzą, co się tam dzieje?

- Albo nie biorą tego serio. Zdjęcia satelitarne wskazują, że mają nad samą granicą jednostki rozpoznawcze, ale nie są to kompanie dalekiego zwiadu. Wyraźnie nie przewidują konieczności działania za linią frontu. - Herbert bębnił w zamyśleniu palcami w oparcie wózka. - Jak długo potrwa, zanim Rosjanie będą gotowi do wymarszu?

- Na pozycjach mogą być jeszcze dzisiaj.

- Może to tylko dla picu?

- Nie - pokręcił głową Quirk. - Nie, to są pełne, szczegółowe rozkazy. Poza tym używają kombinacji cyrylicy i alfabetu łacińskiego, jak zwykle wtedy, gdy naprawdę chcą coś ukryć.

Kiedyś przestawianie wspólnych liter zbijało nas z tropu, bo nie mogliśmy wyczuć, którego w końcu alfabetu używają, ale teraz ta zabawka daje sobie radę bez problemu - poklepał

obudowę komputera *UTHER*.

Herbert uścisnął jego ramię.

- Dobra robota. Daj mi znać, jak jeszcze coś złapiecie.

◆ Poniedziałek, 21.30 - Sankt Petersburg

- Panie generale - zameldował Jurij Marew - radio melduje kodowaną depezę z samolotu śledzonego przez satelitę *Sokół-11*, wysłaną za pośrednictwem dowództwa Floty Pacyfiku we Władywostoku.

Orłow, krążący wolnym krokiem po sali operacyjnej stanął i spojrzał na naznaczoną wypiekami twarz młodzieńca. Po chwili ruszył ku jego stanowisku.

- Jesteście pewni?

- Tak jest, panie generale. To z *Gulfstreama*.

Orłow rzucił okiem na zegar na monitorze. Samolot miał jeszcze pół godziny do planowanego czasu lądowania, a o ile generał znał tamtejszy klimat, nic nie wskazywało na to, żeby tego terminu dotrzymał. Wiatr był coraz silniejszy i przebijanie się przez niego na pewno pociągnie za sobą opóźnienie.

- Powiedźcie Żyłaszowi, że już idę - powiedział generał, ruszając do wyjścia na korytarz. Po drugiej stronie korytarza wybrał na klawiaturze kod i wszedł do zastawionego sprzętem i gęsto zadymionego centrum radiowego, sąsiadującego przez ścianę z gabinetem szefa ochrony, Glinki.

Arkadij Żyłasz i jego asystenci siedzieli przed konsolami ustawionymi w jedynym miejscu pokoju, które nie było zapakowane stosami obudów piętrzących się od podłogi po sufit. Orłow miał kłopoty z otwarciem drzwi, bo mniej więcej w połowie drogi opierały się one już o jedną z konsol, zamontowaną za nimi. Wszyscy siedzieli ze wzrokiem wlepionym w przyrządy i słuchawkami na uszach, tak że Żyłasz nawet nie zdawał sobie sprawy z obecności generała, zanim ten nie klepnął go w lewą słuchawkę.

Zaskoczony szef łączności ściągnął słuchawki i włożył do popielniczki papierosa, który zwisał mu z kącika ust.

- Przepraszam, panie generale - powiedział. Nagle uzmysłowił sobie, że chyba powinien wstać w obecności przełożonego. Zaczął się podnosić, ale Orłow gestem kazał mu siadać.

Żyłasz wciąż, zresztą zupełnie nieumyślnie, wodził na pokuszenie miłośników wojskowego drylu, ale był geniuszem radiowym i wszystko, no prawie wszystko, uszło mu na sucho.

Tym bardziej, że był zaufanym współpracownikiem Orłowa z czasów jego pracy na kosmodromie. Generał żałował, że tak niewielu mógł ich zabrać ze sobą do Sankt Petersburga.

- Nic nie szkodzi. No, co tam mają nam do powiedzenia z tego *Gulfstreama*?

- Rozkodowałem to i trochę wyczyściłem, bo strasznie trzeszczało - wyjaśnił, sięgając do włącznika magnetofonu. - Tam teraz burza jak diabli - dodał.

- Władystok, tracimy moc w lewym silniku - zabrzmiał cichy, ale wyraźny głos z taśmy. - Nie wiemy jeszcze co się stało, ale uszkodzenie objęło instalację elektryczną silnika.

Dolecimy z opóźnieniem w granicach pół godziny, ale kontynuacja lotu nie będzie możliwa.

Czekamy na dalsze rozkazy.

- Będzie jakaś odpowiedź? - zapytał Żyłasz, podnosząc swe wielkie brązowe oczy na ledwie widocznego w dymie generała.

- Nie, na razie nie - odparł Orłow. - Połącz mnie z admirałem Pasenką z Floty Pacyfiku.

Żyłasz spojrział na zegar.

- Tam u nich jest teraz czwarta w nocy - mruknął pod nosem.

- Wiem. Dzwon, nie gadaj.

- Tak jest. - Żyłasz wystukał nazwisko na ekranie komputera, włączył urządzenie kodujące i wysłał wezwanie. Kiedy odezwał się Pasenko, oddał słuchawki Orłowowi.

- Orłow, to ty? Ten sam kosmonauta, pilot myśliwski i w ogóle figura? A, to wstaję. Dla rozmowy z tobą mogę nawet wyjść z łóżka.

- Przepraszam za tę barbarzyńską porę, Ilia. Jak leci?

- U mnie wszystko w porządku. A gdzieś ty się podziewał przez ostatnie dwa lata? Nie widziałem cię od czasu tego zjazdu oficerów w Riazaniu.

- U mnie też w porządku...

- No, ja myślę! O was, ptaszki niebieskie, to zawsze dbali! A jak tam Masza, twoja biedna ofiara, potworze?

- Też dobrze. Słuchaj Ilia, zostawmy te pogaduszki na później. Mam do ciebie prośbę.

- Dla ciebie wszystko. Dla człowieka, który kazał czekać Breżniewowi, bo nie skończył się jeszcze wpisywać do pamiętnika mojej córce, nie ma rzeczy, której bym nie zrobił.

- Dziękuję - powiedział Orłow, z rozbawieniem przypominając sobie rozdrażnioną minę Leonida

Ilicza. Ale to nie on, a ta dziewczynka była wtedy przyszłością narodu i nie wahał się przed wyborem ani chwili. - Ilia, słuchaj, na lotnisku we Władywostoku będzie lądował

uszkodzony samolot...

- Ten *Gulfstream*, tak? Mam przed nosem na monitorze raport na ten temat.

- Tak, właśnie ten. Mam dostarczyć do Moskwy jego ładunek najszybciej jak można.

Dasz mi jakiś samolot?

103

- Oj, chyba się pośpieszyłem z tymi zapewnieniami. Nie mam nic pod ręką. Wszystko mi zabrali do tego przerzutu zaopatrzenia na zachód.

Orłow był zaskoczony. A co takiego działo się na zachodzie?

- Może, przy odrobinie szczęścia, uda się upchnąć ten twój ładunek do któregoś z samolotów... Jak będzie miejsce, oczywiście... Tylko nie mam pojęcia, kiedy to będzie możliwe. Wszystko się tu robi na wariata, bo z Morza Beringa nadciąga silna burza.

Wszystko, co jeszcze dziś u nas wyląduje, ma tu zostać na przeciąg najbliższych pięćdziesięciu sześciu godzin.

- Czyli nawet gdyby z Moskwy wysłać samolot, to też byśmy nie zdążyli. Cholera!

- Pewnie nie. A co tam takiego pilnego?

- Nie mam zielonego pojęcia. To coś z Kremla.

- Rozumiem. Słuchaj, a może ci pociąg załatwić, co? Lepsze to, niż gdyby ta twoja tajna broń miała tu leżeć bezczynnie cztery dni. Można by to wysłać pociągiem na północ od Władywostoku i odebrałbyś sobie po drodze, jak tylko zmieni się pogoda.

- Pociąg, powiadasz? - w zamyśleniu powtórzył Orłow. - Ile wagonów możesz mi załatwić?

- Tyle, że zabierzesz wszystko, co się może w taki mały samolot zmieścić. Problem w tym, że nie mogę ci dać żadnych ludzi do obsługi tego pociągu. To wymagałoby zgody admirała Wańczuka, a on teraz jest na Kremlu i wchodzi do dupy nowemu prezydentowi. Gdyby się okazało, że zawracaliśmy mu gitarę, a to nie była sprawa bezpieczeństwa narodowego, może być krucho.

- Dobra, nie ma sprawy. Jeżeli możesz załatwić pociąg, to ludźmi już się sam zajmę. Daj mi znać, jak tylko coś załatwisz.

- Odezwę się za pół godziny.

Pożegnali się i Orłow oddał słuchawki Żyłaszowi.

- Połącz mnie z bazą na Sachalinie i ściągnij do telefonu oficera Specnazu.

- Tak jest. Którego, panie generale?

- Podporucznika Nikitę Orłowa. Mojego syna.

◆ Poniedziałek, 13.45 - Waszyngton

Paul Hood i Mike Rodgers siedzieli przy dyrektorskim biurku, studiując profile psychologiczne przygotowane przez Liz Gordon.

Nawet jeżeli żywili do siebie urazę za to, co miało miejsce na porannej odprawie, odłożyli to na bok. Rodgers, mimo swej niezależnej osobowości, był też żołnierzem zawodowym z dwudziestoletnim stażem. Wiedział, co to jest rozkaz, nawet jeśli nie był po jego myśli. Hood ze swej strony starał się jak najrzadziej korzystać ze swej służbowej przewagi, a już wyjątkowo w sprawach natury wojskowej. Decydował się na to tylko wtedy, gdy miał za sobą poparcie większości kierowników działów, tak jak rano.

Rozmowa z Peggy James była ostra, ale jej sens jasny. Środowisko wywiadu było małe, zbyt małe na to, by było w nim miejsce na tarcia. W porównaniu ze szkodą, jaką mogłoby przynieść zerwanie ścisłej współpracy z Hubbardem i DI 6, ryzyko związane z dołączeniem doświadczonej agentki terenowej do zespołu interwencyjnego, było w pełni możliwe do zaakceptowania.

Hood pilnował się, by po porannym starciu nie zadrażniać sytuacji triumfalizmem.

Posunął się nawet do tego, by dzielić entuzjazm generała dla profili psychologicznych, choć zwykle wierzył w nie równie mocno, co w astrologię lub wróżenie z kształtu czaszki. Według niego sny o matce śnione przez dziecko, były równie pomocne do poznania toku rozumowania dorosłego człowieka, co przyciąganie Saturna lub kształt kości czołowej do poznania przyszłości. Ale Rodgers w to wierzył, więc siedzieli teraz obaj nad monitorem.

Jeżeli nawet wnioski były bzdurą, to w każdym razie warto było raz jeszcze prześledzić drogę życiową ich potencjalnego adwersarza.

Związła biografia nowego prezydenta Rosji wypełniła większą część ekranu, komputer umożliwił też na żądanie obejrzenie archiwalnych zdjęć, fragmentów kronik filmowych i wycinków prasowych. Hood przeglądał jego drogę życiową, od narodzin w Machaczkale nad Morzem Kaspijskim, przez studia w Moskwie i karierę od zastępcy członka Biura Politycznego, do stanowiska attache ambasady radzieckiej w Londynie i *charge d'affair ad interim* w Waszyngtonie.

Zatrzymał przesuwający się tekst, gdy rozpoczął się komentarz pisany przez Liz Gordon.

Uważa się za kogoś w rodzaju współczesnego Piotra Wielkiego. Popiera otwarty handel z Zachodem i wpływy zachodniej kultury, by ugruntować wśród narodu popyt na to, co chce sprzedać.

- To ma sens - odezwał się Rodgers. - Chcąc oglądać nasze filmy, będą musieli kupić rosyjski magnetowid. Jak im się zachce koszulek Chicago Bulls albo z portretem Janet Jackson, to też otworzą u siebie produkcję.

- Ale Liz pisze dalej, że jego gust różni się od gustu Piotra.

- Tak - zgodził się Rodgers. - Piotr Wielki był naprawdę zainteresowany kulturą Zachodu. Żanin chce ją tylko wykorzystać, by utrzymać się w siodle i odbudować gospodarkę. Ubiegłej nocy dyskutowaliśmy z prezydentem, na ile przywiązany jest do tej myśli i zdolny oprzeć się pokusie militarizmu.

- W ogóle nie ma nic wspólnego z wojskiem - zauważył Hood, ponownie przeglądając biografię.

- Zgadza się - potwierdził Rodgers. - Ale właśnie tacy przywódcy, jak uczy historia, mają najmniejsze opory przed sięganiem po opcję militarną. Każdy, kto sam znalazł się pod ogniem jest, w tym względzie ostrożniejszy.

Biorąc pod uwagę ostrzeżenia o spodziewanych wydarzeniach natury wojskowej, które przyniósł generał Rodgers z Białego Domu...

- czytał dalej głośno Hood

...należy stwierdzić, że Żanin nie jest typem człowieka, po którym można się spodziewać agresji militarnej podjętej jedynie w celu udowodnienia silnej woli albo dla ugłaskania generalicji. Jest to raczej człowiek wielkich słów niż wielkich czynów. W

początkowych okresie rządów będzie się raczej koncentrował na unikaniu zadrażeń z Zachodem.

Hood odchylił się na fotel, przymknął oczy i ścisnął palcami nasadę nosa.

- Chcesz może kawy? - zapytał Rodgers znad monitora.

- Nie, dziękuję. W czasie lotu wypilem jej całe morze.

- Trzeba się było zamiast tego przespać.

- Nie mogłem - roześmiał się dyrektor. - Jedyne wolne miejsce było między dwoma najgłośniejszymi chrapiącymi ludźmi, jakich w życiu widziałem. Obaj zdjęli buty i od razu uderzyli 106

w kimono. Nie znoszę tych pociętych filmów, które puszczają w czasie lotu, więc siedziałem tam i napisałem trzydziestostronicowy list z przeprosinami dla rodziny.

- Sharon była wściekła czy tylko rozczarowana?

- Jedno i drugie. - Wyprostował się. - No dobra, zajmijmy się tymi Ruskimi. Może po tym wszystkim

trochę lepiej ich zrozumieć?

Rodgers klepnął go po plecach i wrócili do analizy tego, co pojawiło się na ekranie.

Żanin nie jest człowiekiem impulsywnym. Zawsze trzyma się ściśle planu, kierując się własnym poczuciem moralności i słuszności, niezależnie od tego, na ile i czy kłóci się ono z poczuciem innych. Patrz wycinki Z-1 7A i Z-27C z „Prawdy”.

Hood wyciągnął z pliku archiwalnego wskazane wycinki. Dowiedzieli się z nich, jak w 1986 roku Żanin popierał plany zwalczania gangów porywających zagranicznych przedsiębiorców w Gruzji, których autorem był wiceminister spraw wewnętrznych Abalja. To poparcie trwało nadal także po śmierci Abalji. Potem w rok później zyskał sobie wielu wrogów wśród partyjnej wierzuszki blokując dekret zaostrzający kary za znieważanie portretów Lenina.

Człowiek silnego charakteru, który...

- czytał podsumowanie Hood

...dotąd wyróżniał się skłonnością do przedkładania ryzykownych zagrań nad rozwagę.

- Ciekawe, czy jego skłonność do ryzyka może go popchnąć do udziału w tej awanturze? - zapytał Rodgers.

- Też się nad tym zastanawiam. W Gruzji nalegał na siłowe rozwiązanie kryzysu z zakładnikami.

- Prawda, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Jak to nie?

107

- Użycie siły dla przywrócenia porządku to nie to samo, co użycie siły dla realizacji swoich zamiarów - odparł generał. - Dla kogoś takiego jak Żanin bariera legalności działań jest przeszkodą trudną do przebycia.

- Tak, to by się zgadzało z tym, co wczoraj uradziliście w Gabinetcie Owalnym. Skoro to nie Żanin, zajmijmy się resztą.

Hood przeszedł do dalszej części opracowania Liz.

- Generał Wiktor Mawik - przeczytał.

- Mawik był jednym z autorów planu ataku na stację telewizyjną Ostankino w 1993 roku

- powiedział Rodgers. - Opowiedział się przeciw Jelcynowi, ale mimo to zachował stołek. Ma

bardzo wpływowych przyjaciół w rządzie i poza nim.

- Nie lubi działać w pojedynkę - przeczytał z ekranu Hood.

- A tu nasz drogi generał Rybakow. Liz pisze o nim per „szajbus”.

W czasie wojny w Afganistanie, zajmując wysokie stanowisko w sztabie, otwarcie wystąpił w obronie dwóch oficerów, których Gorbaczow zdjął ze stanowisk za wydanie rozkazu do ataku zakończonego niepotrzebnymi stratami. Gorbi wyrzucił wówczas i jego, a niewiele brakowało, żeby go oddał pod sąd. W końcu wysłali go do Afganistanu, gdzie powtórzył tę samą akcję, ale tym razem z diametralnie różnym skutkiem. Nie popuścił, póki nie zdobył obozu rebeliantów.

- Zdecydowanie trzeba go mieć na oku - podsumował Hood.

Kolejne nazwisko było świeżym dodatkiem do listy.

Minister spraw wewnętrznych Mikołaj Dogin. Nienawidzi kapitalistów. Zdjęcie D-1

przedstawiające go w czasie wizyty w Pekinie zrobiła CIA. Pojechał tam po dojściu Gorbaczowa do władzy, szukając pomocy starej gwardii w walce z nowym pierwszym sekretarzem. To było jeszcze wtedy, kiedy był merem Moskwy.

- Jest coś niepokojącego w was, byłych burmistrzach - zażartował Rodgers, wywołując uśmiech Hooda. Obaj pochyłili się nad ekranem, odczytując towarzyszącą zdjęciu notatkę z nagłówkami TAJNE. Napisano w niej, że kopie niniejszego zdjęcia przekazano Gorbaczowowi via ambasada w Moskwie.

- Dogin musiał mieć wspaniałe koneksje, skoro utrzymał się u władzy, po tym jak Gorbaczow dowiedział się o tym pasztecie - powiedział Rodgers, prostując się na oparciu.

108

- Tak - zgodził się Hood. - To takie układy, które nawiązuje się latami i które w końcu doprowadzają do utraty kontroli legalnie wybranej władzy nad podległymi jej służbami.

Zabrzmiał brzęczyk interkomu.

- Szefie, to ja, Bob Herbert.

Hood wcisnął guzik i drzwi otworzyły się z cichym pstryknięciem. Ujrzeli w nich podekscytowanego Herberta. Szef wywiadu podjechał, już z połowy pokoju rzucając im na stół dyskietkę. Kiedy się odezwał, wiedzieli, że to coś poważnego. Zawsze kiedy był

zmieszany, zdziwiony albo niezadowolony, jego dialekt znad Missisipii brał górę nad poprawną angielszczyzną.

- Coś się tam u nich ruszyło o ósmej ich czasu - powiedział. - Coś naprawdę dużego.

- Ale co? - zapytał Hood, patrząc na dyskietkę.

- Sam jeszcze nie wiem, ale ni stąd, ni zowąd zrobiło się ich wszędzie mnóstwo, a jeszcze więcej jest w drodze. - Wskazał palcem na dyskietkę. - Puśćcie ją.

Hood załadował dyskietkę i przekonał się, że Herbert miał naprawdę powody do zdenerwowania. Samoloty z Orenburga skierowano nad ukraińską granicę. We Flocie Bałtyckiej ogłoszono stan gotowości bojowej, podobno w ramach ćwiczeń. Czterem satelitom serii *Sokół* zmieniono rejony dozoru z Niemiec na wschód.

- Wygląda na to, że nagle zainteresowali się Polską i Ukrainą - mruknął Rodgers, odczytując nowe koordynaty zapisane w rozkazie dla satelitów.

- Jeszcze jedna ciekawostka z tymi satelitami, panowie. O dwudziestej czasu moskiewskiego ucichło centrum koordynujące systemu rozpoznania satelitarne w Bajkonurze.

- Tylko stacja? A satelity nie?

- Satelity nie.

- To gdzie do cholery idą te dane?

- Nie jesteśmy tego na sto procent pewni, ale - i tu się dopiero robi ciekawie -

jednocześnie wzrosły odczyty promieniowania elektromagnetycznego w Sankt Petersburgu. O

tej porze zaczęło nadawać to studio telewizyjne w Ermitażu, więc może to tylko zbieg okoliczności.

- Ale raczej nie stawiałbyś na to zbyt dużych pieniędzy, co?

Herbert pokręcił głową.

- No to robi się tak, jak mówił Ekdols - mruknął Rodgers znad ekranu. - Miało być coś wojskowego i proszę, jest. Cwanie to rozegrali. Każde z tych wydarzeń brane oddzielnie nie odbiega od normy i łatwo je wyjaśnić, no może poza tą historią z satelitami. Bo przecież 109

przerzuty zapasów i sprzętu zza Uralu to nic nadzwyczajnego, manewry na granicy z Ukrainą odbywają się regularnie co dwa lata, właśnie o tej porze, a Flota Bałtycka ćwiczy praktycznie bez przerwy.

- Chodzi ci o to, że gdybyśmy nie wiedzieli co jest grane, nikt by na to nie zwrócił

uwagi? - uściślił Hood.

- Właśnie.

- Jednego nie mogę zrozumieć - zasepił się Hood. - Jak to możliwe, żeby działania na taką skalę możliwe były bez wiedzy i zgody Żanina?

- No cóż, wiesz chyba lepiej niż kto inny, że przywódca jest wart tylko tyle, co jego wywiad.

- Ale wiem też, że tajemnica o której w Waszyngtonie wiedzą dwie osoby, nie jest już tajemnicą. Chyba na Kremlu poczta pantoflowa działa równie sprawnie.

- Nie zgadzam się - wtrącił Herbert. - U nas nie jest tajemnicą sprawa, o której wie już jeden człowiek.

- O czymś zapomnieliście - odparł Rodgers. - Sawczuk. Ktoś taki jak on mógłby bez trudu uszczelnić kanały informacyjne pieniędzmi i strachem. Poza tym, niewykluczone, że Żanin wie o części z tych posunięć, ale nie ogarnia całości. Być może Mawik i Rybakow namówili go do wykonania kilku ruchów, wmawiając mu, że w ten sposób znajdzie zajęcie paru wojskowym, żeby nie mieli czasu na głupie myśli.

- To by było Doginowi na rękę - uzupełnił Herbert. - Gdyby coś poszło nie tak, to pod rozkazami będzie widniał podpis Żanina, a nie jego. W ten sposób każdy będzie w tym umoczony.

Hood pokiwał głową i wyszedł z pliku.

- A więc to Dogin stoi za tym wszystkim, a to coś w Sankt Petersburgu to jego piaskownica - podsumował.

- Tak - potwierdził Herbert. - A Iglica ma wkrótce zacząć obwąchiwać jego babki.

Hood dalej wpatrywał się w wygaszony ekran.

- O trzeciej ma nadejść raport Interpolu - powiedział. - Usiądziecie wtedy nad planami Ermitażu i spróbujecie wymyślić, jak się tam dostać.

- Tak jest - odpowiedział krótko Rodgers.

- Kazałem zespołowi taktycznemu zastanowić się nad planami przerzutu zespołu nad Newę. W grę wchodzi: zrzut spadochronowy, desant z łodzi motorowych albo miniaturowego okrętu podwodnego. Posadziłem nad tym Dona Limbosa, bo już wcześniej zajmował się forsowaniem rzek. Georgia Mosley z zaopatrzenia sprawdza co da się znaleźć dla nich w Helsinkach.

110

- Czyli wariant z turystami odpadł? - zapytał Hood.

- Raczej tak - odparł Herbert. - Rosjanie nadal bardzo pilnują zagranicznych turystów, dokonują rewizji w hotelach, fotografują podejrzanych w muzeach, autobusach i innych miejscach. Nawet jeśli nasi ludzie mieliby tam nigdy nie wrócić, lepiej żeby nie mieli ich zdjęć w archiwach.

Rodgers spojrział na zegarek.

- Paul, idę zajrzeć do zespołu taktycznego. Mówiłem Squiresowi, że dostanie plan przed lądowaniem... to będzie koło czwartej naszego czasu.

- Dziękuję za wszystko, Mike - odparł dyrektor.

- Do usług - powiedział generał, wstając. Rzucił okiem na globus stojący na biurku dyrektora. - Oni się nigdy nie zmieniają - westchnął.

- Kto? - zapytał Hood.

- Tyrani. Churchill mawiał, że dla niego Rosja to zagadka spowita tajemnicą, niknącą w mrokach niewiedzy, ale ja tu widzę historię starą jak świat. Banda żądnych władzy typów, którym wydaje się, że lepiej od ludzi wiedzą, co dla nich dobre.

- To dlatego powstało nasze Centrum. Żeby im powiedzieć, że nic nie zdobędą bez walki - odparł Hood.

- Panie dyrektorze - powiedział Rodgers spoglądając na Hooda z uśmiechem - podoba nam się ta odpowiedź. Mnie i generałowi Gordonowi.

◆ Wtorek, 5.51 - wyspa Sachalin

Wyspa Sachalin to ciągnący się przez dziewięćset kilometrów skalisty pas lądu, z rybackimi wioskami i majestatycznymi sosnowymi lasami na wybrzeżach, kopalniami węgla i obozami zesłańców pamiętającymi jeszcze Romanowych, wewnątrz z rzadka przecinany kamienistymi traktami i jeszcze rzadziej asfaltowymi drogami, wzdłuż których znaleźć można mnóstwo kopczyków z krzyżami, na których najpowszechniejsze nazwisko to „Nieznany”.

Sachalin leży o jedną strefę czasową na zachód od linii zmiany daty, bliżej stąd do mostu Golden Gate w San Francisco niż do Kremla. Kiedy w Moskwie jest południe, tu wybija godzina dwudziesta. Przez długie lata szukali tu spokoju i izolacji przywódcy odpoczywający w górskich domach i pustelnicy, szukający w odosobnieniu drogi do Boga.

Od wielu dziesięcioleci Rosjanie utrzymywali tu bazę wojskową w Korsakowie, na południowo-wschodnim krańcu wyspy, w pobliżu Wysp Kurylskich, ciągnących się od Kamczatki do północnego krańca Hokkaido. Rosjanie zajęli je w 1945 roku i od tej pory są one przyczyną napięcia między oboma krajami.

Warunki życia w bazie w Korsakowie są iście spartańskie. Cała baza składa się z pasa startowego, małego portu i czterech budynków koszarowych, w których stacjonuje pięciuset marynarzy, pułk piechoty morskiej i oddział Specnazu Floty Pacyfiku. Głównym zadaniem bazy jest patrolowanie obszaru z powietrza i morza, oraz przechwytywanie japońskich transmisji radiowych i nadzór nad połowami japońskich tuńczykowców.

Dwudziestotrzyletni podporucznik Nikita Siergiejewicz Orłow siedział za swoim biurkiem w budynku dowództwa bazy, umieszczonym na wzgórzu z widokiem na morze i bazę. Jego ciemne włosy były krótko przycięte, jedynie nad czołem została niewielka grzywka. Jego kwadratowa szczęka miarowo poruszała się na boki, jakby zgrzytał zębami, a czujne brązowe oczy jaśniały, gdy czytał raport poprzedniej zmiany, co chwila wyglądając za okno.

Uwielbiał wstawać jeszcze przed świtem, czytać napływające raporty, by dowiedzieć się co się działo, podczas gdy on spał, a potem podziwiać wschód słońca nad Sachalinem, jego promienie przebijające się przez linię horyzontu i biegnące po falach w kierunku portu.

Kochał widok świata budzącego się ze snu do nowego dnia życia, choć teraz ten dzień nie był

już kolejnym dniem trwania i krzepnięcia najpotężniejszego imperium, jakie znała historia świata, jego ukochanej ojczyzny, Związku Radzieckiego.

Mimo tego zawodu, kochał swój kraj równie gorąco jak wtedy, gdy był pionierem, a potem kadetem. Kochał nawet Sachalin, tę śmierdzącą dziurę, do której zesłano go dzień po promocji, by pozbyć się go z Moskwy po tej aferze z malowaniem haseł, żeby nie kalał sławy swego ojca. Siergiej Orłow był bohaterem, nauczycielem młodych, odważnych pilotów, oknem wystawowym Rosji na

międzynarodowych konferencjach i sympozjach. A jego syn Nikita, był radykałem, reakcjonistą, który wzdychał do tamtych dni... zanim Afganistan 112

zniszczył morale armii, Czarnobyl poczucie bezpieczeństwa obywateli, a *glasnost* i *pierestrojka* podstawy bytu państwa i wreszcie samo państwo.

Ale to już przeszłość. Tu przynajmniej czuł się potrzebny, miał styczność z nieprzyjacielem. Jego przełożony, kapitan Leszew. po trzech latach dowodzenia tutejszą jednostką Specnazu, miał wyraźnie dosyć. W tej chwili znajdował się w takim stanie ducha, że jedynie czym mógł się zajmować, to organizacja zawodów strzeleckich, które uwielbiał i w których i tak miał murowane pierwsze miejsce, bo z nudów stał się znakomitym strzelcem.

Dzięki temu większość jego obowiązków spadła na Orłowa, który palił się do służby, wciąż wierząc, że Rosja będzie kiedyś musiała znowu skrzyżować szpady z Japonią. Oczywiście wyobraźni widział siebie na czele oddziałów odpierających japońską inwazję na Sachalin.

Rosja miała też, według niego, wciąż otwarte rachunki ze Stanami Zjednoczonymi.

Związek Radziecki pokonał Japonię w 1945 roku i w nagrodę otrzymał Kuryle, ale zimną wojnę z Ameryką przegrał i z tym rosyjski naród, a w każdym razie Orłow, nie mógł się pogodzić. Wyszukanie, jakie odebrał w Specnazu, umocniło w nim przekonanie, że wroga należy zniszczyć, a nie tylko pokonać. Żołnierze nie powinni być uwikłani w sieć etycznych, dyplomatycznych i moralnych rozterek. Był przekonany, że inni też tak myślą, więc wysiłki Żanina, by zrobić z nich społeczeństwo konsumpcyjne spala na panewce, tak jak było z Gorbaczowem. Upadek tej próby duchowego wykastrowania narodu spowoduje zaś, że odrodzony kraj zrzuci dyktat bankierów i ich marionetek z Waszyngtonu, Londynu i Berlina.

Nabrał na bibułkę świeżego tytoniu z wczorajszej dostawy i skrzył papierosa, spoglądając na pierwsze promienie słońca, przebijające się nad ciemną powierzchnię morza.

Czuł się częścią tej ziemi, każdego wschodu słońca nad nią, tak bardzo, że mógłby chyba zapalić tego skrzyta od jego promieni. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, prezent od ojca z okazji zakwalifikowania się do akademii. Pomarańczowy ognek oświetlał dedykację na boku: NIKIEMU Z WYRAZAMI MIŁOŚCI I DUMY - OJCIEC. Zaciągnął się i wrzucił

zapalniczkę z powrotem do kieszeni nienagannie wyprasowanej koszuli.

Miłość i duma. A co by kazał wyryć na prezencie z okazji promocji, gdyby mu go dał? Z

WYRAZAMI WSTYDU I ZAKŁOPOTANIA? Albo teraz, gdy wylądował tu, z dala od ojca, ale blisko prawdziwego wroga? Może: Z WYRAZAMI ROZCZAROWANIA I ZMIESZANIA?

Zadzwonił telefon. Lampka mówiła, że to z punktu łączności u stóp wzgórza. Nikita siedział w gabinecie sam. dyżurnego nie było, więc sam podniósł wąską czarną słuchawkę.

- Sachalin jeden. Orłow, słucham.

- Dzień dobry.

Nikitę замуrowało na chwilę.

- To ty, tato?

- Tak, Niki. Jak się czujesz?

- W ogóle dobrze, ale teraz trochę zaskoczony... - przerwał nagle, zdjęty przerażeniem. -

Czy to mama...

113

- Nie, wszystko w porządku - uspokoił go generał. - U nas po staremu.

- Cieszę się. No wiesz, tyle miesięcy nic i nagle dzwonisz, myślałem, że coś się stało.

Teraz po drugiej stronie zapadła cisza.

W oczach Nikity miejsce radości o poranku powoli zastępował wyraz zapiekłej goryczy.

Zaciągał się głęboko papierosem, wracając myślami do wydarzeń sprzed czterech lat.

Pamiętał wyraz wstydu i gniewu na twarzy generała, gdy go aresztowano za to, co zrobił w tym kościele. On, bohater kosmosu, którego wszyscy rozpoznawali na ulicy, wstydził się teraz wyjść między ludzi. A potem swoją ulgę, gdy pułkownik Rosski, on, a nie jego wpływowy ojciec, który nawet palcem nie kiwnął w jego obronie, załatwił sprawę z dnia na dzień, wyciszając ją na dobre, by młody Orłow mógł dokończyć naukę ukarany zaledwie tygodniem służby poza kolejnością. Jego ojciec-bohater przyjechał wtedy do akademii i palnął mu mowę na temat tego, że nienawiść jest hańbą i niszczy ludzi i narody. Koledzy milczeli, ale gdy stary Orłow zamknął za sobą drzwi, ich ulubioną rozrywką stała się zabawa w Nikitę i Siergieja.

Zadaniem „Siergieja” było zgadnąć, gdzie „Nikita” wymalował w nocy obraźliwe hasła, a

„Nikita” dawał mu wskazówki „ciepło-zimno”. Ich głosy i śmiechy do dziś dźwięczały mu w uszach.

- Ambasada USA?

- Zimno.

- Biuro Japońskich Linii Lotniczych na Szeremietiewie?

- Lodowato.

- Męski kibel w szkole im. Kirowa?

- Ciepło, ciepło?

Wspomnienia przerwał głos generała.

- Nikita, chciałem do ciebie wcześniej zadzwonić, ale do tej pory nasze rozmowy zawsze kończyły się kłótnią. Miałem nadzieję, że z czasem ci trochę przejdzie.

- A czy tobie z czasem przeszła arogancja, ta niebotyczna pogarda dla tych tam mrówek w dole, które potrafią tylko grzeszyć?

- To nie loty w kosmos nauczyły mnie, że naszą ojczyznę można zniszczyć od wewnątrz równie skutecznie jak od zewnątrz. Tego nauczyli mnie ludzie na Ziemi, którym ambicja poprzestawiała w głowach.

- Ciągłe taki święty i naiwny, mój Boże!

- A ty ciągle w gorącej wodzie kąpany i najmądrzejszy z całej wsi.

- Tak - podsumował Nikita. - No więc zadzwoniłeś i okazało się, że wszystko po staremu.

114

- Nie dzwonię po to, żeby się kłócić.

- Tak? No to po co? Może testujesz zasięg tego waszego nowego studia telewizyjnego, co?

- Nie, Niki. Dzwonię, bo potrzebuję dobrego oficera do wysłania w misję specjalną.

Nikita wyprostował się w krześle.

- No co? Jesteś zainteresowany? - zapytał generał, nie wiedząc, jak ma interpretować przedłużającą się ciszę.

- Jeżeli to dla Rosji, a nie dla uspokojenia twojego sumienia, to tak.

- Wybrałem ciebie, bo jesteś odpowiednim oficerem do wykonania tego zadania i jesteś na miejscu. Nic innego mną nie powodowało.

- Jestem gotów.

- Za godzinę dostaniesz rozkazy za pośrednictwem kapitana Leszewa. Zostaniesz odkomenderowany na trzy dni do mojej dyspozycji. Wraz ze swoim pododdziałem macie się zameldować we Władywostoku do godziny jedenastej.

- Tak jest - odpowiedział Nikita, wstając. - Czy to oznacza, że wróciłeś do służby czynnej?
 - Dowiedziałeś się już wszystkiego, co ci niezbędne na początek.
 - Tak jest - skwitował Nikita i szybko pociągnął dym z papierosa.
 - Uważaj na siebie, Niki. Kiedy będzie już po wszystkim, może spotkamy się znowu w Moskwie i zaczniemy znów od nowa?
 - To jest myśl. I może zaproszę znowu kolegów z akademii. Bez nich to nie będzie to.
 - Na osobności w ogóle byś mnie wtedy nie słuchał...
 - Poza tym, gdyby to nie było przy wszystkich, nikt by nie wiedział, jak chwacko oczyściłeś ród Orłowów z hańby - dokończył Nikita.
 - Zrobiłem to, żeby i inni mogli się w przyszłości ustrzec popełnienia tych samych błędów.
 - Moim kosztem. Dziękuję ci bardzo, ojcze - zdusił niedopałek w popielniczce. -
- Przepraszam cię bardzo, ale jeżeli mam zdążyć na jedenastą, muszę już kończyć tę pogawędkę. Pozdrów ode mnie matkę i pułkownika Rosskiego.
- Pozdrowię. Do widzenia.

115

Nikita odłożył słuchawkę i popatrzył na wschodzące słońce. Irytowało go, że ojciec niezdolny jest do zrozumienia tego, co wiedzieli wszyscy, że wielkość Rosji jest w jej unifikacji, nie różnorodności, że, jak uczył pułkownik Rosski, chirurg wycinający chorą tkankę robi to, by wyleczyć pacjenta, a nie zadać mu ból. Wybrali go na kosmonautę, bo był

zrównoważony, odważny, kochał ludzi, bo taki człowiek idealnie nadawał się na wzorec dla uczniów, wizytówkę pokój miłującego kraju, przedstawianą zagranicznym dziennikarzom i idola dla smarkaczy marzących o bohaterskich wyczynach w powietrzu. Ale prawdziwa Rosja potrzebowała kogo innego, bojownika takiego jak on i jego mentorzy, aby podźwignąć się z upadku, przebudować, oczyścić i naprawić błędy minionych dziesięcioleci.

Zebrał czapkę z wieszaka, poinformował oficera dyżurnego o tym, gdzie się udaje i wyszedł, wciąż rozmyślając nad błędami ojca, ale i ciekaw, co też generał Orłow zaplanował

dla swego syna.

116

♦ **Poniedziałek, 14.53 - ponad Atlantykiem, na północny zachód od Hiszpanii** Wnętrza transportowca *C-141B Starlifter* nie zaprojektowano z myślą o komforcie. Jego konstrukcję tworzą z myślą o tym, by ważyła jak najmniej i przewoziła jak największe ładunki jak najdalej. Brezentowa oponcza osłaniająca nagie podłużnice prawie wcale nie tłumiła ryku silników, a wręgi w świetle gołej żarówki pod sufitem rzucały długie cienie.

Pasażerowie mieli do dyspozycji drewniane ławki z cienkimi gąbkowymi poduszkami do siedzenia. Kiedy zaczynało bujać, poduszki często wyslizgiwały się spod pasażerów, przypiętych pasami.

Na ławkach było miejsce dla dziewięćdziesięciu żołnierzy, ale w razie potrzeby *C-141B*

mógł ich zabrać nawet trzystu. Teraz, gdy na pokładzie było zaledwie ośmiu pasażerów plus trzech członków załogi: pilot, drugi pilot i nawigator, pułkownik Squires czuł się jak w pierwszej klasie. Mógł rozprostować swoje długie nogi, podłożył sobie dwie poduszki pod siedzenie i nawet, choć to już rozpusta, jeszcze trzecią pod plecy. Przede wszystkim, w ładowni nie śmierdziało. Poprzednio, gdy członkowie Iglicy ruszali do akcji w towarzystwie zespołu wsparcia z pięcioma owczarkami niemieckimi, powietrze w ładowni szybko napełniało się zapachami rozsiewanymi przez stłoczonych, pocących się ludzi i zwierzęta.

Po kilku godzinach lotu, Squires mógł zacząć doceniać luksusy, w jakie opływali w tym locie. Pierwszą godzinę spędził z sierżantem Chickiem Greyem i szeregowym Davidem Georgem na sporządzaniu spisu sprzętu, którego mogą potrzebować. Następne dwie godziny zeszły mu z szeregową Sondrą DeVonne na przeglądaniu planów Helsinek i Sankt Petersburga, zapisanych w pamięci laptopa. Potem poszedł w ślady reszty i przespał kolejne cztery godziny.

Kiedy się obudził, George podał mu posiłek odgrzany w kuchence mikrofalowej i kubek czarnej kawy. Reszta była już godzinę po obiedzie.

- Muszę pogadać z generałem Rodgersem, żeby dali nam jakieś lepsze żarcie -

powiedział Squires, otwierając styropianowe pudełko, zawierające porcję indyka, kartofle, groszek i kukurydziane ciastko. - Potrafimy zbudować rakiety, zdolne omijać drzewa i przeskakiwać góry, a potem trafiać przez komin prosto w tyłek, a jedzenie mamy zupełnie jak w jakichś zafajdanych liniach lotniczych.

- To i tak lepsze od tego, co ojciec opowiadał, że dostawali w Wietnamie, sir - odparł

szeregowy George.

- Może i tak, ale co by im szkodziło dać nam porządny ekspres do kawy. Cholera, zapłaciłbym już nawet za niego z własnej kieszeni. W końcu nie zabierze dużo miejsca, a obsługa jest tak prosta, że nawet oficer piechoty by sobie poradził.

- Jeszcze pan nie pił mojej kawy, panie pułkowniku - powiedziała Sondra, podnosząc oczy znad „Wichrowych wzgórz”. - Kiedy jestem w domu, mama i tata trzymają ekspres pod czujną strażą.

- A jakiej kawy używasz? - zapytał Squires.

Sondra spojrzała na niego swymi brązowymi oczami, doskonale wkomponowanymi w jej owalną twarz. Jej głos nabrał dziwnego, gardłowego akcentu, pozostałości po dzieciństwie spędzonym w Algierii, jak zawsze gdy była czymś zakłopotana.

- Jak to jakiej? Jaką się da kupić.

- O, i tu jest problem. Moja żona kupuje świeżą ziarnistą. Trzymamy ją w zamrażarce, a rano mielimy. Smakuje wtedy czekoladą i malinami.

- Kawa? Czekoladą i malinami?

- Tak. Tylko trzeba mieć ekspres, który kawę porządnie zaparza i trzeba zdjąć dzbanek zaraz po zaparzeniu. A pić ją trzeba bez mleka ani cukru, bo z nimi każda kawa smakuje tak samo.

- Tyle zachodu, żeby wypić filiżankę kawy... - Sondra nie była przekonana.

Squires wskazał nożem na jej książkę.

- Czytasz siostry Brontë. To stare jak świat. Dlaczego nie kupujesz sobie tych seryjnych romansów z supermarketu?

- Bo to jest literatura, a tamte to tylko popłuczyny.

- A widzisz! I to samo jest z kawą - zakończył Squires, nabierając trochę indyka na plastikowy widelec. - Skoro to nie oryginał, to nie ma sensu tracić czasu.

- Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że potrzebowałam mnóstwo kofeiny, żeby po czytaniu Tomasza Manna czy Jamesa Joyce'a do czwartej, o dziewiątej być w szkole jak zwykle.

- Ja mam lepszy sposób - wymamrotał przez pełne usta pułkownik.

- Jakiż to?

- Pompki. Zrobisz sto zaraz po wyjściu z łóżka i jesteś trzeźwiejszy niż po kofeinie.

Poza tym, jak ktoś na dzień dobry machnie sto pompek, to potem reszta dnia to kaszka z mlekiem.

Kiedy tak rozmawiali, z tylnej części kadłuba podszedł do nich radiooperator zespołu, szeregowy

Ishi Honda. Niewysoki, chłopięcy Honda, weteran Iglicy, mistrz judo, syn Hawajki i Japończyka, zajmował się łącznością zespołu w czasie gdy szeregowy Puckett, ranny w Korei, dochodził do siebie. Honda zasalutował i podał Squiresowi słuchawkę radiostacji *TAC-SAT*, którą miał na plecach.

118

- Sir, generał Rodgers do pana.

- Dziękuję - powiedział Squires, pośpiesznie przełykając indyka. - Squires, słucham.

- Panie pułkowniku, wygląda na to, że będziecie podążać prosto do celu, bez tej zabawy w turystów.

- Rozumiem.

- Przed lądowaniem wysłaliśmy szczegóły dotyczące punktu wyjściowego, transportu, lądowania i koordynacji w czasie, ale nadal nie wiemy czego właściwie macie szukać. W

raporcie będzie wszystko, co wiemy, łącznie z miejscem, gdzie zginął Brytyjczyk. Rosjanie złapali już jednego z jego informatorów, a drugi się ukrywa.

- Nie biorą jeńców.

- Zgadza się. No i sam nie wiem, jak wam to powiedzieć, będziecie mieli dodatkowego członka zespołu. To brytyjski agent z imponującym dorobkiem.

- Znam go?

- To kobieta. Nie, na pewno się nie znacie, ale my mamy jej kartotekę. Zresztą każę Herbertowi dołączyć jej kopię do raportu taktycznego. Przyślijcie McCaskeyowi listę sprzętu do forsowania przeszkód wodnych. Gdyby czegoś brakowało, załatwi wam to w Helsinkach.

Charlie?

- Tak?

- Przekaż wszystkim życzenia powodzenia.

- Tak jest - odparł Squires i rozłączył się.

119

◆ **Poniedziałek, 23.00 - Sankt Petersburg**

- Trzy, dwa, jeden. Rozruch zakończony.

Nikt nie przywitał tego komunikatu oklaskami, nie było uśmiechów. Generał Orłow kiwnięciem głowy skwitował meldunek, nie przerywając powolnego spaceru wzdłuż stanowisk operatorów. Odliczanie poszło bez problemu, a dla większości techników był to koniec długiego dnia. Dla Orłowa ten dzień dopiero się zaczynał. Zażądał dostarczenia mu wszelkich danych, które miały nadejść w ciągu najbliższej godziny. Chciał je omówić ze wszystkimi szefami oddziałów, z szefem rozpoznania satelitarnego, meteorologiem, ludźmi od podsłuchów komunikacji radiowej i telefonów komórkowych, koordynatorami operacji terenowych, kryptografami, specjalistą od komputerów, od zobrazowania i od przechwytywania. Chciał spotkać się z szefami działów nocnej zmiany od szesnastej do północy, zespołu, który miał najcięższą pracę, bo w tych godzinach w USA pracuje dzienna zmiana, od ósmej do szesnastej. Wezwał też ich zastępców, kierujących działami na porannej (północ do ósmej) i dziennej (ósma-szesnasta) zmianie. Przy spotkaniach miał być obecny Rosski, w podwójnej roli zastępcy dyrektora i łącznika z siłami zbrojnymi. Rosski odpowiadał w tej drugiej roli nie tylko za przekazywanie informacji oddziałom wywiadu wojskowego, ale kierował też zespołem specnazu przydzielonym do Ośrodka.

Orłow zmierzył wzrokiem pułkownika Rosskiego, stojącego za konsolą podporucznika Iwaszyna. Ręce pułkownika założone były na plecach, widać było, że podoba mu się tutaj.

Przypominał Orłowowi Nikitę podczas jego pierwszej wizyty w Gwiezdnym Miasteczku, gdy pokazywał mu rakiety i statki kosmiczne. Chłopak był tak zachwycony, że nie wiedział, na co najpierw patrzeć. Orłow wiedział, że to się wkrótce skończy.

Gdy tylko ogłoszono osiągnięcie pełnej zdolności operacyjnej Ośrodka, generał

podszedł do Rosskiego. Pułkownik po chwili zwłoki odwrócił się i zasalutował, niezbyt spieszenie.

- Pułkowniku, chciałbym, żebyście mi zlokalizowali dokładnie syna. Wszystko będzie kodowane, nie trzeba nic wpisywać do dziennika.

Roski zawahał się przez moment, widać było, że nie bardzo rozumie o co chodzi Orłowowi.

- Tak jest - odpowiedział w końcu. Kazał Iwaszynowi przekazać do centrum łączności, żeby skontaktowali się z bazą na Sachalinie i zapytali sierżanta Nogowina o wiadomości na temat podporucznika Orłowa. - Depeszę wysłać w kodzie 2-5-3 - zakończył.

Przed upływem dwóch minut Iwaszyn pojawił się z odpowiedzią, którą szybko odkodował w swoim komputerze. Roski pochylił się nad ekranem, i wciąż z rękami na plecach, zaczął odczytywać meldunek znad ramienia Iwaszyna.

- Podporucznik Orłow, Nikita Siergiejewicz, wraz ze swym pododdziałem w sile dziewięciu żołnierzy Specnazu, zgodnie z rozkazem przybył do Władywostoku i oczekuje dalszych rozkazów - Rosski odwrócił się w napięciu. - Panie generale, czy to jakieś ćwiczenia?

- Nie. Pułkowniku, to nie żadne ćwiczenia.

Szczęka Rosskiego kilka razy poruszyła się na boki. Orłow przyglądał mu się bez satysfakcji, by upewnić się, że jest na tyle mądry, by nie ryzykować okazania niesubordynacji w miejscu publicznym, żądając wyjaśnień od przełożonego, dlaczego wyłączono go z realizacji operacji natury wojskowej. Rosski czuł się upokorzony, ale zachował milczenie.

- Proszę do mojego gabinetu, pułkowniku - powiedział Orłow, odwracając się. -

Wprowadzę was tam w szczegóły zadań wyznaczonych zespołowi Specnazu z Sachalina.

Zza pleców usłyszał stuk obcasów pułkownika. Za chwilę obaj weszli do gabinetu generała, który usiadł za biurkiem i patrzył na wyprężonego przed nim Rosskiego.

- Wiadomo wam o przesyłce dla ministra Dogina na pokładzie prywatnego samolotu lecącego do Władywostoku? - zapytał.

- Tak jest.

- I z tym właśnie jest kłopot. Mają awarię silnika, nie mogą kontynuować lotu. Z

powodu złej pogody i braku samolotów, rozkazałem przeładować przesyłkę do pociągu, który kontradmirał Pasenko, jak mnie poinformował, ma w dyspozycji i oddaje na nasze potrzeby.

- Ale przecież pociąg z Władywostoku będzie jechał do Moskwy cztery albo i pięć dni...

- zaczął Rosski.

- Przecież nie mam zamiaru wieźć jej pociągiem! Chcę tylko, żeby dojechali z Władywostoku gdzieś, gdzie da się dolecieć samolotem. Myślałem, że śmigłowiec z lotniska Bada mógłby przejąć przesyłkę w okolicach Biry. To tylko dziewięćset kilometrów od Władywostoku, ale wystarczająco na zachód, by znaleźć się poza zasięgiem frontu burzowego.

- Widzę, że załatwił pan, generale, bardzo wiele. Czy mógłbym być w czymś pomocnym?

- Tak, pułkowniku. Po pierwsze, chciałbym, żebyście mi powiedzieli, skąd wiecie o przesyłce ministra.

- Od samego ministra - odparł Rosski, jakby mówił o czymś oczywistym.

- Kontaktował się z wami osobiście?

- Tak jest. Wy wtedy byliście w domu, na obiedzie.

Generał obrócił się z fotelem do klawiatury i wywołał dziennik służby.

121

- Rozumiem, że sporządziliście w dzienniku notatkę z tej rozmowy, żebym mógł się z nią zapoznać po powrocie?

- Nie, panie generale.

- A dlaczegoż to nie, pułkowniku? Za bardzo byliście zajęci?

- Panie generale, pan minister polecił, by nie umieszczać o tym notatki w dokumentach Ośrodka.

- Minister polecił! - wybuchł Orłow. - Czyż nie wiadomo wam, że polecenia przełożonych powinny być zapisywane w dzienniku?!

- Wiadomo, panie generale.

- Hołdujcie więc może jakiemuś nowemu zwyczajowi, że polecenia władz cywilnych są ważniejsze od rozkazów przełożonych?!

- Nie, panie generale.

- Ja przemawiam w imieniu Ośrodka, bo ja jestem dowódcą samodzielnej jednostki pracującej dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych i dla rządu. A wy? Czy łączą was jakieś specjalne więzi z ministrem spraw wewnętrznych?

Roski milczał przez chwilę.

- Nie, panie generale. Nie łączą.

- To dobrze, bo jeśli będzie miał miejsce jeszcze jeden taki incydent, jak te dwa dzisiaj, to każę was stąd przenieść. Jasne?

Szczęka Roskiego wolno poruszała się w górę i w dół.

- Tak jest, jasne - odpowiedział po chwili.

Orłow głęboko nabrał powietrza i zaczął przeglądać dziennik. Wiedział, że pułkownik nie oprze mu się przy ludziach, jego powściągliwość była możliwa do przewidzenia. Ale zapędził go do narożnika, a teraz miał zamiar jeszcze bardziej go przycisnąć.

- Czy minister mówił wam, jaka jest zawartość przesyłki?

- Nie, nie mówił, panie generale.

- Czy ukrylibyście taką wiadomość przede mną, gdyby polecił wam to minister?

- Nie wtedy, gdyby to miało związek z naszymi zadaniami, panie generale -

odpowiedział Rosski, patrząc Orłowowi w oczy.

Orłow nic nie powiedział, przeglądając dziennik w poszukiwaniu własnej notatki z rozmowy z Doginem. Pamiętał godzinę, ale pod „20.11” nie było żadnego zapisu.

122

- Coś nie w porządku, panie generale? - zapytał Rosski.

Orłow przejrzał dziennik raz jeszcze, by się upewnić, że to nie luka w pamięci.

Zachowując kamienną twarz, wewnątrz aż się zagotował, gdyż w całym pliku ani razu nie natrafił na słowo *Gulfstream*. Przyjrzał się z uwagą twarzy pułkownika. Zauważył na niej odprężenie i ślady satysfakcji, które mówiły same za siebie: to on usunął zapis o przesyłce.

- Nie - odparł spokojnie. - Wszystko w porządku. Musiałem pomylić pozycje, ale zaraz wprowadzę moją notatkę z powrotem. - Usiadł wygodniej. - Myślę, że straciłem na to już wystarczająco dużo czasu. Ufam, że mój punkt widzenia jest dla was jasny.

- Tak jest.

- Chciałbym, żebyście poinformowali o tym ministra Dogina, a także, byście osobiście objęli dowództwo nad operacją. Mój syn was poważa, i wierzę, że będzie wam się obu znów współdziałało równie dobrze, jak poprzednio.

- Tak jest, panie generale. To dobry oficer.

Zadzwonił telefon. Generał sięgnął po słuchawkę, dając ręką znak, że uważa sprawę za zamkniętą. Rosski wyszedł, oglądając się przy zamykaniu drzwi.

- Tak? - zapytał Orłow.

- Panie generale, tu Żyłasz. Czy możecie przyjść do centrum łączności?

- Co się stało?

- Antena odbiera skompresowaną transmisję. Wysyłamy ją do rozszyfrowania, ale pomyślałem, że

coś może się stać, zanim zdążą złamać szyfr.

- Już idę.

Orłow wstał i wyszedł, nawet nie próbując ponownie wpisywać wiadomości o *Gulfstreamie*. Po co, Rosski i tak znowu ją wymaże, pomyślał. Poczłł gniew na myśl, że spotkanie, które w jego zamiarze miało osadzić pułkownika na dobre, zdołało jedynie utwierdzić jego podejrzenia, że to Dogin i Specnaz rządzą Ośrodkiem, a on jest jedynie figurantem.

Słowa pułkownika wróciły z oddali: „Nie wtedy, gdyby to miało związek z naszymi zadaniami”. W ciągu zaledwie kilku godzin zataił przed nim śmierć obcego agenta i sprawę *Gulfstreama*. Ośrodek był jednym z potężniejszych centrów wywiadowczych na świecie. Nie mogą pozwolić, by Rosski i Dogin przekształcili go w swoje prywatne poletko, ale też na razie nic jeszcze nie mogą zrobić, pomyślał.

Kosmos nauczył go, że trzeba zachować chłodną głowę, gdy pod tyłkiem się gotuje. Ci dwaj na razie nie byli jeszcze dość blisko, żeby zrobiło się gorąco.

Tak czy inaczej, miał w Ośrodku robotę do wykonania i żaden pułkownik ani megaloman nie mógł go od tego powstrzymać. Wcisnął się z trudem do zatłoczonej kabiny 123

radiowej, zadymionej jeszcze bardziej niż poprzednio. Żyłasz siedział z uniesioną głową, oczy miał utkwione w niewidoczny punkt, gdy pilnie wsłuchiwał się w coś płynącego ze słuchawek. Po chwili zdjął je i spojrzał na Orłowa.

- Panie generale - powiedział, wyciągając z ust papierosa - namierzyliśmy dwie skompresowane transmisje szyfrowane, co do których podejrzewamy, że mają ze sobą związek. Pierwszą z nich skierowano z Waszyngtonu do samolotu lecącego nad Atlantykiem, drugą do Helsinek z tego samego nadajnika. - Zaciągnął się dymem i zdusił niedopałek. -

Przyjrzeliliśmy się z satelity temu samolotowi. To nieoznakowany *C-141B Starlifter*.

- Wielki transportowiec - w zamyśleniu powiedział Orłow. - Zmodyfikowany *C-141A*.

Dobrze znam ten typ.

- Tak też myślałem - uśmiechnął się Żyłasz, wyciągając z paczki nowego papierosa. -

Ten *Starlifter* kieruje się do Helsinek. Podśłuchaliśmy rozmowę pilota z wieżą. Ma tam lądować o dwudziestej trzeciej.

- Czyli za mniej niż godzinę... - mruknął Orłow znad zegarka. - Nie wiesz, co może być na pokładzie?

- Próbowaliśmy przyłożyć ucho ze „Świetłany” nad Atlantykiem, ale ci od podsłuchów satelitarnych mówią, że nic nie mogą namierzyć, bo samolot jest wygłuszony polem magnetycznym.

- A więc to zdecydowanie koleś z branży - stwierdził bez zaskoczenia Orłow.

Przypomniawszy sobie tego Anglika wężącego wokół Ermitażu i jeszcze raz skłął w myślach Roskiego za sposób załatwienia tej sprawy. Trzeba go było śledzić, a nie doprowadzać do samobójstwa. Oczywiście, jeżeli to było samobójstwo... - Zawiadom Ministerstwo Bezpieczeństwa w Moskwie. Powiedz im, że przydałoby się, gdyby ktoś rzucił okiem w Helsinkach na ten samolot i przypilnował Amerykanów, czy czasem nie wybierają się do nas.

- Tak jest.

Orłow podziękował mu i wyszedł. Wrócił do gabinetu i wezwał do siebie Roskiego i Glinkę, by omówić z nimi przygotowania do przyjęcia nieproszonych gości.

◆Wtorek, 6.08 - Władywostok

Lenin miał kiedyś powiedzieć o Władywostoku: „To bardzo daleko. Ale też nasze”.

W ciągu obu wojen światowych port na półwyspie Murawiewa, wybiegającym w Morze Japońskie był głównym miejscem wyładunku zaopatrzenia i sprzętu bojowego sprowadzanego z Ameryki. Od rewolucji, a zwłaszcza w czasie zimnej wojny, miasto było praktycznie odcięte od świata, ale port rozwijał się, mieszcząc rosnącą w siłę Flotę Pacyfiku i obsługując rosnący z czasem po wojennej zapaści handel z Japonią. Izolacja trwała do 1986

roku, gdy Michaił Gorbaczow ogłosił „Inicjatywę władywostocką”, program rozwoju gospodarczego regionu, mający z niego uczynić „szeroko otwarte okno Rosji na Wschód”.

Kolejni przywódcy Rosji starali się pomóc miastu wtopić się w grupę portów obrzeża Oceanu Spokojnego, ale dopiero napływający z Rosji i całego świata gangsterzy, których przyciągnął zapach wielkich pieniędzy przepływających przez port, zdołali urzeczywistnić tę szczytną ideę.

Port lotniczy Władywostoku leży trzydzieści kilometrów na północ od centrum miasta.

Jazda z lotniska na dworzec kolejowy, mieszczący się w środku miasta, na wschód od wiecznie zakorkowanej ulicy Oktiabrskiej, nawet o tej wczesnej porze zabiera godzinę.

Po przybyciu na lotnisko wraz ze swym oddziałem porucznik Orłow odebrał od kuriera pakiet z rozkazem. Nakazywał on niezwłocznie skontaktować się z pułkownikiem Rosskim.

Nikita wypadł z budynku dowództwa i pobiegł ku swoim ludziom, zebranych wokół nosa śmigłowca *Mi-6*.

Żołnierze ubrani byli w białe kombinezony maskujące, z opuszczonymi kapturami, u ich nóg stały plecaki. Każdy z nich uzbrojony był w karabinek samoczynny *AKSU-74* z zapasem 400 nabojów, nóż, sześć granatów i pistolet wyłumiony *PB-8*. Nikita, jako dowódca, miał do swojego *AKSU-74* tylko 160 nabojów.

Dobiegłszy do śmigłowca, rozkazał operatorowi nawiązać łączność z pułkownikiem.

Niecałą minutę później antena paraboliczna była rozstawiona, a bezpieczne, kodowane połączenie umożliwiło rozmowę z Roskim.

- Panie pułkowniku - wyrecytował Nikita - podporucznik Orłow z oddziałem melduje się zgodnie z rozkazem.

- Miło was znowu spotkać po latach - odparł Roski. – Od dawna czekałem na możliwość pracy z wami.

- Ja też, panie pułkowniku.

125

- To doskonale, Orłow. Co pan już wie o swoim zadaniu?

- Jak dotąd nic, panie pułkowniku.

- Bardzo dobrze. Widzicie tego *Gulfstreama* na pasie?

Nikita obejrzał się na zachód i przez coraz gęstszy śnieg zobaczył rozmyty kształt małego samolotu.

- Tak jest, widzę.

- Jakie ma oznaczenia?

- N2692A - z trudem odczytał Orłow.

- Zgadza się. Przekazałem admirałowi Pasence prośbę o zorganizowanie konwoju. Czy widzicie go tam w pobliżu?

- Tak jest. Koło samolotu widzę cztery samochody ciężarowe.

- Doskonale, Orłow. A więc macie za zadanie przenieść ładunek z samolotu na ciężarówki, a następnie dostarczyć go do pociągu, który będzie na was czekał w mieście. Po załadowaniu wagonów, w pociągu pozostanie jedynie maszynista, z którym natychmiast ruszycie w drogę, na północ. Celem podróży jest na razie Bira, ale to może ulec zmianie w czasie jazdy pociągu. Macie dowodzić tym pociągiem, poruczniku, odpowiadacie za jego ładunek. Z tej też racji macie prawo użyć wszelkich środków będących w waszej dyspozycji dla zapewnienia bezpieczeństwa temu transportowi. To wszystko.

- Zadanie zrozumiałem, przystępuję do wykonania - odparł Nikita. Nie pytał, co wiezie, to było bez znaczenia. I tak będzie się z tym obchodził, jakby to były głowice nuklearne.

Może zresztą właśnie o to chodzi? Słyszał, że Przymorski Kraj, którego stolicą był

Władywostok, stanął na nogi tak mocno, że myśli o odłączeniu się od Rosji. Być może nowy prezydent zdecydował się na rozbrowienie stacjonujących tu rakiet, uprzedzając jakieś prowokacje ze strony separatystów?

- W czasie podróży będziecie utrzymywali stałą łączność ze mną. powiadamiając mnie o minięciu każdej stacji kolejowej po drodze. Jeszcze raz powtarzam, poruczniku, że dla zachowania bezpieczeństwa ładunku macie prawo użyć wszelkich środków, jakimi rozporządzacie.

- Tak jest - odparł Nikita i słysząc, że rozmówca rozłączył się, oddał słuchawkę radiooperatorowi.

Wydał rozkazy. Żołnierze podnieśli z ziemi swój sprzęt i ruszyli ku nikałemu coraz bardziej w gęstniejącym śniegu samolotowi.

◆ Wtorek, 23.09 - Moskwa

Andriej Wołkow jeszcze nigdy nie czuł takiej samotności i strachu.

W Afganistanie, nawet w najstraszniejszych chwilach miał towarzyszy niedoli. Kiedy po raz pierwszy zaproponowano mu pracę dla DI 6, na myśl o zdradzie ojczyzny zrazu poczuł

falę obrzydzenia, ale wkrótce zastanowił się nad tym, jak ojczyzna zdradziła jego samego po wojnie, wyrzucając na śmietnik, gdy już przestał być potrzebny. Zyskał nowych przyjaciół w Anglii i w samej Rosji, nawet jeśli nie znał ich osobiście. Nie chciał ich znać: gdyby go aresztowali, mógłby ich w śledztwie wsypać, po co to komu. Wystarczyło mu poczucie, że znów jest częścią czegoś, jakiegoś kolektywu. Ta świadomość pomogła mu, gdy musiał

zмагаć się z życiem w biedzie, której zaznał po powrocie ze szpitala wojskowego, gdy ze złamanym po nocnym skoku do okopu kręgosłupem wyrzucili go jak psa na ulicę.

Teraz znowu to utracił. Po południu usłyszał sygnał telefonu ukrytego w dostarczonym mu przez Fields-Hutтона discmanie. Discman wciąż był sprzętem na tyle luksusowym w Rosji, że nikogo nie dziwiło, że jego dumny właściciel obnosił się z nim bez przerwy, co pozwalało mu na szybkie nawiązanie łączności w razie potrzeby. Uruchomiwszy słuchawki usłyszał komunikat o śmierci Fields-Hutтона i jeszcze jednego agenta, oraz polecenie udania się do Sankt Petersburga w ciągu najbliższej doby. Tam miał oczekiwać dalszych poleceń.

Szybko ubrał się, zabierając z domu tylko discmana oraz paczkę marek i dolarów, dostarczoną mu także przez Fields-Hutтона, właśnie z myślą o takiej potrzebie. Robiąc to, Wołkow uzmysłowił sobie, że teraz już nie stoi za nim Wielka Brytania. Droga do Sankt Petersburga będzie długa i samotna, nawet nie wiedział, czy uda mu się tam dotrzeć. Nie miał samochodu, a lot nie wchodził w grę. Jego nazwisko i zdjęcie mieli już pewnie na biurkach wszyscy agenci bezpieczeństwa, nawet na małych lotniskach, jak Bykowo. Jedyłą szansą był pociąg do Sankt Petersburga.

Fields-Hutton powtarzał, żeby w razie zagrożenia nie biec od razu na lotnisko ani na dworzec. Faksu i tak nie wyprzedzi, przekonywał. Entuzjazm urzędników i agentów wyczerpywał się w porze obiadowej i wczesnym wieczorem. Tak więc kręcił się po mieście aż do tej pory, stwarzając wrażenie, jakby gdzieś się śpieszył, niknąc w coraz rzadszym tłumie na ulicy, przemykając się bocznymi uliczkami, okrężną drogą zmierzając z Prospektu Wiernadskiego do stacji metra. Pojechał zatłoczonym pociągiem do stacji Komsomolskaja w północno-wschodniej części miasta. Prawie godzinę kręcił się wokół stacji, spoglądając na jej sześciokolumnowy portyk i żebrowaną kopułę z majestatyczną iglicą na szczycie. Dopiero po upływie tej godziny ruszył ku pobliskiemu Dworcowi Petersburskiemu, z którego odchodziły pociągi na północ, do Sankt Petersburga, Tallina i północnej Rosji.

Sześćsetkilometrową linię kolejową z Moskwy do Sankt Petersburga zaprojektował

amerykański saper, porucznik George Washington Whistler, ojciec znanego malarza, Jamesa McNeila Whistlera. Zbudowali ją katorżnicy i pańszczyźniani chłopci, zapędzani do pracy batogami. Wkrótce po rozpoczęciu prac w roku 1851 powstał Dworzec Nikołajewski, zwany 127

obecnie Petersburskim. Jest on najstarszym dworcem kolejowym stolicy Rosji, jednym z trzech położonych przy zatłoczonym placu Komsomolskim. Po jego lewej stronie w 1904

roku wyrósł secesyjny Dworzec Jarosławski, na którym kończyły bieg pociągi Kolei Transsyberyjskiej. Z prawej mieści się Dworzec Kazański, ukończony w roku 1926, z którego odchodzą pociągi na Ural, do zachodniej Syberii i środkowej Azji.

Zbliżając się do stacji, otarł rękawem pot z wysokiego czoła i odgarnął z niego włosy.

Tylko spokojnie, pomyślał. Tylko spokojnie. Uśmiechnął się przyjaźnie do ludzi na ulicy, jakby podążał na spotkanie z ukochaną... Miał nadzieję, że nikt nie będzie mu się przyglądał

na tyle dokładnie, by dostrzec, że jego oczy nie odbijają tej samej radości, co twarz.

Spojrzał na zegar na wysokiej, oświetlanej wieży zegarowej. Było kilka minut po jedenastej. Pociągi odjeżdżają cztery razy na dobę, pierwszy o ósmej rano, ostatni o północy.

Wołkow zamierzał kupić bilet na północny i korzystając z tego, że ma jeszcze szmat czasu, rozejrzeć się, czy ktoś kontroluje pasażerów. Jeżeli by tak było, miał dwa wyjścia. Mógł

zacząć rozmowę z którymś z pasażerów i tak dojść do pociągu, bo agenci z reguły szukają samotnych pasażerów, albo po prostu podejść do któregoś z agentów i zapytać go o drogę na peron. Uczono go, że ktoś przemykający bokiem zwraca na siebie wagę, także tego, że w naturze ludzkiej leży ignorowanie ludzi, którzy stwarzają wrażenie, że nie mają nic do ukrycia.

Kolejki przed kasami były długie, nawet o tak późnej godzinie. Andriej stanął w ogonku przed jedną z kas na środku holu kasowego. Kupił sobie gazetę i czekając czytał ją, choć nic z tego, co w niej było napisane do niego nie trafiało. Kolejka posuwała się powoli, ale w tej chwili wcale to Wołkowi, człowiekowi zwykle niecierpliwemu, nie przeszkadzało. Każda minuta, którą spędził na wolności umacniała go w przekonaniu, że mu się uda. Każda minuta tu oznaczała minutę mniej w przedziale wagonu stojącego nieruchomo na peronie, gdzie w każdej chwili ktoś mógł go rozpoznać i aresztować.

Kupił bilet bez żadnych komplikacji, nikt go nie zaczepił ani o nic nie pytał, choć milicjanci wyrywkowo kontrolowali podróżnych.

Uda ci się, przekonywał sam siebie po raz nie wiadomo który. Przeszedł pod ozdobnym łukiem zamykającym korytarz wiodący na perony, kierując się ku torowi, na którym stał

ekspres Czerwona Strzała. Z jego dziesięciu wagonów tylko trzy były pomalowane na jaskrawoczerwony kolor, a reszta normalnie, na zielono. Grupa turystów tłoczyła się obok

przedostatniego wagonu. Bagażowi zwalili na kupę ich walizki, a dwaj milicjanci sprawdzali paszporty.

Pewnie mnie szukają, przemknęło mu przez myśl, gdy przechodził koło nich. Wsiadł do trzeciego wagonu od końca i usiadł na twardym siedzeniu. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że powinien mieć jakąś walizkę. Trochę głupio wyglądał wybierając się w daleką podróż do obcego miasta bez żadnego bagażu mogącego pomieścić choćby zmianę bielizny.

Rozglądał się po wagonie, wypełniającym się stopniowo ludźmi. Jakiś mężczyzna wpychał kilka walizek na półkę nad jego głową, a potem usiadł obok, pod oknem.

Wołkow rozsiadł się wygodniej, położył na kolanach gazetę, sprawdził raz jeszcze czy ma w kieszeni discmana. Wreszcie zaczął się rozluźniać.

128

I właśnie w tej chwili narastający w wagonie gwar dziwnie ucichł, a Wołkow poczuł na karku dotyk zimnego wylotu luty pistoletu.

129

◆ Poniedziałek, 15.10 - Waszyngton

Bob Herbert uwielbiał być zajęty. Zajęty, owszem, ale nie zavalony robotą tak, że miał

tylko ochotę usiąść na swoim wózku i pojechać na nim do domu, do Filadelfii. Nie, nie tej Filadelfii, zawsze tłumaczył innym. Jego Filadelfia leżała w okręgu Neskoba. tuż przy granicy Alabamy. Od czasów jego dzieciństwa ta Alabama nie zmieniła się ani trochę. Bardzo lubił

wracać pamięcią do starych, dobrych czasów. Nie były one może dużo prostsze od obecnych, dobrze pamiętał, jaki zamęt wprowadzała każda nowość, od Elvisa Presleya po komunistów na Kubie, ale wtedy te kłopoty i zmartwienia bledły w zetknięciu z nowym komiksem, wyprawą na wiewiórki lub ryby.

Teraz, jakby do tej pory nie miał dosyć zmartwień, jego pager przekazywał mu wiadomość, że Stephen Viens z Narodowego Biura Zwiadu ma coś, na to powinien rzucić okiem. Dokończył pośpiesznie sprawozdanie dla Ann Farris, a potem pojechał do swego biura, zamknął drzwi i zadzwonił do Viensa.

- Mam nadzieję, że to zdjęcia ładnych blondynek kąpiących się na golasa na plaży w Renova - powiedział do monitora.

- E, o tej porze liście są jeszcze zbyt gęste - rozwiął jego nadzieję Viens. - Mam co innego. Chodzi o samolot, który śledziliśmy dla DEA. Poleciał z Kolumbii do Meksyku, potem do Honolulu, a stamtąd do Japonii i wreszcie do Władywostoku.

- Kartele mają powiązania z Ruskimi. Co w tym nowego?

- Nie o to mi chodzi. Jak już wylądował we Władywostoku, rzuciliśmy na niego okiem z satelity. Jeszcze do tej nie widziałem, żeby Specnaz rozładowywał amerykańskie samoloty.

- Ilu ich było? - Herbert wyprostował się nagle w fotelu.

- Nie więcej niż tuzin, wszyscy w białych kombinezonach maskujących. To nie koniec ciekawostek. Wylądowali skrzynie, które potem zapakowali na wojskowe ciężarówki. Coś mi się zdaje, że chłopaki wzięli się za handel prochami.

Herbert przypomniał sobie pogłoski o spotkaniu między Sawczukiem, ministrem Doginem i generałem Rybakowem.

- To może być coś więcej, niż tylko przyjacielska pomoc wojska dla handlarzy narkotyków - powiedział w zamyśleniu. - Czy te ciężarówki dalej tam są?

- Tak. A tych skrzyń są dziesiątki. Jedna ciężarówka jest już prawie pełna.

- Czy te skrzynie wyglądają na wyważone?

130

- Jak najbardziej. Są podłużne, ale wygląda na to, że obie strony ważą tyle samo.

- Może byście spróbowali coś podsłuchać przez *AIM*? Daj mi znać, gdyby tam coś grzechotało.

- Masz to jak w banku.

- Aha, Steve, i daj mi znać, gdyby ciężarówki odjechały - powiedział Herbert, dzwoniąc już do generała Rodgersa.

Kiedy skończył opowiadać, Rodgers zamyślił się przez chwilę.

- A więc Rosjanie otwarcie zadają się z gangami narkotykowymi. Zdaje się, że bardzo potrzeba im pieniędzy. Zastanawiam się...

- Przepraszam - przerwał mu Herbert, podnosząc słuchawkę dzwoniącego telefonu. -

Tak? - rzucił w mikrofon.

- Bob, tu Darrell. Federalni stracili człowieka w Tokio.

- Co się stało?

- Zastrzeliła go załoga tego *Gulfstreama* - ponuro odparł McCaskey. - Japończycy też stracili jednego człowieka w strzelaninie.

- Darrell, tu Mike - włączył się do rozmowy Rodgers. - Czy na pokładzie samolotu ktoś odniósł rany?

- Nic nie wiadomo na ten temat. Obsługa naziemna niewiele mówi. Są ciężko przerażeni.

- Albo ciężko opłaceni. Przykro mi z tego powodu, Dar. Czy ten poległy miał jakąś rodzinę?

- Ojca. Zobaczę, czy coś możemy dla niego zrobić.

- Dobra myśl - odparł Herbert.

- To by chyba potwierdzało naszą teorię o powiązaniu samolotu z rosyjskimi gangami narkotykowymi - ciągnął McCaskey. - Nawet Kolumbijczycy nie są na tyle stuknięci, żeby ryzykować strzelaninę na międzynarodowym lotnisku.

- Nie, oni strzelają raczej do tych, którzy mogą ich sądzić. Och, jak chętnie napuściłbym na nich Iglicę - rozmarzył się Herbert, kończąc rozmowę. Chwilę potrwało, zanim znowu się skupił. Straty

zawsze źle na niego wpływały, nawet jeśli poległy nie zostawiał rodziny.

- Nad czym to się zastanawiałeś przed chwilą? - zapytał po chwili, spoglądając na Rodgersa, który spochmurniał jeszcze bardziej niż zwykle.

131

- Myślałem, czy to ma związek z tym, co wywąchał Matt. Nasz komputerowy geniusz właśnie przed chwilą opowiadał o tym mi i Paulowi. Trochę pogrzebał po księgowości Kremla i odkrył konto w Rijadzie, a na nim jakieś dziesięć miliardów dolarów. Poza tym okazało się, że w tym studiu telewizyjnym w Sankt Petersburgu zatrudniają jakichś bardzo wysoko opłacanych dyrektorów. Zresztą w MGB też. Co ciekawe, to są ludzie znikąd, nie ma o nich żadnej wcześniejszej wzmianki.

- Czyli martwe dusze, na konta których przelewane są fundusze przeznaczone na działalność operacyjną, czyli w tym wypadku płace dla ludzi potajemnie pracujących w Sankt Petersburgu - dokończył Herbert.

- Zgadza się, także na zakup bardzo skomplikowanego sprzętu w Niemczech, Japonii i u nas. Wszystkie dostawy kierowano do MGB w Moskwie. Coś mi się zadaje, że pan Dogin zorganizował sobie tam bardzo zaawansowane technicznie centrum wywiadowcze. To by tłumaczyło obecność Orłowa, który pewnie odpowiada za kontakty z wywiadem kosmicznym.

- Reasumując, jeżeli Dogin jest tam szefem i związał się blisko z mafią, to ma duże szansę na przeprowadzenie udanego zamachu stanu - podsumował Herbert. - Nie potrzebuje broni, wystarczy, że ma Rybakowa, który nią dysponuje.

- Nie, jest raczej tak, jak wcześniej mówiłem Paulowi. On tych pieniędzy potrzebuje na kupowanie dziennikarzy, polityków i poparcia z zewnątrz. Możliwe, że dostali te pieniądze od Sawczuka w zamian za przyszłe koncesje.

- To możliwe - zgodził się Herbert. - Może być też tak, że Dogin będzie próbował

zarobić pieniądze, sprzedając dostarczone przez Sawczuka narkotyki. Nie byłby pierwszym politykiem, który wpadł na ten pomysł, ale zdecydowanie rozporządzającym największą jak do tej pory władzą. To by mu umożliwiło rozesłanie towaru po całym świecie w poczcie dyplomatycznej.

- To ma sens - zgodził się Rodgers. - Dyplomaci wywożą prochy i wracają z pieniędzmi.

- Czyli te skrzynie z Władywostoku byłyby częścią interesu. Mogą być w nich pieniądze, narkotyki, albo jedno i drugie.

- A wiesz, co w tym jest najgorsze? - zapytał Rodgers. - Nawet gdyby Żanin czegokolwiek się dowiedział, nie jest w stanie nic zrobić. Gdyby się ruszył, rzeczy mogłyby potoczyć się według jednego z dwóch scenariuszy...

- Po pierwsze - wtrącił się Herbert - mógłby pokonać Dogina, ale potem musiałyby dokonać tak daleko idącej i tak surowej czystki, że odstraszyłyby to zagranicznych inwestorów, których potrzebuje dla odbudowy kraju. W rezultacie Rosja byłaby jeszcze bardziej zrujnowana niż jest dziś.
- Albo, gdyby zmusił Dogina do przedwczesnego ataku, doszłoby do długiej, krwawej wojny domowej, w której Bóg wie, kto mógłby objąć kontrolę nad bronią nuklearną. Jedno i drugie jest dla nas nie do przyjęcia. Powinniśmy tam postawić na to samo, na co w Panamie za Noriegi albo w Iranie za szacha: w interesie Ameryki leży stabilizacja, a nie legalizm.

132

- To właściwy punkt widzenia - zgodził się Herbert. – Jak myślisz, co zrobi prezydent?
 - To, co wczoraj - odparł generał. - Nic. Nie może ostrzec Żanina, bo boimy się przecieku. Pomocy wojskowej też nie możemy mu zaoferować. To nie wchodzi w grę. Tak czy inaczej, każda reakcja jest ryzykowna. Najgorsze, co moglibyśmy zrobić, to zmusić Dogina i jego koleżków do zejścia pod ziemię, gdzie mogliby nadal stanowić potężne zagrożenie.
 - A jak prezydent wytłumaczy NATO to, że nic nie zrobi? Oni jak zwykle trzęsą tyłkami, ale lubią przy tym pobrzękiwać szabelką.
 - Może pobrzękiwać razem z nimi, albo ogłosić doktrynę neoizolacjonizmu i spokojnie ich olać. To by nawet było w zgodzie z nastrojami amerykańskiej opinii publicznej po tym zamachu na tunel.
- Herbert siedział w zamyśleniu, bębniąc palcami w oparcie fotela. Znowu zadzwonił telefon. Spojrzał na numer na wyświetlaczu. To był Viens. Włączył głośnik, żeby Rodgers mógł słyszeć.
- Bob, *AIM* na razie nic nie słyszy, ale pierwsza ciężarówka wyjechała z lotniska prosto na dworzec kolejowy we Władywostoku.
 - Jaka tam jest pogoda? - zapytał Herbert.
 - Paskudna - odparł Viens. - I pewnie dlatego to robią. Bardzo gęsty śnieg. Nad całym regionem szaleje burza i tak ma być jeszcze przez czterdzieści osiem godzin.
 - A więc Dogin albo Rybakow zdecydowali się przeladować towar z uziemionego samolotu na pociąg - podsumował Herbert. - Widać coś na stacji?
 - Nie, pociąg stoi wewnątrz hali, ale mamy opracowane rozkłady jazdy, więc jak się pojawi nadprogramowy pociąg, będziemy go obserwować.
 - Dzięki. Informuj mnie na bieżąco.

Viens wyłączył się, a Herbert przez chwilę myślał o tym, że ładunek został teraz umieszczony w pociągu, który stawał się celem możliwym do zidentyfikowania, śledzenia, a w razie potrzeby, zaatakowania.

- To musi być coś ważnego - mruknął.

- Co powiedziałaś?

- Mówię, że to musi być coś ważnego - powtórzył Herbert. - Gdyby było inaczej, przeczekałoby, aż burza ucichnie.

- Zgadza się. To jest nie tylko bardzo ważne, ale wkrótce będzie daleko, na otwartej przestrzeni, w zasięgu ręki.

Chwilę trwało, zanim Herbert zrozumiał, o co chodziło Rodgersowi.

133

- Nie, Mike, to nie będzie w zasięgu ręki. To jedzie daleko w głąb Rosji - zachmurzył

się. - Daleko. Tysiące kilometrów od granic z jakimkolwiek przyjaznym nam państwem. To nie jest jakaś tam krótka wycieczka z Finlandii.

- Masz rację. Ale weź też pod uwagę, że to najszybszy i najskuteczniejszy sposób na wykończenie Dogina. Bez jaj nie ma jajecznicy.

- Jezu, Mike, zastanów się, co robisz. Paul wierzy w dyplomację, a nie walkę. Nigdy się nie zgo...

- Dobra, zobaczymy - uciął generał. Podszedł do biurka Boba i nacisnął przycisk wywołujący Beneta, asystenta Paula Hooda.

- Bugs? Słuchaj, czy Paul dalej siedzi w łączności?

- Chyba tak - rozległ się głos z głośnika.

- Poproś go, żeby wpadł do gabinetu Boba. Coś się tu kłuje.

- Już się robi.

Gdy Benet rozłączył się, generał przysiadł na blacie.

- Zaraz się dowiemy, czy się zgodzi, czy nie.

- Nawet jeżeli przekonasz jego, Komisja Wywiadu nigdy na to nie pójdzie.

- Przecież już przyklepali akcję Iglicy w Rosji, nie? Teraz Coffey i Martha będą tylko musieli ich

zmusić do zgody na zmianę celu.

- A jak nie dadzą rady?

- Dobra, co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Jezu, Mike, przecież wiesz dobrze, co bym zrobił!

- No właśnie, wysłałbyś ich tam, bo wiesz, że to właściwe rozwiązanie sytuacji i oni są odpowiednią grupą ludzi do wykonania czegoś takiego. Słuchaj, obaj rzucaliśmy ziemię na trumnę Bassa Moore'a po Korei. Ja tam byłem. Już wcześniej bywałem w miejscach, gdzie ludzie ginęli, wykonując moje rozkazy. Ale to nas nigdy nie powstrzymywało. Przecież po to powstała Iglica.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł Hood. Zmęczone oczy dyrektora wyrażały troskę, gdy zwrócił się do Herberta.

- Wyglądasz na poruszonego, Bob. Co się dzieje?

Rodgers powiedział mu o wszystkim. Hood oparł się o biurko Herberta i milcząco słuchał tego, co generał mówił o sytuacji w Rosji i swoim pomysle.

134

- A jak myślisz - zapytał, gdy skończył - jak na to zareagują ci terroryści? Czy to nie będzie złamanie umowy?

- Nie - odparł Rodgers. - Przecież wyraźnie mówili, że chcą, żebyśmy nic nie robili w Europie Środkowej, nic nie mówili o wschodniej Syberii. Jak by zresztą nie było, wejdziemy i wyjdziemy stamtąd tak szybko, że nawet się o tym nie dowiedzą.

- No dobra, to ma sens - przyznał Hood. - Ale jak to pogodzić z moimi poglądami o wyższości rokowań nad przemocą?

- Podzielam je w całej rozciągłości, Paul, naprawdę. Ja też uważam, że lepiej strzelać pomysłami niż z karabinu. Tylko, że gadaniem nie zagonimy tego pociągu do Władywostoku.

- Pewnie nie, zgoda. To pociąga następne pytanie. Załóżmy, że dostaniesz zgodę na wysłanie Iglicy, i że znajdziemy w tym pociągu coś, powiedzmy heroinę... I co wtedy?

Zabieramy ją i niszczymy, czy dzwoniemy do Żanina, żeby wysłał rosyjskie wojsko do walki z rosyjskimi żołnierzami?

- Jeżeli nie możesz złapać lisa na muszkę, spuszczasz ze smyczy psa.

- Nie - pokręcił głową Hood. - Mike, mówisz o atakowaniu Rosji.

- Tak, zgadza się. A czy oni nas nie zaatakowali?

- To było co innego.

- Powiedz to rodzinom tych, co tam zginęli - odparł Rodgers. Po chwili milczenia zaczął

na nowo. - Paul, my nie jesteśmy jakąś tam jeszcze jedną agendą rządu federalnego, pełną spasionych pierdzistołków, żądających co rusz większych pieniędzy. Do zadań Centrum należy wykonywanie rzeczy, którymi nie może zająć się CIA lub Departament Stanu. I możemy to zrobić. Charlie Squires wybierał ludzi do Iglicy wiedząc doskonale, że będą igrac z ogniem, jak każda elitarna jednostka specjalna na świecie, od Gwardii Królewskiej Omanu po Gwardię Cywilną Gwinei Równikowej czy inny Specnaz. Mamy zmierzać do tego, by udało się powstrzymać eskalację konfliktów i rozwiązywać problemy. Musimy w to wierzyć, Paul.

Hood spojrzał na Herberta.

- I co ty na to, Bob?

Herbert przymknął oczy i potarł powieki.

- W miarę jak się starzeję, myśl o wysyłaniu dzieciaków pod ogień dla osiągnięcia politycznych celów jest mi coraz bardziej obrzydliwa. Ale ten triumwirat Dogin-Rybakow-Sawczuk jest naprawdę przerażający, a Centrum, czy się nam to podoba, czy nie, jest na pierwszej linii frontu.

- A co z Sankt Petersburgiem? - zapytał Hood. - Postanowiliśmy, że odcięcie głowy od tułowia w zupełności wystarczy.

135

- Ten smok okazał się większy, niż myśleliśmy. Jeżeli odetnie się głowę, tułów będzie miał jeszcze dość siły, by podczas upadku wyrządzić dużo szkód. Te narkotyki, pieniądze, czy co tam jest w tym pociągu, mogą nam wyjść bokiem.

Herbert podjechał do Hooda. Klepnął się ręką w kolano i powiedział: - Teraz ty wyglądasz na równie poruszonego jak ja, szefie.

- Tak, teraz wiem dlaczego. - Spojrzał na Rodgersa. - Wiem, że nie ryzykowałbyś życiem członków Iglicy, gdyby to nie było tego warte. Jeżeli Lowell zdoła to przepchnąć przez komisję wywiadu, to rób co trzeba zrobić.

Rodgers odwrócił się do Herberta.

- Zasuważ do taktycznego. Niech przygotowują plan dla jak najmniejszego zespołu w Helsinkach, a

potem niech się zastanowią nad najszybszym i najczystszy sposobem dostarczenia Iglicy w rejon pociągu. Obgadajcie to z Charliem i upewnij się, że zatwierdzili ostateczny plan.

- O, znasz Charliego - odparł Herbert, kierując wózek do drzwi. - Jeżeli to wymaga wystawienia tyłka pod kije, będzie zachwycony.

- Wiem. Jest najlepszy z nas.

- Mike - powiedział Hood. - Powiadomię o tym prezydenta. Dla twojej wiadomości, mam zastrzeżenia do tego pomysłu, ale jestem z tobą.

- Dziękuję. Nie oczekiwałem ani nie wymagam nic więcej.

Wszyscy trzej wyszli. Herbert jadąc do centrum taktycznego myślał o tym, jak to jest, że nic co dotyczy ludzi, czy to będzie podbój kraju, czy zmiana zadania przez kogoś, czy wreszcie zaloty, nie może się dokonać bez walki.

Podobno trudności sprawiają, że sukces jest słodszy, ale Herbert nigdy w to nie wierzył.

Nie miałby nic przeciwko, gdyby zwycięstwa od czasu do czasu taniały.

◆ Wtorek, 23.20 - Moskwa

To był mały, ciemny pokoik o betonowych ścianach, rozświetlony blaskiem jarzeniówki pod sufitem. Wokół widać było jedynie drewniany stolik, jeden stołek i stalowe drzwi. Nie było okien, a czarne kafle podłogi były zszarzałe od starości i poobijane.

Wołkow siedział na stołku pod mrugającą świetlówką. Milicjant z pistoletem bez słowa wyprowadził go z wagonu. Dwaj inni, oczekujący na nich na peronie, dołączyli również milcząc i po chwili w czwórkę wsiedli do radiowozu, który pojechał prosto na Łubiankę. Tu go skuto i posadzono na stołku w izolatce. Czuł się kompletnie bezsilny, rozmyślał nad tym, jak mogli go namierzyć. Był pewien, że to musiało być coś, co pozostawił Fields-Hutton.

Zresztą, to i tak było już teraz bez znaczenia. Zastanawiał się tylko nad tym, jak długo będzie bity, zanim wreszcie uwierzą, że naprawdę nic nie wie o reszcie siatki poza tymi, których już złapali. Ile dni będzie trwało, zanim go osądzą, skazą i wreszcie obudzą pewnego ranka tylko po to, żeby wpakować mu kulę w łeb. Myślał o tym i wszystko inne wydawało się surrealizmem.

Słyszał tylko głucho bicie własnego serca, odzywające się echem w uszach. Co chwilę spadała na niego fala paniki, mieszanka strachu i rozpaczki zmuszała go do rozmyślań na temat przyczyn tego, co się z nim działo. Jak to się stało, że on, żołnierz odznaczony za bohaterstwo, dobry syn, człowiek, który chciał tego, co mu się należało, upadł tak nisko?

Szczęk klucza w zamku przerwał rozmyślenia. W otwartych drzwiach stało trzech mężczyzn. Dwóch było w mundurach, z pałkami u pasa. Trzeci był młody, niski, ubrany w starannie uprasowane brązowe spodnie i białą koszulę bez krawata. Miał okrągłą twarz z łagodnie patrzącymi oczyma i palił papierosa. Mundurowi stanęli pod drzwiami, blokując je w rozkroku.

- Nazywam się Pogodin - powiedział człowiek w białej koszuli, podchodząc. - Nieźle się wpakowałeś, chłopie. Znaleźliśmy telefon w twoim odtwarzaczu, taki sam jak miał ten drugi zdrajca w Sankt Petersburgu. W odróżnieniu od ciebie, tamten miał nieszczęście wpaść w łapy oficera Specnazu, który obszedł się z nim w sposób niegodny pozazdroszczenia, acz skuteczny. Mamy też etykiety od herbaty, którą podawałeś temu angielskiemu szpiegowi.

Chytrutkie. Mogłeś mu przekazywać w nich mikrofilmy, a potem uprzątnąć stół tak, żeby nikt nie zauważył, że ich brakuje. Trochę przesadziłeś z poganiem go tym razem i nie zdążył

ich zniszczyć, a jedną wsadził sobie do portfela. Partacz. Znaleźliśmy na niej piękne odciski palców. Potem to już było proste, bo przecież nadal mamy twoje akta z czasów służby w Specnazu. Pasowały jak ulał. Chcesz zaprzeczyć czemuś z tego, o czym mówię?

Wołkow milczał. Nie był w tej chwili przesadnie odważny, ale zachował poczucie godności i nie miał na razie powodu go tracić.

Pogodin stał obok, patrząc z góry na jego twarz.

137

- Godne pochwały milczenie. Większość ludzi w twojej sytuacji skrzeczy jak zarzynane papugi. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że umiemy wyduścić z ciebie, co tylko zechcemy?

- Tak, wiem - odparł Wołkow. - Trudno się o tym nie dowiedzieć, mieszkając tu tyle lat.

Pogodin przyjrzał mu się przez chwilę jeszcze uważniej niż dotąd. Wyglądało to tak, jakby sam siebie pytał, czy ten człowiek na stołku jest tak odważny, czy tylko tak głupi, żeby zdobyć się na dowcipkowanie w takiej chwili.

- Zapalisz?

Kelner pokręcił głową.

- Chciałbyś uratować życie i naprawić choćby część szkód, jakie wyrządziłeś swojej ojczyźnie?

Teraz Wołkow uważnie przyjrzał się rozmówcy.

- Widzę, że chyba tak - ciągnął Pogodin. Wskazał papierosem na strażników. - Mam ich odesłać, żebyśmy mogli pogadać na osobności?

Wołkow nie zareagował przez chwilę, potem powoli skinął głową.

Pogodin odesłał strażników i kazał im zamknąć drzwi od zewnątrz. Obszedł powoli stół, za którym siedział Wołkow, w końcu oparł na nim dłonie.

- Nie tego oczekiwałeś, co? - zapytał.

- Kiedy? - odpowiedział pytaniem na pytanie aresztant. - Dzisiaj, czy dziesięć lat temu, jak wróciłem z Afganistanu z przetrąconym kręgosłupem? A może wtedy, kiedy dostałem rentę, za którą nie utrzymałbym nawet kanarka?

- A, rozgoryczenie, co? Tak, to silniejszy czynnik motywacyjny niż gniew i gorszy, bo nie przemija tak łatwo. A więc zdradziłeś Rosję, żeby dorobić do renty, tak?

- Nie - twardo zaprzeczył Wołkow. - Bo sam poczułem się zdradzony. Za każdym razem kiedy się ruszyłem, kiedy stałem, wszystko mnie bolało. Czy ja ten kark łamałem dla własnej przyjemności?

- No popatrz, bolało - drwiąco zaczął Pogodin. - To mojego dziadka po to czołg rozjechał pod Stalingradem, a moja matka do dziś oplakuje moich dwóch braci, którym Afgańczycy flaki powypruwali, żeby teraz jeden z drugim zdradzali to, za co oni oddali życie, bo im ból pleców doskwiera? Z tak błahaego powodu już nie kochasz ojczyzny?

Wołkow nie dał się sprowokować.

- Człowiek musi jeść. żeby żyć, a żeby jeść, musi pracować. Ja nie mogłem pracować tak ciężko jak inni, więc chcieli mnie wyrzucić z tego hotelu. Tylko interwencji tego Anglika zawdzięczam to, że nie wyleciałem na ulicę, jak tyłu innych.

138

Pogodin słuchał, nie przerywając.

- No dobrze, więc powiem moim zwierzchnikom, że nic z tego, bo nie wykazujesz skruchy i w razie czego, za odpowiednią opłatą zrobisz to samo.

- Nic takiego nie mówiłem. Tak nie było, a i teraz tak nie jest.

- Nie jest - potwierdził Pogodin, celując w niego papierosem - bo teraz twoi przyjaciele już gryzą ziemię, a i tobie kostucha w oczy zagląda. - Pochylił się, zaglądając Wołkowowi prosto w oczy, przy czym wydmuchał dym z obu nozdrzy. - Ale to się może zmienić. Po co się wybierałeś do Sankt Petersburga?

- Chciałem się spotkać z drugim agentem Anglika. Nie wiedziałem, że już nie żyje.

Pogodin uderzył go w twarz na odlew.

- Co ty mi tu za ciemnoty wciskasz? Nie miałeś się tam z nikim spotykać, ani z Anglikiem, ani z jego agentem. Partacz to z niego może był, ale nie idiota. Przecież nie mógł

ci przedstawić innych agentów, no co ty? Poza tym, DI 6 już wiedziało, że oni nie żyją, a ty nie nosiłeś tego telefonu dla dekoracji, co? Zresztą, kiedy chcieliśmy go użyć, nie działał.

Pewnie ten raptus ze Specnazu zabrał się do tego zbyt szybko. Najpierw trzeba pewnie wprowadzić osobisty kod, nie?

Wołkow nie odpowiedział.

- Pewnie, że tak - ciągnął Pogodin. - Zresztą w naszych jest tak samo. - Zaciągnął się papierosem. - Dobra, a więc jechałeś na spotkanie. Z kim?

Wołkow patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Przerazenie mieszało się w jego głowie ze wstydem, że wymyślił tak durną bajeczkę. Wiedział, co teraz będzie, wiedział do czego zmierza Pogodin i co gorsze, wiedział, że stoi przed strasznym wyborem.

- Nie wiem - powiedział wreszcie. - Miałem...

- No, dalej!

Wołkow głęboko odetchnął.

- Miałem tam pojechać, skontaktować się z centralą i czekać na dalsze rozkazy.

- A oni mieli cię potem ewakuować do Finlandii?

- Takie odniosłem wrażenie.

Pogodin przez chwilę milczał, w zamyśleniu wypuszczając dym. Po chwili wyprostował

się, odszedł od stołu, a potem wrócił i znowu oparł się o jego krawędź.

- Będę z tobą szczery, Wołkow. Jedynym sposobem, w jaki możesz się choć trochę zrehabilitować, jest to, żebyś nam pomógł dowiedzieć się więcej o organizacji brytyjskiej 139

siatki. Czy chcesz pojechać do Sankt Petersburga zgodnie z planem i pracować dla nas, zamiast dla wroga?

- A co ma do tego moja chęć? Kiedy się to wszystko zaczęło, przystawiliście mi lufę do głowy.

- I skończymy w ten sam sposób, jeżeli nie będziesz dla nas pracował - przekonywająco chłodnym głosem odparł Pogodin.

Wołkow spojrzał na słup dymu wznoszący się pod sufit z papierosa rozmówcy. Przez chwilę próbował sam siebie przekonać, że to, co zrobi, będzie wypływać z poczucia patriotyzmu. Nic z tego. W tej chwili czuł jedynie strach.

- Tak - odpowiedział w końcu na pytanie Pogodina. – Pojadę do Sankt Petersburga i będę współpracował. Z własnej woli.

Pogodin spojrzał na zegarek.

- Mamy zarezerwowany przedział. Poszło nam bez zbędnych ceregieli, więc nie będzie trzeba zatrzymywać pociągu. – Spojrzał na Wołkova i uśmiechnął się. - Jedziemy, oczywiście, razem. I nam nadzieję, że nasza współpraca będzie się układać pomyślnie nawet wtedy, gdy nie będę miał w rękę pistoletu.

Mimo łagodnego spojrzenia, w jego głosie słychać było wyraźnie ton groźby. Wołkow był wciąż zbyt roztrzęsiony, by odpowiedzieć. Nie chciał, by inni ginęli przez niego, choć zdawał sobie sprawę, że każdy, kto wchodził do tej gry, wiedział, na co się decyduje. Tak jak i on.

Po drodze do samochodu doszedł do wniosku, że ma dwa wyjścia. Jednym było przyjęcie warunków Pogodina i w rezultacie łatwa, szybka i bezbolesna śmierć. Drugim była próba walki i odzyskania honoru, który stracił we własnych oczach, godząc się na ten wyjazd.

◆ **Poniedziałek, 10.05 - Berlin**

Ciężki, opasły *Iliuszyn Il-76T* był rosyjskim samolotem transportowym, wprowadzonym do użytku w połowie lat 70. Był rezultatem poszukiwań samolotu zdolnego lądować i startować na trawiastych lotniskach polowych, by w ten sposób przyspieszyć i usprawnić zaopatrzenie wojsk wyzwolających Europę Zachodnią. Użytkowany był w Związku Radzieckim nie tylko przez lotnictwo wojskowe, ale i Aeroflot, choć właściwie to rozróżnienie było czysto umowne. Samolot był tak dobry, że z sojusznikami dzielono się nim bardzo niechętnie, przynajmniej do czasu, gdy suto wypchana sakiewka nie zaczęła usuwać wszelkich barier - a wtedy Rosji zostało już bardzo niewiele sojuszników.

Il-76, napędzany czterema potężnymi silnikami turboodrzutowymi *Sołowiew D-30KP*, latał z prędkością przelotową rzędu 750 km/h, przewożąc do czterdziestu ton ładunku na odległości do sześciu tysięcy kilometrów. Zresztą zasięg ten można było przedłużyć, tankując w powietrzu lub montując w ładowni, jeżeli ładunek nie zabierał wiele miejsca, dodatkowe, elastyczne zbiorniki, pozwalające zwiększyć zasięg nawet o siedemdziesiąt procent.

Kiedy Herbert powiedział w Pentagonie, co wymyślili dla Iglicy i gdzie to ma mieć miejsce, odesłano go do Berlina, do generała Davida „Stukasa” Perela, który swój przydomek zawdzięczał karierze pilota bombowców nurkujących w Wietnamie. Perel miał teraz w swojej pieczy bazę lotnictwa działającą na potrzeby CIA. W jednym z jej ściśle tajnych hangarów przechowywano jednego *Il-76*, kupionego potajemnie w okresie, gdy Rosja miała na głowie większe zmartwienia, niż śledzenie losów każdego samolotu sprzedanego za granicę. Od tej pory, po przeprowadzeniu badań w locie, maszyna służyła jako samolot szpiegowski do specjalnych poruczeń. *Iliuszyn* latał z rzadka nad Rosją, mierząc dokładnie odległości między punktami orientacyjnymi, co było ważne do kalibrowania satelitów rozpoznawczych, przywoził też radarowe zdjęcia szczególnie ważnych obiektów. Zawsze udawało się uniknąć jego rozpoznania, do czego walenie przyczynił się zwerbowany przez CIA wysoki oficer lotnictwa rosyjskiego, który podsuwał kontroli obszaru powietrznego fałszywe plany lotów.

Tym razem miało być podobnie, tyle że po raz pierwszy maszyna miała spędzić tak długi czas w obszarze powietrznym Rosji, a do tego przewieźć i wylądować amerykańskich żołnierzy.

Lot nad Rosją i w jej pobliżu miał trwać aż osiem godzin, z Helsinek do strefy zrzutu i potem do Japonii. Poprzednio samolot przemykał jedynie nad krajem, nie dając czasu na rozpoznanie, śledzenie i zniszczenie.

Zarówno Herbert, jak i Perel, zdawali sobie doskonale sprawę z zagrożeń stojących przed Iglicą i załogą samolotu. Obaj podnosili to zagadnienie na konferencji z Rodgersem, który podzielał ich troskę, ale nie widział innego wyjścia. Perel zgodził się z Herbertem, że przeprowadzenie operacji leżało w kompetencjach Centrum, ale obawiał się, że Departament Stanu i Biały Dom zrobią z tego sprawę polityczną, a to od nich zależy zgoda. Rodgers odparł

na to, że do momentu, w którym już będą wiedzieć, co jest w tym pociągu, będzie to wyprawa czysto rozpoznawcza i pozostanie taką, bez względu na zagrożenie, chyba że sytuacja będzie 141

wymagała podjęcia innych działań. Zbieranie informacji w miejscu zdarzeń zawsze wiąże się z ryzykiem, ale w takich chwilach jak ta, podjęcie tego ryzyka jest nieodzowne.

Tak więc *Iliuszyna* zaczęto szykować do dalekiej drogi, ładować sprzęt spadochronowy i arktyczny. Potem, po otrzymaniu specjalnego zezwolenia od fińskiego ministra obrony, Kalie Niskanena, wystartował do Helsinek. Ministrowi powiedziano, że lot będzie miał charakter rozpoznawczy, ale w to, w jaki sposób się przyczyni do zbierania informacji, a więc że niemal na pewno posłuży do zrzucenia na teren Rosji amerykańskich żołnierzy, na razie go nie wtajemniczono. Tym delikatnym zadaniem obarczono Lowella Coffeya, który miał go powiadomić o zadaniach *Iliuszyna* dopiero po starcie maszyny. Była to jedynie asekuracja, gdyż nie oczekiwano specjalnego oporu ze strony ministra o wyraźnie antyrosyjskich poglądach. Po konferencji z Perelem i Rodgersem Herbert poprosił centralę łączności o połączenie z pułkownikiem Squiresem.

◆ Wtorek, 23.27 - nad Finlandią

- Nie, to nie jest wcale hipokryzja - przekonywał Sondrę Squires, gdy *Starlifter* zaczynał

podejście do portu lotniczego w Helsinkach. Członkowie oddziału przebrali się w cywilne ubrania i wyglądali w tej chwili jak zwykli turyści. - To prawda, że kawa wywołuje stan podniecenia i może szkodzić na żołądek, jeśli pije się ją wiadrami. Ale wino szkodzi na rozum i wątrobę.

- Nie, jeśli się je pije z umiarem - odparła Sondra znad plecaka. - A koneserzy win mają takie samo prawo do zachwyty nad wiekiem i smakiem wina, jak kto inny do zachwyty nad kawą.

- Ja się nie zachwycam kawą, nie kręcę moim kubkiem, żeby wydobyć bukiet -

zaprotestował pułkownik. - Ja ją po prostu piję i tyle. I nie udaję, że urznięcie się winem pitym łyżek za łyżkiem w eleganckim miejscu staje się tylko z tego powodu czymś podniosłym i stosownym. - Wykonał ręką ruch, jakby coś ucinął. - Koniec dyskusji.

Sondra zakłęła pod nosem, zapinając nie rzucający się w oczy plecak zawierający busolę, myśliwski kordelas o ponad dwudziestocentymetrowym ostrzu, pistolet *M9* kalibru 9

mm, tysiąc dolarów w drobnych, używanych banknotach oraz mapy rejonu działań wydrukowane w czasie lotu przez komputer Squiresa. To autorytarne zakończenie sporu nie było sprawiedliwe, ale w końcu odkąd to wojsko było instytucją opartą na sprawiedliwości?

„Z rangą przychodzą przywileje” - tę prawdę wszyscy znali, a i jej rodzice przypomnieli jej o tym, gdy zawiadomiła, że prosto z uroczystości rozdania dyplomów w Uniwersytecie Kolumbia wybiera się do wojska.

- Jak chcesz podróżować, to podróżuj sobie do woli. W końcu stać nas na to. Zrób sobie rok wolnego i ruszaj, gdzie oczy poniosą - tłumaczył ojciec. Ale dla niej to nie było to. Carl De Vonne był samoukiem, człowiekiem, który zaczynając od zera zrobił fortunę na produkcji lodów w Nowej Anglii. Za nic nie mógł zrozumieć dlaczego jego ukochana jedynaczka, której dawał wszystko czego tylko mogła chcieć, nagle zapragnęła zaciągnąć się ze świeżym dyplomem z literatury do marynarki. Ba, żeby tylko do marynarki, ale jej się zachciało przejść przez test kwalifikacyjny do SEAL, komandosów marynarki. Może to dlatego, że w dzieciństwie miała wszystko, czego zapragnęła i teraz chciała się sprawdzić? A może chciała dokonać czegoś, do czego jej wszechmocny tatuś nie był zdolny? W każdym razie SEAL, a teraz jeszcze Iglica, to były na pewno dobre miejsca, żeby się sprawdzić.

Kiedy tak zastanawiała się nad zawłościami ludzkiej natury, na przykład nad tym, jak ktoś tak błyskotliwie inteligentny jak Squires, może być tak uparty, radiooperator oznajmił, że mają następną rozmowę z Centrum. Pułkownik wziął słuchawkę i słuchał przez chwilę, jak zawsze, z uwagą, odpowiadając monosylabami, a potem oddał ją Ishiemu Hondzie.

- Proszę szanowną panią i panów do siebie - oznajmił, a gdy się zebrali, pochylił się i objął ich niczym rozgrywający futbolu amerykańskiego przed akcją.

- Oto najświeższe wiadomości. Szeregowy George. zostajecie w Helsinkach, gdy tam dotrzemy. Darrell McCaskey zorganizował wam spotkanie z majorem Aho z fińskiego Ministerstwa Obrony. Major przedstawi was waszej nowej partnerce, pani Peggy James z DI 6. Wraz z panią James zajmiecie się Ermitażem. Niestety, będziecie sobie musieli poradzić sami, ponieważ nam wyznaczono inne zadanie. Zabierzecie się miniaturowym okrętem podwodnym z Zatoki Fińskiej do ujścia Newy. Finowie mają na stanowisku ministra faceta z jajami, który organizuje rejsy rozpoznawcze aż w głąb ujścia Newy. Rosjanie nie mają teraz wystarczająco dużo ludzi i sprzętu, żeby porządnie pilnować tej trasy, a poza tym w Moskwie nie obawiają się ataku ze strony Finów.

- *Sic transit gloria mundi* - skomentowała Sondra.

- Wraz z panią Jones dopłyniecie w biały dzień do Sankt Petersburga pontonem.

Rodgers wolałby poczekać do wieczora, ale Finowie pływają w dzień, więc nie mamy wyboru. Na szczęście nie powinno to wzbudzić zbyt dużej sensacji, bo rosyjska marynarka ma bazę takich samych łodzi w Zatoce Koporskiej, na północ od miasta. Już w Helsinkach założycie mundury *Wojenno-Morskowo Flota*. Gdyby coś się działo, pani Jones mówi doskonale po rosyjsku i będziecie mieli odpowiednie dokumenty. Fałszowaniem papierów zajmuje się fińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa. Major Aho przekaze wam dokumenty i papiery urlopowe, żebyście mogli się wydostać stamtąd jako marynarze na przepustce. Po dotarciu do Ermitażu spróbujcie się dowiedzieć jak najwięcej o tym ośrodku łączności, który mają tam w podziemiach. Jeżeli da się go wyłączyć z gry bez zabijania kogokolwiek, macie to zrobić. Są pytania?

- Tak jest, sir. Zrozumiałem, że w fińskiej fazie operacji dowództwo obejmuje major Aho. Kto będzie dowodził w Rosji?

Szczęka Squiresa przesuwiała się powoli w bok.

- Właśnie do tego dochodziłem. Centrum przekazało, że pani James będzie wykonywać rozkazy oficera dowodzącego w Finlandii. Potem będzie miała status obserwatora, a więc nie będzie miała obowiązku wykonywania waszych rozkazów.

- Ale sir...

- Wiem, że to trochę dziwny układ, George. Mogę wam tylko powiedzieć, żebyście robili swoje. Jeżeli będzie miała ciekawe pomysły, słuchajcie jej. Jeżeli wasze nie przypadną jej do gustu, szukajcie ugody. Z tego co o niej słyszałem, jest niezła, więc nie powinno być problemów. Jeszcze coś?

- Już nie, sir - George zasalutował. Na jego młodzieńczej twarzy nie było widać podniecenia ani

niepokoju.

- Dobrze. - Squires rozejrzał się wokół. - Reszta z nas zrobi sobie małą wycieczkę.

Przesiadziemy się na rosyjski samolot z lodówki Firmy i ruszamy w nieznane. Dalsze rozkazy otrzymamy w drodze.

144

- Ma pan jakiś pomysł, co to będzie, sir? - zapytała Sondra.

- Gdybym miał - odpowiedział dobitnie, przeszywając ją spojrzeniem – to bym powiedział. Jak tylko czegoś się dowiem, natychmiast się z wami tym podzielę.

Sondrze udało się przetrzymać jego spojrzenie, choć czuła, że rozpływa się pod nim jak kostka cukru, którą śmiała wcześniej wrzucić do kawy. Ich wcześniejsze rozmowy, a teraz ta reprimenda, pokazały jej Squiresa, jakiego dotąd w ciągu miesiąca jej służby w Iglicy nie знаła. To już nie był ten sam pułkownik, który ganiał ich po placu ćwiczeń, ale prawdziwy dowódca, pierwszy po Bogu. Jego transformacja z szefa wyszkolenia w przywódcę była subtelna, ale widoczna. Musiała przyznać, że to robiło wrażenie.

Gdy pułkownik zakończył odprawę, Sondra usiadła na uboczu, zamknęła oczy i skupiła się na tym, czego uczono ją w SEAL, na mobilizowaniu motywacji. Przypominała sobie, że nie jest tu dla Squiresa, tylko dla siebie i ojczyzny.

- Szeregową De Vonne.

Sondra otworzyła oczy. Squires pochylił się nad nią tak, by słycać go było mimo hałasu silników. Wyraz jego twarzy stracił wiele z surowości z przed chwili.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Chciałbym wam udzielić jednej rady. Pamiętam, że w obozie szkoleniowym byliście jednym wielkim kłębkim ambicji. Nie wiem komu i co chcieliście udowodnić w ten sposób, ale na mnie zrobiliście znakomite wrażenie. Naprawdę, byłem pod wrażeniem. Wasze umiejętności, zaangażowanie i inteligencja sprawiły, że teraz siedzimy razem w tym samolocie. Reszta mojego zespołu zdążyła sobie już przyswoić to, że w czasie operacji wyznacznikiem naszych działań są cnoty główne: szacunek, umiar, wspaniałomyślność i sprawiedliwość. Rozumiecie?

- Wydaje mi się, że tak.

- To może powiem inaczej, żebyście wyzbyli się wątpliwości - ciągnął Squires siadając obok i zapinając pasy, gdyż samolot zaczął schodzić do lądowania. - Miej uszy i oczy otwarte, a gębę trzymaj na kłódkę i wszystko będzie w porządku.

Sondra odchyliła się głębiej na siedzeniu i także zapięła pasy. Ciągle jeszcze nie mogła się pogodzić z tym, że Squires wybrał akurat tę chwilę i ten sposób na wykłady swojej filozofii, ale równocześnie czuła bardziej niż kiedykolwiek, że to był człowiek, za którym mogła ruszyć w bój bez obawy.

◆ **Poniedziałek, 16.30 - Waszyngton**

Rodgers siedział w swoim gabinecie i przeglądał plany przygotowane przez wydział

taktyczny dla Iglicy, gdy Stephen Viens przysłał wyniki rozpoznania sytuacji przez satelitę *AIM*

„Skrzynie wydają się zawierać substancję stałą. Prawdopodobnie jest to sprzęt techniczny. Masa skrzyń pozwala na łatwe przenoszenie przez dwie osoby. Zdjęcia wysłałem do analizy Mattowi Stollowi” - głosił raport.

- Paczki z heroiną lub kokainą pasowałyby jak ulał – mruknął pod nosem generał. - Z

jaką rozkoszą dorwałbym tych bydlaków i zmusił ich, żeby to zeżarli do ostatniej okruszyny...

– Pukanie do drzwi przerwało mu błogie marzenia.

W otwartych drzwiach stał Lowell Coffey.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - upewnił się mecenas.

Rodgers wskazał mu krzesło. Coffey zdjął czarny płaszcz i usadowił się w skórzanym fotelu. Pod oczyma miał wory, a jego zwykle starannie uczesane włosy były lekko zmierzwione. Wyglądało na to, że miał za sobą długi i ciężki dzień.

- Jak tam poszło w komisji? - zapytał generał.

- Przedstawiłem nasz zmodyfikowany plan senator Fox i senatorowi Karlinowi. Zgodnie orzekli, że nam chyba odbiło. Fox nawet powtórzyła to dwa razy. W rezultacie nie zatwierdzili żadnych zmian mandatu Iglicy. Nie chcą się pogodzić z ewentualnością militarnego starcia z wojskami rosyjskimi, to chyba ich największy problem, Mike.

- Co mnie obchodzą ich problemy? Chcę wysłać tam moich ludzi. Idź do nich raz jeszcze i zapewnij ich, że naszą intencją nie jest podjęcie walki tylko rozpoznanie.

- Tylko rozpoznanie - z lekkim odcieniem niedowierzania w głosie powtórzył Coffey. -

Nigdy w to nie uwierzą. Nawet ja w to nie wierzę. Co my właściwie chcemy rozpoznać?

- Trasę pociągu i zawartość skrzyń, których pilnują żołnierze.

- Żeby się tego dowiedzieć, trzeba się przecież dostać do tego pociągu. Powiedziałbym, że to dość szczegółowe rozpoznanie. No dobrze, a jeżeli ich nakryją w drodze? Co mam powiedzieć senatorom? Poddadzą się czy będą walczyć?

- Iglica się nie poddaje.

146

- To zapomnij o moim powrocie przed komisję.

- No, dobra. Powiedz im, że nie będziemy prowadzić walki. Możesz im nawet obiecać, że nie użyjemy nic więcej ponad petardy i gaz łzawiący. Trochę ich przydusimy, ale nikomu nic nie będzie.

- To nadal jeszcze nie to. Nie mogę z tym iść do komisji, Mike.

- To niech się pieprzą. Nawet z ich łaskawą zgodą i tak łamiemy prawo międzynarodowe.

- Racja. Tyle, że jak się zrobi smród, to Kongres będzie siedział na rozżarzonych węglach, a nam się nikt nie będzie dobierał do tyłka. Masz pojęcie ile międzynarodowych umów i konwencji chcesz złamać przy okazji tylko tej jednej operacji? Ale przynajmniej nie pójdziesz za to do pudła. Nie będziesz miał na to czasu, bo do śmierci będą cię ciągać po sądach.

Rodgers pomyślał przez chwilę.

- A gdybyśmy im powiedzieli, że to nie z rządem rosyjskim będziemy w razie czego walczyć?

- W Rosji? A z kim w takim razie?

- Przypuszczamy, że stoi za tym wysoki urzędnik szykujący pucz. To osoba usytuowana bardzo wysoko w hierarchii, a do tego skumał się z baronami narkotykowymi.

- To dlaczego w takim razie w ogóle się tym zajmujemy? Powiedzmy o tym Roskim, to może nas sami zaproszą.

- Nie mogę. Prezydent Żanin ma zbyt słabe poparcie, by samemu poradzić sobie z puczystami.

- Pucz, powiadasz? - zastanowił się Coffey nad nową dla niego informacją. - Wysoki urzędnik... Obieralny?

Rodgers pokręcił głową.

- Mianowany przez poprzedniego prezydenta i murowany kandydat na zrzutka, jak tylko Żanin obrośnie w piórka.

Coffey w zamyśleniu żuł wargę.

- No, to w połączeniu z tymi narkotykami może zadziałać... Kongres lubi dawać po łapach obrzydliwcom, bo to się podoba wyborcom. A co z prezydentem? Poprzez nas czy jesteśmy sami?

- Paul powiedział mi, co zamierzamy. Szczegóły i reperkusje niezbyt przypadły mi do gustu, ale świerzbi go, żeby komuś przyłać za to, co się stało w Nowym Jorku.

147

- I Paul też cię popiera, tak?

- Poprze, jak tylko przepchniemy to przez komisję.

Coffey skrzyżował nogi i przez chwilę nerwowo kiwał stopą.

- Domyślam się, że przerzutu nie chcesz dokonać firmowym *Starlifterem* Iglicy?

- Wyciągnęliśmy z lodówki w Berlinie *Ila-76* i wysłaliśmy go do Helsinek.

- Zaraz, chcesz przez to powiedzieć, że ambasador Filminor zdołał skłonić prezydenta Finlandii do wydania zgody na przerzut wojsk z jego kraju?

- Nie, Bob załatwił to z ministrem obrony.

- Z Niskanenem?! Jezu, Mike, mówiłem ci przecież rano, że ten Niskanen to oszołom!

Zresztą dlatego Finowie trzymają go na tym stołku jako stracha na wróble. Przecież on nie ma prawa wydawać zgody na takie działania! Tej może udzielić tylko prezydent Jarvalainen i to jeszcze z kontrasygnatą pani premier Lumirae.

- Od Niskanena potrzebowałem tylko zgody na przylot. Jak Iglica wystartuje, to wtedy ty, czy ambasador, załatwicie tę sprawę z prezydentem i premierem.

Coffey kręcił głową z niedowierzaniem.

- Boże, Mike, to jest jedno wielkie pole minowe.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do gabinetu wszedł Darrell McCaskey.

- Nie przeszkadzam? - zapytał.

- Owszem - odparł Coffey - ale nie szkodzi.

- Słyszałem o tym agencie w Tokio. Moje kondolencje - powiedział Rodgers.

Łącznik FBI i negocjator Centrum podrapał się w przedwcześnie łysiejącą szpakowatą głowę i podał Rodgersowi teczkę z papierami.

- Zginął na służbie - odpowiedział. - Dla niego to się liczyło.

Coffey przymknął oczy i potarł powieki, a generał zaczął przeglądać dokumenty.

- To przesłali z Interpolu - wyjaśnił Darrell. - Te plany powstały wkrótce po rozpoczęciu II wojny światowej, pokazują podziemia Ermitażu. Rosjanie wiedzieli, że będzie wojna, więc odremontowali te podziemia, wzmocnili ściany żelbetonem, skanalizowali je i zaplanowali tam kwaterę dla regionalnych władz państwowych i wojskowych na wypadek wojny. Ściany i stropy mają po półtora metra grubości, jest wentylacja i kanalizacja. Małym nakładem sił i środków można by tam urządzić jakiś ośrodek wywiadowczy.

148

- Na ich miejscu sam bym to tak urządził - mruknął Rodgers znad planów. - Tylko czemu do diabła zwlekali z tym tak długo?

- Interpol twierdzi, że od lat zainstalowany był tam ośrodek nasłuchowy wywiadu radioelektronicznego. Ale znasz Rosjan. Oni wierzą raczej w szpiegowanie u źródła, niż elektroniczne podglądanie.

- Tak, oni mają taką trochę chłopską mentalność. Lepszy wróbel w garści, niż gołąb na dachu.

- W zasadzie tak - zgodził się McCaskey - ale ostatnio zgarnęliśmy kilku świeżo zwerbowanych agentów, a poza tym stara gwardia z KGB poszła w odstawkę. Wiele się tam mogło zmienić, panowie.

- Dzięki. Prześlij to Squiresowi, żeby mógł dać temu chłopakowi, który jedzie do Sankt Petersburga. - Przerwał na chwilę, po czym zwrócił się do Coffeya. - Dla ludzi z zewnątrz może wyglądać na to, że robimy tu kawał dobrej szpiegowskiej roboty. Może byś się tak zajął

wydobyciem od komisji tej ich zgody? Będzie nam potrzebna, jak tylko Iglica wystartuje z Helsinek, czyli - spojrzął na zegar na monitorze komputera - za jakąś godzinę.

Coffey skinął głową, wstał i znów zaczął bawić się spinkami przy mankiecie koszuli.

- Jeszcze jedno, Mike. Jako adwokat i przyjaciel chciałbym ci przypomnieć, że w rozdziale siódmym naszej karty, regulującym stosunki służbowe między żołnierzami a kierownictwem cywilnym, jest w sekcji b, w paragrafie drugim, przepis mówiący, że działaniami Iglicy kieruje odpowiedniej rangi oficer. Czyli ty. Z tego wynika, że dyrektor nie może unieważnić rozkazu, który wydasz.

- Znam Kartę Centrum niemal tak dobrze jak „Wojnę galijską” Cezara, Coffey. O co ci chodzi?

- Gdybym nie otrzymał zgody komisji, a Paul poważnie podchodzi do ich opinii, to gdybyś wydał rozkaz Iglicy, jedynym sposobem jego odwołania byłoby zwolnienie cię z funkcji i mianowanie nowego zastępcy. W razie takiej potrzeby musielibyście mianować któregoś z oficerów pełniących akurat dyżur.

- Nigdy nie doprowadzę do takiej sytuacji - zapewnił go Rodgers. - Odwołam Igllicę sam, jeśli mnie o to poprosi. Ale myślę, że Paul tego nie zrobi. Jesteśmy zespołem do rozwiązywania konfliktów. a nie ich wywoływania, i tak długo jak będziemy robić wszystko dla zapewnienia bezpieczeństwa Igllicy, jestem pewien, że ten kryzys uda się zażegnać.

- Możecie się tam nieźle wpakować - powiedział Coffey.

- Tylko jeżeli ten plan nie wypali - zauważył McCaskey. - Już raz wystawiliśmy tyłki nad ognisko organizując wypad do Korei. I co? Wygraliśmy i wszyscy nabrali wody w usta.

Rodgers poklepał Coffeya po ramieniu i wrócił do biurka.

- Poczekaj z kopaniem dla nas grobów, Lowell. Ostatnio czytałem Churchilla i zdaje się.

że to, co powiedział w kanadyjskim parlamencie w grudniu 1941 roku, będzie tu na miejscu: 149

„Kiedy ostrzegałem Niemców, że Wielka Brytania będzie walczyć cokolwiek by zrobili, ich generałowie ogłosili w prasie, że za trzy tygodnie ukręcą lwu Albionu łeb, jak kurczakowi”.

Komentarz Churchilla nadawałby się chyba na naszą nową dewizę. Powiedział: Jaki kurczak, taki łeb”.

◆ **Poniedziałek, 23.44 - Helsinki**

Starlifter wylądował na odległym pasie startowym w rogu helsińskiego portu lotniczego. Major Aho, potężnie, choć proporcjonalnie zbudowany, czarnowłosy Lapończyk, czekał już na nich i powitał w doskonałej angielszczyźnie. Oświadczył im, że jako ich opiekun z ramienia ministra obrony ma służyć im wszelką pomocą.

Stojący w otwartych drzwiach *Starliftera* Squires, chłostany zimnym wichrem odparł, że w tej chwili nie marzą o niczym innym, jak tylko o tym, żeby zamknąć te drzwi za sobą i poczekać na *Iliuszyna*.

- Rozumiem - odparł z godnością major. Przydzielił im adiutanta jako łącznika w kontaktach z obsługą naziemną, poczekał, aż pożegnali się z szeregowym George'em i życzyli mu powodzenia, a potem odprowadził go do czekającego opodal samochodu. Wsiedli do tyłu.

- Był pan już kiedy w Finlandii, George? - zapytał Aho.

- Panie majorze, zanim się zaciągnąłem do wojska, nie wystawiłem nosa poza Lubbock w stanie Teksas, potem dotarłem aż do Wirginii i na tym się moje wojaże zakończyły. Nie byłem jeszcze w Iglicy, gdy ruszyła na pierwszą wyprawę. Kiedy zaś mieliśmy już lecieć do Korei, generał wysadził mnie z samolotu i zajął moje miejsce.

- Duży może więcej - skomentował major. - Teraz nadrobi pan trochę zaległości, odwiedzając aż dwa kraje naraz.

George odwzajemnił się uśmiechem. Twarz majora była dobroduszną, spojrzenie miał

miękkie, serdeczne, jak żaden oficer, którego widział w życiu. Ale jednocześnie ciasno opięty brązowy mundur podkreślał sylwetkę, którą trudno było spotkać gdziekolwiek poza turniejami kulturystycznymi w telewizji kablowej.

- To dobry znak, chłopcze - powiedział major. - Wikingowie wierzyli, że zagraniczny wojownik, dla którego pierwszym obcym krajem jest Finlandia i przybywa tam w celach pokojowych, będzie niezwyciężony w boju.

- To dotyczyło tylko mężczyzn?

- No, to były inne czasy, inny świat - westchnął Aho. - Domyślam się, że chodzi ci o twoją nową partnerkę, tak? Jeszcze się nie znacie?

- W rzeczy samej, panie majorze. Niecierpliwie oczekuję tej chwili - odpowiedział

dyplomatycznie szeregowy George. W rzeczywistości obawiał się tej chwili. Czytał wyciąg z jej akt przesłany faksem na pokład samolotu i wcale nie był pewien, czy coś dobrego wyniknie ze

- Jej bym tego nie mówił, bo i po co, ale społeczeństwo Wikingów tworzyli przede wszystkim mężczyźni, wojownicy. Żaden z nich nie rozstawał się ze swoim toporem, mieczem i nożem ani na chwilę, nosili ubiory z lisich, bobrowych lub wiewiórczych skórek, okrywające całe ciało poza prawą ręką, której potrzebowali do walki. A kobiety nosiły na piersiach ozdoby z żelaza, miedzi, srebra lub złota, w zależności od zasobów męża i obroże na szyjach, symbolizujące posłuszeństwo mężowi. Swego czasu nasi naukowcy toczyli ciężkie boje między sobą o to, jak uczyć naszej historii.

- Przerwał na chwilę, poprawiając się na siedzeniu. - Paranoja. O tym nie mówić, bo się kobiety obrażą, o tamtym nie, bo się urazi Brytyjczyków, którzy zdrowo oberwali od Wikingów, nie mówić o wyrzynaniu chrześcijan przez pogan, którzy przecież nie byli ślepi i chcieli uratować się przed losem Wizygotów, Ostrogotów, Burgundczyków, Longobardów czy Alemanów. Na szczęście w końcu stanęło na tym, że prawda historyczna jest ważniejsza, niż doraźne względy polityczne. Czyż można się wstydzić takiej historii jak nasza?

- Nie, sir - odparł George patrząc w gwieździste niebo. Czy takie samo niebo podziwiali Wikingowie, patrząc w nie z podziwem, a może z obawą? A zresztą czy oni bali się czegokolwiek poza utratą honoru? Szkolenie jakie przeszedł, a przecież szkolenie w Delcie, SEAL czy Specnazie musiało być podobne, wbiło mu w głowę, że śmierć jest szybka, ale hańba zostaje z człowiekiem na całe życie. George wierzył w to bez zastrzeżeń.

Z drugiej strony ten ich ubiór... Czuł się o niebo pewniej opięty kewlarową kamizelką kuloodporną, z zasobnikiem pełnym granatów, nożem do walki wręcz, maską gazową w torbie na piersi i kieszeniami pełnymi zapasowych magazynków do peemu. Założenia planu nie pozwoliły mu zabrać tego wszystkiego na tę wyprawę. Zamiast tego w plecaku miał gogle noktowizyjne *AN/PUS-7A*, z nasadką termowizyjną *AN/PAS-7*, pozwalającą oglądać obrazy w rozbiciu na plamy o różnej temperaturze i wykrywać obiekty oraz osoby, których nawet normalne gogle noktowizyjne z optoelektronicznym wzmacniaczem obrazu nie mogły wyszukać w tle. W plecaku był jeszcze jego *Heckler & Koch MP5SD3* ze składaną kolbą i integralnym tłumikiem. Prócz tłumika wystrzałów jego broń miała dodatkowo gumowe wkładki wyciszające zamek, tak że już pięć metrów od miejsca, z którego się strzelało, nie było nic słychać. Miał też swój amerykański paszport, którego potrzebowałby, gdyby chciał

skorzystać z drogi ewakuacyjnej zaproponowanej przez Darrella McCaskeya.

- Pańscy przodkowie chyba jednak nie robili takich rzeczy, jakie my planujemy, panie majorze - powiedział George, odwracając wzrok od uroków Mlecznej Drogi, gdy samochód dotarł do miasta. Skręcili w główną ulicę Helsinek, Pohjoesplanadi, Aleję Północną, która biegnie przez miasto ze wschodu na zachód. - Trochę trudno by im było przekraść się niezauważenie do innego kraju z całym tym szczękającym żelastwem i rogatymi hełmami.

- Prawda - uśmiechnął się Aho. - Tylko że oni nigdy się nie przekradali. Wręcz przeciwnie, zawsze

lubili ostentację. Zaczynali łupić prowincję, nie śpiesząc się z zajmowaniem reszty kraju, tak żeby uchodźcy zdążyli wywołać panikę, zanim jeszcze oni sami się gdzieś pojawili. W ten sposób władcy zaatakowanej krainy musieli jednocześnie walczyć z nimi i zaprowadzać porządek w kraju.

- A my sobie boczkami, po cichutku, miniaturową łodzią podwodną.

- My je nazywamy rozpoznawczo-dywersyjnymi okrętami podwodnymi. Wprawdzie to to samo, ale brzmi bardziej wojowniczo.

152

- Zdecydowanie bardziej, sir - zgodził się George.

Samochód zatrzymał się przed majestatycznym pałacem prezydenckim, zbudowanym jako rezydencja rosyjskich carów, którzy władali Finlandią od roku 1812, na miejscu starszej o dwa wieki, zniszczonej przez pożar, drewnianej rezydencji szwedzkiej królowej Krystyny.

Weszli bocznym wejściem.

O tej porze pałac był już pusty i cichy. Po przedstawieniu dokumentów wartownikowi, Aho przywitał się z kilkoma członkami szkieletowej nocnej zmiany i poprowadził George'a do małego gabinetu na końcu wąskiego, skąpo oświetlonego korytarza. Obok zwykłych drewnianych drzwi widniała mosiężna tabliczka z napisem MINISTER OBRONY. Aho wyjął

z kieszeni klucz i przekręcił go w zamku.

- Minister ma kilka biur w różnych miejscach Helsinek - wyjaśnił. - Tego używa, gdy jest w dobrych stosunkach z prezydentem. Dość dawno już tu nie był - dodał z uśmiechem. -

Tak, dzisiejsze czasy różnią się bardzo od tego, co było kiedyś. Halfdan czy Olaf Tryggvason nie kłócili się z Kanutem Wielkim czy Svenem Widłobrodym za pośrednictwem parlamentarzystów, prasy czy telewizji. Jeżeli nie znajdowali porozumienia, brali sobie niewolnicę, stawiali pod ścianą i rzucali toporami. Kto trafił, ten przegrywał, a potem wracali pić i jeść, zapominali o kłótni i było po sprawie.

- No, dzisiaj takie rozwiązanie chyba nie byłoby zbyt skuteczne - potarł w zamyśleniu brodę George.

- Wprost przeciwnie, ale wyobrażasz sobie te nagłówki w gazetach? - odparł Aho, otwierając drzwi.

Wewnątrz George zobaczył kobietę stojącą za biurkiem, pochyloną nad rozłożoną mapą.

Była drobnej postury, miała duże, niebieskie oczy obramowane krótko obciętymi ciemnoblond włosami. Usta miała małe, o naturalnie czerwonym kolorze, nos o lekko zadartym końcu, a jej cera była bardzo blada, z piegami na policzkach. Ubrana była w czarny kombinezon.

- Pani James, szeregowy George - przedstawił ich sobie Aho, zamykając drzwi i odkładając na wieszak czapkę.

- Miło panią poznać - powiedział z uśmiechem George, odkładając plecak.

Peggy podniosła wzrok znad mapy, obrzuciła go krótkim spojrzeniem, po czym wróciła do poprzedniego zajęcia.

- Dobry wieczór - bąknęła. - Wyglądasz na najwyżej piętnastkę. - Akcent i maniera, z którą to wypowiedziała, przypominały mu młodą Bette Davis.

- Jak sobie ostatnio mierzyłem - odparł podchodząc do biurka - miał piętnaście i pół.

- Patrzcie państwo, jaki dowcipny - rzuciła znad mapy.

- O, mam wiele talentów, proszę pani - powiedział. Ciągłe się uśmiechając, z miejsca, bez rozbiegu, wskoczył na biurko. W tym samym krótkim, płynnym ruchu złapał z blatu nóż 153

do otwierania korespondencji i przystawił go Peggy do gardła. - Między innymi nauczono mnie zabijać ludzi, cicho, sprawnie i skutecznie.

Ich spojrzenia spotkały się i George już wiedział, że to był błąd. Zrobiła to tylko po to, by odciągnąć jego uwagę od rąk, którymi uderzyła mocno w dłoń z nożem. Otwieracz do listów zadzwonił, upadając na biurko, ale zanim to usłyszał, jej prawa noga przemknęła nad stołem, zbijając go z nóg. Upadł na bok, a wtedy złapała go za koszulę z przodu i zrzuciła na podłogę, przydeptując gardło.

- Następnym razem, jak będziesz kogoś próbował zabić, synku, nie trać czasu na gadanie. Dobrze?

- Dobrze - odparł, podrzucając obie nogi tak, że oparł je na jej ramionach. Pociągnął ją w dół i zacisnął łydki na jej szyi, przewracając ją na plecy. - Tylko tym razem zrobiłem wyjątek.

Przytrzymał ją chwilę, akurat tak długo, by zdała sobie sprawę z tego, w jakiej sytuacji się znalazła i puścił. Fala powietrza wdzierającego się do zaciśniętego gardła spowodowała atak kaszlu. Pomógł jej wstać.

- Niezłe, zupełnie niezłe - powiedziała, masując szyję. - Ale znowu dałeś ciała.

- Co takiego?

Wyciągnęła ku niemu prawą rękę z nożem do otwierania listów.

- Zdażyłam to złapać, kiedy ciągnąłeś mnie w dół. Gdyby to było naprawdę, mogłabym ci obciąć małego, a ty leżałeś tak, że nawet gdybyś chciał, nie mógłbyś mnie powstrzymać.

Dalej rozcierając szyję, wróciła do analizowania mapy.

George popatrzył na nóż i skłął się w duchu za niewagę. To, że kobieta zrobiła go na szaro, nie miało znaczenia. Na treningach okładali się z Sondrą bez zmiłowania i z różnym szczęściem. Ale gdyby doszło do prawdziwej walki, zauważenie lub nie tego cholernego otwieracza mogło oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

- Tak, no to skoro już się państwo zapoznali, może byśmy się wzięli do pracy, co? -

zapropował Aho, który przezornie usunął się na bok na początku „rozmowy” swoich gości.

Kiwnęli głowami.

- Zanim pan jeszcze przyleciał, zdążyłem zapoznać panią James z procedurą podróży, przekazałem też jej wasze pieniądze i mundury. - Uśmiechnął się. - Tak na marginesie, to mamy tu więcej rosyjskich mundurów niż oni tam, w Rosji. No i nasze lepiej leżą. - Sięgnął

do kieszeni i wyjął zamkniętą kopertę. - Tu są wasze dokumenty. Według nich jesteście teraz starszym bosmanmatem Jewgienijem Gribowem i starszą marynarz Zinajdą Puusep. Jesteście przydzieleni do sekcji nawigacyjnej, zajmujecie się konserwacją znaków żeglugowych na podejściu do portu. Jeżeli byście występowali w miejscu publicznym, ma wyglądać tak, jakby pani, pani James, wykonywała rozkazy szeregowego George'a.

154

- Przecież to bez sensu - odparła Peggy. - On nie zna złamanego słowa po rosyjsku! Co za idiota to wymyślił?

- No to ma pani dziewięćdziesiąt minut podczas rejsu motorówką do bazy i potem dziesięć godzin w okręcie podwodnym, żeby nauczyć go podstawowych zwrotów. - Aho sięgnął po czapkę. - To by chyba było wszystko. Jakieś pytania?

- Nie, sir - odpowiedział George.

Peggy pokręciła w milczeniu głową.

- W takim razie, powodzenia.

George podniósł z podłogi plecak i ruszył za majorem, który otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i zamknął je za sobą, tuż przed nosem George'a.

- Ci cholerni oficerowie - mruknął pod nosem Amerykanin, sięgając po kłamkę. -

Wszędzie tacy sami.

- Stój! - warknęła Peggy.

George odwrócił się.

- Co proszę?

- Odłóż ten plecak. Na razie nigdzie się nie wybieramy.

- Jak to nie?

Nie odpowiadając, zdjęła z półki Polaroida.

- Uśmiech, proszę - powiedziała naciskając spust.

Na ulicy, nad brzegiem Zatoki Południowej, stała kobieta z psem. Wala przyjechała tam na rowerze z mieszkania jej długoletniego agenta, emerytowanego fińskiego policjanta.

Rower był teraz oparty o latarnię opodal, ale ona stała poza kręgiem żółtego światła. Pies siedział opodal, dysząc po biegu obok roweru. Tym razem to nie był już ten półdziki russell-terrier, którego użyła przeciw brytyjskiemu agentowi w Sankt Petersburgu. Nikogo nie miała tu eliminować, jej zadaniem było tylko patrzeć i informować pułkownika Rosskiego, więc kudłaty cocker-spaniel wystarczał w zupełności.

Rozpoznała majora Aho wychodzącego z budynku. Odkąd Ośrodek namierzył

odrzutowiec lecący z Ameryki, każdy krok majora, a teraz majora i jego amerykańskiego przyjaciela, był ściśle śledzony. Kierowca, który jechał za nimi z lotniska, czekał teraz na Kanavakatu, przy bocznej uliczce z widokiem na Uspienskij Sobor, katedrę w centrum miasta. Śledzenie oficera i jego szpiega przejęła ona. Majora i jego dwóch szpiegów ponownie zauważyła, gdy wsiadali do samochodu. Gdy upewniła się, że przybysze wsiedli, szarpnęła smycz i pies zaszczekał głośno dwa razy, potem jeszcze dwa razy.

155

- Ruthie, cicho bądź! - krzyknęła Wala i ponownie szarpnęła smycz. Dobrze wytresowany pies zamilkł.

Aho rozejrzał się wokół, ale nie zatrzymał wzroku na żadnym konkretnym punkcie i wsiadł do samochodu w ślad za swymi gośćmi. Wóz ruszył aleją, a za nim, po chwili, wyjechało z bocznej uliczki Volvo jej partnera, powiadomionego szczekaniem psa. Umówili się wcześniej, że pojedzie za majorem, zobaczy gdzie się udają, a potem wróci tu po nią. Nie chodziło tylko o wygodnictwo. Chciała się upewnić, że nikt inny nie wyjdzie za nimi z pałacu. Po stracie dwóch agentów mogą podjąć jakieś specjalne środki bezpieczeństwa dla zabezpieczenia pozostałych. Zresztą w niektórych krajach takie środki stosowano rutynowo.

Pięć lat wcześniej, gdy wstąpiła do służby, jej szef dał się nabrać Anglikom na fałszywkę, chroniącą prawdziwą akcję. Ponieśli wtedy duże straty i szefa zdegradowano, przesuwając z GRU do ochrony

kosmodromu Bajkonur. Nie wytrzymał tej hańby i strzelił sobie w łeb. Wala Saparowa nie miała zamiaru pójść w jego ślady.

Spacerowała spokojnie wzdłuż nabrzeża, nasłuchując cichego szumu fal rozbijających się o kamienie, spoglądając na samochody z rzadka przejeżdżające nadbrzeżnym bulwarem, na sporadycznych przechodniów.

I wtedy zobaczyła coś, co uradowało jej duszę. Z bocznej bramy pałacu wymknęły się dwie sylwetki. Byli to ludzie podejrzenie podobni do tych, którzy dopiero co odjechali z majorem...

◆ Wtorek, 1.08 - Sankt Petersburg

W czasach gdy często latał w kosmos, Orłow przywykł do uregulowanego trybu życia.

W ciągu doby był czas na spanie, jedzenie, pracę, prysznic, ćwiczenia. Kiedy zaczął uczyć innych, wpajał im ten sam reżim działania, który dobrze służył jemu. W ciągu dwóch lat kierowania Ośrodkiem ten starannie wyregulowany porządek legł w gruzach, skonfrontowany z wymogami pracy. Brakowało mu zwłaszcza czasu na gimnastykę, a w ciągu ostatniego okresu prac, tuż przed rozruchem, zaczęło nie starczać czasu na sen, co wyczerpywało go jeszcze bardziej.

Spodziewał się, że to będzie długi dzień, nerwowy, pełen pracy nad usuwaniem pojawiających się nieoczekiwane usterek i niedomagań, ale rozruch poszedł

nadspodziewanie sprawnie. Poza tym, nie trzeba było organizować dodatkowo specjalnej operacji kontrwywiadowczej, wysłać w teren agentów z Puszkina, bo okazało się, że Ministerstwo Bezpieczeństwa zdjęło w Moskwie tego kelnera, który pracował dla Anglików.

Wieźli go teraz do Sankt Petersburga i Orłow miał nadzieję, że uda się go użyć na przynętę dla innych szpiegów. Bezpieka potrafiła takie rzeczy robić dużo sprawniej niż Rosski, który miał w sobie tyle subtelności, co walec drogowy. Generał nie wierzył ani przez chwilę w samobójstwo Anglika. Bardzo żałował, że nie miał okazji go przesłuchać.

Cóż, nie zawsze można mieć wszystko, a zdolność adaptacji jest cechą przydatną każdemu oficerowi. Orłow nie dał się wytrącić z równowagi niepowodzeniem i zachował

czujność. Powoli zaczynał jednak tracić cierpliwość. Nigdy nie lubił czekać, a już szczególnie stresująca była dla niego konieczność czekania na kolejne elementy układanki. Ilekroć coś się spieprzyło w kosmosie, miał pod ręką listę procedury awaryjnej. A tu nie miał nic i nic na to nie mógł poradzić. Musiał siedzieć i czekać na rozwój zdarzeń, kompletnie pozbawiony wpływu na nie.

O 1.09 przyszła wiadomość z Helsinek, od Wali Sapparowej. Tam u nich było o godzinę wcześniej, tuż po północy. Wala nie chciała dźwigać ze sobą sprzętu do bezpiecznej łączności, więc używała zwykłej linii telefonicznej, dzwoniąc z budki na numer w Sankt Petersburgu.

Linia była zastrzeżona, centrala międzynarodowa kierowała rozmowę prosto do Ośrodka, z pominięciem centrali rozdzielczej. W ten sposób rozmowa po prostu ginęła w eterze i nikt nie mógł namierzyć rozmów łączonych do i z Ośrodka.

Meldunki agentów przesyłane w ten sposób miały formę zwykłej rozmowy i wiadomości, które miały być przekazane komuś z rodziny, koledze, czy jeszcze komu innemu. Jeżeli agent nie prosił o przekazanie czegoś komuś, Ośrodek ignorował wiadomość.

Często używano tego sposobu, by właściwy meldunek utopić w powodzi wielu telefonów

kierowanych do różnych odbiorców na wypadek, gdyby agent podejrzewał, że jego linia jest na podsłuchu. Podsłuchiwacz miał wtedy do wyboru wiele bezsensownych, ale składowych rozmów, z których każda mogła być zaszyfrowanym meldunkiem. Szczegółowa analiza 157

wszystkich potrafiła zatkać nawet najlepszy komputer do czasu, gdy meldunek stracił już na wartości. Wzmianka o pogodzie sygnalizowała początek meldunku.

Wala poprosiła wujka Borysa i operator centrali wiedział już, że ma ją połączyć z Roskim. Jeden z dziewięciu operatorów komputerów nadzorujących łączność w sali operacyjnej wręczył pułkownikowi słuchawki. Orłow także podniósł swoje słuchawki i przyłożył je do ucha. Rozmowa była i tak nagrywana przez magnetofon.

- A, witaj mój drogi ptaszku - jowialnie powitał rozmówczynię pułkownik. - Jak ci się tam podoba u tego twojego księcia z bajki? - Rozmyślnie nie używali żadnych personaliów, by ewentualny podsłuchujący nie miał punktu zaczepienia.

- Bardzo, wujciu, bardzo. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale byłam strasznie zajęta. A teraz wyszłam z psem na spacer, bo piękna pogoda.

- Biedactwo. No, ale przynajmniej dobrze, że pogoda dopisuje.

- Mój księżę odwozi na lotnisko dwoje przyjaciół, którzy wpadli z wizytą, a ja wzięłam rower i psa i pojechałam nad zatokę.

- Ładnie tam?

- Pięknie, wujku. Zresztą ludzie tutaj też lubią się późno włóczyć. Właśnie widziałam jakąś parę, jak wyżyli na wycieczkę po zatoce.

Orłow zauważył, że powiedziała „po zatoce”. A więc na razie nie wsiadali na okręt podwodny.

- Też pomysł, po ciemku na morze?

- Ano właśnie. Ale chyba wiedzieli, co robią. Ładną łódź mieli, taką szybką motorówkę.

Pewnie płyną gdzieś, skąd będą mieli rano piękny widok. Młodzi mają czasem takie romantyczne pomysły.

- A ty to miałaś lepsze? Dobrze, moja droga, kończmy tę rozmówkę, późno się robi, a licznik bije. Wracaj do domu, nie włócz się sama po nocy. I zadzwoń znów jutro, skarbie.

Odkąd wyjechałaś, tak tu smutno bez ciebie.

- Na pewno zadzwonię. Pa, wujku, śpij dobrze.

- Pa, najdroższa.

Orłow odłożył słuchawki z uśmiechem. Gruchająca parka, myślałby kto. Oddał

słuchawki operatorowi. Rosski położył swoje na pulpicie i z napiętym wyrazem twarzy podążył za generałem do jego gabinetu. Wszyscy słyszeli rozmowę, ale Orłow nie chciał

omawiać jej treści przy nie wprowadzonych w sprawę. Zawsze gdzieś mógł się zaplatać ktoś, kto nie powinien usłyszeć tego, co mieli sobie do powiedzenia.

- To bezczelność - prychnął Rosski, gdy drzwi się zamknęły. - Łodzią sobie płyną, jak na wycieczkę.

158

- Lekceważenie Finów było jednak błędem - stwierdził Orłow, siadając na brzegu biurka. - Teraz tylko pozostaje pytanie: czy zatrzymać ich na zatoce, czy pozwolić im dopłynąć.

- Dać im postawić nogę w Rosji? Nigdy! - odparł Rosski. - Będziemy ich śledzić z satelity i zatopimy, gdy tylko wpłyną na nasze wody terytorialne. - Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby myślał nad czymś głośno, a nie mówił do przełożonego. -

Normalnie byśmy postawili przed nimi pole minowe, ale nie chcemy otwartego konfliktu.

Niskanen jest tylko dinozaurem, skamieliną zimnej wojny w erze pokojowego współistnienia.

- Zamilkł na chwilę. - O, już wiem. Każemy marynarce wysłać okręt podwodny z bazy w zatoce. Będzie mała kolizja, ogłosi się komunikat o tym, że ponieśliśmy straty w ludziach w wyniku nieodpowiedzialnego zachowania fińskiej jednostki.

- Normalnie tak byśmy zrobili, sami to mówiliście. A ja powtarzam, może by im pozwolić wylądować?

W oczach Rosskiego ogniki entuzjazmu ustąpiły miejsca gniewowi.

- Panie generale, proszę o pozwolenie zwrócenia się z pytaniem.

- Słucham.

- Czy jest waszym zamiarem torpedowanie każdego mojego posunięcia?

- Tylko tych, pułkowniku, które stają w sprzeczności z celami i metodami tego Ośrodka.

Naszym zadaniem jest zbieranie wiadomości. Zabijanie agentów, by pokazać Niskanenowi, że nie jest ich w stanie przetrzącać do nas, nie należy do naszych obowiązków. Nawet jeżeli ci dwoje zginą, na ich miejsce przyjdą następni. Przerzucą ich przez Polskę, Litwę, Ukrainę, Turcję, skoro

zamknijemy drogę przez Finlandię. Skąd weźmiemy środki na ścisłe pilnowanie wszystkich granic? A może lepiej otoczyć ich dyskretną opieką, poznać kanały przerzutowe i spróbować użyć ich do naszych celów?

Roski, nadal nachmurzony, nie podjął dyskusji. Odsunął mankiet, odsłaniając zegarek.

- Pewnie chcą lądować przed wschodem słońca, czyli mają jakieś cztery godziny -

potwierdził. - Proszę mi oznajmić swoją decyzję możliwie jak najszybciej.

- Chciałbym wiedzieć, jakie siły można wydzielić do ich śledzenia. - Przerwał na chwilę, gdy zadzwonił telefon. - A także, czy ten agent, którego Pogodin wiezie z Moskwy, może nam w tym pomóc. - Odwrócił się na fotelu i przełączył telefon na głośnik, chcąc jakoś osłodzić Roskiemu gorzycę po rozwianiu nadziei na wykończenie agentów. Pułkownik nie objawił wdzięczności zbyt wylewnie, o ile w ogóle ją odczuwał. - Orłowie, słucham.

- Panie generale, tu Żyłasz. Półtorej godziny temu przechwyciliśmy dziwną depezę z Waszyngtonu.

- W czym ona taka dziwna? I dlaczego dopiero teraz o tym meldujecie?

- To była szyfrowana depeza, nadawana na bardzo szybko zmieniających się częstotliwościach, skierowana do samolotu lecącego z Berlina do Helsinek. Poza formą 159

właściwie nic dziwnego, ale podporucznik Iwaszyn na wszelki wypadek postanowił mu się przyjrzeć. Trochę to trwało, bo najpierw satelita był zajęty nad Polską, a potem lot prowadził przez bardzo gęste zachmurzenie, zresztą pewnie celowo. Mimo to udało nam się przyjrzeć tej maszynie w paru dziurach. I tu się dopiero robi ciekawie. To jest *Ił-76T*.

Orłowie i Roski spojrzeli na siebie. Zdziwienie i ciekawość zakopały, przynajmniej na chwilę, topór wojenny pomiędzy nimi.

- Gdzie jest teraz ten samolot?

- Właśnie wylądował w Helsinkach.

Roski pochylił się do mikrofonu.

- Żyłasz, widzicie może numery tego samolotu?

- Nie, panie pułkowniku, ale to na pewno *Ił-76*.

- Czyżby któryś z naszych nawiał? - zastanowił się generał.

- Widzę dwie inne możliwości - odparł Roski. - Ten zespół, który śledzi Wala, może być dywersją

dla odwrócenia naszej uwagi, albo Amerykanie montują dwie operacje naraz, obie z Finlandii.

- Dowiemy się, gdy zobaczymy, gdzie polecą ten II – zgodził się Orłow. - Żyłasz, miejcie oko na ten samolot. Informujcie mnie natychmiast o jakichkolwiek zmianach.

- Tak jest.

Orłow wyłączył telefon. Roski podszedł do niego.

- Panie generale...

- Tak?

- Jeżeli ten samolot wejdzie w nasz obszar powietrzny, WOPK będzie go chciało zestrzelić. Trzeba ich uprzedzić.

- Zgoda. Zresztą chyba sami go namierzą, mają od groma radarów i innych urządzeń ostrzegawczych. Tamci musieliby być niespełna rozumu, żeby tego próbować.

- W normalnych warunkach, panie generale, tak, ale nie w tej chwili, gdy w powietrzu pełno wojskowych transportowców. Nie zdziwiłbym się, gdyby próbowali się wślizgnąć gdzieś w ten tłok i zniknąć.

- Racja - zgodził się Orłow.

- A co z tą łodzią? Marynarkę też trzeba by powiadomić, ale tylko po to, by śledzić ich i meldować, co robią.

160

- Tak jest. - W głosie Roskiego próżno by szukać entuzjazmu.

- Pułkowniku...

- Tak jest.

- Proszę dołożyć wszelkich starań, żeby załodze nic się nie przytrafiło. Wszelkich starań. Nie chcę już żadnych więcej zabitych agentów w okolicy. To niepotrzebnie zwraca uwagę.

- Ja zawsze dokładam wszelkich starań, by wywiązać się z moich obowiązków, panie generale - odparł Roski lekko obrażonym tonem, po czym odwrócił się i wyszedł.

161

◆ Wtorek, 12.26 - Helsinki

Atrakcją leżącej nad Zatoką Południową dzielnicy Helsinek jest nie tylko zawsze pełen ludzi rynek, leżący opodal pałacu prezydenckiego, ale także prom na wyspę Suomenlinna, odpływający kilka razy dziennie. Wyspa, zwana „fińskim Gibraltarem”, leży u wejścia do portu, można na niej zwiedzać amfiteatr, muzeum wojskowe i imponującą rozmachem osiemnastowieczną twierdzę. Pobliska wyspa Seurasaari, na której mieści się Stadion Olimpijski, miejsce rozgrywania olimpiady letniej 1952 roku, połączona jest ze stałym łądem mostem. W nocy zarysy tych budowli są tylko ciemnymi sylwetkami na jeszcze ciemniejszym niebie. Peggy nie miała czasu ani możliwości ich podziwiać. Major Aho zostawił im samochód i dokładne wskazówki. W kwadrans po tym, jak sam major z dwojgiem pozorantów pojechali na lotnisko, wyszli z pałacu, wsiedli do samochodu i pojechali nad zatokę, gdzie przesiedli się na ślizgacz, który miał ich zawieść do Kotki, gdzie mieli się przesiąść na okręt podwodny. Nie miała czasu ani nastroju na podziwianie krajobrazu z pokładu ślizgacza. Przed oczyma miała Sankt Petersburg, w tej chwili liczyło się tylko dokończenie tego, co zaczął Keith Fields-Hutton oraz odnalezienie winnego jego śmierci.

Ukaranie mordercy, choć nie mieściło się na czele listy priorytetów, było czymś, o czym nie mogła przestać myśleć.

Po wymianie hasła i odzewu wpuszczono ich na pokład *Larsona Cabrio 280*, siedemnastometrowego okrętu, który zaraz ruszył w mrok. Peggy usiadła obok George'a, starannie układając swój plecak pod nogami. Większą część półtoragodzinnej podróży spędzili na przeglądaniu map okolic Sankt Petersburga, planów miasta i Ermitażu, wybieraniu punktu lądowania, trasy dojścia i ewakuacji. Według planu omówionego z Aho przez przyłotem Amerykanina, mieli wysiąść z okrętu podwodnego nieopodal Południowego Parku Nadbrzeżnego, wylądować pontonem i dojechać autobusem do celu. Plan był na pierwszy rzut oka szalony, ale wołała go od nocnego lądowania w kombinezonach płetwonurków.

Zresztą, plan był na tyle szalony, że nikt nie spodziewał się, że może być zrealizowany.

Operacje tego typu. prowadzone w biały dzień, istniały głównie w wyobraźni dziennikarzy, mało który agent miał na tyle brawury, żeby próbować czegoś takiego.

Miniaturowe okręty podwodne cumowały w pozbawionym okien hangarze w zatoce.

Peggy wołałaby zrzut z powietrza i lądowanie z pontonów tuż obok celu, ale w nocy taka zabawa była zbyt ryzykowna. Po pierwsze, gdyby któreś z nich wiatr zniósł zbyt daleko, poza strefę zrzutu, w lodowatej wodzie mogli zginąć z zimna, zanim by się odnaleźli. Po drugie, delikatny sprzęt pomiarowy mógłby ulec uszkodzeniu, a wtedy ich wyprawa w ogóle straciłaby sens.

Po wylegitymowaniu się, agenci zostali przekazani młodemu człowiekowi w granatowym golfie, który szybko zamknął za nimi drzwi, a wtedy z cienia wyłonił się jeszcze jeden człowiek. Włączył latarkę, którą trzymał jedną ręką, podczas gdy druga trzymała broń.

Peggy osłoniła oczy przed światłem latarki. Człowiek w granatowym swetrze porównywał ich zdjęcia do odbitek z faksu, który wysłała z pałacu tuż przed ich odjazdem.

162

- To my - odezwała się Peggy. - Któż inny wyglądałby tak okropnie?

Ten w swetrze cofnął się o krok i wręczył papiery drugiemu, który schował pistolet i skierował światło latarki z ich twarzy na zdjęcia. Peggy widziała teraz jego twarz, pociągłą i głęboko pooraną, jakby rzeźbioną dłutem w drewnie. Człowiek z latarką kiwnął w końcu głową.

- Jestem komandor Nykkanen - przedstawił się bez zbędnych wstępów - a to jest nasz sternik, bosman Tuula. Proszę za mną, zaraz ruszamy.

Odwrócił się i ruszył, prowadząc Peggy i George'a wąską kładką wzdłuż ściany hangaru. Tuż za nimi podążał Tuula. Minęli kilka niskich, przysadzistych kutrów patrolowych, lekko kołyszących się na wodzie i zatrzymali się obok slipu w rogu hangaru.

Tam kołysał się ciemnoszary miniaturowy okręt podwodny. Właz był otwarty, ale z wnętrza nie wydobywało się światło. Po drodze do Finlandii Peggy czytała sobie trochę o tych jednostkach. Co pół roku konserwowano je, uprzednio wyciągając z wody na linach zwisających spod sufitu i zaczepianych do uszu na kadłubie, po czym rozkręcano na dwie połówki, oddzielając przedział załogowy od maszynowni. Całość mierzyła piętnaście metrów, zabierała na pokład czterech ludzi i osiągała prędkość do dziewięciu węzłów, tak więc podróż do Sankt Petersburga potrwa do jakiejś czternastej, wliczając półgodzinny postój, w czasie którego mieli wystawić chrapy i doładować dieslami akumulatory.

Nie cierpiała na klaustrofobię, ale jeden rzut oka do wnętrza tego przerośniętego termosu wystarczył, by zdawała sobie sprawę z tego, jak ciężkie będzie te dziesięć godzin.

Wewnątrz dostrzegła tylko trzy siedzenia i bardzo niewiele miejsca poza tym. Zastanawiała się, gdzie się podzieje komandor.

Tuula pierwszy opuścił się do wnętrza i włączył światło, zajmując swoje miejsce obok przyrządów sterowych – krótkiego drążka do manewrowania i przełącznika autopilota, pozwalającego programować głębokość zanurzenia. Obok znajdowała się pompa obiegu powietrza i koło, służące do zwolnienia min, jeżeli okręt akurat miał je podwieszony na zewnątrz. Kiedy zakończył sprawdzanie sterów, dopływu powietrza i stanu akumulatorów, Nykkanen powiedział George'owi, żeby wsiał.

- Czuję się trochę jak bosmanka - powiedział, wypinając pierś do przodu, by obrócić się w prawo, trzymając jedną rękę z tyłu dla stabilizacji i wpasowując się w swoje siedzenie.

- O, widzę, że żeglowanie nie jest panu obce - odezwał się Tuula nosowym, dziwnie melodyjnym głosem.

- Znowu w domu, sir - odparł George, podając rękę Peggy. - Kiedyś wygrałem konkurs na wiązanie bosmanki na czas na linie cumowniczej. - Spojrzał na Peggy, która tymczasem wpasowała się w swój fotel. - Bosmanka to taki ozdobny węzeł wiązany na końcu liny.

- Tak, wiem. Zwykle wiąże się go wokół ciężarka. Wydaje się pan mieć niezwykły talent do niedoceniań mnie. A może nie tylko mnie, ale w ogóle kobiet, co?

George osunął się głębiej w winylowy fotelik. Wzruszył ramionami, jakby lekceważąc zarzut.

163

- Ale pani wrażliwa, pani James. Gdyby komandor nie zrozumiał, też bym mu wytłumaczył.

- Słuchajcie no, wy tam dwoje - odezwał się niecierpliwie Nykkanen. - Zwykle ruszamy w rejs z trzysobową załogą. Z tyłu jest jeszcze elektryk, który pilnuje silnika oraz baterii.

Ponieważ was było dwoje, musimy płynąć bez niego, więc obaj mamy pełne ręce roboty i byłibyśmy niezmiernie wdzięczni, gdybyście ograniczyli zawracanie nam głowy do niezbędnego minimum.

- Przepraszam, panie komandorze.

Nykkanen nie zszedł na dół, lecz pozostał w kiosku, stojąc na ośmiocentymetrowej szerokości pierścieniu obramowującym złącze kiosku z kadłubem. Zamknął właz od środka, a kiedy Tuula potwierdził, że lampka zamknięcia włazu obok steru głębokości się zapaliła, wypróbował peryskop, obracając go powoli dookoła. Robił to ostrożnie stąpając po kręgu.

- Na początku podróży będziemy płynąć na chrapach z prędkością ośmiu węzłów, przez jakieś dwie godziny. Głębiej zanurzymy się na wysokości wyspy Moszcznej, która należy już do Rosjan - tłumaczył. - Od tego punktu rozmowy mogą być prowadzone tylko szeptem.

Rosjanie mają tam ruchomy hydrolokator pasywny, tak jak wzdłuż wybrzeży. Nigdy nie wiadomo, kiedy słuchają, a kiedy nie, te sonary nie wysyłają sygnałów. Możemy się tamtędy prześlizgnąć, a ograniczenie hałasu bardzo nam w tym pomoże.

- Skąd będziemy wiedzieć, że nas nakryli?

- Trudno nie zwrócić uwagi na granaty, które będą zrzucane za burtę z patrolowca -

spokojnie odparł Nykkanen. - Gdyby doszło do czegoś takiego, zanurzam się i wracamy.

- Czy często zdarzały się wpadki? - zapytała, wściekła na siebie, że tego naprawdę nie wiedziała. Agenci powinni znać swój sprzęt i cel na długo przed atakiem - lepiej niż własny dom i samochód. DI 6 znalazło się jednak nagle w samym środku zdarzeń i nie zdążyli zebrać dla niej wszystkich papierów, które mogły okazać się pomocne. Poza tym dla DI 6 ten sposób przerzutu był także eksperymentem. Jej agenci zwykle udawali turystów.

- Jak dotąd trzy razy na dziesięć rejsów, ale nigdy nie zapuszczałem się tak daleko -

odparł Nykkanen. - Tym razem może być inaczej, ale nie będziemy całkiem zdani na siebie.

Major Aho wysłał śmigłowiec, żeby oznaczył nam drogę bojami akustycznymi. Ich sygnały będą odbierane w Helsinkach i przesyłane do nas. Każda wykryta jednostka ZOP pojawi się na ekranie systemu nawigacyjnego. - Tuula wskazał na okrągły monitor wielkości spodka, umieszczony z prawej strony, obok drążka sterowego.

Skończywszy sprawdzać peryskop, Nykkanen rozłożył składane siedzenie w kiosku i usiadł na nim. Pochylił się ku rurze chrap, która posłużyła mu teraz jako rura głosowa.

- Panie Tuula, ruszamy.

Sternik uruchomił silnik, który pracował bardzo cicho i niemal bez wibracji. Gdy tylko silnik zaskoczył, Tuula wyłączył światło i teraz mrok wnętrza okrętu rozświetlały tylko dwie słabe lampki przy jego stanowisku.

164

Peggy obróciła się i wyjrzała przez maleńki bulaj umiejscowiony po jej stronie. Na zewnątrz widać było tylko parę baniek powietrza, gdyż okręt zanurzył się, ruszając do wyjścia z hangaru. Ciemność na zewnątrz nasunęła jej znowu czarne myśli i sprawiła, że oczy jej zwilgotniały.

Weź się w garść, nakazała sobie sama. Musisz zapanować nad gniewem, frustracją, niezadowoleniem. Gdybyż tu tylko chodziło o Keitha! No cóż, opłakałaby go i żyła dalej, z raną w sercu, ale z jakimś celem. Nagle uświadomiła sobie, że właściwie nie ma żadnego celu w życiu. Była trzydziestosześcioletnią kobietą, która właściwie nie miała prywatnego życia, bo takie sobie wybrała zajęcie. Wtedy, kiedy zaczynała, to miało sens, ale teraz była świadkiem tego, jak jej kraj stacza się, odkąd zabrakło Margareth Thatcher. Po co ona to wszystko robiła? Dla czego poświęciła całe życie, straciła ukochanego? Przez ostatnie lata szła właściwie rozpędem, tylko Keith podtrzymywał ją w tym, co robiła. Co będzie teraz, gdy Anglia została zepchnięta do roli satelity Unii Europejskiej? W dodatku takiego, z którym nikt się nie liczy, cienia Niemiec i Francji, bez polotu, bez ambicji, z gospodarką w permanentnym kryzysie, z rządami upadającymi co miesiąc, zupełnie jak we Włoszech. Czemu do cholery poświęciłam swoje życie? I dla czego mam żyć dalej?

- Pani James? - wyrwał ją z rozmyślań szept Amerykanina. Wróciła do rzeczywistości.

- Tak?

- Mamy teraz dziesięć godzin, a jest za ciemno, żeby studiować mapy. Może uda mi się panią zmusić, byśmy rozpoczęli ten błyskawiczny kurs rosyjskiego, o którym mówił major?

Popatrzyła na jaśniejącą w słabym świetle młodą twarz George'a. Skąd się bierze entuzjazm tego młokosa? Po raz pierwszy odkąd się poznali, uśmiechnęła się do niego.

- Nie musisz mnie zmuszać. Zacznijmy od podstaw.
- To znaczy od czego?
- *Kak, szto i pacziem* - powoli wymówiła Peggy.
- A co to znaczy?
- Jak, co, i chyba najważniejsze, dlaczego? - wyjaśniła.

◆ Wtorek, 2,20 - granica rosyjsko-ukraińska

Operacja „Barbarossa” była największą ofensywną w historii wojen. 22 czerwca 1941

roku niemieckie armie najechały ZSRR, kładąc kres miodowemu miesiącowi w stosunkach obu państw, rozpoczętemu kosztem Polski dwa lata wcześniej. Celem armii niemieckiej było zdobycie Moskwy przed zimą i rozłożenie kolosa na glinianych nogach na łopatki. Miało tego dokonać 3.200.000 ludzi, sto dwadzieścia dywizji nacierających przeciw stu siedemdziesięciu dywizjom rosyjskim na froncie szerokości 2.300 kilometrów, ciągnącym się od Bałtyku po Morze Czarne.

Niemieckie dywizje pancerne ruszyły naprzód, przebijając się zagonami przez linię frontu i destabilizując tyły, a Luftwaffe obrzucała bombami źle zorganizowane i jeszcze gorzej dowodzone siły obrońców. Straty były katastrofalne. W ciągu kilku tygodni w rękach Niemców znalazły się państwa nadbałtyckie i olbrzymie połacie zachodniej części ZSRR. Do listopada najważniejsze centra rolnicze, przemysłowe i transportowe zachodnich republik zostały zdobyte lub leżały w gruzach. Do niewoli trafiło niemal dwa miliony jeńców, poległo trzysta pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy rosyjskich, a dalszy milion odniosło rany. W ciągu oblężenia Leningradu, dziś znowu Sankt Petersburga, zginęło z głodu i zimna ponad dziewięćset tysięcy cywilów. Dopiero w końcu grudnia silne mrozy i obfite śniegi osłabiły impet niemieckiego uderzenia i pozwoliły Rosjanom zorganizować skuteczną obronę. Mrozy okazały się zabójcze dla Niemców, zupełnie nie przygotowanych do zimy, z nadmiernie rozciągniętymi liniami zaopatrzenia. Żołnierze nie mieli ciepłej odzieży, mróz był tak wielki, że zelówki butów łamały się przy chodzeniu. Sprzęt odmawiał posłuszeństwa, ręce przymarzały do broni, ale najgorsze było załamanie morale. W tych warunkach rosyjski kontratak pod Moskwą odniósł lokalne powodzenie, uniemożliwiające zdobycie miasta. Front na kierunku moskiewskim stanął.

„Barbarossa” przyniosła Niemcom w ogólnym rozrachunku klęskę. Jej sukcesy przekonały Rosjan, że chcąc wygrać wojnę, trzeba raczej atakować niż się bronić, chyba że ma się do dyspozycji kraj tak ogromny jak Rosja i równie ogromne rezerwy. Przez następne czterdzieści lat ta filozofia kształtowała doktryny wojenne kolejnych kierownictw kraju. *Idee fixe* generałów stało się osiągnięcie zdolności do rozpoczęcia wojny potężną ofensywą, by jak wyraził to kiedyś generał Rybakow, „następną wojnę toczyć na cudzym terytorium”.

Bywały w historii ZSRR momenty, gdy dla rozwiązania problemów wewnętrznych władze sięgały po wojsko, a i politykę zagraniczną prowadziły *manu armata*.

Tak było w 1956 roku za Chruszczowa na Węgrzech, w roku 1968 za Breżniewa w Czechosłowacji i w Afganistanie w 1979 roku, a za Jelcyna, choć już nie było ZSRR, w Czeczenii w 1994 roku. Zasadą było nieoczekiwane uderzenie, które raz przynosiło rezultaty, innym razem nie. Ale ta zasada na trwałe wpisała się w umysły radzieckiej generalicji i Dogin doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, że większość dowódców chce zmyć z siebie hańbę porażki w paroletnich krwawych zmaganiach z garstką Czeczeńców.

Czas już najwyższy dać im wreszcie szansę, i dlatego od kilku tygodni wszystko co żyje i strzela ścigało pod ukraińską granicę. Tym razem nie będą walczyć z partyzantką, kryjącą się w niedostępnych górach. To będzie inna wojna.

O godzinie 0.30 w siedzibie parafialnego komitetu protestacyjnego w Przemyślu wybuchła potężna bomba. Dwóch kleryków drukujących ulotki na wiec, który miał się odbyć w południe zginęło, a ich ciała podmuch eksplozji wyrzucił przez okna na okoliczne drzewa.

Krew i farba drukarska obryzgała dwie ściany, które pozostały z pomieszczenia w zakrystii.

W ciągu kwadransa na ulicach zebrał się tłum i nikt nie miał wątpliwości, kto był autorem zamachu. Ludzie ruszyli ulicami, wywlekając z domów sąsiadów ukraińskiej narodowości i linczując ich. Zaatakowani także nie pozostali bierni i wkrótce płonęły poczta i komenda policji, gdyż służby mundurowe przyłączyły się do tłumów na ulicy.

Obie grupy zaatakowały miejscowe koszary, by zdobyć broń. W powietrzu zaczęły krzyżować się serie z broni maszynowej, zginęło kilku żołnierzy, którzy znaleźli się na linii ognia. Wkrótce po pierwszej w nocy wojewoda przemyski zawiadomił władze w Warszawie o rozruchach i poprosił o skierowanie wojska do ich stłumienia. Jego rozmowę przechwyciła stacja nasłuchowa w Kijowie i przekazała wiadomość prezydentowi Wiesnikowi.

O godzinie 2.49 Wiesnik zadzwonił na Kreml, do generała Rybakowa, prosząc o pomoc w opanowaniu sytuacji po tym, jak na granicy doszło do wymiany ognia między wojskami ukraińskimi i polskimi. Minutę później 150.000 rosyjskich żołnierzy, poderwanych alarmem już godzinę wcześniej, ruszyło na zachód, od Nowgorodu na północy po Woroszyłowgrad na południu. Piechota zmotoryzowana, dywizje pancerne, artyleria i lotnictwo ruszyły naprzód w karnych szykach, bez śladu rozprężenia czy złej organizacji, które stały się znakiem firmowym rosyjskiej armii od czasu Afganistanu.

Dopiero gdy czołgi ruszyły, obudzono prezydenta na dacy, powiadamiając o prośbie Wiesnika o wzmocnienie obrony granicy z Polską. Prezydent Żanin był zupełnie zbity z tropu tą prośbą. Jego zdumienie zaczęło ustępować miejsca przerażeniu, gdy w drodze na Kreml otrzymał drugą depeszę od Wiesnika.

Panie prezydencie, dziękuję bardzo za natychmiastową reakcję na moją prośbę, wystosowaną przed kwadransiem. Szybkie nadejście wojsk generała Rybakowa pomoże uniknąć niepokojów w kraju i ponownie umocni tradycyjne więzy przyjaźni, łączące nasze dwa kraje. Poleciałem pani ambasador Rozewnej powiadomić Radę Bezpieczeństwa ONZ i sekretarza generalnego Brophy'ego, że ruchy wojsk rosyjskich odbywają się za zgodą i na życzenie rządu ukraińskiego.

Twarz Żanina, zwykle jowialna i wręcz figlarna dzięki wełnistym wąsom i krzaczastym brwiom Dziadka Mroza, teraz była zacięta i gniewna, a brązowe oczy miały błyskawice.

Spojrzał na Łarisę Szachturina, swoją asystentkę, brunetkę w średnim wieku, ubraną mimo wczesnej pory w znakomicie leżącą garsonkę i polecił jej połączyć się z Rybakowem.

167

Generała nie było, dodzwonili się jedynie do generała Leonida Mawika, zajmującego się koordynacją działań z lotnictwem. Mawik poinformował ją, że nie może połączyć z Rybakowem, bo na czas przemarszu wprowadzono ciszę radiową, która zostanie odwołana po zakończeniu dyslokacji wojsk.

- Generale, przecież to rozmowa z prezydentem – tłumaczyła Szachturina.

- Skoro tak, to powinien rozumieć względy bezpieczeństwa towarzyszące wypełnianiu naszych zobowiązań sojuszniczych – odparł generał i wkrótce rozłączył się, tłumacząc natłokiem zadań, które miał do wykonania.

W ciszy, która zapadła, słyhać było jedynie szum silnika. Żanin wyjrzał w ciemność przez kuloodporne okno i zobaczył ciemną sylwetkę Kremla z wieżami wbijającymi się w nocne niebo zaciągnięte ciemnymi chmurami.

- Za młodu - odezwał się po chwili - miałem okazję przeczytać książkę Swietłany Stalin o jej ojcu. Pamiętasz ją?

- Tak, długo była na indeksie.

- Właśnie. Bardzo ciekawa książka, choć pisana z pozycji człowieka, który popadł w niełaskę i chce się wkupić z powrotem w szeregi uprzywilejowanych. Napisała tam coś, co utkwilo mi w pamięci. Według niej w końcu lat trzydziestych Stalin popadł w manię prześladowczą, w efekcie czego wszędzie widział wrogów. Rezultatem były czystki, w których życie straciło pięćdziesiąt tysięcy jego własnych oficerów. W ciągu dwóch lat zabił

więcej oficerów powyżej stopnia pułkownika, niż Niemcom udało się przez całą wojnę. –

Przerwał i zaczerpnął powietrza. Po chwili wypuścił je. - Czasami mam takie dziwne przeczucie, że może nie był aż tak bardzo szalony, jak nam się zdawało do tej pory...

Łarysa w milczeniu ujęła jego rękę, gdy czarne BMW zjechało z Prospektu Kalinina w kierunku Bramy św. Trójcy, na północnym zachodzie Kremla.

168

♦ Wtorek, 3.05 - nad Morzem Barentsa

I-76 wylądował w Helsinkach tuż przed północą i dziesięć minut później na pokład załadował się zespół *Iglica* z bronią, sprzętem i wyposażeniem arktycznym. Mieli ze sobą cztery skrzynie o wymiarach półtora na metr wyladowane bronią, materiałami wybuchowymi, linami i uprzężami wspinaczkowymi, maskami gazowymi i lekarstwami. Pół godziny później zakończono tankowanie i przegląd, a potem samolot wystartował.

Trasa lotu wiodła nad Finlandią, na północny zachód, potem na wschód, nad Morzem Barentsa i dalej nad północnymi wybrzeżami Rosji, wzdłuż Oceanu Lodowatego.

Squires zamknął oczy, ale nie spał. Wiedział, że to zły nawyk, ale nic na to nie mógł

poradzić - po prostu nie mógł zasnąć, póki nie dowiedział się, dokąd i po co go wysłali.

Wiedział, że dalsze instrukcje z Centrum dostaną wkrótce, bo dolatywali właśnie do końca założonej trasy, Zatoki Pieczorskiej. Mimo to doskwierało mu, że nie może się skupić nad jakimś konkretnym planem, miejscem, zdarzeniem. Lecąc nad Atlantykiem myślał o Sankt Petersburgu, o Ermitażu i ich zadaniu z nim związanym. Teraz to było na głowie szeregowego George'a, a Squires nie miał czym zająć umysłu, by odgonić myśli o żonie i synu, o tym co z nimi będzie, jeżeli nie wróci.

Jak zawsze w takich chwilach zaczął zastanawiać się nad tym, co tu robi i dlaczego tu jest. I dlaczego właściwie tak cholernie lubi to, co robi.

Po drodze do Korei musiał przyznać, że to, co robi, sprawia mu radość, bo czuje wtedy sens życia, wyzwanie i dostaje widoczny dowód swej witalności. Nic innego nie powodowało tak silnego dreszczu podniecenia jak poleganie na samym sobie i swoich umiejętnościach w okolicznościach, w których innych zmroziłaby trwoga, uciekliby lub przynajmniej zawahali się przed skokiem głową naprzód.

Teraz, gdy oczekiwał z niecierpliwością wiadomości od Rodgersa i Herberta, przypomniał sobie wstępną rozmowę z Liz Gordon, badanie psychologiczne, które przechodził przed powierzeniem mu dowództwa.

Liz pytała go wtedy o jego zdanie na temat wspólnoty strachu. Odpowiedział, że strach i odporność są wrodzonymi cechami każdego człowieka, a dobry zespół, zwłaszcza dobry dowódca zespołu, robi co w jego mocy, by wydobyć z jego członków to, co w nich najlepsze.

- No dobrze - powiedziała Liz - to sam strach. Ja pytałam o wspólnotę strachu. Proszę się zastanowić, mamy mnóstwo czasu.

Zastanowił się i odpowiedział, że członkowie zespołu wspólnie odczuwają strach, powodowany przez to, co im wspólnie zagraża i starają się go przełamać sumą indywidualnej odwagi każdego z

nich. To było głupie i naiwne, ale Liz dała mu już spokój z tym 169

zagadnieniem. Teraz, po trzech wyprawach, Squires zrozumiał, że wspólnota strachu nie jest czymś, co należy zwalczyć. Że to system wzajemnego wsparcia, który ludzi z różnych środowisk, o różnych zainteresowaniach i poziomie intelektualnym stapia w jeden spójny organizm. To było coś, co spajało dziesięciu ludzi w załogę bombowca w czasie drugiej wojny światowej, co łączy załogi radiowozów policyjnych, czy grupy komandosów w organizm bardziej spójny i trwały, niż rodzina. Ta wspólnota sprawiała, że efektywność zespołu przerastała sumę efektywności poszczególnych jego członków. To wspólnota strachu, na równi z patriotyzmem i walecznością trzymała Iglicę razem.

Jego rozważania przerwał telefon od Rodgersa. Umysł Squiresa natychmiast oderwał się od nich i skupił na rozmowie.

- Charlie, przepraszam, że to tak długo trwało. Zastanawialiśmy się nad twoim planem gry i wyszło nam, że to będzie naprawdę Puchar Świata. Za jedenaście godzin będziecie skakać ze spadochronami w głąbi Rosji, na zachód od Chabarowska. Do tego czasu macie się jak najdłużej trzymać poza obszarem powietrznym Rosji. Pilot dostanie zaraz od Boba trasę i koordynaty zrzutowiska. Mamy nadzieję, że zdążycie tam dolecieć, zanim ktoś wyniucha, że ten samolot nie jest ich. Waszym celem jest pociąg w składzie czterech wagonów z lokomotywą, jadący trasą Kolei Transsyberyjskiej. Jeżeli jego ładunkiem są narkotyki, pieniądze, złoto albo broń, macie go wysadzić. Jeżeli broń jest nuklearna, zdobądźcie na to dowód i spróbujcie ją rozbroić. Sierżant Grey przechodził przeszkolenie w tym zakresie.

Pytania?

- Tak jest, sir. Skoro ten transport ma coś wspólnego z Ermitażem, nie można wykluczyć, że w wagonach mogą być dzieła sztuki. Jeżeli tak, to czy mamy wysadzać w powietrze obrazy Renoira albo Van Gogha?

Na chwilę zapadła cisza.

- Nie - odpowiedział wreszcie generał. - W takim przypadku jedynie sfotografować je i wycofać się.

- Tak jest.

- Macie się przedostać w miejsce, gdzie tory przechodzą u podnóża trzydziestometrowego urwiska. Dokładną mapę wysłałem do twojego komputera. Zejdziecie w dół po tym urwisku i zaczekacie na pociąg. Miejsce to wybraliśmy, ponieważ są tam drzewa i kamienie, którymi można zatarasować tor. Użycie materiałów wybuchowych do zatrzymania pociągu mogłoby spowodować ofiary w ludziach, a tego chcielibyśmy uniknąć.

Jeżeli pociąg przyjedzie zgodnie z naszymi wyliczeniami, będziecie mieli około godziny do jego przyjazdu, jeżeli się spóźni, poczekać na niego. Pociąg należy zatrzymać, ale macie dołożyć wszelkich starań, by ze strony rosyjskiej nie było ofiar.

To akurat nie zdziwiło Squiresa, ambasadorzy bardzo nie lubili się tłumaczyć z nielegalnych działań swoich rządów w ich kraju urzędowania, a ewentualne ofiary w ludziach jeszcze by im to utrudniły. Squiresa nauczono zabijać wszystkim, od gołej pięści przez sznurowadła aż po broń maszynową, ale jeszcze nigdy nie musiał z tych umiejętności korzystać i szczerze miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

170

- *Iliuszyn* poleci na Hokkaido, zatankuje paliwo i ruszy z powrotem, ale nie będzie uczestniczył w waszej ewakuacji. Po wykonaniu zadania zameldujecie się i udacie na punkt zborny obok mostu, dwa kilometry na zachód od urwiska.

O, a to ciekawostka, pomyślał Squires. Tylko jedno mogło skłonić Rodgersa do pominięcia szczegółowej procedury ewakuacyjnej - obawa przed wzięciem któregoś z członków zespołu do niewoli. Nie chciał, by wiedzieli coś, co mogłoby zaszkodzić pozostałym.

Squiresa coraz bardziej pociągał ich plan, a ta ostatnia okoliczność zmobilizowała ostatnie rezerwy.

- Charlie, to nie będzie druga Korea - głos Rodgersa brzmiał bardziej jak głos przyjaciela, niż generała wydającego rozkazy. Zdawał sobie sprawę, że mózg Squiresa pracował już na wysokich obrotach i sytuacja dojrzała do tego, żeby się z nim podzielić swymi podejrzeniami. - Mamy podstawy twierdzić, że ktoś tam się zabrał do odbudowy sowieckiego imperium i bardzo mu się śpieszy. Kieruje tym Sankt Petersburg, a ty możesz temu położyć kres.

- Rozumiem.

- Plan został dopracowany na tyle, na ile to możliwe z tak małą liczbą szczegółów. Mam nadzieję, że zanim dojdzie do spotkania z pociągiem, zdołamy wam podesłać coś jeszcze.

Bardzo mi przykro, że to na razie wszystko, co możemy dla ciebie zrobić.

- Nie ma sprawy, sir - odparł Squires. - Może to nie ten poziom, co pańskie cytaty z Tacyty, sir, ale mówiłem to już George'owi, zostawiając go w Helsinkach, a teraz powtórzę.

Super Kurczak, to taka postać z kreskówek, ma na podobne okazje znakomicie pasujące zdanie: „Widziały gały, co brały”. Widzieliśmy, panie generale, do czego się braliśmy, widzimy nadal i dobrze nam z tym.

- O Boże - zaśmiał się Rodgers. - Złożyłem los świata w ręce człowieka, który cytuje dialogi z niedzielnych kreskówek. Wiesz co? Jak już skończycie i uda ci się wrócić w jednym kawałku, to wpadnę do ciebie w niedzielę rano i razem sobie to obejrzymy. Pasuje?

- Jak ulał - odparł Squires i zakończył rozmowę. Przez chwilę siedział bez ruchu, zbierając myśli przed zwołaniem odprawy.

◆ Wtorek, 3.08 - Sankt Petersburg

Orłow przedrzemał godzinę w swoim fotelu. Siedział w nim prosto, z rękami złożonymi na brzuchu i łokciami na oparciach. Tylko lekko odchyłona od pionu głowa świadczyła o tym, że śpi, a nie czuwa. Orłow upierał się, że jego zdolność do zapadania w drzemkę w każdej sytuacji każdym miejscu i o każdej porze nie była wrodzonym talentem, ale Masza nie wierzyła w to. Generał mówił, że nauczył się tego w czasie, gdy szkolił się na kosmonautę.

Musiał się wtedy nauczyć drzemać w krótkich, półgodzinnych przerwach między zajęciami, które trwały niemal bez przerwy całymi dniami. Zdołał wytrenować swój organizm tak, że te krótkie drzemki odświeżały go bardziej, niż innych normalna przespana noc. Lot na orbicie był zagrożeniem trwającym całą dobę, bez przerwy. Kosmonauta nie mógł sobie pozwolić na luksus pozostawiania statku bez nadzoru przez całą noc, musiał być ciągle czujny. Ten nawyk zapadania w drzemki miał jeszcze inną zaletę. Podczas gdy u innych ludzi energia w ciągu dnia wyczerpywała się i wieczorem nie byli już zdolni do efektywnej pracy, Orłow dzięki swojemu systemowi był o każdej porze doby zdolny do reagowania na sytuację i zapobiegania niebezpieczeństwom.

Nigdy nie działał według systemu wyznawanego przez Rosskiego. Pułkownik mając zadanie do wykonania, rzucał się na nie i nie popuścił, aż rozwiązał problem, albo padł.

Jeszcze teraz, choć jego zmiana dawno się skończyła, tkwił na swoim stanowisku w sali operacyjnej.

Orłow, choć nieświadomy tego faktu, odkrył na nowo starą chłopską mądrość, każącą

„przespać się z problemem”. Nawet najpoważniejsza trudność, jeśli na nią spojrzeć świeżym okiem po relaksującym śnie, wydaje się naraz prosta i jasna. W swoim ostatnim locie kosmicznym, z bułgarskim astronautą na pokładzie, próbowali połączyć się ze stacją orbitalną *Mir*. Awaria silnika zdarzyła się w najmniej pożądanym momencie - kiedy mieli schodzić z kursu, którym lecieli prosto na stację. Kontrola naziemna nakazała mu odpalić rezerwowy silnik, zejść z orbity i awaryjnie lądować. Zamiast wykonać rozkaz Orłow tylko sprowadził

Sojuza z kursu kolizyjnego, używając do tego silnika awaryjnego, a potem zdjął słuchawki i ku zgorszeniu załogi, najspokojniej w świecie zapadł na kwadrans w drzemkę. Po piętnastu minutach, znowu przy użyciu silnika awaryjnego, wykonał drugie podejście do dokowania i tym razem mu się udało. Taki manewr wiązał się z dużym ryzykiem. Gdyby statków nie udało się połączyć, nie starczyłoby im paliwa na bezpieczny powrót na Ziemię. Teraz, gdy manewr się powiódł, można było kontynuować program badań, naprawić silnik i uratować grube miliardy rubli włożone w przygotowania do ich podróży. Po powrocie pokazywano mu odczyty z EKG, przesyłane cały czas na Ziemię. Wynikało z nich, że rytm jego serca zwolnił

się w czasie drzemki i po przebudzeniu pozostał wolniejszy od częstotliwości, do jakiej wzrósł w czasie zmagania z niesprawnym silnikiem. Próbowano potem do systemu „drzemek energetycznych Orłowa” wdrożyć innych kosmonautów, ale nie odnotowano już tak dobrych rezultatów.

Nigdy nie uciekał w drzemkę, by uniknąć tego, co przynosiło życie, ale kiedy o 1.45

siadał w fotelu, zamknięcie oczu i oderwanie myśli od tego, co się dookoła działo, zrobiło mu bardzo dobrze. Nina, jego asystentka, obudziła go o 2.51, łącząc rozmowę z Ministerstwem Obrony.

Dzwonił generał Dawid Jergaszew, szef służby łączności. Przekazywał wiadomość o wkroczeniu na Ukrainę i prosił o przekazywanie na bieżąco reakcji Zachodu na działania armii rosyjskiej.

Wiadomość wstrząsnęła Orłowem, ale szybko uznał, że to tylko jakieś ćwiczenia. To musiały być ćwiczenia. Inaczej coś by przecież wiedział o przygotowaniach do tak znacznych ruchów wojsk. Ci tam na górze nudzą się jak mopsy, pomyślał, przekazując prośbę generała Jurijowi Marewowi, który zajmował się nasłuchem w Ośrodku.

Ośrodek zaprojektowano tak, że musiała przez niego przechodzić każda wiadomość przysyłana do i z Ministerstwa Obrony, dowództw wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki.

Miało to służyć zabezpieczeniu tych linii łączności przed podsłuchem z zewnątrz, a ponadto Ośrodek miał pełnić rolę wstępnego filtra, zbierającego i sortującego informacje przed wysłaniem wyżej. Ale można go też było użyć do podsłuchiwania łączności wojskowej.

Orłow zapytał Marewa, czy może się podłączyć do wojskowych linii i sprawdzić, co się dzieje w dowództwach, w ministerstwie i u generała Rybakowa.

Marew był wyraźnie zaskoczony.

- Ależ panie generale, przecież my to już od dawna robimy. Z rozkazu pułkownika Roskiego mamy śledzić ruchy wojsk.

- Aha. A gdzie idą te wiadomości? - zapytał generał, równie zaskoczony odpowiedzią.

- Do centralnego komputera.

- Bardzo dobrze. - Orłow zdążył się już pozbierać. - Bardzo dobrze. Tylko dopilnujcie, żeby i do mnie na monitor to dochodziło.

- Tak jest.

Generał odwrócił się do monitora i czekał. Cholerny Roski, pomyślał. Albo odgrywał

się za wieczorną reprimendę, albo tkwił w tym po same uszy, pewnie razem ze swoim patronem, ministrem Doginem. Na razie ani na jedno, ani na drugie nie mógł nic poradzić.

Tak długo, jak zbierane informacje trafiały do centralnego komputera, do którego wszyscy w Ośrodku mieli dostęp, Roski nie miał obowiązku meldować mu osobiście o żadnym zdarzeniu, nawet tak wielkim. Nie mógł mu za to nic zrobić.

Oczekując na dane, Orłow próbował uporządkować w myślach otrzymane informacje.

Jeżeli, jak mówił Jergaszew, wkroczenie na Ukrainę nastąpiło na prośbę Ukraińców, to sprawność rosyjskiej armii była zadziwiająca. Zakładał, że ta cała heca z ćwiczeniami miała posłużyć Żaninowi do ugłaskania wojskowych, uspokojenia ich, że prezydent nie porzuci ich dla zachodniego kapitału. Ale żeby posunął się tak daleko i nakazał inwazję na byłą republikę związkową? Teraz było jasne, że cała sprawa była od dawna ukartowana i że to przygotowania do najazdu spowodowały przerzut tak wielu jednostek nad granicę. Ale kto to zaplanował? Dogin? I dlaczego? Przecież tam nie było ani zamachu stanu, ani wojny...

173

Pierwsze rzędy liter i cyfr pojawiły się na ekranie. Rosyjska piechota nawiązywała łączność z jednostkami ukraińskimi w Charkowie i Woroszyłowgradzie. To nie wyglądało na przygotowania do wspólnych manewrów. Zresztą depesza Wiesnika wyraźnie o tym mówiła.

Jeszcze dziwniejsza była zupełna cisza z Kremla. Rosyjskie wojska od dwudziestu minut były po drugiej stronie granicy, a Żanin jeszcze nie wystąpił oficjalnie, nie było żadnego przemówienia, nawet oświadczenia. Przecież wszystkie zachodnie ambasady aż furczały od drukarek wypływających noty z pytaniami o sytuację.

Marew i jego zespół opracowywali napływające dane. Liczby ludzi i ilość przerzuczonego sprzętu były oszałamiające. Jeszcze bardziej szczegóły rozmieszczenia. Na zachód od Nowgorodu, w pobliżu Czernikowa, generał major Andraszyn rozmieścił

dziesięciokilometrową linię dywizjonów ciężkich haubic. Działa wycelowane były w kierunku granicy białoruskiej. To nie wyglądało na ćwiczenia, a raczej na przygotowania do prawdziwej wojny. Co Roski ma z tym wspólnego?

Orłow poprosił Ninę, by go połączyła z Jewgienijem Mikojanem z Ministerstwa Bezpieczeństwa. Poznali się z tym wyszczekany Ormianinem jeszcze w czasach, gdy ten był szefem ochrony kosmodromu z ramienia GRU. W ciągu ostatniego roku kilkakrotnie spotykali się, by wypracować mechanizmy zapobiegające dublowaniu wysiłków i wchodzeniu sobie w drogę obu instytucji. Orłow zauważył, że choć zapal Mikojana i jego oddanie Rosji nie wygasły, to bagaż zdobytych doświadczeń uczynił go cynikiem.

Mikojan był w domu, ale nie spał.

- Siergiej? Właśnie chciałem do ciebie zadzwonić - zaczął.

- Wiedziałeś o Ukrainie? - przerwał mu pytaniem Orłow.

- No cóż, my szpiedzy wiemy o wszystkim, nie?

- Czyli nie wiedziałeś, tak?

- Wygląda na to, że tu mieliśmy chwilowe zaćmienie, niewątpliwie dzięki generałom.
- A wiesz, że mamy teraz sto pięćdziesiąt haubic wycelowanych w obce terytorium?
- Właśnie się dowiedziałem od kierownika nocnej zmiany. To jeszcze nie wszystko, Sierioża. Samoloty z lotniskowca „Muromiec” latają wzdłuż granic Mołdawii, ale na razie ich nie przekraczają.
- Widzę, że dłużej w tym siedzisz ode mnie. Co się według ciebie dzieje?
- Wygląda na to, że ktoś bardzo wysoko wymyślił coś bardzo tajnego. Nie miej do siebie pretensji, Sierioża, nie tylko ty obudziłeś się z ręką w nocniku. Zdaje się, że nasz nowy prezydent też.
- Czy ktoś już mu powiedział?

174

- Zamknął się i konferuje z najbliższymi współpracownikami. Nie ma wśród nich Dogina.
- A gdzie on jest?
- Chory. Siedzi w swojej dacy pod Moskwą.
- Ciekawe, ledwie parę godzin temu z nim rozmawiałem i sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego - z obrzydzeniem zauważył Orłow.
- Bo pewnie i jest, Sierioża - powiedział Mikojan. - A to byłaby wskazówka co do tego, kto za tym wszystkim stoi.

W słuchawce odezwał się brzęczyk.

- Przepraszam, muszę kończyć - powiedział Orłow.
- Zaczekaj. Miałem teraz jechać do ministerstwa, ale najpierw pomyślałem, że do ciebie zadzwonię, bo coś ci chcę powiedzieć. Słuchaj, jeżeli Dogin zbudował ten twój Ośrodek, a zaraz po jego uruchomieniu zaczęła się taka szopka, to by znaczyło, że minister używa Ośrodka do przeprowadzenia zamachu stanu. Wiesz co to oznacza dla ciebie? Jeżeli mu się nie uda, to skończysz przed plutonem egzekucyjnym, za zbrodnie przeciw państwu, współpracę z obcymi wywiadami i tak dalej...
- Właśnie doszedłem do tego samego wniosku. Dzięki, Jewgienij, jeszcze potem do ciebie zadzwonię.

Na połączenie czekał już Żyłasz.

- Tak, Arkadij?

- Panie generale, OPK z wyspy Kołgujewa melduje, że *Ił-76* przeleciał z Helsinek nad Morze Barentsa i podąża kursem na wschód.

- Wiedzą coś o tym locie?

- Ani trochę, panie generale.

- Może się czegoś domyślają?

- Nie, meldują tylko, że leci na wschód. Mówią, że może to być lot zaopatrzeniowy.

Nasze siedemdziesiątkiszóstki latają po ładunki do Niemiec, Francji i Skandynawii.

- Czy OPK próbuje ich zidentyfikować?

- Tak jest. Wysyłają właściwy sygnał *IFF*.

To jeszcze nic nie znaczyło, Orłow wiedział o tym doskonale. W tym zamęcie każdy mógł kupić, ukraść albo nawet zbudować urządzenie identyfikujące właściwego typu, a 175

podanie aktualnego kodu kosztowałoby pewnie CIA zaledwie pięć tysięcy dolarów, które wpłynęłyby dyskretnie na szwajcarskie konto jakiegoś, na przykład, kontrolera obszaru.

- Czy ktoś rozmawiał z tym samolotem?

- Nie, panie generale. Zresztą transportowce zwykle zachowują ciszę radiową w locie, bo nasze częstotliwości do łączności lotniczej mają za małą pojemność.

- Przechwyciliśmy jakieś obce transmisje skierowane do tego samolotu?

- Nic o tym nie wiem, panie generale.

- Dziękuję. Proszę o raporty w tej sprawie co pół godziny, nawet jeśli nic się nie będzie działo. Aha, jeszcze jedno, Żyłasz.

- Tak, panie generale?

- Proszę nadzorować i nagrywać wszelkie rozmowy między generałem Rybakowem a Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, zarówno urzędowe, jak i prywatne.

Na chwilę zapadła głucha cisza.

- Przepraszam, chce pan, panie generale, żebym szpiegował generała Rybakowa?

- Chcę, żebyście wypełniali otrzymane rozkazy. I mam nadzieję, że wasza poprzednia wypowiedź miała na celu potwierdzenie wydanego rozkazu, a nie jego kwestionowanie.

- Tak jest, panie generale. Tylko to miałem na myśli.

Orłow odwiesił słuchawkę. Czuł, że się mylił co do tego samolotu. To nie była jeszcze jedna z wielu prób szczelności rosyjskiego systemu obrony przeciwlotniczej, podejmowanych regularnie przez CIA. Zwykle używano do nich rosyjskich samolotów, bo w razie konfliktu nie ma nic gorszego niż niepewność co do lojalności własnych załóg latających. Instynkt mówił mu, że tym razem chodzi o co innego. Założył, że samolot był amerykański, czy szerzej natowski. Dokąd mógł lecieć? Do Stanów Zjednoczonych? Nie, bo leciałby przez Atlantyk albo nad biegunem północnym. Na Daleki Wschód? Też nie, bo wtedy wybrałiby trasę na południu. W świetle rozmowy z Roskim to pytanie mogło mieć tylko jedną odpowiedź. Po co używaliby rosyjskiego samolotu, gdyby nie lecieli do jakiegoś miejsca w Rosji? A jeżeli tak, to co było we wschodniej Rosji tak ciekawego, że aż trzeba było ryzykować taką maskaradę? Na to pytanie też była tylko jedna odpowiedź i ta odpowiedź

bardzo mu się nie podobała.

Wystukał na klawiaturze telefonu numer 22.

- Operacyjny, Fiodor Buriba, słucham?

- Fiodor, tu generał Orłow. Proszę zadzwonić do doktora Sagdiejewa w Rosyjskim Centrum Badań Kosmicznych i zamówić u niego dane na temat działalności satelitów rozpoznawczych USA i NATO od godziny dwudziestej pierwszej wczoraj do pierwszej 176

dzisiaj. Interesuje mnie obszar wschodniej Rosji między Morzem Ochockim a płaskowyżem Ałdan, aż po Morze Japońskie na południu.

- Zaraz się tym zajmę. Chodzi o podstawowy raport obejmujący dane pozycyjne i terminy wysyłania danych, czy szczegółową analizę wskazań czujników optoelektrycznych i wyliczenia ogniskowej oraz...

- Wystarczy raport o pozycjach. Kiedy już to będziecie mieli, proszę go skorelować z danymi na temat lotu *Gulfstreama* i transportu kolejowego z Władywostoku, które nadzorujemy. Chodzi mi o to, czy te satelity mogły je widzieć.

- Tak jest.

Orłow odłożył słuchawkę, usiadł głębiej w fotelu i wbił wzrok w czarny sufit. Centrum Badań Kosmicznych Sagdiejewa powstało w latach 70., by nadzorować orbitalne śmiecie, odrzucane człony rakiet nośnych, opuszczone stacje i statki kosmiczne, niesprawne satelity, których rosnące zagęszczenie w przestrzeni okołoziemskiej zaczynało stwarzać poważne zagrożenie dla startujących i lądujących pojazdów kosmicznych. W 1982 roku Centrum przejęło wojsko, jego personel został podwojony i otrzymał nowe zadanie: miał odtąd inwigilować kosmicznych szpiegów, satelity

rozpoznawcze wysyłane przez Amerykanów, kraje europejskie. Indie i Chiny. Komputery centrum Sagdiejewa zbierały o nich wszelkie dostępne informacje, w tym przekazy danych do centrów kontroli. Większość z nich była kodowana i nie dawała się w całości odczytać, ale przynajmniej wiadomo było kto i czego szuka na Ziemi, zaglądając z kosmosu.

Było możliwe, a im dłużej Orłow o tym myślał, tym bardziej, że intensyfikacja ruchów wojsk w Rosji spowodowała zwiększone zainteresowanie Zachodu bazami rosyjskimi, takimi jak Władywostok. Być może przy tej okazji zauważyli przeładunek skrzyń z *Gulfstreama* na pociąg.

Ale czy to by wystarczyło, żeby zdecydowali się na ten szalony pomysł z wysłaniem samolotu? Przecież ten pociąg można było śledzić równie dobrze z kosmosu. Jeżeli chcieli tylko go śledzić. Jeżeli jednak samolot chciałby dotrzeć w pobliże pociągu, obojętne w jakim celu, to na pewno będą się starali spędzić w naszej przestrzeni powietrznej jak najmniej czasu.

To oznacza, że będą próbowali wejść w obszar powietrzny od wschodu, co da Nikicie jakieś dziesięć do czternastu godzin na przygotowania.

Ze wschodu czy nie, ten lot był cholernie niebezpieczny. O co tu chodzi?

Orłow wiedział, że musi się dowiedzieć, dlaczego ten transport jest tak ważny. Był tylko jeden sposób na to, żeby się dowiedzieć.

♦ Wtorek, 10.09 - Ussuryjsk

Stara lokomotywa miała pordzewiały kocioł, poobijane zderzaki, a komin był obrośnięty sadzą i wystrzępiony przez lata użytkowania. Tender był pełen węgla i wody. W kabinie pełno było sadzy, pyłu i pamiątek z podróży po najdalszych zakątkach radzieckiego imperium -

irkuckich liści, turkiestańskiego piachu, zacieków azerbejdzańskiej ropy.

Wydawało się, że widać w niej duchy maszynistów, pomocników i palaczy, którzy w ciągu lat jej pracy ciągnęli za dźwignie, obracali zawory i szuflowali węgiel do paleniska.

Podporucznik Nikita Orłow widział ich cienie, patrząc na wyslizgany rękami do połysku uchwyt zaworu gwizdka, na rydlowaną już tylko po bokach podłogę kabiny, noszącą ślady wielu butów. Patrząc na okno wyobrażał sobie twarze chłopów, patrzących ze zdziwieniem na widziany po raz pierwszy w życiu parowóz, dzięki któremu już nie będą musieli tygodniami jechać końmi po błotnistych leśnych szlakach.

Pewnie, że wolałby lokomotywę spalinową, ale we Władywostoku tylko to mogli dostać od razu, a im zależało na pośpiechu. Jeżeli lata spędzone w wojsku czegoś Nikitę nauczyły, to na pewno tego, że lepszy wróbel w garści, czyli innymi słowy Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Zawsze jest to jakiś punkt wyjścia, może po drodze znajdzie się coś lepszego.

W końcu nie trafili najgorzej. Ten parowóz miał za sobą prawie sześćdziesiąt lat służby od chwili, gdy wyładowano go we Władywostoku z amerykańskiego statku, który przywiózł

go w ramach pożyczki wojennej, ale był dobrze utrzymany. Tłoki miał zadbane, cylindry mocne, korbowody jak nowe, a koła były niedawno wymienione. Poza tendrem ciągnął tylko trzy wagony, dwa zwykle towarowe i platformę z budką hamulcowego. Dzięki niewielkiemu obciążeniu rwał naprzód jak żrebak - siedemdziesiąt kilometrów na godzinę to jak na sześćdziesięcioletni parowóz towarowy w tej zadymce prędkość wręcz ekspresowa. Jeżeli ją utrzymają, za jakieś szesnaście, siedemnaście godzin powinni wydostać się ze strefy burzy.

Według radiooperatora i prawej ręki Nikity, kaprała Fadiejewa, burza kończyła się gdzieś między Chabarowskiem i Birą.

Nikita i Fadiejew siedzieli przy stole w pierwszym wagonie. Za nimi stała piramida skrzynek. Okienko pod dachem po prawej stronie było otwarte, wychodziły przez nie kable do parabolicznej anteny, przykręconej do krawędzi okienka. Dwa kable biegły od anteny do bezpiecznego telefonu leżącego na kocu pod ścianą. Fadiejew zasłonił okienko jakąś szmatą, żeby nie nawiewało do środka śniegu. Co parę minut musiał wystawiać na zewnątrz rękę i wygarniać śnieg z czaszy anteny.

Obaj mężczyźni ubrani byli w grube, białe, podbite futrem zimowe kombinezony i buty.

Na stole pomiędzy nimi leżały rękawice i stała lampa naftowa. Nikita przypalił od niej skręta i przez chwilę grzał przy niej ręce. Fadiejew stukał w klawisze zasilanego baterią laptopa.

Hałas kół i wycie wichru były tak głośne, że musieli do siebie krzyczeć.

178

- Jeżeli śmigłowiec będzie tylko jeden, to choćby to był *Mi-8*, będzie musiał obrócić parę razy, zanim przetrzuci ładunek w miejsce, gdzie może lądować odrzutowiec! - krzyczał

Fadiejew znad zielono-czarnej mapy, wypełniającej ekran komputera. Obrócił go tak, żeby porucznik widział mapę. - O, tutaj, zaraz na północny zachód od Amuru.

Nikita spojrział na ekran. Jego gęste czarne brwi w zamyśleniu zbiegały się nad nosem.

- Jeżeli w ogóle da się tam wylądować - odpowiedział. - Ciągłe nie rozumiem, co się do cholery działo we Władywostoku, że nie mogli dla nas znaleźć nic lepszego.

- A może to wojna - zaśmiał się Fadiejew - tylko zapomnieli nam o tym powiedzieć?

Zadzwonił telefon. Fadiejew odebrał, zatykając drugie ucho palcem. Chwilę później odsunął lampę na bok i podał słuchawkę Nikicie.

- To Korsakow, łączy rozmowę z generałem Orłowem! - krzyknął, a w jego oczach można było zauważyć cień podziwu.

- Podporucznik Orłow, słucham! - krzyknął w słuchawkę Nikita.

- Słyszycie mnie?

- Bardzo słabo, panie generale. Czy możecie mówić głośniej?

- Nikita, w waszą stronę kieruje się obcy *Il-76*, prawdopodobnie z zamiarem przechwycenia waszego ładunku w nocy – usłyszał powoli i wyraźnie mówiącego ojca. -

Próbujemy ustalić, kto lub co jest na pokładzie, ale nadal nie wiemy, co jest w tych skrzyniach, które wiesz.

Wzrok Nikity przeniósł się z komputera na skrzynki. Nie rozumiał, dlaczego ojciec pyta o to jego, zamiast zapytać oficera odpowiedzialnego za transport.

- Panie generale, kapitan Leszew nie poinformował o naturze ładunku, jaki mi powierzono.

- No to otwórzcie jedną z nich! Wprowadzam do dziennika, że wydałem ci rozkaz otwarcia skrzyni. Nikt nie będzie ci mógł zarzucić, że sprawdziłeś ładunek samowolnie.

Nikita wciąż patrzył na skrzynie. Sam był ciekaw, co jest w środku, ale dopiero teraz miał podkładkę na to, by się dowiedzieć. Poprosił ojca, by chwilę poczekał. Przekazał

słuchawkę Fadiejewowi, założył rękawice i podszedł do sterty skrzyń. Zdjął z haka w rogu saperkę i wepchnął ostrze pod pokrywę pierwszej z brzegu. Oparł nogę na nasadzie trzonka i nacisnął. Brzeg pokrywy uniósł się z piskiem wyciąganych gwoździ.

- Kapralu, dajcie latarnię.

Fadiejew podszedł i w kręgu pomarańczowego światła zobaczyli paczki studolarowych banknotów, obwiązanych papierowymi opaskami i starannie poukładanych w skrzyniach.

179

Nikita zamknął skrzynię, naciskając nogą na pokrywę. Kazał Fadiejewowi otworzyć drugą skrzynię, a sam podszedł do telefonu.

- Tato, w skrzyniach są pieniądze! - podekscytowany wykrzyknął w słuchawkę. -

Amerykańskie dolary!

- W tej też, panie poruczniku! - krzyknął z kąta Fadiejew. - Też dolary!

- Prawdopodobnie wszystkie skrzynie zawierają pieniądze - powiedział, już spokojnie, Nikita.

- Pieniądze na nową rewolucję - w zamyśleniu rzekł generał.

- Co mówisz?! - krzyknął Nikita, zatykając drugie ucho ręką. - Nic nie słyszę!

- Czy Korsakow mówił ci, co się dzieje na Ukrainie?

- Nie, nic nie wiem!

W miarę jak Orłow przedstawiał mu wydarzenia ostatnich godzin, Nikita irytował się coraz bardziej. Nie wiedział, czy jego ojciec i generał Rybakow kiedykolwiek się spotkali, ale z tonu Orłowa-seniora wywnioskował, że są po przeciwnych stronach barykady. Nie dość, że był na tym zadupiu, odcięty od świata, z dala od linii frontu, to jeszcze musiał wybierać między Rybakowem a ojcem. I co gorsza, czuł, że jego sympatie są raczej po stronie ambitnego i dynamicznego artylerzysty, niż obwieszzonego orderami zdobywcy kosmosu, który przypominał sobie, że ma syna tylko wtedy, gdy mógł go upokorzyć.

- Panie generale, czy mogę porozmawiać wprost?

Pytanie było skrajnie nieregulaminowe. W armii rosyjskiej, jak w każdej, kiedy generał

mówi, podporucznik odzywa się tylko po to, by powiedzieć: „tak jest”.

- Jasne, wal śmiało.

- Tato, czy właśnie dlatego wysłałeś mnie do niańczenia tego cholernego transportu?

Żeby mnie trzymać z daleka od frontu?

- Kiedy cię wysyłałem w drogę, jeszcze nie było żadnego frontu, synku.

- Przecież musiałeś wiedzieć, co się działo! Nawet u nas w bazie słyszeliśmy, że to, gdzie teraz jesteś, powstało po to, żeby już nigdy nie było niespodzianek.

- Doszły do ciebie tylko pobożne życzenia. Ta operacja zaskoczyła wielu, także wyższych rangą ode mnie. A dopóki nie dowiem się o co w tym wszystkim chodzi, chcę, żebyś dopilnował, żeby te pieniądze pod żadnym pozorem nie opuściły pociągu.

- A jeżeli za te pieniądze Rybakow miał kupić poparcie Ukraińców? Opóźnienie ich dostarczenia może kosztować życie wielu Rosjan, ojcze,

- Albo im je uratować. Wojna to kosztowna rozrywka.

180

- Nie wiem, czy jest sens bawić się w takie zgadywanki. Słyszałem, że był żołnierzem, odkąd mógł udźwignąć karabin...

- I pod wieloma względami pozostał nadal w tym wieku, w którym go po raz pierwszy uniósł. Macie, poruczniku Orłow, wyznaczyć warty i dopilnować, by do ładunku nie miał

dostępu nikt, komu nie wydam na to zgody.

- Tak jest, panie generale. Kiedy następny seans łączności?

- Jak dowiem się czegoś więcej o pieniądzach lub tym obcym *Iliuszynie*. Nikita, coś mi się zdaje, że siedząc na tych pieniądzach jesteś dużo bliżej frontu, niż ktokolwiek inny.

Uważaj na siebie.

- Tak jest, panie generale.

Porucznik nacisnął wyłącznik i słuchawka umilkła. Kazał Fadiejewowi oczyścić talerz anteny, a potem wrócił do mapy na komputerze. Jego oczy błądziły wzdłuż trasy, od Ippolitowki, przez Sibirczewo, po stację Mucznaja i dalej na północ. Spojrzał na zegarek.

- Fadiejew, za pół godziny będziemy w Oziernoj Padzi. Powiedz maszyniście, żeby się tam zatrzymał.

- Tak jest! - odparł Fadiejew i podszedł do telefonu polowego, którym połączyli wagony i lokomotywę.

Nikita dopilnuje, żeby pociąg i ładunek były bezpieczne. To było zadanie niezwykle istotne dla przyszłości Rosji, w którego wykonaniu nikt nie był w stanie mu przeszkodzić.

Nawet ojciec-generał-bohater.

◆ Poniedziałek, 19.10 - Waszyngton

Hood drzemał na sofie w swoim gabinecie, przekazawszy część swoich obowiązków Curtowi Hardawayowi i nocnej zmianie, gdy w drzwiach stanął podekscytowany Lowell Coffey.

- Paul, mamy to! Podpisane, z pieczęcią i z dostawą do domu!

- Komisja to przyklepała? - zapytał Hood, siadając z uśmiechem.

- Zgodzili się, ale to nie zasługa mojego wdzięku, tylko Ruskich, którzy właśnie wysłali sto tysięcy żołnierzy na Ukrainę.

- Rozumiem. Mike już wie?

- Spotkałem go przed chwilą. Zaraz przyjdzie.

Hood obejrzał dokument z podpisem senator Fox. Ten widok był dla niego ulgą, bo i tak już postanowił poprzeć Rodgersa w tej sprawie, nawet bez oficjalnej podkładki. Plan był

ryzykowny, ale współgrał z tym, co wiedzieli i czego się domyślali, a gdyby się powiódł, sprawa byłaby załatwiona raz na zawsze. Analizy i zabezpieczenia są dobre, ale czasem trochę zdecydowania nie zaszkodzi.

Lowell wyszedł zawiadomić Marthę Mackall, a Hood usiadł z powrotem na sofie, przetarł oczy i wysłał wiadomość pocztą elektroniczną do Hardawaya, Po kilku minutach do pokoju weszli Rodgers i Herbert.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję, Paul - powiedział Rodgers. - Squires aż się pali do tej roboty.

Hood nie wypowiedział tego na głos, ale obaj teraz, gdy już dostali to, co chcieli, modlili się, by wszystko poszło po ich myśli. Przeszedł za swoje biurko i usiadł w fotelu.

- A więc mają zgodę na wejście. Macie jakiś pomysł, jak ich stamtąd wydostać?

- Teraz, gdy mamy papierek, chłopaki z Pentagonu już nie będą nam mogli odmówić *Moskita*.

- Odmówić czego?

- To ich nowy niewykrywalny śmigłowiec. Supertajna maszyna zbudowana w technologii *stealth*. W czasie kryzysu koreańskiego podesłali nam go do Seulu, ale nie był

potrzebny. Jeszcze nie skończyli z nim prób, ale to jedyny sposób, żeby ich stamtąd wydostać tak, żeby nikt ich nie widział, nie słyszał i nie wykrył. Nie mamy innego wyboru.

- Charlie się zgodzi?

- On jest jak duży dzieciak - uśmiechnął się Rodgers. – Daj mu nową, dużą, błyszczącą zabawkę, a zobaczysz, jaki będzie szczęśliwy.

- Jak ten plan ma się do naszego rozkładu?

- *Moskit* będzie w Japonii około dziesiątej rano ich czasu. Wyładunek z pokładu transportowca powinien zająć nie więcej niż trzy kwadranse, a potem piloci będą czekać na rozkaz do startu.

- A co będzie, jak ten *Moskit* się zepsuje? - zapytał Hood.

Rodgers wziął głęboki wdech.

- No to trzeba go będzie zniszczyć, tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Ale on jest do tego przygotowany, a system samozniszczenia, z tego co wiem, robi to dość dokładnie. Jeżeli załoga nie zdoła go zniszczyć, będzie musiała to zrobić Iglica. Tak czy inaczej, Rosjanie nie mogą zdobyć *Moskita* w całości.

- Gdyby do tego doszło, jaki jest plan awaryjny?

- Iglica będzie miała sześć godzin ciemności na przejście osiemnastu kilometrów do rezerwowego lądowiska dla *Iliuszyna*. Teren jest górzysty, ale możliwy do pokonania. Nawet w najgorszym przypadku, jeżeli temperatura spadnie do trzydziestu stopni poniżej zera, mają ciepłą odzież i gogle noktowizyjne. Powinno im się udać.

- Trzydzieści stopni... A ten śmigłowiec to wytrzyma?

- O, to jest maszyna budowana z myślą o takiej temperaturze. Nic się jej nie stanie, chyba że temperatura spadnie poniżej minus pięćdziesiąt stopni - uspokoił go Herbert. - Nie przewidujemy tam teraz takiego mrozu.

- A jeżeli mimo to będzie?

- Jeżeli temperatura zacznie spadać, to się wycofają. Powiadomimy o tym Iglicę i będą musieli zaczekać, aż będziemy zdolni ich zabrać następnym razem. Poradzą sobie, mają trening w dziedzinie przeżycia w ekstremalnych warunkach. Katzen mówi, że w tej okolicy, na zachód od gór Olin, jest mnóstwo drobnej zwierzyny łowieckiej, a same góry usiane są jaskiniami, w których można się ukryć i przeczekać.

- Widzę, że pomyśleliście o wszystkim. A co będzie, jak Rosjanie połapią się, że ten *I-*

- Nie powinno do tego dojść. Niedawno udało nam się kupić ich nowy identyfikator, więc powinno być w porządku.
- Przesyłaliśmy do nich tylko wiadomości kodowane. Zresztą Rosjanie wiedzą, że często bawimy się z nimi w kotka i myszkę, wysyłając fałszywe depesze do ich samolotów, więc je ignorują. Przez najbliższe kilka godzin będziemy wysyłali inne tego typu transmisje do wielu ich samolotów, żeby się upewnić, że odczytają to jako próbę zakłócenia ich łączności w związku z ruchami wojsk. Sam samolot zachowuje ciszę radiową, jak większość ich wojskowych maszyn transportowych. A jeżeli mimo to rosyjska obrona powietrzna zacznie coś podejrzewać, to nasi specje od łączności pogadają z nimi za pośrednictwem samolotu. Ten lot ma przykrywkę, o którą postarał się nasz agent. Według niej maszyna wiezie części zamienne do warsztatów naprawczych z Berlina, a po drodze, w Helsinkach, wzięli na pokład ładunek gumowych zbiorników paliwowych? To powinno zadziałać, bo ostatnio strasznie im brakuje kauczuku. Gdyby go wcześniej namierzyli, to wyjaśni jego obecność w Niemczech i Finlandii.
- To mi się podoba - powiedział Hood. - Nawet bardzo. Oczywiście trzymają się z daleka od ich przestrzeni powietrznej i korytarzy powietrznych?
- Tak - potwierdził Rodgers. - W tej chwili niebo nad Rosją jest pełne samolotów i ich kontrolerzy mają za dużo roboty, żeby sobie zawracać głowę jednym samolotem, który przelatuje z dala od tego zamętu. Ich własne samoloty z ładunkiem ludzi, sprzętu, broni i zaopatrzenia są dla nich w tej chwili ważniejsze.
- A jeżeli mimo to coś zwąchają?
- To trzeba się będzie wynosić - odparł Herbert. - Gasimy radio, robimy zwrot i zjeżdżamy w cholereę ile pary w turbinach. Uciekając możemy zrobić parę sztuczek, żeby mieli się czym zająć. Nie zestrzelą go, póki nie będą niezbitcie pewni, że to intruz. A takiej pewności nigdy nie uzyskają.
- Wydaje się, że wszystko gra. Przekaż chłopakom z operacyjnego i reszcie swojego zespołu podziękowania ode mnie.
- Dziękuję, na pewno przekażę - odparł Rodgers.
- Słuchaj, Paul - zaczął po chwili milczenia, obracając w dłoni przycisk do papieru w kształcie globusa, wzięty z biurka Hooda - Pentagon ma jeszcze jeden powód, dla którego chce, żebyśmy zrobili ten pokaz możliwości *Moskita*.
- Pokaż?
- Rosjanie zabrali dwie dywizje zmechanizowane z Turkiestanu i wysłali je na Ukrainę.

Rybakow zabrał też dywizje pancerne z Dziewiątej Armii, z Okręgu Zabajkalskiego i powietrznodesantowe z Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego. Jeżeli wybuchnie wojna z Polską i znad granicy chińskiej zabrane zostaną dalsze siły, może się zdarzyć, że Pekin zechce wykorzystać szansę. Chińczycy ostatnio postawili na czele Jedenastej Grupy Armii w Lauzhou generała Wu De. Jeśli czytałeś raport Liz, to wiesz co to znaczy.

184

- Tak, czytałem. To ten ich kandydat na kosmonautę w przerwany chińskim programie kosmicznym?

- Zgadza się, to on. Przeprowadziliśmy symulacje komputerowe możliwego przebiegu zdarzeń i to wszystko jest możliwe. Prezydent właśnie wysłał do Pentagonu po wyniki. Jeśli Chińczycy postawią swoich siedem dywizji wojsk pogranicza w stan gotowości bojowej, zagrażając Rosji otwarciem drugiego frontu, Rosjanie się nie ugną. Dojdzie do walk i do wojny na całego, chyba że rozsądek, w tym przypadku Żanin, weźmie górę. W takiej sytuacji będziemy musieli go poprzeć i to może nawet zbrojnie...

- A to będzie złamanie umowy z oprycznikami – dokończył Hood. - Cholerna sytuacja.

Rozdzielimy Pekin i Moskwę, a w nagrodę dostaniemy serię zamachów terrorystycznych.

- No właśnie. I dlatego takiego znaczenia nabiera teraz nasza zdolność do wymierzania ciosów po cichu, przy użyciu niewykrywalnych samolotów i śmigłowców, by oprycznicy jak najdłużej nie zdawali sobie sprawy z naszego zaangażowania. Im dłużej to będzie możliwe, tym lepiej.

Zadzwoił telefon. Hood spojrzął na numer ukazujący się na wyświetlaczu. To był

Stephen Viens z NAZ.

Hood odebrał.

- Cześć. Stephen, jak leci?

- Paul? Myślałem, że jesteś na urlopie.

- Byłem. Co z ciebie za specjalista od wywiadu, skoro tego jeszcze nie wiesz?

- Ha, ha, ha, bardzo śmieszne. Dzwonię, bo Bob chciał, żebyśmy mieli oko na ten pociąg na linii transsyberyjskiej. Zaszła mała zmiana.

- Jakiego rodzaju?

- Niezbyt pomyślna. Popatrz sam, wysłałam ci zdjęcia.

185

◆ Wtorek, 9.13 - Seul

Okna tego hangaru na skraju bazy sił powietrznych pod Seulem, były kuloodporne i zamalowane na czarno. Drzwi zamknięte były na zamek cyfrowy, a przy nich stali uzbrojeni wartownicy. Do budynku nie miał wstępu nikt poza obsługą i pilotami biorącymi udział w projekcie „M”. Dowodził nimi generał Donald Robertson, dynamiczny sześćdziesięcioczworoletni, który w wieku lat sześćdziesięciu odkrył pasję swego życia, *bungee-jumping* i od tej pory w każdej wolnej chwili skakał z dźwigu na lotnisku z gumową liną uwiązaną do kostek.

Wewnątrz hangaru jego dwudziestu podkomendnych ćwiczyło to, co do tej pory robiło tysiące razy z drewnianą makietą: przygotowywali śmigłowiec do zapakowania.

Tym razem poruszali się jeszcze precyzyjniej i uważniej niż zwykle, pracując przy zadziwiająco lekkich, matowoczarnych komponentach maszyny. Pakowali je już na ćwiczeniach do prawie wszystkiego co lata, od śmigłowca *Sikorsky S-64*, który miał ją przenosić na odległości do 350 kilometrów, po samoloty transportowe, *Starliftera* i brytyjskiego *Belfasta*, które miały transportować śmigłowiec na odległości do siedmiu i pół

tysiąca kilometrów. Na lot do bazy na Hokkaido, odległej o 1.100 kilometrów, generał Milton A. Warden przydzielił czterosilnikowego *Lockheeda C-130E Herculesa* miał największą ładownię ze wszystkich samolotów dostępnych w tej chwili w Korei, a szeroko otwierane drzwi ładunkowe w tyle kadłuba ułatwiały załadunek i wyładunek. Z tego co mówił generał

Rodgers. Warden wiedział, że szybkość wyładunku na Hokkaido ma zasadnicze znaczenie dla powodzenia całej operacji.

Podczas gdy obsługa ładowała śmigłowiec, pilot, drugi pilot i nawigator *Herculesa* przeglądali plan lotu, a mechanik sprawdzał cztery turbośmigłowe silniki *Allison T-56A-1A*.

Nawiązano też łączność z wieżą kontrolną tajnej bazy lotniczej w połowie drogi między Otaru, na wybrzeżu Hokkaido, a stolicą prefektury, miastem Sapporo. Baza ta powstała w okresie zimnej wojny jako punkt wyjścia do szpiegowskich lotów w głąb ZSRR i była w użyciu, aż do rezygnacji z lotów załogowych na rzecz rozpoznania satelitarnego w końcu lat 80. Obecnie mieściła się tam stacja nasłuchowa, monitorująca rosyjski system obrony powietrznej.

Teraz „podglądacze”, jak sami siebie nazywali pracownicy bazy, znowu mieli do czynienia z lotami specjalnymi, prowadząc dwa samoloty transportowe, zmierzające do nich z przeciwnych kierunków.

◆ Wtorek, 4.05 - Zatoka Fińska

Zaduch wewnątrz okrętu podwodnego był nie do zniesienia. Ale nie to było najgorsze dla Peggy James. Przerazał ją kompletny brak orientacji. Ich pojazd co chwila wpadał w jakieś prądy, przechylał się na boki, skakał w przód i w tył, w górę i w dół. Sternik usiłował

utrzymać go na kursie, ale mimo to nieujędzony mustang był przy nim po prostu barankiem.

Miała też problemy z wzrokiem i słuchem. Wszyscy porozumiewali się szeptem.

Wewnątrz panowała kompletna ciemność, rozjaśniona tylko diodami żarzącymi się na tablicy rozdzielczej i małą latarką, którą pozwolono im się posługiwać. Jej bladożółte światło i ciepło panujące w kabinie, nie mówiąc już o wielu godzinach spędzonych na nogach tego dnia, sprawiły, że poczuła się senna. Po zaledwie dwóch godzinach pod wodą zaczęła z utęsknieniem wyczekiwać wynurzenia na postoju w połowie drogi, które miało nastąpić dopiero za cztery godziny.

Dobrze przynajmniej, że ten Amerykanin, szeregowy George, szybko przyswajał sobie rosyjskie słówka. To przypominało jej, by nie oceniać ludzi na podstawie pierwszego wrażenia i nie mylić młodzieńczej żarliwości z naiwnością. George był zdolny, inteligentny, a wszystko co mu przypadało zrobić, wywoływało u niego chłopięcy entuzjazm. I mimo że, podobnie jak ona, był zatwardziałym szczurem lądowym, ten rejs nie rozwiał jego entuzjazmu.

Dość dużo czasu spędzili przeglądając plan Sankt Petersburga i rysunki Ermitażu.

Zgadzała się z analizą DI 6, która mówiła, że jeżeli w muzeum ma miejsce jakaś tajna działalność, to na pewno ma ona coś wspólnego z nowym studium telewizyjnym, i że Fields-Hutton miał rację, podejrzewając, że odbywa się to w podziemiach. Studio było doskonałą przykrywką dla montowania sprzętu, jakiego taka działalność wymagała, bliskość rzeki przynajmniej częściowo maskowała promieniowanie mikrofalowe, a w dodatku podziemia leżały w najbardziej oddalonym od zachodniego skrzydła punkcie muzeum. W zachodnim skrzydle, na pierwszym piętrze mieściła się kolekcja numizmatyczna, która mogła zakłócać działanie delikatnej aparatury.

Niezależnie gdzie by je umieszczono w muzeum, centrum łączności potrzebowało kabli.

Gdyby je znaleźli i zdołali zidentyfikować ich przeznaczenie, mogliby się dowiedzieć, co się działo w Ermitażu. Poza tym, jeżeli coś się w tych podziemiach działo, przewody mogły biec istniejącymi już przejściami i kanałami wentylacyjnymi. Łatwiej je było w nich kłaść, a i w czasie remontów czy wymiany wyposażenia dostęp byłby łatwiejszy. Pytanie tylko, czy uda im się znaleźć jakieś miejsce w muzeum do umieszczenia aparatury, czy też będą musieli poczekać do wieczora, żeby się trochę rozejrzeć.

W słabym świetle powieki znowu zaczęły jej ciążyć i zapytała George'a, czy mogą to na trochę odłożyć. On też przyznał, że już zaczyna mieć dość i chętnie skorzysta z przerwy.

Zamknęła oczy i zapadła się w plastikowym krzeselku, wyobrażając sobie, że otacza ją nie 187

wnętrze okrętu podwodnego, ale ogród jej wiejskiego domku w Tregaron w Walii. Tam się wychowała, tam robili sobie wakacje z Keithem, w tych dawnych, dobrych czasach zimnej wojny, gdy świat był o tyle bardziej zrozumiały i bezpieczniejszy niż teraz, po upadku Imperium Zła...

188

◆ Wtorek, 6.30 - Sankt Petersburg

- Panie generale - odezwał się w słuchawce głos Marewa. - Żyłasz przekazał mi, że chciał pan wiedzieć o rozmowach generała Rybakowa z ministrem Doginem. Właśnie przechwytyjemy transmisję kodowaną systemem „Mlecznej Drogi”.

- Dziękuję, Marew. Puśćcie to przez komputer - Orłow gwałtownie wyprostował się w fotelu, budząc się z kolejnej drzemki.

„Mleczna Droga” była kryptonimem najbardziej zaawansowanego technicznie systemu kodowania transmisji. Dzięki „Mlecznej Drodze” można było bezpiecznie przesyłać wiadomości na ogólnie dostępnych łączach, system nie tylko szyfrował wpływające informacje, ale nadawał je potem na tak szybko zmieniających się częstotliwościach, że ktoś, kto nie posiadał specjalnego skanera, pracującego według tego samego programu, nie był w stanie odebrać ani jednego pełnego sygnału, nie mówiąc o całej transmisji. Urządzenia nadawczo-odbiorcze „Mlecznej Drogi” mieli Rybakow i Dogin, ale miał je też Ośrodek.

Orłow, czekając na przesłanie odkodowanej transmisji, zjadł kanapkę z jesiotrem, przygotowaną przez Maszę. Jedząc, wrócił myślami do rozmowy z Rosskim. Pułkownik wyszedł z sali operacyjnej około 4.30. No, proszę, pomyślał wtedy generał, nawet tacy stalowi twardziele ze Specnazu muszą kiedyś odpocząć. Orłow wiedział, że dojście do porządku z Rosskim trochę potrwa, ale pułkownik mimo wszystkich swoich wad, był dobrym żołnierzem. Warto nad nim trochę popracować.

Korzystając z drzemki Roskiego, Orłow wyszedł przywitać się z nocną zmianą.

Zaprosił do siebie na rozmowę zmiennika Roskiego, pułkownika Olega Dalskiego. Dla Dalskiego Roski był typem jeszcze bardziej odstręczającym niż dla Orłowa. Był oficerem lotnictwa, miał już szósty krzyżyk na karku, a z Orłowem znali się jak łyse konie, bo to właśnie on szkolił Orłowa na pilota myśliwskiego. Potem pilotował już tylko biurko, a i to coraz niższe od czasu, gdy niemiecki nastolatek, Matthias Rust w 1987 roku wylądował

Cessną na Placu Czerwonym. Ten szczeniacki wyglup przetrzącił kariery wielu oficerom.

Dalski miał więcej szczęścia, ale i on trafił do lodówki i raczej nie miał co marzyć o awansie przed zbliżającą się emeryturą. I oto na stare lata przyszło mu być zmiennikiem jakiegoś gburowatego kurdupła, który za punkt honoru miał narzucać swoje zdanie nawet w kwestiach, o których nie miał pojęcia. Rozumiał, że to specyfika mentalności Specnazu, ale wcale nie poprawiało mu to humoru.

Orłow opowiedział Dalskiemu o podejrzanym *Iliuszynie* lecącym na wschód. W tej chwili był na południowy wschód od Ziemi Franciszka Józefa na Oceanie Lodowatym.

Powiadomił go też o próbach nawiązania kontaktu z innymi rosyjskimi samolotami, czynionych przez wywiad amerykański. Dalski dzielił podejrzenia Orłowa co do *Iliuszyna*, uparcie trzymającego się

poza obszarem powietrznym Rosji. Nie dość, że leciał w przeciwnym kierunku niż wszystkie inne, to jeszcze nigdzie nie znaleźli wzmianki o żadnym 189

rosyjskim samolocie, który miałby lecieć z Berlina przez Helsinki na Syberię. Możliwe, że wiadomość utknęła gdzieś po drodze, ale Dalski zaproponował, by na wszelki wypadek spróbować się skontaktować z pilotem, żeby się wytłumaczył. Orłow zgodził się z pułkownikiem i zlecił mu załatwienie tego za pośrednictwem generała Pietrowa, dowodzącego północnym zgrupowaniem wojsk obrony powietrznej.

Generał nie powiedział mu o transporcie pieniędzy Koleją Transsyberyjską. Zanim coś w tej sprawie zrobi, chciał się najpierw dowiedzieć, co knują Rybakow z Doginem. Może teraz dowie się czegoś z tej rozkodowanej depechy?

Łykał właśnie ostatnie kęsy, gdy na ekranie zaczął pojawiać się tekst. Poszczególne wypowiedzi pojawiały się w oddzielnych akapitach oznaczonych inicjałami, w zależności od tego, z którego końca linii pochodziły. Orłow czytał z rosnącym niepokojem. Przyczyną były już nie tylko obawy o pokój, ale i o to, kto tu komu podlegał i jakie było jego miejsce w tej całej układance.

D.: Panie generale, wygląda na to, że udało nam się całkowicie zaskoczyć Kreml i cały świat.

R.: I tak miało być. Takie było moje zadanie.

D.: Żanin wciąż próbuje się połapać w tym, co się dzieje.

R.: Jak mówiłem, wystarczy go zmusić do reagowania na fakty, a nie tworzenia ich i robi się bezradny.

D.: Tak, wiem. I tylko dlatego pozwoliłem wam pójść tak daleko, zanim przyszły pieniądze

R.: Pozwoliłem?

D.: Oj, pozwoliłem, zgodziłem się, co za różnica? W każdym razie mieliście, panie generale rację, proponując zapędzenie go w narożnik już na początku.

R.: Nie wolno nam wytracić impetu...

D.: Spokojna głowa, nie stracimy. Gdzie teraz jesteście?

R.: Jakies siedemdziesiąt kilometrów na zachód od Lwowa, gołym okiem widać polską granicę. Czołowe oddziały osiągnęły pozycje wyjściowe. Czekamy teraz na rozruchy, które mają wybuchnąć za pieniądze Sawczuka. Gdzie one są teraz?

Zaczynam się niepokoić.

D.: Być może przyjdzie poczekać trochę dłużej niż planowaliśmy...

R.: Czekać? O czym pan mówi?

190

D.: Śnieżyca zatrzymała transport. Z powodu awarii samolotu generał Orłow musiał przeładować ładunek do pociągu.

R.: Pociąg? Sześć milionów dolarów w pociągu?! A może ten Orłow coś podejrzewa?

D.: Nie, nic z tych rzeczy. Nic innego nie było pod ręką, a śnieżyca unieruchomiła lotnisko.

R.: Ale pociągiem? Przecież każdy może...

D.: Oddziałem eskortującym ładunek dowodzi syn Orłowa. Roski ręczy za niego głową, chłopak jest prawdziwym żołnierzem.

R.: Ale może być w zмовie z tatusiem.

D.: Zaręczam wam, panie generale, że tak nie jest. I nikt nawet nie będzie wiedziało transporcie. Po wszystkim starszego Orłowa wyrzuci się na emeryturę, a młodego wyśle się z powrotem na Sachalin i ślad po nim zaginie. Bez obaw, znam się na tym.

Kiedy transport dojedzie do Biry, przepakuje się go w samolot i pieniądze polecą prosto do was.

R.: Do Biry? Toż to piętnaście, może szesnaście godzin straconego czasu! Do tej chwili w miastach już zaczną się zamieszki! Ryzykujemy oddanie inicjatywy Żaninowi!

D.: Nie, nie ryzykujemy. Rozmawiałem z naszymi stronnikami w rządzie. Zrozumieli, że zwłoka jest konieczna.

R.: Stronnikami? Toż to sprzedajne dziwki, a nie stronnicy! Jeżeli Żanin połapie się w czym rzecz i dobierze się do nich, zanim dotrą pieniądze...

D.: Nie dobierze się. Na razie prezydent w ogóle nic nie robi. A nasi ludzie w Polsce zaczną działać w chwili, w której dostaną pieniądze.

R.: Kreml! Polacy! A na cholerę nam jedni i drudzy? Proszę powiedzieć jedno słówko i mogę wysłać tyle Specnazu, ile będzie potrzeba i to za darmo! Przebierze się ich za robotników stoczniowych albo inny motłoch i zaatakują policję i stacje telewizyjne nie gorzej, a pewnie nawet lepiej niż te bandziory, których wynajęliśmy!

D.: Na to nie pozwolę.

R.: Pozwolę?

D.: Specnaz to zawodowcy, a my potrzebujemy amatorów. To ma wyglądać na oddolną rewoltę ludu, a nie na inwazję.

R.: A dlaczego? Kogo my chcemy ugłaskiwać? NATO? ONZ? Kontrolujemy połowę sił lądowych, lotnictwa i dwie trzecie floty byłego Związku Radzieckiego, to 520.000 żołnierzy piechoty, 30.000 wojsk raketowych, 110.000 OPK i 200.000 marynarzy...

D.: Przecież nie możemy wywołać wojny ze wszystkimi!

191

R.: A dlaczego nie? Z tym co mam pod swoimi rozkazami, mogą zająć Polskę, a jak będzie trzeba, to potem i Kreml. Jak już zdobędziemy władzę, to Waszyngton i wszyscy inni mogą nam soli na ogon nasypać.

D.: Tak? A kto będzie wtedy pilnował Polski, jak przyjdzie czas na Kreml? Sama się upilnuje? Nawet tego czym dysponujemy nie starczy na jedno i drugie.

R.: Hilterowi prawie się udało, a przecież zajął całą Europę. Palił wioski dla przykładu i był spokoj.

D.: Może pół wieku temu to skutkowało, ale nie teraz. Nie można izolować kraju, w którym w każdym domu stoi telewizor, a na co trzecim antena satelitarna! To może załatwić tylko zainstalowanie tam zależnego od nas rządu, złożonego z ludzi, którzy już tam coś znaczą, a za nasze pieniądze zostaną wybitnymi przywódcami. To muszą być ludzie, których można kupić, ale którym Polacy będą wierzyć, bo przez całe życie z nami walczyli.

R.: Nie wystarczy im obiecana decentralizacja po wyborach za dwa miesiące? To powinno podziałać na lokalnych przywódców.

D.: Działa, i to znakomicie. Ale chcą też mieć coś na koncie na wypadek, gdyby to nie wyszło.

R.: Dranie!

D.: Nie oszukujmy się, panie generale. Wszyscy jesteśmy draniami. Trzeba zachować spokój. Ostrzegłem Sawczuka, że pieniądze się spóźnią i on powiadomi swoich ludzi.

R.: I jak to przyjął?

D.: Powiedział, że w łagrze zaznaczał upływ czasu, wydrapując kreski na pryczy. Parę kresek więcej lub mniej nie robi mu różnicy.

R.: Lepiej żeby tak było. Mówię to w pańskim interesie.

D.: Wszystko zostaje po staremu, tylko termin trochę się przesunie. Zamiast za dwadzieścia cztery, wzniesiemy toasty za nową rewolucję za czterdzieści godzin.

R.: Mam nadzieję, że się pan nie myli, panie ministrze. Tak czy inaczej, obiecuję panu, że do Polski wejdę. Dobranoc, panie ministrze.

D.: Dobranoc, panie generale, proszę zachować spokój. Nie zawiodę was.

Orłow opadł na oparcie fotela. Czuł się teraz jak po pierwszej jeździe na wirówce - był zdezorientowany i zbierało mu się na wymioty.

192

A więc oni zamierzali odzyskać Europę Wschodnią, obalić Żanina i odbudować Związek Radziecki. Chcieli wywołać rozruchy w Polsce, rozgrzebując stare spory między wyznawcami różnych religii i narodowościami, falę strajków, które zrujnowałyby gospodarkę, doprowadziły do całkowitej anarchii w kraju, przygotowując grunt pod instalację marionetkowego rządu, który prosiłby Dogina o pomoc, tak jak wcześniej Wiesnik. Wojska rosyjskie raz wprowadzone do kraju, prędko by z niego nie wyszły, a następnymi ofiarami byłiby Czesi, Węgrzy czy Rumuni.

Orłow miał nadzieję, że to tylko zły sen. Nie chodziło mu już nawet o rozwój wydarzeń.

Dopiero teraz zrozumiał, w co wpakował swojego syna. Żeby powstrzymać Dogina, musiałby wydać Nikicie rozkaz, żeby nikomu nie przekazywał transportu może nawet użył broni dla jego obrony. Gdyby Dogin mimo to wygrał, Nikita poszedłby pod mur. Gdyby przegrał, Nikita będzie się czuł, jakby go zdradził. No i była jeszcze możliwość, całkiem prawdopodobna, że Nikita go nie posłucha. Gdyby do tego doszło, Orłow byłby zmuszony kazać go aresztować, ale mógł to zrobić dopiero po zatrzymaniu pociągu, a wtedy mogło być już na późno. Poza tym, Nikita byłby wtedy sądzony za odmowę wykonania rozkazu, za co mógłby dostać co najmniej pięć lat więzienia. Masza by tego nie wytrzymała.

Co gorsza, właściwie nie miał dowodów. Ten stenogram można było obalić, jako fałszywkę, zestawioną w Ośrodku z fragmentów wcześniejszych rozmów. Nie mógł z tym iść do Żanina. Jedyne co mu pozostało, to nie dopuścić do przekazania pieniędzy. O tym mógł

zawiadomić Kreml. Być może zdoła w międzyczasie przekonać syna, że Dogin, człowiek który z całych sił służył ojczyźnie i ochronił go przed wyrzuceniem z akademii, jest teraz zdrajcą i wrogiem.

Roski poszedł do swego gabinetu, ale wbrew temu, co myślał Orłow, wcale nie poszedł

spać. Porucznik Bielajewa wróciła do domu, siedział teraz w gabinecie sam, podsłuchując rozmowy prowadzone przez pracowników Ośrodka. Używał do tego systemu, który zamontował mu Pawka Makarow, zanim zginął w wypadku nad Newą. Ten wypadek zdarzył

się właśnie dlatego, że go zamontował. Nikt nie miał prawa o nim wiedzieć. A jeszcze ten idiota dał mu wspaniały pretekst, łaszcząc się na jakieś głupie układy scalone za parę dolarów.

Montując ten system, sam wydał na siebie wyrok, jak budowniczy egipskich piramid, zabierający ich tajemnice do masowego grobu. W sprawach bezpieczeństwa narodowego nie było miejsca na sentymenty. Oficer Specnazu ma obowiązek likwidować każdego, kto zagraża wykonaniu jego zadania, choćby to był ranny żołnierz jego oddziału. Jeżeli się zawahał, jego zastępca obowiązany był zabić ich obu - rannego i dowódcę. Gdyby zaszła potrzeba, Roski był gotów sam odebrać sobie życie, by nie zdradzić tajemnic, które mu powierzono.

Miał dostęp zarówno do linii telefonicznych, jak i do łączy komputerowych w Ośrodku.

Cienkie jak włos mikrofony były także ukryte w gniazdkach elektrycznych, wywietrznikach, wycieraczkach, pod obrazami. Każdy z nich miał swój własny kod wywoławczy, który można było wybrać z jego klawiatury. Wszystkie podsłuchiwane rozmowy można było zapisywać do późniejszego przesłuchania lub przesłać bezpośrednio do ministra Dogina.

Roski wywołał nagrania z ostatnich godzin, gdy stał w sali operacyjnej. Wysłuchał

rozmowy Orłowa z synem, potem z coraz silniej zaciśniętymi szczękami słuchał, jak Orłow rozkazał podsłuchiwać rozmowy Rybakowa z ministrem. Jak on śmie! Wybrali go na 193

dowódcę Ośrodka, bo był popularną figurą i nadawał się na parawan, za którym można wygodnie robić swoje i który może oczarować ministra finansów, żeby ten sypnął groszem na budowę. Ale kim on był, żeby śmiał kwestionować działania Rybakowa albo ministra Dogina?

Jakby tego mu było mało, znowu połączył się z pociągiem i miał czelność rozkazać Nikicie, żeby po otrzymaniu rozkazów co do miejsca przeznaczenia transportu, odmówił

wydania ładunku przedstawicielom ministra! I jeszcze zapowiedział, że wysyła zespół Młot, żeby zabezpieczył ładunek!

Nikita wprawdzie potwierdził przyjęcie rozkazu, ale słysząc było w jego głosie, że nie jest co do niego przekonany. I słusznie. Przynajmniej oszczędzi sobie osądzenia i rozstrzelania wraz z ojcem za zdradę.

Roski z przyjemnością sam wykonałby wyrok, jeszcze zanim zapadł, ale pewnie minister nie zezwoliłby mu na to. Zresztą, jeszcze zanim nastąpił pełny rozruch Ośrodka, Dogin polecił mu nawiązać kontrakt z generałem Mawikiem, żeby w razie czego móc ukreślić łeb każdemu rozkazowi wydanemu przez Orłowa.

Kiedy Orłow połączył się z majorem Lewinem, dowódcą grupy Młot i polecił mu przygotowania do wylotu w kierunku Biry, Roski uznał, że posunął się już za daleko.

Zadzwoił bezpośrednio do ministra i przekazał mu pełny raport na temat działalności Orłowa.

Dogin polecił mi skontaktować się z Mawikiem i załatwić odsunięcie Orłowa oraz podjęcie przygotowań do przejęcia dowodzenia nad Ośrodkiem.

♦ Wtorek, 8.35 - na południe od kręgu polarnego

Pułkownik Squires patrzył nieobecny wzrokiem na Ishiego Hondę, sprawdzającego sprzęt łączności w plecaku.

Póki byli na pokładzie *Iliuszyna*, do rozmów z Rodgersem używali radiostacji pokładowej, ale po wylądowaniu będą zdani jedynie na plecakową radiostację Hondy i jej małą, czarną antenę, złożoną w pokrowcu obok kieszeni na radio.

Honda klęknął i rozłożył czaszę czterdziestocentymetrowej anteny, upewniając się, że wszystkie jej części są całkowicie rozłożone i zablokowane. Wcisnął w gniazdko i przykręcił

wtyczkę grubego czarnego kabla koncentrycznego, łączącego antenę z radiostacją, po czym założył słuchawki. Wysłuchał do końca testu kalibrującego, przeprowadzonego przez włączony nadajnik, i sprawdził mikrofon, odliczając wstecz od dziesięciu. Skończywszy, skinął głową Squiresowi na znak, że wszystko w porządku.

Po sprawdzeniu radiostacji zabrał się do odbiornika satelitarnego wskaźnika nawigacyjnego, który mieścił się w bocznej kieszeni plecaka. Uruchomił nadajnik na ćwierć sekundy - tyle mu wystarczyło, żeby się upewnić, że działa, a Rosjanom nie wystarczy, żeby ich namierzyć.

W tym samym czasie szeregowka DeVonne zajmowała się powierzonymi jej pieczy kompasem i wysokościomierzem, które miały ich zaprowadzić na lądowisko ewakuacyjne.

Sierżant Chick Grey obudził się z drzemki i zabrał do sprawdzania swojej kamizelki szturmowej *Tac III* i jej zawartości. Tym razem kieszenie na plecach, zamiast maski gazowej i magazynków do pistoletu maszynowego, zawierały duże pakiety plastiku *C-4*, detonatory, zapalniki i szpule lontu.

Każdy pobrał już sprzęt arktyczny, ciepłe rękawice z nomeksu, kominiarki, kombinezony ocieplające, gogle z nietłukącymi się szklami, kamizelki kuloodporne i buty szturmowe. Na to założył kamizelki *Tac III* z dodatkowymi kieszeniami na granaty ogłuszające i sprzęt wspinaczkowy. Ich uzbrojenie stanowić miały pistolety maszynowe *Heckler & Koch MP5A2* i pistolety *Beretta* z przedłużonymi magazynkami.

Squires chętnie oddałby wszystkie błyskotki, których pełny był przedział ładunkowy *Iliuszyna*, za kilka szybkich pojazdów szturmowych *FAV*. Kiedy wylądował w Rosji, Centrum niewiele mogło im pomóc, ani w sprawie pociągu, ani ewakuacji na lądowisko. Parę *FAV-ów* mogłoby im umożliwić szybkie poruszanie się po śnieżnych pustkowiach - jeżeli teren byłby płaski, a śnieg twardy i bez szczelin, mogłyby wyciągnąć ponad setkę. Trzech ludzi do środka, karabin maszynowy *M60E3* z przodu i wukaem 12,7 mm z tyłu, gaz do dechy i naprzód! O, to by było fajne. Cholerna robota z wyrzucaniem ich na spadochronach i montowaniem na ziemi, ale potem to już czysta przyjemność.

Squires przeszedł się po kabinie, żeby wyprostować nogi i odebrać od załogi najświeższe wiadomości. Wszyscy byli zadowoleni z tego, że jak na razie nikt nie próbował

się z nimi kontaktować. Pilot, Matt Mazur, uważał, że to tylko zasługa gęstego ruchu w powietrzu nad Rosją, a nie tego, że są niewykrywalni. Squires sprawdził ich pozycję na mapie, zobaczył, ile im jeszcze zostało drogi i którędy będą lecieć, po czym wrócił do ładowni, akurat na czas, by odebrać wiadomości od Rodgersa. Teraz, gdy *Iliuszyn* był w zasięgu rosyjskich odbiorników, używali łączny zamontowanych w Helsinkach dzięki uprzejmości ministra Niskanena, by nikt nie mógł wykryć, że transmisje pochodzą z Waszyngtonu.

- Tu Squires, sir.

- Charlie, coś się dzieje z pociągiem. Stanął na stacji i wziął pasażerów, cywilów. W

każdym wagonie jest teraz po pięć osób, kobiet i mężczyzn.

Chwilę trwało, zanim do Squiresa dotarł sens tej informacji. On i jego ludzie trenowali opanowywanie pociągów, ale to były scenariusze odbijania ich z rąk terrorystów, gdy Iglica miała przewagę liczebną, a zakładnicy z chęcią opuszczali wagony. Tu było zupełnie inaczej.

- Rozumiem, sir.

- Oprócz tego w każdym wagonie są żołnierze - ciągnął Rodgers. - Obejrzałem zdjęcia tego pociągu. Będziecie musieli wrzucić granaty ogłuszające przez okienka, potem rozbroić żołnierzy i wszystkich wyładować. Kiedy skończycie, zawiadomimy Władystok, gdzie mają szukać pasażerów. Zostawcie im wszystkie ubrania zimowe, które nie będą wam niezbędne.

- Tak jest.

- Ewakuacja z rejonu tego mostu, o którym wcześniej mówiłem, dokładnie o północy.

Odłot dokładnie osiem minut później, więc lepiej żebyście tam zdążyli dotrzeć. Więcej czasu nie możemy dostać, bo komisja wywiadu się nie zgadza.

- Będziemy tam na pewno, sir.

- Mnie też się to nie podoba, Charlie, ale nie mamy innego wyjścia. Gdybym ja o tym decydował, to posłałbym na ten pociąg parę bomb i byłoby po kłopotach, ale Kongres uważa, że lepiej tracić własnych żołnierzy, niż zabijać cudzych.

- Wiedzieliśmy, na co się decydujemy, panie generale. A poza tym, ja naprawdę lubię tę robotę.

- Wiem, Charlie, wiem. Ale ten oficer, który dowodzi pociągiem, podporucznik Nikita Orłow, to nie jeden z tych, co to poszli do wojska, bo dawało trzy posiłki dziennie. Według naszych źródeł to facet z jajami, a na dokładkę syn bohaterskiego kosmonauty, który musi sobie udowodnić, że też jest czegoś

wart. On będzie walczył, Charlie.

- To dobrze. Byłbym zawiedziony, gdybyśmy przelecieli taki szmat drogi tylko po to, żeby się przespacerować.

196

- Charlie, zachowaj te głodne kawałki dla swoich podwładnych, dobrze? Wasz powrót w komplecie sprawi mi więcej radości, niż zatrzymanie tego cholernego pociągu. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

Rodgers życzył mu powodzenia i rozłączył się. Squires oddał słuchawkę Hondzie, a gdy radiooperator wrócił na swoje miejsce, spojrzął na zegarek. Zapomniał go przestawić, gdy lecieli przez tyle stref czasowych. Jeszcze osiem godzin, pomyślał. Złożył ręce na brzuchu, wyprostował nogi i zamknął oczy.

Zanim siedem miesięcy temu wstąpił do Iglicy, przez jakiś czas był odkomenderowany do ośrodka badawczo-rozwojowego armii amerykańskiej w Natick koło Bostonu. Brał tam udział w próbach mających na celu stworzenie mundurów, które wtapiałyby się w otoczenie, jak skóra kameleona. Nosił tam mundury z tkanin, w które wplecione były czujniki mierzące odbicie światła od podłoża, które regulowały odcień materiału. Cała jego robota polegała na tym, że włóczył się po polach, a chemicy i inżynierowie bawili się włóknami syntetycznymi, żeby stworzyć tkaninę, która automatycznie zmienia kolor. Próbował też nosić niewygodne, grube, ale naprawdę zadziwiająco efektywne w maskowaniu mundury działające na zasadzie elektroforezy. Tkanina taka składa się z dwóch warstw plastiku, pomiędzy którymi znajdował

się płynny barwnik, który zmieniał kolor pod wpływem dopływu prądu. Pamiętał, że wtedy rozmyślał nad czasami, niezbyt już odległymi, w których takie mundury, niewidzialne czołgi i inteligentne roboty umożliwią jego krajowi prowadzenie niemal bezkrwawych wojen. O tym, że wtedy to naukowcy będą bohaterami, nie żołnierze. Zaskoczyło go wówczas, że ta myśl go zasmuciła. Żaden żołnierz nie pragnie śmierci, ale przecież każdy wojownik ma w sobie to coś, co go ciągle zmusza do sprawdzania się, do ryzykowania życiem dla swojego kraju lub kolegów. Bez niebezpieczeństwa, bez tej ceny za zwycięstwo, nikt nie będzie gotów do pielęgnowania wolności, którą ona przynosi.

Z tą myślą i dźwięczącymi mu jeszcze w uszach słowami Rodgersa, Squires zasypiał.

No, jak już nie będzie wojen, to zawsze pozostaną jeszcze ich walki w basenie i zdziwiona mina idącego pod wodę szeregowego George'a, strąconego do wody przez siedzącego na ramionach pułkownika jego synka, Billy'ego...

197

♦ Wtorek, 14.06 - Sankt Petersburg

Parę godzin przed lądowaniem w Rosji, Peggy Jones i David George mogli przez dwadzieścia minut odetchnąć świeżym powietrzem znad Zatoki Fińskiej. Potem włączył się znowu i rozpoczęli drugą połowę podróży do Sankt Petersburga. Ten okres był krótszy niż życzyłyby sobie Peggy, ale chociaż trochę oprzytomniała.

Godzinę przed terminem Nykkanen zszedł z kiosku i zajął miejsce na dole, między burzą a swoimi pasażerami. Oboje sprawdzili już ekwipunek zamknięty w wodoodpornych torbach i właśnie mocowali się z rosyjskimi mundurami. George odwrócił się, gdy Peggy wkładała granatową spódnice, w przeciwieństwie do Nykkanena.

Kiedy skończyła, sięgnął do zasobnika na lewej burcie.

- Po wynurzeniu - szepnął - będziecie mieli sześćdziesiąt sekund na rozłożenie tratwy.

Trzeba wyciągnąć tę zawleczkę - wsadził palec w plastikowe kółko założone na zawleczce głównego zaworu, a potem wskazał na pagaje. - Pagaje rozkładają się w połowie.

Oznakowania tratwy zgadzają się z waszymi dokumentami, zresztą sama tratwa jest prawdziwa, pochodzi z okrętu typu *Argus*, takiego jakie stacjonują w Zatoce Koporskiej.

Mam nadzieję, że mówiono wam o tym.

- Pokrótce - odparł George.

- A jak to będzie po rosyjsku? - zapytała Peggy.

- *Miedlienno* - po chwili namysłu odparł z wyrazem triumfu Amerykanin.

- To znaczy „powoli”, tumanie. Komandorze, dlaczego tylko sześćdziesiąt sekund? Nie będziecie tu lądować baterii ani wietrzyć okrętu?

- Możemy pływać na tym co mamy jeszcze ponad godzinę po wysadzeniu was. To wystarczy, żeby się wydostać poza rosyjskie wody terytorialne, lepiej popatrzcie jeszcze raz na mapy i zapamiętajcie, gdzie was wysadzam.

- Zaraz za parkiem biegnie Szosa Peterhofska. Idziemy nią do Prospektu Staczka, stamtąd na północ, do Newy i wzdłuż niej do Ermitażu, na wschód.

- Bardzo dobrze. Oczywiście, o robotnikach już wiecie?

- Nie. O jakich robotnikach?

- Na litość boską, toż gazety trąbią o tym od tygodni! Na placu Pałacowym ma się dziś wieczorem zebrać kilka tysięcy robotników, żeby proklamować dwudziestoczterogodzinny 198

strajk generalny. Organizuje to Wszechrosyjski Kongres Wolnych Związków Zawodowych, chcą wypłaty zaległych pensji i podwyżki emerytur. Wiec będzie wieczorem, żeby nie wystraszyć turystów.

- Nie, nie mamy o tym zielonego pojęcia. Nasz cudowny wywiad może ci donieść, co Żanin czytał w kiblu, ale takiej drobnostki nie zauważyli.

- Może akurat tej gazety ze sobą nie zabrał – zasugerował George.

- Dziękujemy za ostrzeżenie, komandorze - powiedziała Peggy. - Naprawdę doceniamy to, co pan dla nas zrobił.

Nykkanen krótko skinął głową i wrócił do kiosku. Peggy i Amerykanin znowu zamilkli, podczas gdy okręt przedzierał się naprzód w całkowitej niemal ciszy. Agentka DI 6

zastanowiła się, czy te tłumy robotników i milicji na placu pomogą im, czy przeszkodzą w wykonaniu zadania. W końcu doszła do wniosku, że chyba pomogą. Milicja będzie miała zbyt dużo zajęć z pilnowaniem tłumu wściekłych robotników, żeby zawracać sobie głowę parą marynarzy na przepustce.

Wyładunek z okrętu poszedł im bardzo sprawnie. Nykkanen rozejrzał się przez peryskop, czy w pobliżu nie ma żadnej łodzi, a potem wynurzyli się. Odkręcili właz i Peggy ruszyła w górę. Byli niecały kilometr od brzegu, nad wodą wisiał smog. Wątpiła, czy ktokolwiek ich widzi, nawet gdyby na nich czekali. George podał jej, zadziwiająco ciężki jak na swoje wymiary, ponton. Wciąż stojąc we włazie, przełożyła palec przez zawleczkę i wyrzuciła go za burtę. Ponton napęłnił się błyskawicznie - był sztywny, zanim jeszcze dotknął

wody. Oparła ręce na obrzeżu włazu i podciągnęła kolana do piersi, a potem przełożyła nogi na ponton i odbiła się, lądując na gumowej podłodze. George za chwilę poszedł w jej ślady, przedtem przerzucając pagaje i plecaki podawane z dołu przez Nykkanena.

- Powodzenia - rzucił na pożegnanie komandor, wysuwając na chwilę głowę z włazu, zanim go zamknął, i miniaturowy okręt podwodny zanurzył się. Wynurzenie nie trwało nawet dwóch minut. Peggy i George zostali sami, siedząc w kołyszącym się łagodnie pontonie. W

milczeniu zaczęli wiosłować w stronę charakterystycznej ostrogi o kształcie sztyletu, wieńczącej nabrzeże parku.

Prąd popychał ich do brzegu, ale wiosłowali ostro, żeby się rozgrzać. Lodowaty wiatr przewiewał ich mundury na wylot, szarpiąc kołnierzami, a biało-niebieskie podkoszulki w paski, które nosili pod spodem, nie chroniły ich wcale przed zimnem. Czapki też tylko trzymały się na głowach, wcale nie grzały.

W ciągu trzech kwadransów dopłynęli do brzegu. Park był niemal pusty. Przycumowali ponton do drzew. Peggy, zarzucając plecak na ramię, głośno utyskiwała po rosyjsku na tego idiotę, który wymyślił kontrolę boi w taki ziąb. Stała mu najwymyślniejsze wiązanki, czujnie rozglądając się po okolicy. Najbliższą osobą był jakiś artysta, oddalony od nich o ponad dwieście metrów. Siedział na składanym krzeselku przed sztalugami i węglem rysował portret blondynki, turystki. Jej chłopak z aprobatą przyglądał się pracy rysownika. Dziewczyna patrzyła w ich kierunku, ale nie zareagowała specjalnie na ich widok. Milicjant wolno przechadzał się zacienioną alejką parę metrów za nimi. Na ławce drzemał jakiś brodac z 199

walkmanem na brzuchu, przy ławce warował bernardyn. Koło malarza przebiegł jakiś mężczyzna. Peggy trochę się zdziwiła. Kiedy ostatni raz tu była, jogging nie był jeszcze popularny. Ten widok lekko ją zaniepokoił, wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Trzy kilometry na południe od parku zaczynał się już port lotniczy. Samoloty lądowały i startowały, huk ich silników zakłócał sielankową atmosferę okolicy, ale to był typowy rosyjski kontrast, jak pudełkowate bloki z betonu stojące w samym środku pięknego, osiemnastowiecznego parku pałacowego. Popatrzyła na północ, na miasto. Przez kłęby brudnej mgły widziała przepiękną sylwetkę starej carskiej stolicy, najeżoną kopułami i wieżami, z pomnikami, wietrznymi kanałami i niezliczonymi płaskimi, brązowymi dachami.

To przypominało bardziej Wenecję, albo Paryż niż Rosję. O, Keithowi musiało się tu podobać, pomyślała.

Amerykanin skończył cumować ponton i także zarzucił na siebie plecak.

- Gotowe - szepnął.

Peggy spojrzała w kierunku szosy wiodącej do Peterhofu, letniej rezydencji carów. Do drogi było nie więcej niż siedemset metrów. Według mapy, idąc wzdłuż drogi na wschód, można było dojść do stacji metra, a potem po kilku przystankach przesiąść się na stacji Politechnika w pociąg innej linii, dojeżdżający bezpośrednio w pobliże Ermitażu.

Odchodząc, Peggy opowiadała Amerykaninowi po rosyjsku o stanie boi i o tym jak bardzo mapy toru wodnego odbiegają od stanu faktycznego.

Człowiek drzemający na ławce odprowadzał ich wzrokiem. Nie ruszając rękami złożonymi na brzuchu, przemówił do cieniowego jak włos mikrofonu, ukrytego w brodzie.

- Tu Ronaszyn. Dwoje marynarzy właśnie zeszło na ląd w parku i zostawiło ponton na wodzie. Oboje mają plecaki i kierują się na wschód.

Uwolniony wreszcie od obowiązku brodac zwrócił z kolei oczy ku pięknej Rosjance pozującej malarzowi. Następnym razem jak będzie miał gdzieś tkwić godzinami, każe sobie dać sztalugi i

stolek.

200

♦ Wtorek, 6.09 - Waszyngton

Dla Paula Hooda to była spokojna noc. Zadzwoił do Sharon i dzieciaków. Byli akurat w „Bloopers”, więc wysłuchał serii zachwyków nad hamburgerami z galaretką i lodami.

Potem wyciągnął się na sofie i zasnął, a biurem kierował szef nocnej zmiany, Curt Hardaway.

Hardaway miał doświadczenie w kierowaniu dużymi zespołami ludzi, wcześniej był

dyrektorem generalnym w SeanCorp, firmie zaopatrującej wojsko w elektroniczne systemy nawigacyjne.

Ta posada pozwoliła mu także zapoznać się z bliska z działaniem administracji państwowej, z którą nieraz przychodziło mu skrzyżować szpady, gdy rzucała kłody pod nogi dynamicznego i ekspansywnego menadżera. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat był już multimilionerem i uznał, że ma dość pieniędzy, by pomyśleć o emeryturze. Żartował zresztą, że gdyby sprzedawał swoje wyroby na wolnym rynku, a nie rządowi byłby dawno miliardem. Kiedyś powiedział Hoodowi, że nigdy nie oszczędzał na jakości, choćby nie wiem jak skąpo rząd płacił za zamówione urządzenia. Robił to, bo jak twierdził, wybieranie najtańszego kontrahenta nie powinno obchodzić chłopaka, który będzie potem leciał

Tomcatem wyposażonym w jego urządzenia.

Oficjalnie i Paul, i Rodgers od 18.00 byli wolni, ale nieoficjalnie każdy, kto znajdował

się na terenie Centrum był na służbie cały czas, jaki tam spędzał. Póki tam siedzieli, obaj nocni zmiennicy, Hardaway i Bill Abram, nawet nie próbowali jak to ujął kiedyś Curt,

„wyszarpować im z kłów ulubionej kości”.

Leżąc tak na sofie z bosymi stopami opartymi na tapicerowanym oparciu, Paul myślami był przy swojej rodzinie. Nie chciał ich stracić, a przecież wszystko co robił, ciągle go od niej odcinało. Może to było nieuniknione? Zanedbuje się najbliższych, bo człowiek wierzy w to, że zawsze będą przy nim, gdy będzie ich potrzebował. Może i tak, ale sumienie boli jak diabli. Jak na ironię, jego wczorajszy powrót najbardziej był na rękę ludziom, z którymi nic go nie łączyło, Liz Gordon i Charliemu Squiresowi. Jedno cieszyło się, że skorzystał z jej rad, a drugie, że pozwolił mu lecieć na jedyną w swoim rodzaju wyprawę.

Pomiędzy krótkimi drzemkami spoglądał na zegar odliczania wstecznego, ustawiony na porę ewakuacji Iglicy z rosyjskiej tundry. Dwadzieścia pięć godzin i pięćdziesiąt minut.

Kiedy Hardaway go uruchamiał, było ponad trzydzieści siedem godzin. Jak będą się czuli, gdy na wyświetlaczu pojawią się same zera? Jaki będzie wtedy świat?

Te rozmyślenia jednocześnie przygnębiały i bawiły go. W każdym razie lepiej patrzeć na zegar, niż na CNN. Pełno tam było rozważań na temat zamachów w Nowym Jorku i Polsce. Gwiazdą wieczoru był Eivals Ekdols szczebioczący do kamer o swoich powiązaniach z Ukraińską Powstańczą Armią, która stała za zamachem w Przemyślu i według jego słów, broniła ojczyzny przed rosyjskim podbojem. Cwany sukinsyn, musiał przyznać w duchu 201

Hood. Ten bydlak antagonizuje Amerykanów, żeby poparli rosyjsko-ukraińską unię, podszywając się pod jej przeciwnika.

Po raz kolejny obudził się, gdy przyniesiono mu meldunek z Helsinek o pomyślnym lądowaniu członka Iglicy i Angielki w Sankt Petersburgu. Pięć minut później Mike Rodgers, który do tej pory jeszcze w ogóle nie spał, przyszedł z wiadomością, że *Iliuszyn* z resztą Iglicy na pokładzie wszedł w rosyjską przestrzeń powietrzną i kieruje się na zrzutowisko, które osiągnie za dwadzieścia minut. Rodgers opowiedział mu, że załoga wyrzuciła ładunki dipoli zakłócających, które zmyliły radar bazy w Nachodce na tyle, że samolot bez trudu przedostał

się do korytarza powietrznego używanego przez inne samoloty. Jak na razie, dzięki aktualnemu *IFF*, nikt się nim nie interesował.

- Jak to, OPK nie zareagowała na zakłócenia radarów? - zdziwił się Hood.

- Zrobiliśmy to tylko po to, żeby zamaskować kierunek, z którego nadlatują. Odkąd lecą nad Rosją, nie robią nic zwracającego uwagę. Załoga utrzymuje ciszę radiową, a wylatując z przestrzeni powietrznej zawiadomi Nachodkę, że leci na Hokkaido po części do radarów.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że poszło nam tak łatwo.

- Przez ostatnie kilka lat rosyjska armia stała się tylko cieniem tego, czym była kiedyś.

Ich operatorzy radarów mają dłuższe zmiany, niż nasi, a pod koniec zauważają już tylko rzeczy bardzo odstające od normy.

- Jesteś bardzo pewien tego, co mówisz. A może to pułapka?

- Braliśmy to pod uwagę, ale jeżeli tak, to po co wpuszczaliby intruza nad swoje terytorium? Prawda jest raczej taka, Paul, że to już nie jest ta Rosja, której się tyle lat baliśmy.

- Ale nadal jest na tyle tamtą Rosją, żeby nam dać w razie potrzeby po łapach.

- No dobrze, poddaję się.

Hood wstał, zadzwonił do Beneta i kazał mu zwołać odprawę kierowników działów w Czołgu, a potem poszedł do łazienki odświeżyć się. Wciąż nie mógł przestać myśleć o Rosji.

Czy Mike miał rację, lekceważąc Rosję? Czy imperium naprawdę wali się w gruzy, czy to tylko ich

ponosi euforia po rozpadzie ZSRR i upadku komunizmu?

Zresztą, czy on tak naprawdę upadł? A może to tylko marzenie, ułuda, jakiś okres przejściowy, jak między kolejnymi złodowaczeniami? Może komunizm tylko usunął się w cień, by zebrać siły na powrót?

Rosjanie nie przywykli do demokracji, wolności i przejawiania inicjatywy. W czasach historycznych zawsze mieli nad sobą dyktatora, jak nie obcego, najeźdźcę, to własnego, jak twórca ich państwa, Iwan Groźny, czy później dynastia Romanowych. Iwan Groźny.

Oprycznina, przemknęło mu przez głowę i ta myśl przeraziła go. Ruszył do Czołgu nie wierząc już w to, że Imperium Zła należało do przeszłości, a wypadki następnego dnia miały to potwierdzić.

◆ Wtorek, 14.29 - Sankt Petersburg

W czasie swej pierwszej podróży kosmicznej Orłow nie miał możliwości porozmawiać z Maszą. Kiedy wrócił, była tym bardzo dotknięta i wytknęła mu, że odkąd się poznali, nie było dnia, nie mówiąc o trzech dniach, żeby nie zamienili ze sobą ani słowa.

Wtedy zdawało mu się, że to głupie babskie fanaberie, których i tak żaden człowiek nie zrozumie. Zrozumiał to kilka lat potem, kiedy podczas porodu Nikity dostała silnego krwotoku. Wykrwawiła się tak bardzo, że nie miała siły nawet się odezwać. Siedział przy jej łóżku i wtedy zrozumiał, jaką pociechą może być głos ukochanej osoby, o ile łatwiej by mu było, gdyby przez te dwa dni powiedziała cokolwiek.

Po tym doświadczeniu już nigdy nie było dnia, żeby nie rozmawiali choć przez krótką chwilę. Zaskoczyło go to, jak najkrótsza nawet rozmowa, wymiana choćby paru zdawkowych zdań, zbliżała ich ku sobie i pomagała wytrwać. Masza wiedziała, co robi w Ermitażu. Nie wolno mu było jej tego powiedzieć, ale zrobił to, choć nie wdając się w szczegóły. Nie mówił, z kim będzie pracował, z wyjątkiem Rosskiego. Przecież komuś musiał się poskarżyć na to, z kim go los zetknął.

Zadzwoił do niej o 10.30 i powiedział, że w pracy wszystko w porządku, ale nie wie, kiedy wróci. Była wyraźnie rozczarowana. Po rozmowie wrócił do sali operacyjnej. Chciał

razem z zespołem dojść do półmetka pierwszej doby zdolności operacyjnej Ośrodka.

Roski pojawił się kilka minut po jedenastej i obaj zajęli swoje miejsca w sali. Orłow stanął za linią stanowisk operatorów nadzorujących poszczególne źródła informacji, a Roski za plecami Iwaszyna, obsługującego linię do Dogina i na Kreml. Pułkownik był wyraźnie bardziej spięty i skoncentrowany niż zwykle. Orłow wiedział, że to nie przybycie dwojga agentów z Finlandii tak go poruszyło. Postanowił jednak nie pytać go o prawdziwy powód, bo zadawanie pytań pułkownikowi i tak pewnie nie przyniosłoby zadowalających odpowiedzi.

Około wpół do drugiej do Ośrodka wpłynął meldunek ze stacji radarowej w Nachodce od wywiadu dowództwa lotnictwa. Meldowano zakłócenia w działaniu radaru na przeciąg ponad czterech minut. Dowództwo lotnictwa nakazało kontrolę identyfikatorów wszystkich samolotów w przestrzeni powietrznej Rosji, ale Orłow wiedział z góry, że to robota tego podejrzanego *Iliuszyna* z Helsinek. A więc teraz był już w przestrzeni powietrznej Rosji i kierował się na zachód, do punktu, w którym za mniej niż godzinę powinien napotkać transport z Władywostoku, jeżeli faktycznie to o niego chodziło.

Natychmiast podniósł słuchawkę i rozkazał dziennemu zmiennikowi Marewa, Grigorijowi Stieninowi, połączyć się z generałem Pietrowem. Otrzymał jednak odpowiedź, że generał jest zajęty, nie może odebrać telefonu.

- To pilne - powiedział Orłow. Nic to jednak nie zmieniło.

Roski wziął słuchawki od Iwaszyna.

- Może ja spróbuję? - zapytał z niewinnym uśmiechem.

Orłow usłyszał wkrótce jego głos w słuchawce. Tym razem połączono go niezwłocznie i odebrał sam Pietrow. Orłow zauważył błysk triumfu w oczach pułkownika.

- Panie generale - odezwał się Roski - generał Siegiej Orłow z petersburskiego Ośrodka Kontroli Operacyjnej do pana.

- Dziękuję, pułkowniku, łączcie.

Orłowowi na chwilę odebrało mowę. Nagle poczuł się bardzo słaby i bezradny.

Zapytał o *Iliuszyna* i Pietrow odpowiedział, że wysłał dyżurną parę myśliwców, żeby go przechwyciła i zmusiła do lądowania lub zestrzeła. Orłow odwiesił słuchawkę i podszedł do Roskiego.

- Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - odparł skromnie pułkownik, lekko wzruszając ramionami.

- Znam generała Pietrowa osobiście...

- Tak, to wspaniały oficer.

- Ja go znam osobiście, a wy?

- Nie, ja nie mam tego szczęścia - odparł nieco zbity z tropu pułkownik. Orłow wiedział

już teraz na pewno, że cała scenka była ukartowana. Nie chciał jednak publicznie wszczynać kolejnej potyczki o władzę z pułkownikiem, tym bardziej, że nie był pewien wyniku, a nie chciał dawać temu bydlakowi okazji do upokorzenia go w obecności podwładnych.

- Rozumiem. Wracajcie do swoich obowiązków, pułkowniku.

- Tak jest, panie generale.

Orłow wrócił na swoje stanowisko. Teraz zaczynał rozumieć, że jego nominacja była tylko częścią wielkiej gry, w której on miał służyć jedynie za parawan. Rozejrzał się po sali, jakby chcąc z twarzy wyczytać, kto jest po jego stronie. Dielew, Spaski - ich mógł być pewien. A inni? Czy byli przeciw niemu od początku, czy może przeszli na drugą stronę dopiero ostatnio, jak Pietrow? Zasięg spisku nie napełnił go niesmakiem tak bardzo, jak myślał, że ludzie, których uważał za przyjaciół zdradzili go

dla ratowania stołka lub awansu. Z

powrotem stał na swoim miejscu, ale jego pozycja nie była już tą, jaką zajmował jeszcze dziesięć minut temu. Szala przechyliła się wyraźnie na stronę Rosskiego. Orłow wiedział, że musi za wszelką cenę odzyskać przewagę nad pułkownikiem, bo w tej sytuacji nie mógł się z nim mierzyć.

Orłow zastanawiał się nad tym, jak podejść Roskiego, gdy Iwaszyn poinformował pułkownika, że oficer kontrwywiadu miejscowej milicji, Ronaszyn, ma dla niego wiadomość.

204

Roski wziął słuchawki, przycisnął jedną do ucha i słuchał w milczeniu. Wiadomość od Ronaszyna przekazywał sierżant Liziczew z komendy miejskiej. Pułkownik przysunął sobie bliżej mikrofon.

- Powiedzcie Ronaszynowi, żeby ich śledził. To ci dwoje, o których nam chodzi.

Prawdopodobnie pójda do metra. Jeżeli tak, to niech idzie za nimi i niech wywiadowcy w cywilu obstawią stacje Politechnika, Gostinnyj Dwor i Newskij Prospekt. Wsiądą zapewne na Newskim i tam będą na was czekał. - Przez chwilę słuchał, po czym znowu przemówił. -

Tak, rozumiem. Szaliki w czerwono-żółte paski. Tak, będę ich wypatrywał.

Oddał słuchawki Iwaszynowi i podszedł do Orłowa. Nachylił się ku niemu i szepnął.

- Do tej pory byłeś lojalny wobec Ośrodka i Rosji, nie zrobiłeś nic, co można by ci zarzucić. Jeżeli chcesz dożyć spokojnej emerytury i nie chcesz zaszkodzić swojemu synowi, rób tak dalej.

- Zwracam wam uwagę na impertynencki ton tej wypowiedzi, pułkowniku - głośno odpowiedział Orłow. - Wasza bezczelność znajdzie wyraz w raporcie i zostanie odnotowana w waszych aktach. Macie coś jeszcze do dodania?

Roski patrzył na niego w milczeniu.

- To dobrze. - Skinął głową w kierunku drzwi. - Idźcie już i jeżeli nie zdecydujecie się po drodze wykonywać rozkazów, moich rozkazów, to możecie już tu nie wracać i zameldować się bezpośrednio u ministra Dogina w Moskwie. - Roski i tak musi wyjść, ale lepiej, żeby wszyscy myśleli, że wychodzi na mój rozkaz. pomyślał generał.

Pułkownik bez słowa i nie salutując, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

Orłow wiedział doskonale, że nie odda Ośrodka w środku puczu, bo to przecież był pucz, teraz generał był już tego pewien. Na razie on był panem sytuacji, pozostał w Ośrodku, ale jego myśli krążyły wokół tego, jaki będzie kolejny krok puczystów, a zwłaszcza Roskiego.

♦ Wtorek, 21.30 - okolice Chabarowska

- Kryształowa kula mówi mi, że mamy towarzystwo - powiedział Squiresowi pilot.

Pułkownik przyszedł do kabiny parę minut wcześniej.

Na ekranie radaru wyraźnie widoczne były rozbłyski dwóch zbliżających się z dużą prędkością *MiG-ów*.

- Przygotuj zbiornik pozoracyjny - nakazał Mazur drugiemu pilotowi, Johnowi Barlickowi.

- Tak jest - odpowiedział Barlick spokojnym głosem, ale szczęki żujące gumę wyraźnie zaczęły się szybciej poruszać.

W ramach przygotowań *Iliuszyna* do służby dla CIA wyposażono go w specjalny zbiornik, z którego po naciśnięciu guzika zaczynał wyciekać olej. Pozorowany wyciek miał

być usprawiedliwieniem dla wykonania nawrotu w razie, gdyby samolot został

przechwycony. Jeżeli wprowadzili maszynę w zakręt, mogli go łatwo przeistoczyć w nurkowanie, szybko wytracić wysokość i uciec nad ziemią, unikając zestrzelenia. Tu, w pobliżu wybrzeża, mieli szansę urwać się i szukać ratunku poza wodami terytorialnymi Rosji.

Tak, czy inaczej, Squires wiedział już, że *Ił-76* nie będzie mógł po nich przylecieć.

- To co teraz zrobimy, sir? - zapytał pilot.

- Skaczemy - odparł Squires. - Zawiadomcie Centrum, niech nam zorganizują inną drogę ewakuacji.

Pilot rzucił okiem na ekran radaru.

- Jeszcze z półtorej minuty i będą nas widzieć.

- No to będziemy skakać szybko.

- To mi się podoba, sir - uśmiechnął się pilot i zasalutował.

Squires wybiegł do ładowni. Postanowił nie mówić swoim ludziom, co się działo.

Jeszcze nie teraz. Chciał żeby się skupili na zadaniu. Gotów był wziąć piekło szturmem z tymi ludźmi, ale zmartwienie nie w porę mogło kosztować któregoś życie. I tak nie mieli żadnego wpływu na to, co się działo.

W Quantico trenowali różne techniki desantowania, od nocnych skoków z samolotu, po techniki

linach pod śmigłowcami i wysadzano na dzwonicach kościelnych, urwiskach, czy dachach jadących autobusów. Każdy z żołnierzy Iglicy odznaczał się wytrzymałością, sprytem i umiejętnościami niezbędnymi do lądowania z powietrza w każdych warunkach i w każdy możliwy sposób. To było łatwo sprawdzić - wystarczyło przepędzić chętnego po małym gaju, przez badania lekarskie i albo się nadawał - albo nie. Ale prawdziwą niewiadomą było zachowanie każdego z nich w warunkach rzeczywistej akcji, prawdziwego zagrożenia, gdy upadek z dachu nie skończy się w siatce, bo jej tam nie będzie. Kiedy za wzgórzem, które zamykało teren, na którym ćwiczyli zdolności przetrwania w warunkach naturalnego bytowania jest nie płot poligonu i bazy Camp Dawson w Zachodniej Wirginii, tylko kolejne wzgórze w środku północnej Korei albo syberyjskiej tundry. To nie brak szacunku lub bez troska kazały Squiresowi zataić przed nimi tę informację. Chciał usunąć im z drogi wszystko, co mogło rozproszyć ich uwagę.

Żołnierze Iglicy od kilku minut czekali w rzędzie przed rampą. Co minutę nawigator podawał im dokładną pozycję, na wypadek, gdyby musieli skakać wcześniej. Czekać na zrzut, przygotowywali się do skoku, sprawdzając sobie nawzajem dopasowanie uprząży, mocowanie wyposażenia i broni, upewniając się, że pasy są odpowiednio naciągnięte, a zasobnik z wyposażeniem nie przeszkodzi w otwieraniu czaszy. Sprawdzali dopasowanie kasków, masek tlenowych i mocowanie pojemników z goglami noktowizyjnymi. Gogle te przypominały bardzo grube okulary z wyłupiastymi szklami, tak ciężkie, że wymagały noszenia baterii na kasku jako przeciwwagi dla nich. Po paru miesiącach noszenia ich na treningach mięśnie karku tak im się wzmocniły, że większości z nich szyja urosła o dwa numery kołnierzyka.

Squires gestem przekazał komendę: „Przygotować się do skoku”. Odczepili przewody masek tlenowych od konsoli pokładowej, przechodząc na zasilanie z butli przypiętych do prawego boku. Światła ładowni zgasły, zastąpione czerwonym blaskiem lampki sygnalizacyjnej i rampa ruszyła w dół, otwierając dostęp do ładowni lodowatym podmuchem wiatru. Teraz już nie było nic słychać. Po chwili czerwone światełko zgasło, zastąpione zielonym. Squires ruszył naprzód i za moment rzucił się w ciemność, przybierając pozycję żaby. Kącikiem oka zauważył, że za nim wyskoczył Grey.

Przeniósł wzrok na duży wysokościomierz, przypięty do lewego przedramienia tuż przez mankietem. Wskazówka obracała się szybko - 10.300 metrów... 9.900... Squires czuł

napór powietrza, które ziębiło nawet przez grube arktyczne kombinezony, kłując zimnem i waląc jak pięścią w całe ciało. Odsunął bardziej od ciała lewą rękę i prawą nogę, likwidując w ten sposób tendencję do obracania, a kiedy wysokościomierz pokazał dziewięć tysięcy metrów, pociągnął za uchwyt otwierający spadochron. Poczul lekki wstrząs, gdy czasza wypełniła się z głośnym kłaśnięciem.

Napór wiatru znacznie zelżał, już nie czuł jego zimna, choć na zewnątrz temperatura była znacznie poniżej zera. Rozejrzał się i zobaczył spadochrony pozostałych żołnierzy Iglicy, kierujących się na fluorescencyjny znacznik na jego kasku. Przeniósł wzrok w dół i poszukał

punktów orientacyjnych zapamiętanych z mapy: toru, mostu i wzgórz. Wszystkie były na miejscu, co przyniosło mu ulgę. Celny zrzut był bardzo ważnym czynnikiem działającym mobilizująco na zespół we wstępnej fazie operacji. Pozwalał uniknąć wrażenia zagubienia, obcości, a poza tym sprawiał, że mieli o jedno zmartwienie mniej na głowie. Wymacał gogle noktowizyjne i założył je na kask. Jeszcze raz rozejrzał się, szukając urwiska, które było ich celem. Sięgnął po pasy nośne i zaczął manewrować czaszą tak, by wylądować w bezpiecznej odległości od krawędzi, ale możliwie blisko. Pozostali mieli lądować za nim, to ustalono 207

jeszcze zanim zaczęli szykować się do skoku. Ostatnie, czego by sobie życzył to, żeby któryś z jego ludzi przeleciał za krawędź. Ratowanie skoczka wiszącego na zboczu zajęłoby im zbyt dużo cennego czasu, a gdyby wylądował dalej, na otwartym terenie, ktoś mógłby go zobaczyć.

Kilka metrów nad ziemią wybrał punkt lądowania i ściągnął taśmy nośne. Nagle uderzył

w niego podmuch wiatru. Zanim zdążył zareagować, wyniosło go tuż nad brzeg urwiska. Od miejsca, w którym wylądował, do krawędzi było może pięć, sześć metrów. Na szczęście podmuch urwał się równie nagle jak zaczął i dał mu szansę zgasić i zebrać czasę, zanim ta mogła ściągnąć go w dół. Zwinał ją, zdjął uprząż i rozejrzał się. Obok lądował sierżant Grey, potem DeVonne i inni. Odetchnął z ulgą - wszyscy wylądowali bez przeszkód. W ciągu pięciu minut spadochrony zostały zebrane, zwinięte w torby i zakopane w śniegu. Pod nimi umieścili ładunek zapalający z zapalnikiem ustawionym na parę minut po północy, gdy już opuszczą teren. W ten sposób Rosjanie nie będą mieli dowodów, które mogliby przedstawić opinii światowej.

Z oddali dochodziły cichnące odgłosy silników.

- Chyba mieliśmy towarzystwo - zauważył Grey, uważnie wsłuchujący się w oddalający się dźwięk.

- Tak, wiedziałem o tym i dlatego przyspieszyłem zrzut. Honda, nawiąż łączność. Reszta niech przygotuje zejście.

Czworo ludzi ruszyło nad krawędź urwiska kotwiczyć liny zjazdowe i wkrótce zaczął

stamtąd dochodzić odgłos młotków, wbijających haki w skalne zbocze. Honda podał

słuchawkę Squiresowi.

- Zamawiał pan budzenie? - rzucił w mikrofon, gdy usłyszał zgłoszenie Rodgersa. - Jaka tam dzisiaj pogoda?

- Słonecznie. Charlie, wiesz o *MiG-ach*?

- Tak jest.

- To dobrze. Na razie nic się nie stało, *Iliuszyn* zdołał się urwać nad morze i leci na Hokkaido. Nie będziecie go mogli użyć do ewakuacji, to chyba rozumiałe. Do północy wymyślimy coś innego, na

razie plan jest bez zmian, ewakuacja z umówionego miejsca o tej samej porze, drogą powietrzną. Szczegóły w swoim czasie.

- Zrozumiałem.

Nikt tego nie powiedział głośno, ale obaj rozumieli, że jeżeli coś pójdzie nie tak, będą sobie musieli poszukać kryjówki. Na mapach mieli zaznaczone kilka takich miejsc, żeby w razie potrzeby udać się do najbliższego z nich.

- Powodzenia - zakończył rozmowę Rodgers.

Charlie oddał słuchawkę Hondzie. Operator zaczął zwijać sprzęt, a Squires rozejrzał się po okolicy. Nawet bez gogli krajobraz wyglądał w świetle nienaturalnie jasnych gwiazd 208

martwo i monotennie. Tor biegł ku nim od równin na wschodzie, lekko skręcał, przechodząc naturalnym przesmykiem między dwoma urwistymi zboczami i dalej, przez płaską, tu i ówdzie porośniętą karłowatymi krzakami, tundrę. Na południu ciemniały zbocza gór. Wokół

panowała cisza, tak intensywna, że aż dzwoniąca w uszach. Słysząc było tylko świst wiatru w szczelinach kasku i szuranie butów żołnierzy zjeżdżających na linie ze zbocza.

Honda skończył pakować radiostację i ruszył ku krawędzi. Squires ruszył za nim, raz jeszcze patrząc na wschód, skąd miał przyjechać ich cel.

♦ Wtorek, 21.35 - okolice Chabarowska

Nikita miał jakiś szósty zmysł do wyszukiwania samolotów. Od dziecka wychowywał się na lotniskach i zawsze pierwszy słyszał, a raczej w jakiś niepojęty sposób wyczuwał

nadlatujące samoloty i śmigłowce. Matka utrzymywała, że lata spędzone za sterami samolotów przez ojca musiały spowodować jakieś nieodwracalne zmiany w jego genach.

Śmiała się, że jeszcze trochę i urodziłaby nietoperza zamiast niego. Nikita w to nie wierzył.

On po prostu kochał latać. Ale nigdy nie zdołałby prześcignąć ojca jako pilot-bohater, to już nie były te czasy. Odrzutowce, a nawet loty kosmiczne, nie były już eksperymentami, ale codzienną rutyną. Tak więc swoje życie poświęcił czemu innemu, choć pasja latania pozostała w nim, mimo że nikomu się z tego nie zwierzał. Pociąg zwolnił, wjeżdżając na pokryty głębokim śniegiem odcinek torów. Szum wiatru nieco zelżał, brezentowa kłapa na okienku przestała łopotać i do wyczulonych uszu podporucznika doszedł nikły szum przelatującego w oddali odrzutowca. Nie, dwóch lecących ze wschodu. Z przodu doszedł go jeszcze inny odgłos. Jakiś wielosilnikowy transportowiec leciał nad nimi. Wytknął głowę za okienko i nasłuchiwał. Padał śnieg, więc nic nie widział, ale słysząc było doskonale. Te *MiG-i* nie towarzyszyły transportowcowi. Nie, leciały za szybko. To raczej było przechwycenie. Nagle silniki transportowca zmieniły obroty, odgłos zaczął dochodzić z boku. Zawraca. A myśliwce za nim. Coś tu nie gra. To pewnie ten dziwny *Ił-76*, o którym mówił ojciec. Wetknął głowę z powrotem do wagonu, nawet nie zauważając śniegu, oblepiającego mu policzki i włosy.

- Wywołaj pułkownika Roskiego! - nakazał Fadiejewowi, grzejącemu dłonie przy lampie.

- Tak jest - odparł jego zastępca, nieco zaskoczony gwałtownością z jaką padł rozkaz.

Podczas gdy klęczał przy telefonie, czekając aż Sachalin połączy ich z Sankt Petersburgiem, Nikita zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Może transportowiec zawrócił z powodu awarii?

Ale po co w takim razie myśliwce? Ktoś ich szukał? Jeżeli tak, to w jakim celu? Czy chciał im pomóc, przyspieszyć transport? Ale kto? Ojciec? Rybakow? A może ktoś zupełnie inny?

- Nie ma go - powiedział Fadiejew.

- To poproś generała Orłowa.

- Na linii - odparł Fadiejew, podając mu słuchawkę.

- Co tam, Nikita? - zapytał generał.

- Przeleciał nad nami jakiś samolot transportowy. Kierował się na zachód, ale potem przyleciały myśliwce i zawrócił.

- To był ten *Ił-76*, którego śledziliśmy.

210

- Czy są jakieś rozkazy dla mnie?

- Prosiłem prezydenta o zgodę na wysłanie wojska na spotkanie twojego transportu w Birze, ale jej nie otrzymałem. Od tej chwili aż do złuzowania masz prawo użyć wszelkich dostępnych środków dla zapewnienia bezpieczeństwa ładunkowi.

- Jako dowodowi rzeczowemu?

- To już nie wasz problem, poruczniku - usłyszał. - Macie go zabezpieczyć przed dostaniem się w niepowołane ręce i tyle!

- Tak jest, panie generale. Zabezpieczę go przed wszystkimi niepowołanymi osobami.

Oddał słuchawkę Fadiejewowi i ruszył na tył wagonu, torując sobie drogę wśród pasażerów. Siedmioro cywilów, pięciu mężczyzn i dwie kobiety siedziało na kocach pod ścianami, grając w karty, drzemiąc lub dziergając na drutach. Nikita otworzył drzwi z tyłu wagonu i po śliskiej płycie przykrywającej sprzęg przeszedł do drugiego wagonu. Otwierając drzwi, zrzucił sobie na głowę czapę śniegu, który nzbierał się po drodze.

Wewnątrz potężnie zbudowany sierżant Wierszyn tłumaczył coś jednemu ze swoich ludzi, stojącemu koło okienka po prawej. Drugi stał przy okienku po lewej stronie wagonu.

Wszyscy stanęli na baczność, gdy rozpoznali w zaśnieżonej zjawie swego dowódcę.

- Sierżancie, wyznaczcie dwuosobowe zespoły obserwatorów i rozmieście ich na dachach wagonów. Zmiana co pół godziny.

- Tak jest.

- Gdyby ktoś zbliżał się do torów, mają prawo otwierać ogień bez dalszych rozkazów. -

Rozejrzał się po wagonie i zobaczył śpiącego cywila, opartego o skrzynię. - I niech ktoś pilnuje skrzyń w wagonach. Odpowiadacie za to osobiście.

- Tak jest.

Nikita ruszył dalej zastanawiając się, gdzie u diabła podziwewa się Roski. Nie był

pevien, czy, wobec braku rozkazów od niego, może oddać ładunek komuś wysłanemu przez ojca.

◆ Wtorek, 6.45 - Waszyngton

- Szefie, jeszcze raz Narodowa Agencja Zwiadu - odezwał się Benet z monitora na biurku Hooda. Reszta kierownictwa Centrum siedziała wokół, trwała odprawa.

- Dzięki. Łącz.

Na monitorze pokazał się czarno-biały obraz i rozległ się głos Viensa.

- Paul, to są zdjęcia sprzed trzech minut.

Hood obrócił monitor tak, żeby i Rodgers mógł je zobaczyć. Na ekranie widać było jakby zamglony obraz płaskiego, martwego, iście księżycowego krajobrazu, którego centrum wypełniał poruszający się w poprzek ekranu pociąg. Kontury były zamazane przejeżdżający śnieg, ale na pokrytych białym puchem dachach wagonów widać było cienie.

- Przepraszam za okropną jakość, ale tam pada jak cholera. Mimo to jesteśmy pewni, że te kształty na dachu to żołnierze. Ich samych nie widać, bo są w kombinezonach maskujących, ale cienie sami widzicie.

- Tak, to wartownicy - powiedział Rodgers, a w jego głosie znać było napięcie. -

Zobaczcie, ten z tyłu jest po lewej, a ten z przodu po prawej. O, a tu - wskazał palcem podłużny, wąski cień przy jednej z plam - widać karabin.

- My też tak myślimy, Mike.

- Dziękujemy, Stephen - powiedział Hood i wyłączył monitor. W Czołgu zapadła cisza, jeśli nie liczyć szumu zagłuszarek w ścianach. - Czy oni mogą wiedzieć o lądowaniu Iglicy?

- To możliwe - odparł Bob Herbert. Na biurku zadzwonił telefon.

- Do ciebie. - Rodgers podał mu słuchawkę. Herbert słuchał w milczeniu, a twarz tężała mu coraz bardziej. W końcu odwiesił słuchawkę.

- Dwa *MiG-i* przechwyciły *Iliuszyna* - powiedział. - Squires przyśpieszył desant.

Pewnie im się urwą, ale nie ma mowy o tym, żeby mogli po nich wrócić.

Rodgers spojrział na zegarek i sięgnął po telefon.

- Dzwonię na Hokkaido, niech wysyłają *Moskita*.

- Mike, to bez sensu. - Bob klepnął ręką w blat biurka. - Lot tam i z powrotem to tysiąc pięćset

- Wiem, jaki zasięg ma *Moskit!* - uciał Rodgers. - Tysiąc sto kilometrów i ani metra dalej! Ale możemy podesłać krążownik z Morza Japońskiego, a wtedy może wylądować na pokładzie. To znacznie skróci...

- Mike, komisja nigdy się nie zgodzi na to, żeby wysłać tam *Moskita* bez asysty - odezwała się Martha Mackall.

- Na wymianę ognia z rosyjskimi żołnierzami też się nie zgodzi - dołączył się Lowell Coffey. - To miało być tylko rozpoznanie.

- Gównu mnie obchodzą te pierdzistołki! - wybuchnął Rodgers. - Moi ludzie znaczą dla mnie dużo więcej!

- Zobaczmy więc, czy da się zrobić tak, żeby i wilk był syty, i owca cała - spokojnie powiedział Hood. - Co by było, gdybyśmy w tej chwili odwołali akcję? Mike?

- I tak potrzebowalibyśmy *Moskita* - odezwał się po chwili Rodgers. - Najbliższy agent terenowy, który mógłby im pomóc w ucieczce jest w Hegang, w Chinach, jakieś trzysta pięćdziesiąt kilometrów stamtąd. Przecież nie wyślemy ich tam na piechotę!

- Aż w Chinach? - zapytał z niedowierzaniem Coffey. - Nikogo w Rosji?

- Nasi ludzie z Władywostoku wyemigrowali do Izraela zaraz po tym, jak upadł Związek Radziecki. A na rekrutację nowych nie przyznano funduszy.

- A może spróbowaliby tam gdzieś przeczekać? - zaproponował Katzen. - W końcu teren jest sprzyjający, zwierzyna...

- Człowieku! O czym ty mówisz? Przecież Rosjanie już wiedzą, że Iglica tam jest! Oni też mają satelity, do cholery, i to mieli je wcześniej niż my! Znalezienie ich będzie tylko kwestią czasu. - Odwrócił się do Hooda. - Paul, mamy tylko jeden wybór: musimy zrobić to tak, jak zaplanowaliśmy.

- Jeżeli zrobimy to tak, jak zaplanowaliśmy - odparła Martha - to doprowadzimy do konfrontacji z rosyjskimi żołnierzami w chwili, gdy cały ten cholerny kraj przypomina beczkę prochu czekającą na zapalnik.

- A jedyny sposób, żeby nasz udział nie wyszedł na jaw, to zlikwidowanie wszystkich świadków - dokończył Coffey.

- To co, lepiej pozwolić, żeby wybuchła wojna, tak? Wojna, która wkrótce wciągnie całą Europę i

pół Azji, bo jak ruszą Chiny, to Iran nie będzie czekał na lepszą okazję do zagarnięcia Bliskiego Wschodu. Ludzie, jak was słucham, przypominają mi się dyskusje nad tym, czy robić desant na Japonię, czy zrzucić bombę atomową dla ratowania życia wielu Amerykanów.

- Tu właśnie chodzi o życie Amerykanów. Życie żołnierzy Iglicy...

- Paul, bądź tak dobry i nie praw mi kazań o życiu członków Iglicy, dobrze? - wycedził przez zaciśnięte zęby Rodgers.

213

Przy stole zapadła cisza.

- Niech będzie - w końcu odezwał się Hood.

Rodgers wydawał się spokojny, ale jego spoczywające na blacie dłonie były zaciśnięte tak, że ich kostki pobieleły.

- Mike, już dobrze? - zapytała Liz.

Pokiwał głową i spojrzał na Hooda.

- Przepraszam, Paul. Trochę mnie poniosło.

- Nie ma sprawy. Wszystkim nam by dobrze zrobiło trochę wolnego. Ale wróćmy do rzeczy. Politycy chcą osiągnąć jakieś rozwiązanie kryzysu, ale nikt nie wie, co robi Żanin.

Teraz zastanówmy się, czy nasza akcja nie przekreśli szansy na polubowne załatwienie sprawy.

- Słuchajcie - zaczął Rodgers spokojnym, rzeczowym tonem - niezależnie od tego, co robi Żanin, ten kto weźmie te skrzynki, dostanie do ręki olbrzymią władzę nad skorumpowanymi politykami i urzędnikami. Nie wolno dopuścić, by ten ładunek dostał się w ręce ruskich generałów. Czyż nie za to odpowiadamy i nie po to stworzono Centrum?

- Przede wszystkim odpowiadamy za Squiresa, jego ludzi i przestrzeganie prawa, które powinno rządzić naszym działaniem - odparł Coffey.

- Tak, ale nie tego, które uchwalają twoi kumple na Kapitolu, tylko praw moralnych.

Róbcie to, co musicie, ale Benjamin Franklin mówił, że z konieczności nie ma korzyści. Paul, znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, że życie moich żołnierzy jest mi droższe niż moje własne, ale spełnienie obowiązku uważam za ważniejsze od jednego i drugiego. A zatrzymanie tego pociągu jest naszym obowiązkiem.

Hood słuchał uważnie. Rodgers i Coffey przedstawili dwie strony tego samego medalu i obaj mieli rację. Ale to od niego zależała decyzja i było mu wstyd, że siedzi sobie tu, w cieple, tysiące kilometrów od miejsca zdarzeń i decyduje o życiu i śmierci ludzi, których sam kazał zrzucić na to lodowate pustkowie. Wywołał na komputerze Beneta.

- Tak, panie dyrektorze? - odezwał się z ekranu Bugs.

- Wywołaj Iglicę i spróbuj przywołać pułkownika Squiresa.

- Już się robi.

- Paul, co ty chcesz zrobić? - zapytał Rodgers. Nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

- Charlie dowodzi tam, na miejscu. Chcę poznać jego zdanie.

- Squires jest zawodowym żołnierzem, Paul. Jak myślisz, co ci odpowie?

- Jeżeli będzie mógł odebrać, to sami się przekonamy.

214

- Paul, w wojsku się tak nie robi. Tam się dowodzi, a nie kieruje. Nie powinniśmy mu zawracać głowy naszymi rozterkami. Jeżeli chcesz kogoś o coś pytać, to raczej zapytajmy się sami, czy jesteśmy zdolni do tego, żeby poprzeć Iglicę i dotrzymać jej wierności.

- Jesteśmy, Mike - chłodno odparł Hood. - Po twoim powrocie z Korei...

- Szefie - odezwał się z ekranu Benet. - Nie możemy się z nimi połączyć. Pewnie jeszcze nie rozwinęli anteny. Czy mam dalej próbować?

- Nie, daj spokój. Dziękuję - odparł dyrektor i wyłączył ekran.

- Dobra, rób jak uważasz. Zadowolony?

215

♦ Wtorek, 14.52 - Sankt Petersburg

Peggy podeszła do automatu telefonicznego nad Kanałem Gribojedowa. Rozejrzała się i włożyła kartę w otwór aparatu. Zauważyła zdziwioną minę Amerykanina i wyjaśniła mu, że dzwoni do Wołkowa, który ma telefon komórkowy.

George początkowo nie zrozumiał o co jej chodzi, ale wreszcie zaskoczył. A prawda, pomyślał, to ten ostatni z siatki. Zupełnie o nim zapomniał. On także się rozejrzył.

Normalni ludzie, rozglądając się w obcym miejscu widzą niebo, morze, budynki, wspaniałe widoki, które same rzucają się w oczy. Mogą być cudowne, ale prócz doznań estetycznych niewiele wnoszą. Żeby się czegoś dowiedzieć, trzeba patrzeć nie w niebo, ale na linię horyzontu, nie na morze, a na jego brzeg i nie na budynki, lecz na ulice do nich przylegające. Takiego patrzenia uczą swoich członków wszelkie służby specjalne na świecie.

No i patrzenia na ludzi, zawsze na ludzi. Drzewo czy skrzynka pocztowa nie byłyby same z siebie groźne, ale groźni mogą być ludzie, którzy się za nimi kryli.

George, rozglądając się wokół, nie widział drzew w parku ani zatłoczonych samochodami ulic. Kiedy rozglądał się po lądowaniu, widział malarza, turystkę, jej chłopaka, milicjanta i faceta drzemającego na ławce. Kiedy rozglądał się nad kanałem, widział babcię z dziewczynką, przechodzącą ulicą dziewczyny, podpitego dozorcę, kłócącego się z kierowcą ciężarówki... Nagle zobaczył faceta z parku. Teraz już nie drzemał, ale wolno przechadzał się jakieś sto metrów od nich, znowu z tym bernardynem, którego miał w parku. Dojechali tu metrem, więc skąd u licha...?

Peggy umawiała się z kimś po rosyjsku po lewej stronie „Madonny” Rafaela co pół

godziny, a gdyby nie doszło do spotkania, żeby ten ktoś czekał w parku przy Krasnym Prospekcie i opierał się lewym ramieniem o drzewo.

- Mamy ogon - szepnął po angielsku.

- Tak, ten facet z brodą z parku. To nawet lepiej.

- Jak to lepiej?

- Pewnie. Rosjanie wiedzą, że tu jesteśmy. Facet ma na pewno jakieś radio. Masz ogień?

- zapytała, wyciągając paczkę papierosów bez filtra.

- Słucham?

- Zapałki? Albo zapalniczkę?

- Ja nie palę...

216

- Ja też - zniecierpliwiała się wreszcie Peggy. - Ale przynajmniej poklep się po kieszeniach, jakbyś jej szukał.

- O rany, przepraszam, ten facet wyprowadził mnie z równowagi. Wiesz, to mój pierwszy raz - bełkotał George, klepiąc się po kieszeniach bluzy i spodni.

- Dobra, a teraz zaczekaj. - Odeszła, a on nie miał pojęcia, co zamierzała zrobić. Facet z parku patrzył na nią, z autentycznym talentem udając znudzenie. Kiedy zbliżyła się do niego na dziesięć metrów, zawrócił i zaczął się oddalać.

- Masz pan może ognia? - zapytała, trzymając papierosa w palcach. Pokręcił głową i przyśpieszył kroku.

Peggy podeszła do niego od tyłu i jednym płynnym ruchem złapała za smycz, owinęła ją wokół jego nadgarstka i skręciła, jednocześnie obchodząc go i stając przed nim. Smycz boleśnie werżnęła mu się w rękę, blokując krążenie krwi. Brodacz wykrzywił twarz w grymasie bólu, ale nic nie powiedział. Obrzuciła go szybkim, wnikliwym spojrzeniem i od razu zauważyła mikrofon ukryty między kłakami brody. Położyła palec na wargach i na poparcie swej prośby jeszcze silniej skręciła smycz. Tym razem brodacz aż się skulił.

- O, dziękuję. Jak człowiek zapali, to od razu świat pięknieje - powiedziała. - Jaki piękny pies. - Gadała i gadała, jak najęta, George rozumiał, że chodzi jej o to, by Rosjanie, słysząc, że z kimś rozmawia, nie przesyłali mu żadnych wiadomości. Na razie nie mogła po prostu wyłączyć jego nadajnika, bo od razu połapaliby się, że coś jest nie tak. Komuś patrzącemu z boku wydawać by się mogło, że to po prostu para znajomych, wyprowadza psa, trzymając się za ręce. On stał bliżej niż reszta przechodniów, więc widział grymas bólu na twarzy Rosjanina i rękę Peggy grzebiącą w jego kieszeniach. Wyciągnęła stamtąd kluczyki do samochodu i przywołała gestem Amerykanina. Jednocześnie znowu silniej skręciła smycz i z pytającą miną machnęła w lewo, a potem w prawo. Rosjanin wskazał głową w prawo.

Przeszli na koniec placu, a potem wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów. Brodacz poprowadził ich do czarnego Seata. Peggy zajrzała do środka.

- Grzeczny piesek, grzeczny. Nie gryzie?

Brodacz pokręcił głową. Peggy skręciła smycz.

- Tak, gryzie! Ostrożnie!

Rozluźniła smycz i dała mu kluczyki. Otworzył drzwi i w milczeniu wskazał na schowek w tablicy rozdzielczej. Peggy przyklękła, by mógł usiąść na siedzeniu i sięgnąć do gałki schowka. Obrócił ją o

ćwierć obrotu w lewo, potem ćwierć obrotu w prawo i wreszcie o trzysta sześćdziesiąt stopni w lewo. Wewnątrz otwartego schowka widać było zbiornik z gazem i przełącznik. George przypomniał sobie z zajęć na temat brania zakładników, że ważne osobistości z reguły miały w swoich samochodach jakieś pułapki na wypadek porwania. W przypadku Rosjan był to zwykle zasobnik z jakimś drażniącym gazem, odpalany automatycznie po krótkim okresie czasu, jeżeli przed uruchomieniem samochodu go nie rozbrojono. Porwany, spodziewając się tego, wiedział, kiedy wstrzymać oddech.

Kiedy Rosjanin rozbroił pułapkę, Peggy wywlokła go z samochodu i dała kluczyki George'owi, wskazując mu głową miejsce kierowcy. Amerykanin usiadł i zapalił silnik. Peggy 217

wepchnęła się z Rosjaninem na tylne siedzenie. Wolną ręką odpięła smycz od obroży bernardyna i zamknęła drzwi. Pies skakał za oknem, szczekając, ale Peggy nie zwracała na to uwagi, zajęta poszukiwaniem wyłącznika mikrofonu na walkmanie, zabranym brodaczoowi.

Wreszcie znalazła.

- Sprawdź, czy nie ma innych mikrofonów - poleciła George'owi.

Wyjął z plecaka ręczny wykrywacz „pluskiew” i omiół nim samochód i jeńca. Poza walkmanem nic nie wywołało pisku urządzenia.

- Czysto.

- Dobrze.

Usłyszał nagle ciche bzyczenie głosu w słuchawkach Rosjanina.

- Zdaje się, że coś do niego mówią. Pewnie dziwią się, co się stało z mikrofonem.

- Pewnie tak. Trudno, trochę będą musieli poczekać. Co przewidują twoje rozkazy w razie wykrycia?

- Zbierać dupę w troki i w nogi.

- No tak, bezpieczeństwo ponad wszystko. Nasz podręcznik mówi to samo.

- To nawet nie chodzi o nasze osobiste bezpieczeństwo, tylko o to, że wiemy rzeczy, za które ten, co je z nas wyciągnie, dostałby tyle medali, że nie mógłby ich unieść.

- Możliwe. To co teraz robimy?

- Spróbujemy się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje w Ermitażu.

- No to zobaczymy, do czego w takim razie może nam się przydać nasz nowy przyjaciel i jego piękna broda. - Sięgnęła do mankietu bluzy i wyciągnęła długi, wąski sztylet.

Przyłożyła go Rosjaninowi do szyi, tuż pod lewym uchem i puściła smycz. - Jak się nazywacie? - zapytała po rosyjsku.

Brodacz zawahał się z odpowiedzią, więc Peggy lekko nacisnęła ostrze.

- Im dłużej będziesz zwlekał z odpowiedzią, tym mocniej będę naciskać. No więc?

- Ronaszyn.

- A więc, mój drogi Ronaszyn, odpowiedz nam na parę pytań. Kto dowodzi tą operacją?

- Nie wiem.

- Przestań się wygłupiać, bo ci obetnę ucho albo i co innego.

- Naprawdę nie wiem. To jakiś oficer ze Specnazu, ale ja go nie znam.

218

- Powiedzmy, że ci wierzę. Masz mikrofon. Powiesz, że chcesz rozmawiać z tym ze specnazu, a kiedy się zgłosi, oddasz mi słuchawki i mikrofon. Rozumiesz?

Ronaszyn przytaknął, opuszczając powieki. Głową nie mógł kiwnąć, żeby ostrze sztyletu nie wbiło mu się w gardło.

- Co teraz? - zapytał George.

- Jedźmy do Ermitażu. Jak będzie trzeba, znajdziemy drogę do środka, ale chyba mam lepszy pomysł.

George wycofał samochód z parkingu, ruszył w kierunku Kanału Obwodowego i Moskiewskiego Prospektu. Jadąc myślał z podziwem o chłodnym profesjonalizmie Angielki.

Już prawie zapomniał, jak był oburzony, gdy ktoś obcy i to kobieta, uzurpował sobie prawo do dowodzenia tą wyprawą. Zaimponowały mu jej styl i umiejętność improwizacji. Był

ciekaw, do czego to wszystko doprowadzi, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeżeli do tej pory stali po szyję w wodzie, to teraz jej poziom przybiera i to w szybkim tempie.

219

♦ Wtorek, 20.07 - okolice Chabarowska

Squires nigdy nie mógł zrozumieć, jak to jest, że człowiek może konstruować wszystkie te techniczne zabawki, którymi posługiwał się on i jego ludzie, ale nie potrafi wymyślić czegoś, żeby okulary gogli noktowizyjnych nie zachodziły parą na mrozie. Kiedy naciągnął

kominiarkę na usta, szkła natychmiast matowiały i po chwili nic nie widział. Kiedy ją ściągnął w dół, czuł, jak mróz kąsa wargi i nos.

Dopiero w trakcie zjazdu, gdy uciął wiatr, zdecydował, że obserwacja jest ważniejsza -

o ile oczywiście w tej zadymce w ogóle można było mówić o obserwowaniu czegokolwiek.

Opuszczali się parami, on schodził ostatni z szeregowym Terrencem Newmeyerem. Najpierw jeden schodził trochę w dół i znajdował jakieś oparcie, a potem drugi, stabilizowany przez tego pierwszego, ruszał w dół. Zdecydowali, że zjazd z nieznanej, oblodzonej skały, w tych ciemnościach i śniegu, byłby zbyt niebezpieczny. Wprawdzie Squires miał już za sobą wspinaczki i zejścia w gorszych warunkach, ale jego podkomendnym jeszcze brakowało doświadczenia. Przypomniawszy sobie swój udział w Piekelnym Tygodniu, dorocznym teście sprawnościowym elitarniej izraelskiej brygady Giva'ati. Pośród przeróżnych wyrafinowanych męczarni był zjazd z dwudziestoczworometrowego urwiska, po którym pokonywało się małpi gaj. Na koniec każdego dnia oliwkowe mundury połowe większości żołnierzy nadawały się tylko do wymiany, były całe w strzępach od czołgania się po skałach pod gradem kamieni, którymi obrzucali ich oficerowie. On przynajmniej miał to szczęście, że nie znał arabskiego, bo kamieniom towarzyszyły takie wyzwiska, że niektórzy żołnierze byli gotowi rzucić się z pięściami na swoich oficerów, mimo że przecież codziennie na ulicach Zachodniego Brzegu patrolowali w tych samych warunkach. W porównaniu z tym ich zejście po oblodzonych skałach, w śniegu i z tymi cholernymi zaparowanymi goglami, to spacer.

Brakowało im może dziesięciu metrów do podnóża, gdy z dołu, z lewej usłyszał głos Sondry DeVonne, krzyczącej, żeby się zatrzymali. Squires spojrzął w dół i zobaczył ją koło jej partnera na linie, szeregowego Waltera Pupshawa.

- Co się stało? - Squires nerwowo rozejrzał się po horyzoncie, szukając dymu z lokomotywy. Na razie go nie było.

- Przymarź do skały! - odkrzyknęła Sondra. Pupshaw rozdarł nogawkę kombinezonu gdzieś wyżej, a teraz gdy przycisnął przepoconą podszewkę do skały, ta natychmiast przymarzała, unieruchamiając go.

- Honda, ustal, ile nam czasu zostało! - krzyknął Squires w dół. - Idziemy wam pomóc.

Radiooperator rozstawił sprzęt u podnóża skały, a pułkownik z Newmeyerem zeszli na wysokość poprzedniej pary. Pupshaw wyglądał komicznie, jak wielki pajak na ścianie, ale sytuacja niezbyt skłaniała do śmiechu.

- Sondra, wejdź trochę wyżej i znajdź sobie dobre oparcie. Naprawdę dobre, bo jak go oderwiemy od skały, będziesz go musiała utrzymać.

Złapał linę łączącą ich z Newmeyerem i rzucił ją w górę, tak że opadła na ramiona Pupshawa, tuż przed jego twarzą.

- Pupshaw, puść linę jedną ręką, a potem drugą, tak, żeby nasza lina opadła najdalej jak się da. Spróbujemy cię odciąć od tego lodu.

- Tak jest.

Przytrzymali go z obu stron, gdy Pupshaw rozluźnił uchwyt kolejno lewej i prawej ręki, by lina opadła do pasa.

- Dobrze. Ja i Newmeyer ruszamy w dół. Pod naszym ciężarem lina powinna cię oderwać od lodu. Sondra, przygotuj się do przejęcia jego ciężaru.

- Tak jest.

Powoli schodzili w dół, po obu stronach Pupshawa, aż w pewnym momencie poczuli opór na środku liny. Zeszli jeszcze o krok, a potem zaczęli przenosić ciężar ciała na linę.

Chwilę stawiała jeszcze opór, by w końcu puścić, pociągając za sobą deszcz drobnych kamyków i kawałków lodu.

Pupshaw lekko opadł, ale Sondra trzymała mocno i po chwili zdołał znaleźć oparcie na oblodzonych skałach.

Dalsza droga w dół przeszła już bez przygód. U podnóża czekał już na nich Honda ze słuchawką w ręku.

- Pociąg jest trzydzieści kilometrów na wschód stąd, panie pułkowniku, i porusza się z przeciętną prędkością około pięćdziesięciu kilometrów.

- Czyli mamy niewiele ponad pół godziny.

- Generał Rodgers do pana, pułkowniku.

- Dawaj - wziął słuchawkę od Hondy. – Squires, słucham.

- Jak idzie, Charlie?

- Jesteśmy już pod urwiskiem, czekamy na pociąg.

- Słuchaj, Charlie, według ostatnich zdjęć Rosjanie wystawili wartość na dachu pociągu.

W tej sytuacji, jako że chcemy uniknąć konfrontacji, dyrektor Hood pyta, czy chcesz przerwać akcję.

- Po co przerywać? Możemy to zrobić.

- A co z unikaniem ofiar?

221

- Żadnemu Wańce włos z głowy nie spadnie, uspokój dyrektora. Jeżeli nie uda się wykonać podejścia, sam przerwę akcję i wycofamy się na punkt ewakuacyjny.

- Bardzo dobrze. A więc powodzenia. - Rodgers rozłączył się.

Squires oddał słuchawkę Hondzie.

- Dobra, proszę państwa. Nie mamy zbyt wiele czasu, więc bierzemy się do roboty.

Grey, wraz z Newmeyerem przygotujcie to drzewo u wylotu wąwozu do wysadzenia tak, żeby upadło na tory.

- Tak jest.

- DeVonne, Pupshaw i Honda, ruszajcie na punkt ewakuacyjny. Trzeba wyznaczyć trasę odskoku, oznaczyć lądowisko i zabezpieczyć drogę, żeby się tam nie kręcił nikt niepowołany.

Wprawdzie nie powinno tam być ludzi, ale mogą być jakieś wilki, albo inna cholera.

- Panie pułkowniku, ale ja bym chciała... - zaczęła DeVonne.

- Nieważne, co byś chciała. Ja chcę, żebyś wykonała rozkaz, jasne? Grey, Newmeyer i ja wystarczymy do wykonania zadania. Gdyby coś nam się stało, przynajmniej wy zdołacie się ewakuować.

- Tak jest - zrezygnowanym głosem odpowiedziała Sondra.

- Honda, jak zobaczycie most, zameldujcie do Centrum. Powiedzcie im, co robimy.

Jeżeli będą mieli coś do przekazania, to trudno. Nie możemy użyć krótkofalówek.

- Tak jest.

Troje żołnierzy Iglicy ruszyło przez smaganą wiatrem równinę, brnąc w śniegu po kolana. Squires podszedł do Greya i Newmeyera, którzy kończyli umieszczać detonatory w ładunkach plastiku C-4 zamocowanych wokół drzewa. Newmeyer obcisnął je na odcinkach lontu, który przywiózł Grey.

Lonty były oznaczone co trzydzieści sekund, Squires naliczył

dziesięć długości.

- Skróć do czterech minut - polecił Newmeyerowi. – Pociąg jest już blisko, mogą usłyszeć eksplozję.

- Będzie dobrze, szefie.

- Newmeyer, skróćcie ten lont. Będziemy jeszcze potrzebować czasu na zamaskowanie pnia śniegiem, żeby nie wyglądał na świeżo położony. A potem ja i Grey mamy jeszcze coś do roboty.

W ciągu czterech minut też dobiegną do zagłębienia u podnóża urwiska, które osłoni ich przed podmuchem wybuchu. Chyba że urwisko się osunie... Ale nie powinno, Grey wie, co robi, ładunki mają akurat tyle mocy, żeby ściąć to drzewo i tyle. Potem będą musieli wrócić, zatrzeć ślady i nasypać śniegu na drzewo. Ma wyglądać tak, jakby leżało tam od dawna.

222

Grey wstał, sygnalizując, że skończył zakładanie ładunku. Newmeyer obciął dwie długości lontu i zapalił go.

- Kryć się!

Trzej żołnierze pobiegli do ukrycia. Świadomość tego, co mogły z nimi zrobić podmuch i odłamki w tym ciasnym zagłębieniu, dodała im skrzydeł i do rozpadliny wpadli z niemal jednonminutowym zapasem.

- Widzisz, można było obciąć jeszcze pół minuty – wydyszał pułkownik. Za chwilę usłyszeli huk eksplozji, posypały się na nich małe kamyki, a potem słychać było przeciągły jęk padającego drzewa i głuchy łoskot, gdy upadło na tory.

223

◆ Wtorek, 23.08 - Hokkaido

Dwuosobowa kabina była niska, płaska i ciemna, nakryta wąską, jednoczęściową osłoną. Wewnątrz kabiny trzy duże monitory tworzyły właściwie jedną, panoramiczną całość, na której jaśniały odczyty wszystkich urządzeń maszyny. Bardzo duży wyświetlacz *HUD*

podawał informacje nawigacyjne dla pilota oraz dotyczące celów, będące rozwinięciem tego, co załoga widziała na indywidualnych wyświetlaczach, rzutujących obrazy na wewnętrzną powierzchnię przyłbic hełmów. Poza wyświetlaczami w kabinie nie było żadnych klasycznych wskaźników, wszelkie dane ukazywały się bezpośrednio na ekranach.

Matowoczarny, kompozytowy kadłub mierzył niespełna dwadzieścia metrów długości.

Brzuch maszyny był płaski, reszta szerokiego kadłuba była pozbawiona ostrych załamań.

Dzięki systemowi *NOTAR*, eliminującemu wirnik ogonowy i zaawansowanej konstrukcji bezprzekładniowego wirnika nośnego, *Moskit* był niemal bezgłośny w locie. Brak mechanizmów przenoszących napęd pozwolił zachować niewielką masę, a teraz jeszcze dodatkowo go odchudzono, demontując wszystko co nie było niezbędne, w tym uzbrojenie.

Dzięki tym zabiegom masa własna z czterech i pół tony spadła o ponad tonę. Pozwoliło to zabrać dodatkowy, zewnętrzny zbiornik, odrzucany po zużyciu paliwa.

Z tym zbiornikiem, mimo przewidywanego powrotu z sześcioma pasażerami, *Moskit* miał zasięg tysiąca stu kilometrów.

Śmigłowiec należał do grupy pojazdów powietrznych budowanych w technologii *stealth*. Racją jego istnienia była niewykrywalność, a w każdym razie niska wykrywalność, bo radar o odpowiedniej sile mógł odebrać odbicie wiązki nawet od *F-117A* czy *B-2*. Rzecz w tym, żeby było to odbicie na tyle słabe, by nie mogło posłużyć żadnemu systemowi uzbrojenia do naprowadzenia rakiety lub działa przeciwlotniczego.

Żaden z istniejących dotąd samolotów *stealth* nie mógł służyć do wykonywania zadań stawianych śmigłowcom, toteż w roku 1991 zainicjowało program budowy niewidzialnego śmigłowca - jego rezultatem był *Moskit*. Tylko on był w stanie latać naprawdę nisko nad górami w nocy, a zwłaszcza przewozić lub ewakuować zespoły uderzeniowe, w dodatku unikając wykrycia nawet w tak dokładnie bronionym środowisku, jak przestrzeń powietrzna Rosji.

Moskit, rozwijający prędkość trzystu kilometrów na godzinę, był w stanie dotrzeć na miejsce o północy miejscowego czasu. Zużycie paliwa powodowało jednak, że nie mógł

pozostać nad celem dłużej niż osiem minut, jeżeli miał dolecieć do okrętu czekającego na Morzu Japońskim.

Piloci *Moskta*: Steve Kahrs i Anthony Iovino, przeciwiczyli juź wszelkie możliwe warianty rozwoju zdarzeń w symulatorze i nie mogli się doczekać możliwości sprawdzenia prototypu w prawdziwej akcji. Sukces sprawiłyby, że wracaliby do Wright-Patterson w glorii 224

bohaterów i mogliby wreszcie utrzcć nosa wszystkim niedowiarkom, którzy tak długo wyśmiewali się z ich ukochanej zabawki.

♦ Wtorek, 15.25 - Sankt Petersburg

- Panie generale, przynoszę złe wieści.
- Co się stało, Lewin? - zapytał Orłow majora, którego twarz widniała na monitorze.
- Panie generale, przed chwilą dzwonił generał Mawik. Zakazał użycia zespołu Młot. W tej sytuacji musiałem zatrzymać przygotowania...
- Rozumiem - przerwał mu Orłow. - Proszę podziękować ode mnie Skriawinowi i jego chłopcom.
- Tak jest, panie generale. - Lewin umilkł na chwilę. – Panie generale, proszę pamiętać, że niezależnie od tego, co się będzie działo, nie jesteście sami i możecie liczyć na mnie i członków Młota.
- Dziękuję, majorze.
- Panie generale, nie wiem, co się dzieje tam na górze, ale tu w bazie marynarki słychać jakieś plotki o puczu. Jestem gotów udzielić wam każdej pomocy w razie potrzeby.
- Raz jeszcze dziękuję. To naprawdę może być potrzebne.

Orłow rozłączył się i wrócił do swojej herbaty. Dobrze było mieć jeszcze jakiegoś sojusznika poza Niną, która miała wrócić o czwartej. Tu, w tym cholernym gnieździe żmij, czuł się bardziej samotny niż na orbicie.

Wcisnął klawisz, włączając z powrotem nasłuch częstotliwości milicyjnych, który wyłączył, odbierając wideotelefon od Lewina.

- ...nas w spokoju - usłyszał kobiecy głos, mówiący po rosyjsku. Jej rosyjski był doskonały. Aż za bardzo, zupełnie jakby to był dla niej język obcy.
- Zostawić w spokoju? Obcy zespół dywersyjny na naszym terenie? Chyba ci odbiło, złotko - odpowiedział krztuszący się od śmiechu Rosski.
- Nie jesteśmy zespołem dywersyjnym - zaprzeczyła kobieta.
- Tak? A coście robili w Helsinkach z majorem Aho?
- On tylko załatwił przerzut. Mamy się dowiedzieć, co się naprawdę stało z brytyjskim biznesmenem, który według waszych wyjaśnień umarł na serce przedwczo...

- Oficjalny raport z sekcji dostarczono do brytyjskiej ambasady. Zwłoki też.
- Nie zwłoki, tylko prochy. Anglicy nie wierzą, że to był zawał.
- To ich zmartwienie. A my nie wierzymy, że on był tylko biznesmenem. Dobra, koniec tej zabawy. Zostało wam osiem i pół minuty. Poddajecie się, czy mamy wam załatwić taki sam pogrzeb jak jemu? Wybór jest prosty.
- Nic nigdy nie jest tak proste, jak się wydaje – powiedział Orłow.

Przez chwilę z głośnika dochodziły tylko trzaski.

- Przepraszam, z kim mówię? - zapytała kobieta.
- Z najwyższym rangą rosyjskim oficerem w Sankt Petersburgu - wyjaśnił, bardziej na użytek Roskiego, niż kobiety. - A pani kim jest? Tylko niech sobie pani oszczędzi tych wykrętów, bo wiemy, którędy i skąd się tu państwo dostali.
- Dobrze więc. Jesteśmy oficerami fińskiego wywiadu, przysłał nas minister Niskanen.
- Akurat! - ryknął Roski. - Już widzę Niskanena, jak wysyła swoich oficerów po byle trupa!
- DI 6 nie mogła się zdecydować co robić, więc skontaktowali się z CIA i z Niskanenem. Wspólnie doszli do wniosku, że będzie lepiej, jeśli to my, a nie oni, wyślemy zespół do Sankt Petersburga i dowiemy się, co zaszło. Po rozpoznaniu sprawy mieliśmy pomóc w nawiązaniu dialogu, który pozwoliłby uniknąć akcji odwetowych.
- Łżesz suko! Gdyby tak było, to byście tu przylecieli rejsowym samolotem na lewych papierach, zrobili, co macie do roboty i wiali, a nie przebierali się w nasze mundury i tłukli się tym miniaturowym okrętem podwodnym.

- Którą drogą można dojechać z Lahti do Rovaniemi?

- E-4.

- Ile prowincji ma Finlandia?

- Dwanaście.

- To niczego nie dowodzi! Nauczyli ją tego!

- Oczywiście, że nauczyli. W gimnazjum w Turku, gdzie zdawałam maturę.

- To bez sensu! Jesteś tu nielegalnie i za cztery minuty będziemy cię mieli.

- Jak mnie znajdziecie.

227

- Złotko, rozejrzyj się. Z lewej masz taki ładny, biały budynek z kolumnami. Widzisz?

To Teatr im. Kirowa. Bardzo ładny, tyle że go już nie zobaczysz. A tego zielonego Mercedesa z tyłu też widzisz? Pietia, pomachaj do pani.

Znowu zapadła cisza. Pewnie szuka nadajników, pomyślał Orłow. Trzeba było sprawdzić na częstotliwości wyższego pasma GSM, ofiaro! W bagażniku leży telefon komórkowy, w czasie akcji był włączony. Jeżeli jest włączony, to wysyła sygnały identyfikacyjne do kolejnych przekaźników w mieście, nawet jeśli akurat nikt nie rozmawia.

Wystarczy, żeby namierzyć źródło, jeśli się wie, czego szukać.

- Jeżeli coś nam się stanie, straciecie szansę na bezpośrednią rozmowę z waszym odpowiednikiem. Chciałabym mówić z dowódcą, nie z tym chamem.

- Tak, słucham? - powiedział Orłow.

- Myślę, że pan nie jest dowódcą garnizonu, tylko generałem Siergiejem Orłowem, który dowodzi jednostką wywiadu tu, w mieście. Myślę, że więcej dobrego pan zdoła bezpośrednio komunikując się ze swoim odpowiednikiem w Waszyngtonie, niż zabijając nas i oddając nasze prochy ministrowi Niskanenowi.

Orłow i jego podwładni od lat próbowali się dowiedzieć czegoś o ich amerykańskim odpowiedniku. Waszyngtońskie centrum musiało być pewnie bardzo podobne do ich jednostki, ale wtyczki w FBI i CIA nie mogły znaleźć żadnych pewnych wiadomości na ten temat. Tego, co ta kobieta oferowała, z przebiegłości czy ze strachu, nie można było tak po prostu zbyć milczeniem.

- Przypuśćmy, że tak. Jak mógłbym się skontaktować z Waszyngtonem?

- Proszę mnie połączyć z majorem Aho w Helsinkach. Dalej już ja załatwię.

Orłow zastanowił się przez chwilę. Coś w nim stawało dęba na myśl o współpracy z napastnikami, ale w gruncie rzeczy wierzył w to, że dyplomacja może w tym przypadku dać więcej niż rozlew krwi.

- Wypuście zakładnika, to może dam wam szansę.

- Zgoda - odpowiedziała kobieta po chwili wahania.

- Pułkowniku?

- Słucham - odparł Roski głosem, w którym próżno by szukać entuzjazmu.

- Nikt, ale to nikt, nie śmie ruszyć palcem bez mojego wyraźnego rozkazu. Zrozumiano?

- Tak jest.

Orłow usłyszał jeszcze jakiś szybki szept, ale nie mógł go zrozumieć. Jednego był

pewien - pułkownik nie da za wygraną.

◆ Wtorek, 7.35 - Waszyngton

Hood wiedział już, że przy rozwiązywaniu sytuacji kryzysowych przełom następuje zwykle wtedy, gdy wszyscy są akurat najbardziej zmęczeni.

Ostatni raz przykładał głowę do poduszki w Los Angeles, w hotelu, prawie dobę przed zamachem w Nowym Jorku. To znaczy dwa dni temu. Siedział teraz w Czołgu z generałem Rodgersem, Lowellem Coffeyem, Liz Gordon, Ann Farris i Bobem Herbertem, czekając na dalsze meldunki z pola bitwy. Bo jakkolwiek by to ubierali w słowa na użytek prasy, Iglica miała stoczyć bitwę w głębi obcego kraju, Rosji.

Czekając na meldunki od obu zespołów, z Sankt Petersburga i Syberii, każde z nich rozmyślało nad możliwymi konsekwencjami wymknięcia się biegu zdarzeń spod kontroli.

Coffey po raz kolejny odwinął mankiet, spoglądając na zegarek.

- Myślisz, że jak będziesz patrzył na wskazówki co pięć sekund, to czas będzie szybciej płynął? - zapytał Herbert.

Liz stanęła w obronie prawnika.

- A co, żałujesz, że swój zegarek zostawiłeś u siebie na biurku?

Ann też chciała coś powiedzieć, ale zadzwonił telefon. Hood wcisnął guzik i w pokoju rozległ się głos Beneta.

- Pani Hood, major Aho łączy rozmowę z Sankt Petersburga.

- Łącz. - Fala gorąca załapała dyrektora. - Masz jakiś pomysł, kto to może być? - zapytał

Herberta.

- Może to nasz człowiek z Sankt Petersburga. Pewnie go złapali i zmusili do tego, żeby zadzwonił. No bo kto...

- Tu Kris - rozległ się głos Peggy.

- A jednak nie złapali. Kris to sygnał od Peggy, że są na wolności. Gdyby coś było nie tak, przedstawiłaby się jako Hanna.

- Tak, Kris?

- Generał Orłow chciałby porozmawiać ze swoim odpowiednikiem.

- Czy on jest tam z tobą?

- Nie, ale jesteśmy w kontakcie radiowym.

Hood ponownie wyłączył głośnik.

- Czy to możliwe? - zapytał Herberta.

- Jeżeli tak, to jest to cud na miarę Kany Galilejskiej.

- Tego ich w końcu uczymy - wtrącił Rodgers. - A i ta Angielka nie wypadła sroce spod ogona.

Hood wcisnął klawisz.

- Zgadzam się.

Z głośnika rozległ się głos z wyraźnym obcym akcentem.

- A z kim mam przyjemność?

- Tu Paul Hood - kątem oka zauważył, że wszyscy obecni w pokoju pochylili się naprzód.

- Witam pana, panie Hood.

- Panie generale, od lat śledziłem pańską karierę, tak jak wszyscy tu obecni. Ma pan tu sporo wielbicieli.

- Dziękuję.

- Proszę mi powiedzieć, czy dysponuje pan łączami wideo?

- Tak, chyba tak. Przez satelitę *Zontik-6*.

Hood spojrzał na Boba.

- Możesz mnie połączyć?

Szef wywiadu Centrum miał minę, jakby ktoś wyrzucił go deską w głowę.

- Szefie, pan chyba nie mówi poważnie. Przecież on będzie widział wewnątrz Czołgu!

- Mówię poważnie. Połącz nas.

Herbert podniósł słuchawkę telefonu, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Panie generale, chciałbym porozmawiać z panem twarzą w twarz. Zgodzi się pan na wideokonferencję, jeżeli da się to zrobić?

230

- Z chęcią. Nasze rządy dostałyby dreszczy, gdyby się o tym dowiedziały.

- Sam się trochę trzęsę. To niezbyt standardowa procedura, choć w tych warunkach...

- Ma pan rację, to nie są normalne warunki.

- Panie dyrektorze, łączy gotowe. Możemy przełączać na monitor, ale raz jeszcze apeluję do pana, żeby...

- Dziękuję. Panie generale...?

- Słyszałem. Mamy tu całkiem niezłe głośniki.

- A co mu się zdaje? Że nasze to co, wyjęte ze śmietnika w Langley? - mruknął Herbert.

- Proszę przejść na kanał dwudziesty czwarty - odezwał się Orłow. - Jeżeli oczywiście wasz, niewątpliwie wysmienity i nowoczesny sprzęt ma ich tyle.

Hood uśmiechnął się, ale Herbert chyba nie był w nastroju do żartów.

- Dowcipniś. Niech pan go spyta, czy ich kosmonauci w dalszym ciągu obsikują koła autobusu wiozącego ich na pole startowe.

- Pewnie, że obsikują, na szczęście. Tę tradycję zapoczątkował Jurij Gagarin, bo trochę przesadził z herbatą przed startem. Nasze kosmonautki też hołdują tej tradycji. W dziedzinie równouprawnienia zawsze was wyprzedzaliśmy.

Herbert zaśmiał się i zajął przełącznikami.

Po dwóch minutach ekran błysnął i pojawił się na nim obraz twarzy człowieka w sile wieku, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, w okularach kryjących inteligentne brązowe oczy.

Patrząc w te oczy człowieka, który widział ziemię z perspektywy dostępnej jedynie nielicznym, Hood poczuł nagle, że ufa temu Rosjaninowi.

- No, to jesteśmy na wizji. Dziękuję raz jeszcze.

- To my dziękujemy.

- A teraz, po tej wymianie grzeczności, porozmawiajmy szczerze. Obu nas niepokoi pociąg i jego

ładunek, prawda? Was zaniepokoił na tyle, że wysłaliście zespół dywersyjny, żeby go przechwycił, być może po to, żeby go zniszczyć. Mnie zaś zaniepokoił na tyle, że kazałem wzmocnić nad nim nadzór. Wiecie, co wiezie ten pociąg?

- Nie, może nam pan powie? - Hood był przygotowany na każdą bujdę.

- Skrzynie pełne pieniędzy, za które mają być finansowane rozruchy w Europie Wschodniej.

Herbert położył palec na wargach. Hood wyłączył mikrofon.

231

- Niech pan mu nie pozwoli wmówić sobie, że on jest po naszej stronie. Gdyby chciał, to sam by ten pociąg zatrzymał, ma do tego dość władzy.

- Niekoniecznie, Bob - odezwał się Rodgers. - Nikt nie wie, co tak naprawdę dzieje się na Kremlu.

Hood włączył mikrofon.

- To co pan proponuje, panie generale?

- Nie mogę skonfiskować tego ładunku, bo nie mam kogo wysłać.

- Jak to? Przecież jest pan generałem, dowodzi jednostką specjalną...

- Moją sytuację dobrze ilustruje fakt, że muszę co jakiś czas prosić zaufanego przyjaciela, żeby oczyścił mój gabinet i telefony od „pluskiew”. Jestem tu niczym Leonidas pod Termopilami, zdradzony przez Efiialtesa. To bardzo gorący stołek.

- To mi się podobało - mruknął Rodgers, tłumiąc śmiech.

- Nie mogę zatrzymać ładunku, ale on nie może dotrzeć do miejsca przeznaczenia. A wy nie możecie zaatakować pociągu.

- Panie generale, to nie jest rozwiązanie, tylko węzeł gordyjski. Jak mamy to zrobić?

- Poprzez pokojowe spotkanie na Syberii. Moi ludzie i pana ludzie mogą się spotkać i pogadać spokojnie.

Rodgers przejechał palcem po szyi i Hood wyłączył mikrofon, choć niechętnie.

- Uważaj, Paul. Nie możemy im oddać Iglicy za darmo.

- Zwłaszcza, że to przecież jego syn dowodzi eskortą pociągu - dorzucił Herbert. -

Generał może próbować ratować jego skórę. Rosjanie ich wystrzelają, a ONZ powie, że mieli rację

jak cholera.

Hood wcisnął guzik.

- Co pan konkretnie proponuje, panie generale?

- Rozkażę oficerowi dowodzącemu konwojem, żeby zdjął wartowników z dachów i pozwolił waszym ludziom podejść do pociągu.

- To pański syn nim dowodzi.

- Zgadza się, mój syn. Ale to nic nie zmienia, to sprawa o międzynarodowym znaczeniu.

- Dlaczego więc pan nie każe mu prostu zawrócić pociągu?

232

- Bo ładunek przejęliby ludzie, którzy go wysłali. A wtedy po prostu znajdą inny środek transportu.

- Rozumiem. - Przez chwilę myślał w milczeniu. - Panie generale, to co pan proponuje, może wystawić moich ludzi na bardzo duże ryzyko. Pan chce, żebyśmy podeszli do tego pociągu tak po prostu, na oczach pańskich żołnierzy?

- Tak. Właśnie o tym mówię.

- Paul, nie rób tego - szepnął Rodgers.

- I co mieliby zrobić, doszedłszy do pociągu?

- Zabrać jak najwięcej z tego ładunku jako dowód na to, że to, co się teraz dzieje, nie jest wynikiem działań legalnie wybranych władz Rosji, lecz skorumpowanej i izolowanej kliki.

- Ministra Dogina?

- Tego nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego?

- Możemy przegrać tę rozgrywkę, a ja mam żonę.

Hood spojrzał na Rodgersa. Wynurzenia Orłowa ani trochę nie zmniejszyły jego oporu.

Nie miał do niego żalu. Rosjanin prosił o wiele, w zamian oferując jedynie słowa.

- Ile czasu zajmie panu nawiązanie łączności z pociągiem?

- Jakieś cztery do pięciu minut.

Hood spojrział na zegar na ścianie. Pociąg miał dojechać do urwiska za siedem minut.

- Nie mogę panu dać ani sekundy dłużej. Maszyna została puszczone w ruch.

- Rozumiem. Proszę nie rozłączać tej linii, wrócę, gdy tylko będę mógł.

- Będziemy czekać - stwierdził Hood i wcisnął przycisk.

- Paul, cokolwiek Squires zaplanował, zerwanie torów, czy zasadzkę na lokomotywę, pewnie jest już gotowy. Nawet jeśli ma rozstawioną radiostację, możemy nie zdążyć go powstrzymać.

- Wiem. Charlie jest mądrym człowiekiem. Jeżeli zobaczy, że Rosjanie stają, machają białą flagą i mówią to, co im przekazemy, żeby mówili na znak, że naprawdę mamy z nimi kontakt, nie zrobi żadnego głupstwa.

- Cieszę się, że im ufacie, bo ja jakoś nie mogę się do tego zmusić. Cała ich historia to jeden wielki spisek. Lenin spiskował przeciw carowi, Kiereńskiemu i Trockiemu, Stalin 233

przeciw Leninowi i Trockiemu, Jelcyn przeciwko Gorbaczowowi, Dogin przeciw Żaninowi.

A teraz jeszcze Orłow przeciw Doginowi. Ta banda żyje z wbijania noży we własne plecy, a co dopiero w nasze!

- No, mając do wyboru walkę... - zaczął Coffey.

- Zwłaszcza biorąc pod uwagę kompleks bohatera, na który cierpi młody Orłow -

dorzuciła Liz Gordon. - On się naprawdę rwie do boju.

- Zgadza się - ponownie doszedł do głosu Coffey. - Biorąc to wszystko pod uwagę, uważam, że warto zaryzykować.

- Zwłaszcza, że to nie ty będziesz wyciągał kasztany z ognia - odparł Herbert. - Bohater, nie bohater, wolę walkę niż masakrę.

- Lord Macaulay powiedział w 1831 roku, że na wojnie umiarkowanie jest słabością -

poparł go Rodgers.

- Chyba śmierć jest jednak gorsza - odparowała Liz.

- Zobaczymy, co wskóra Orłow - uspokoił wszystkich Hood.

Patrzył na zielone cyferki migające na monitorze i wiedział, że cokolwiek się zdarzy, będzie musiał

w ciągu sekund podejmować decyzje o cudzym życiu i śmierci. I wiedział, że w dużej mierze będzie je podejmował na podstawie wrażenia, które na nim wywarła twarz widziana przez parę minut na ekranie komputera.

♦ Wtorek, 22,45 - okolice Chabarowska

Kiedy generał wywołał pociąg, Fadiejew poinformował go, że podporucznik Orłow poszedł do lokomotywy i wróci za parę minut.

- Nie mam tyle czasu - odparł generał. - Każ mu natychmiast zatrzymać pociąg i podejść do telefonu.

Fadiejew szybko podszedł do telefonu polowego, który łączył wagony i wcisnął klawisz dzwonka. Prawie minutę trwało, zanim podniesiono słuchawkę..

- Czego tam? - spytał wyraźnie rozdrażniony Orłow junior.

- Panie poruczniku, generał dzwoni. Rozkazał zatrzymać pociąg, a potem chce z wami rozmawiać.

- Straszny tu hałas. Możecie powtórzyć?

- Generał rozkazał natychmiast zatrzymać pociąg! – krzyczał Fadiejew. - Chce z wami...

- reszta zdania utonęła w kakofonii zgrzytów dobiegającej od lokomotywy. Koła zgrzytały o szyny, sprzęgi skrzypiały, wagon gwałtownie zwolnił, aż wreszcie z dużą siłą uderzył w tender. Fadiejew zrozumiał, co się dzieje i upuścił słuchawkę, rzucając się w tył, aby złapać telefon satelitarny. Zdołał złapać jedynie antenę paraboliczną, sam aparat poleciał pod wpływem bezwładności jak pocisk, przelatując mu między palcami i wyrywając z trzymanej przez niego anteny kabel koncentryczny. Straszliwa myśl przeleciała przez głowę kaprała, ale gdy w panice rozejrzał się, lampa naftowa wisiała tam, gdzie ją zostawił. Pociąg wreszcie się zatrzymał i wszystko ucichło, ludzie zaczęli się podnosić z podłogi, a Fadiejew sprawdził

sprzęt. Masywna obudowa ochroniła telefon przed uszkodzeniem. Kabel też był w porządku, tylko umocowana nakrętką wtyczka została urwana i pozostała w gnieździe anteny. Fadiejew zdjął rękawice i zaczął ją naprawiać.

Nikita Orłow stał przy bocznym oknie parowozu usiłując wśród hałasu panującego w kabinie usłyszeć, o co chodziło Fadiejewowi. Zatkanął drugie ucho ręką i w tym momencie wydało mu się, że widzi jakiś kształt leżący w poprzek torów. Spojrzał raz jeszcze i utwierdził

się w podejrzeniach. Na torach leżało powalone drzewo. Krzyknął do maszynisty, żeby hamował, a gdy ten nie zareagował odpowiednio szybko, sam pociągnął za dźwignię hamulcową.

Wszystkich trzech ludzi w kabinie lokomotywy zbiło z nóg uderzenie od tyłu, gdy wagony najechały na tender. Gdy pisk i zgrzyt ustały, a parowóz zatrzymał się, Nikita wspiął

się po burcie i stanął, czując ból w stłuczonym prawym biodrze. Zdjął latarkę z haka na 235

ścianie i wyjrzał z kabiny, omiatając szerokim promieniem światła okolicę. Jeden z wartowników z dachu spadł i wylądował w zaspie obok toru, ale już wstawał o własnych siłach.

- Wszystko w porządku? - zapytał Nikita.

- Chyba tak, panie poruczniku - odparł, wdrapując się powoli na nasyp. - Mamy się rozejrzeć z przodu?

- Nie, wracaj na górę.

- Tak jest!

Nikita kazał maszyniście i pomocnikowi pilnować okien, a potem wdrapał się po drabince na tender. Wiatr ucichł, śnieg padał teraz prosto w dół. Wokół panowała nienaturalna cisza, jak na szosie po wypadku, skrzyp jego butów na śniegu i chrobot węgla, po którym chodził, roznosiły się wokół. Przeszedł do końca tendra i zjechał po poręczy drabinki na podest nad sprzęgiem. Poświecił sobie latarką, szukając klamki drzwi do wagonu.

- Sierzancie, weźcie sześciu ludzi i uprzątnijcie tor – rozkazał Wierszynowi. - Drzewo leży na szynach, natychmiast je stamtąd usuńcie. Aha, weźcie jeszcze ze trzech, żeby was osłaniali.

- Tak jest.

- Uważajcie na snajperów. Mogą mieć celowniki noktowizyjne.

- Tak jest.

Orłow obrócił się ku Fadijewowi.

- Jak telefon?

- Naprawa potrwa kilka minut - powiedział Fadijew, zgarbiony nad stolikiem.

- Pośpiesz się - odparł porucznik, wydmuchując chmurę pary z ust. - Co jeszcze mówił generał?

- Nic więcej. Tylko żeby zatrzymać pociąg i że chce z wami rozmawiać.

- Cholera - mruknął Nikita. - Cholera jasna!

Kazał cywilom poustawiać z powrotem skrzynki. Przez tylne drzwi wszedł jakiś żołnierz, jakby chciał zobaczyć, co się dzieje.

- Czego się kręcisz jak smród po gaciach? Zmiataj do tyłu, weź się za porządkowanie skrzynek i powiedz tym z ostatniego wagonu, żeby uważnie się rozglądali. Oni mogą zaatakować od tyłu.

Stanął na szeroko rozstawionych nogach na środku wagonu. Próbował sobie wyobrazić, co by zrobił na miejscu przeciwnika. To drzewo to miała być blokada albo zasadzka. Jeżeli to drugie, to spaprali sprawę. Po pierwsze, za wcześnie je obalili, a po drugie miejsce było zupełnie bez sensu. Paręset metrów dalej, pod tym urwiskiem, było idealne miejsce, z którego spokojnie można było zdjąć wartowników z dachu, a potem wystrzelać ich, jednego po drugim, jak kaczki na wodzie. Ale tu? Płasko jak okiem sięgnąć, nie ma jak podejść, a najwyższy punkt w okolicy to dachy wagonów. Widać z nich pół kilometra w każdą stronę, to i trafić można każdego kto odważy się zbliżyć, nawet w tej cholernej zadymce.

Kurwa, co jest grane?

I jeszcze ojciec dzwoni, żeby zatrzymać pociąg. Czyżby wiedział o zaporze? Albo o czymś innym, może o zasadzce tam gdzieś w przedzie?

- Fadiejew, co u licha z tym telefonem?

- Już prawie gotów, panie poruczniku. - Mimo trzaskającego mrozu czoło Fadiejewa było zaróżowione i błyszczało na nim pot.

Orłów zaczynał się denerwować. Wkurzała go bezsilność wobec nieznanego przeciwnika i coraz bardziej ciążyła mu atmosfera wokół. To było coś więcej niż tylko izolacja i stłumione odgłosy. Coraz bardziej był pewien, że niezależnie od tego, czy jest zwierzyną czy myśliwym, wróg, którego szuka, jest bardzo blisko.

♦ Wtorek, 15.50 - Sankt Petersburg

- Oni chyba w ogóle o nas zapomnieli - zauważył z rozbawieniem szeregowy George, prowadząc samochód w kierunku Ermitażu. Musieli sporo krążyć, bo w centrum było mnóstwo ulic jednokierunkowych, przejechali obok Spizowego Jeźdźca, pomnika cara Piotra I, potem skręcili w ulicę Gogola i dojechali w pobliże placu Pałacowego.

Peggy wyłączyła radiostację po tym, jak Orłow i Hood przeszli na własne łącza i jasne było, że na tej częstotliwości i tak już nikt nie będzie mówił nic, co byłoby dla nich użyteczne. Wysadziwszy swego pasażera, nieco roztrzęsionego, ale całego i zdrowego, zdecydowali, że jednak pojedą do Ermitażu. W tłumie na placu mogli łatwo się zgubić i zrobić konieczne pomiary.

- To trochę nieładnie, nie sądzisz? Lecimy na koniec świata, tłuczemy się w jakiejś balii osiem godzin pod wodą, robimy swoją robotę, a nikt nawet nie zada sobie trudu, żeby to zauważyć.

- Przyjechałeś tu po pochwały? - zapytała Peggy.

- Nie, ale to by było miłe z ich strony.

- Nie martw się. Coś mi się zdaje, że zanim stąd wyjedziesz, jeszcze zatęsknisz za anonimowością.

W miarę jak zbliżali się do żółknących w zachodzącym słońcu białych kolumn Ermitażu, do ich uszu dochodziły odgłosy tłumu robotników, o których mówił Nykkanen.

- Popatrz, kto by to pomyślał jeszcze parę lat temu? Strajk w Rosji!

- Tak. W tym mieście w 1917 roku odbył się największy strajk w imperialnej Rosji.

Koło się zamknęło. Wtedy skończyło się to masakrą, gdy gwardia Mikołaja II otworzyła ogień. Mam nadzieję, że teraz tak się nie stanie.

- Przerazające jest to, że są ludzie, którzy chcą przywrócić terror - zarówno carski, jak i komunistyczny.

- A widzisz, już nie myślisz o podziękowaniach. To strach popycha nas do działania, a nie poklepywanie po plecach. Keith zawsze mówił, że czujność popłaca.

Spojrzał na nią. W jej twarzy nie dostrzegł nawet śladu tęsknoty za ukochanym, jej głos był zupełnie obojętny. Pewnie była jedną z tych osób, które nie płakały w publicznych miejscach, a może nawet w ogóle. Zastanawiał się, jak zareaguje, gdy znajdą się w miejscu, gdzie zginął angielski agent.

Zebrało się już około trzech tysięcy ludzi, rozrzuconych w luźnych grupach na wielkiej marmurowej szachownicy placu Pałacowego. Przed Arkadą Sztabu Generalnego zbudowano niską scenę i mównicę. Milicja zamykała plac dla ruchu samochodowego.

- Dobra, zaparkuj gdzieś tutaj - powiedziała.

Zatrzymał samochód przed ogródkiem kawiarnianym, w którym brązowe parasole reklamowały różne gatunki piw i papierosów.

- Handlarze nie marnują czasu - zauważył z przekąsem George.

- Nigdy nie marnowali, to już taki zawód - odparła. W tej samej chwili zauważyła milicjanta, który bacznie im się przyglądał.

George też go zauważył.

- Zidentyfikowali samochód - powiedziała.

- Pewnie się nas tu nie spodziewali. Myśleli, że już odwaliliśmy swoją robotę i dawno nas tu nie ma.

- Jak myślisz, czy nasz przyjaciel Ronaszyn podał rysopisy i wszystkie posterunki w mieście dostały je już faksem?

- Chyba jeszcze nie. Ale skoro wiedzą o mundurach, trzeba się ich będzie pozbyć i wydostać się stąd udając turystów. – Spojrzała na zegarek. - Do spotkania z Wołkowem mamy godzinę i dziesięć minut. Może wejdźmy już do środka. Jakby nas ktoś chciał zatrzymać, to jesteśmy z Admiralicji, o jedną przecznicę stąd na wschód i mamy pilnować, żeby tłum nie ruszył w tamtą stronę. Jak już wejdziemy do środka, przeberzemy się i będziemy udawać parę zakochanych.

- Świetnie.

- Tylko się za bardzo nie wczuwaj. W środku i tak się pokłócimy, żebym się mogła odłączyć i spotkać z Wołkowem przed Rafaelem.

- Tak, to też potrafię. W końcu jestem żonaty – uśmiechnął się George.

Peggy nie odwzajemniła uśmiechu. Weszli między pierwsze grupki robotników na placu. George nie wiedział, czy w ogóle usłyszała jego odpowiedź, bo w tym czasie z uwagą rozglądała się wokół. Zauważył, że patrzy wszędzie: na tłum, na scenę, pod nogi, ale unika muzeum i rzeki, na której brzegu zginął Keith. Zdawało mu się, że wreszcie zauważył ślad wilgoci w jej oczach i ślad wahania w ruchach.

I wreszcie zobaczył człowieka w tej zdumiewająco sprawnej maszynie do realizacji zadań specjalnych.

♦ Wtorek, 22.51 - okolice Chabarowska

Żołnierzy Specnazu uczy się robienia wielu rzeczy saperkami, a żeby sprawdzić, czy już się nauczyli, zamyka się ich w klatce ze wściekłym psem, dając tylko saperkę w garść.

Potrafia nimi nawet rąbać drewno. Oczywiście, saperka to nie tylko broń. Kopać też się nią uczy. A to sprawdzić jeszcze łatwiej: prowadzi się pluton na pole, wydaje rozkazy: „Padnij” i

„Okopać się”, a dziesięć minut później puszcza przez to pole pluton czołgów. Kto przeżyje, będzie do końca życia wiedział, że lenistwo w okopywaniu się nie popłaca.

Squires dokładnie studiował doniesienia na temat metod i zadziwiających rezultatów szkolenia Specnazu. Szukał takich, których mógłby użyć do treningu swoich żołnierzy.

Niestety, nie wszystkie się nadawały, Pentagon nigdy nie zgodziłby się na trening sztuk walki na skazańcach. Natomiast w pełni udało mu się przejąć ich trening kamuflażu, pozwalający potem w razie potrzeby wykonać ukrycie z niczego i znaleźć kryjówkę nawet w miejscach, w których na pierwszy rzut oka nikt nie zdołałby się ukryć.

Kiedy uprzedzono go o wartownikach na dachach, wiedział, że będą oni uważnie oglądać drzewa, skały, wzniesienia i zasypany śnieg przy torze. Zakładał, że ktoś w lokomotywie będzie wypatrywał przeszkód na torach. Mimo to zdawał sobie sprawę, że aby wykonać swoje zadanie, musi się niepostrzeżenie dostać pod pociąg. Najlepszym miejscem, z którego mógł tego dokonać, były same tory.

Blask reflektorów lokomotywy, przesłoniętych warstwą nawianego po drodze śniegu, będzie lekko rozproszony i słaby, ale wystarczający do śledzenia powierzchni szyn, której będą się przyglądać wartownicy. Ich uwaga będzie się koncentrować na szynach, przestrzeń między nimi umknie ich uwagi.

W rezultacie tego rozumowania, pułkownik i sierżant Grey wyryli dość płytki okop między szynami, wycinając środkowe części dwóch pokładów. Squires położył się w nim z workiem plastiku C-4, a Grey i Newmeyer przysypali go dokładnie śniegiem, pozostawiając kanał, przez który pułkownik mógł oddychać. Grey zasypał potem śniegiem Newmeyera w zaspie obok toru, niedaleko od Squiresa, a sam wycofał się daleko od toru, by po rozpoczęciu fajerwerków zająć się lokomotywą.

Pułkownik najpierw usłyszał cichy brzęk szyn, a potem poczuł drzenie ziemi pod plecami, gdy pociąg się zbliżał. Nie denerwował się, leżał nisko, poniżej główek szyn i gdyby lokomotywa pchała przed sobą pług, nawet nie ruszyłaby śniegu nad nim. Przejmował się tylko tym, żeby maszynista nie spostrzegł drzewa zbyt wcześnie lub zbyt późno.

Wszystko poszło jednak mniej więcej tak, jak przewidział. Gdy wokół ucichł harmider wywołany nie planowanym hamowaniem, pułkownik ostrożnie rozgarnął śnieg, by popatrzeć do góry i zdjął

pokrowiec z gogli. Zobaczył nad sobą jakąś oś. Obok drugą. Wózek nośny.

Dobra nasza, przynajmniej to nie lokomotywa. Spojrzał w kierunku nóg. Drugi wózek. Za 240

blisko na wagon, a więc to tender. Cholera, myślałem, że będę o wagon dalej, pomyślał.

Przynajmniej kamuflaż zadziałał, bo jeszcze nie mam towarzystwa.

Zaczął ostrożnie odgarniać śnieg. No i proszę, uczył się kamuflażu na rosyjskich wzorcach, a teraz nauczyciele sami dali się nabrać. Kiedy już się wykopał ze śniegu, usłyszał

krzyki. Było mu zimno, mimo kombinezonu z nomeksu brak ruchu sprawił, że zmarzł na kość. Zaczął wypełzać ze swej nory i w tej chwili usłyszał skrzyp butów na śniegu tuż obok.

Gdzieś z oddali zaczęły dochodzić błyski światła z flar oświetlających, wystrzeliwanych przez żołnierzy pracujących przy drzewie. Śnieg odbijał to światło bardzo intensywnie i wkrótce całe dno tendra było widoczne jak przy zapalonym świetle.

Squires położył plecak z ładunkami wybuchowymi na brzuchu i ruszył pełznąć na plecach nogami naprzód, przemieszczając się w kierunku pierwszego wagonu. Znowu słyszał

buty. Zatrzymał się i sięgnął do paska przytrzymującego pistolet w kaburze przypiętej nisko na biodrze. Odpiął go i położył rękę na kolbie *Beretty*. Nie chciał prowokować międzynarodowego incydentu, ale wolał czytać o swoich występkach w gazecie, choćby i w celi, niż żeby inni czytali o nim na kolumnie z nekrologami. Skrzyp butów wkrótce się oddalił, a Squires ruszył dalej. Szybko mu to szło. Wkrótce był już pod sprzęgiem między tendrem a pierwszym wagonem. Otworzył klapę plecaka, wyciągnął kawałek *C-4* i wepchnął

go w boczne występy nasady haka w tendrze. Dobrze, że miał gogle, bo w innym przypadku zaprószyłby sobie oczy deszczem rdzy, który spadł z nasady, gdy tylko jej dotknął. Sprawdzał, czy materiał wypełnia otwór, czy przylega i nie wypadnie z gniazda. Ani drgnął. Sięgnął znów do plecaka i wyciągnął zapalnik czasowy. Przyłożył go do plastycznego materiału wybuchowego i jednym, płynnym pchnięciem dłoni wepchnął go w ładunek. Sprawdzał, czy mocno siedzi. W porządku. Zapalnik był okrągły, mierzył siedem centymetrów średnicy i na górnej powierzchni miał wyświetlacz ciekłokrystaliczny i klawiaturę numeryczną. Między nią a wyświetlaczem umieszczono jeszcze dwa klawisze. Wcisnął lewy, włączając urządzenie.

Postanowił dać sobie godzinę. Używając klawiatury numerycznej ustawił zapalnik na 60.00.00 i wcisnął prawy guzik, zapisując ustawienie. Potem jeszcze raz wcisnął lewy, a potem prawy guzik, uruchamiając odliczanie.

Znów zaczął pełznąć do tyłu. Był już na środku pierwszego wagonu, gdy tuż nad sobą usłyszał głośnie szuranie i stuki. Pewnie przy hamowaniu ładunek się przemieścił i teraz na nowo go ustawiają, pomyślał. Sięgnął ponownie do plecaka i umieścił pod dnem wagonu kolejny ładunek, ustawiając zapalnik tak, by wybuchł w tym samym czasie co pierwszy. Ten ładunek był większy, niż ten pod

sprężeniem. Trzeci i ostatni ładunek umieścił pod drugim wagonem.

Skończywszy, pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Obejrzał się i stwierdził, że żołnierze już kończyli usuwać drzewo. Nie miał czasu do stracenia.

Odłożył plecak na prawo, a sam wytoczył się spod wagonu na lewo. Przez chwilę leżał

nieruchomo w cieniu rzucanym przez oświetlany flarami pociąg. W końcu spojrzął na zegarek. Zdumiało go i ucieszyło, gdy stwierdził jak szybko i sprawnie poszła mu ta robota.

Gdyby to były ćwiczenia w Quantico, zajęłoby mu to na pewno dwadzieścia procent czasu więcej niż teraz. Nie wiedział, dlaczego tak jest, ale z faktami się nie polemizuje.

Spojrzął w kierunku pierwszego wagonu i, nie zauważywszy nikogo, przeczołgał się do zaskry obok tendra. Klepnął w nią dwa razy, dając Newmeyerowi sygnał, żeby się odkopał.

Newmeyer był zmarznięty jeszcze bardziej niż on, bo dłużej trwał w bezruchu. Musiał nawet 241

sobie wsadzić w usta brzeg kominiarki, by nie szczekać zębami. Upewniwszy się, że Newmeyer wie, co ma robić. Squires odczołgał się do drugiego wagonu.

Teraz żałował, że nie mieli okazji przeciwżyć tej akcji. Z drugiej jednak strony zdawał

sobie sprawę, że członków Iglicy wybierano, zwracając szczególną uwagę na umiejętności improwizacji. To była cecha wyróżniająca Iglicę wśród innych formacji specjalnych świata.

Specnazowcy potrafili robić cuda z saperką i działać do siedemdziesięciu dwóch godzin bez snu, Izraelczycy z Sayeret Tzanhanin potrafili wylądować na spadochronach na grzbiecie biegnącego wielbłąda, a Squires widział na własne oczy jak podoficer gwardii sułtana Omanu zabił człowieka wykałaczką. W tym towarzystwie Iglica wyróżniała się tym, że potrafiła wykonać każde zadanie bez żadnego z góry ustalonego planu, adaptując się do panujących warunków i okoliczności. Było to koniecznością dla zespołu interwencyjnego instytucji powołanej do uśmierzania w zarodku konfliktów na całym świecie.

Squires założył maskę gazową i wyciągnął z kieszeni na udzie granat ogłuszający.

Rozprostował wąsy zawlecзки i przełożył kciuk przez jej kółko. To samo zrobił z granatem łzawiącym, który trzymał w drugiej ręce. Wstał powoli i oparł się o stopień wagonu.

Wyciągnął zębami najpierw jedną, a potem drugą zawleczkę, przytrzymując palcami łyżki zabezpieczające zapalniki. Obejrzał się i zobaczył Newmeyera, który stał za jego plecami.

Wolno podeszli do okienek pierwszego i drugiego wagonu.

◆ Wtorek, 7.53 - Waszyngton

- No, gdzież on się, do jasnej cholery, podział?

Hood pomyślał to samo w momencie, gdy Herbert to powiedział.

Czekali już od kilku minut w milczeniu, powtarzając w pamięci to, co mówili Orłow i dyrektor. Powtarzali to i w duchu przekonywali się sami, że nie powiedzieli Rosjanom niczego, czego ci mogli użyć przeciw Iglicy. Orłow już i tak wiedział o tym, że w Rosji były dwie grupy i wiedział nawet gdzie są. Hood był przekonany, że generał chce doprowadzić do pokojowego rozwiązania kryzysu. Jego pozycja w Rosji była tak wysoka, że nie musiał

używać tej okazji, by się reklamować. Hood chciał wierzyć w to, że bohater kosmosu jest patriotą i humanistą.

A poza tym jego syn dowodzi tym konwojem.

Wszyscy poderwali się, gdy zabrzączał telefon. Hood wcisnął guzik.

- Wiadomość od Iglicy, na linii szeregowy Honda - zaanonsował Benet.

- Dawaj. I wrzucić na komputer mapę okolicy. Przerwij rozmowę, gdyby odezwał się Orłow - mówiąc to, przesunął telefon w stronę Rodgersa. Mike był wyraźnie ujęty tym gestem.

- Szeregowy Honda melduje się na rozkaz - rozległ się z głośnika silny i zadziwiająco klarowny głos.

- Generał Rodgers. Meldujecie.

- Sir, zgodnie z rozkazem pułkownika Squiresa melduję, że mam w zasięgu wzroku rejon ewakuacyjny. Śnieg powoli przestaje padać. Trzech żołnierzy znajduje się w rejonie 9918-828, wykonując rozkaz zabezpieczenia drogi ewakuacyjnej. Trzech pozostałych atakuje pociąg w kwadracie 6987-572. Pułkownik Squires zamierza zaminować pociąg, zmusić pasażerów i eskortę do opuszczenia go za pomocą gazu łzawiącego, przejąć kontrolę nad pociągiem i wysadzić go w powietrze dalej na trasie, by uniknąć ranienia kogoś odłamkami.

Po zneutralizowaniu celu ma dołączyć do nas w punkcie ewakuacyjnym.

Hood spojrział na mapę na ekranie. Oba miejsca były od siebie sporo oddalone, ale plan wydawał się wykonalny.

- Honda, czy Rosjanie stawiają opór?

- Nie wiem, sir. Stąd nie widzimy pociągu. Pułkownik wysadził drzewo, barykadując tory - to słyszeliśmy. Potem słychać było, że pociąg hamował i zatrzymał się. Ale stąd go nie widać.

- Jakież strzały?

- Nie, sir.

- Czy uda się przekazać rozkaz grupie przy pociągu, gdyby zaszła taka konieczność?

- Nie, chyba żeby przez gońca. Wyłączyli odbiorniki, by uniknąć przypadkowej dekonspiracji. Sir, muszę już kończyć, żeby dołączyć do reszty, ale będę meldował o rozwoju zdarzeń.

Rodgers podziękował mu i rozłączył się. Hood zadzwonił do Viensa i poprosił go o aktualne satelitarne zdjęcia miejsca zdarzeń. Rodgers, Hood i Herbert zebrali się wokół

drukarki, czekając na nie.

Chwilę później Orłow wrócił na ekran. Wyglądał na zmartwionego. Hood ukradkiem wezwał Liz Gordon. Stała obok biurka dyrektora, tak że widziała ekran, ale kamera zainstalowana w obudowie monitora jej nie obejmowała.

- Przepraszam za zwłokę. Rozkazałem zatrzymać pociąg i ściągnąć mojego syna. W chwilę po tym linia zamilkła. Naprawdę nie mam pojęcia, co się stało.

- Z meldunku naszego zespołu wynika, że zabarykadowali tor drzewami, ale do kolizji nie doszło.

- A więc mój rozkaz był zapewne spóźniony - powiedział Orłow i spojrzał w dół. -

Przepraszam, ale mam połączenie z pociągiem. Za chwilę wracam.

Obraz mrugnął i zniknął. Hood odwrócił się do Liz.

- No, i co powiesz?

- Oczy nieruchome, głos trochę przytłumiony, ramiona lekko opuszczone. Typowy wygląd człowieka, który ma do zakomunikowania coś, co mu się nie podoba. Wyglądało to szczerze.

- Odniosłem to samo wrażenie, Liz. Dziękuję za potwierdzenie.

- Bardzo proszę.

Zaszumiała drukarka. Rodgers i Herbert rzucili się do wysuwającej się z niej wstęgi.

Przyjrzeni się obrazowi i za chwilę popatrzyli na Hooda tak, jak przed minutą generał Orłow.

♦ **Wtorek, 22.54 - okolice Chabarowska**

Naprawa kabla antenowego szła opornie. Kapralowi Fadiejewowi palce grabiły z zimna, gdy klęcząc przy antenie odcinał scyzorykiem izolację z końcówki kabla. Dwóch cywilów zaglądało mu przez ramię i doradzało, jak ma to robić, żeby było lepiej. To także nie pomagało w robocie.

Kiedy wreszcie Fadiejew skończył, podał słuchawkę porucznikowi.

- Nikita, wszystko w porządku z tobą? - zapytał generał.

- Tak jest, panie generale. Kończymy usuwać drzewo.

- Przestańcie.

- Co takiego?

- Masz kazać im odejść od drzewa. I nie wdawajcie się w walkę z Amerykanami.

Mroźny podmuch wdarł się przez okienko, ale to nie on sprawił, że Nikita nagle poczuł, że zalewa się zimnym potem.

- Panie generale, czy mam rozumieć, że rozkazujecie mi się poddać? Bez walki?

- Do tego chyba nie będzie musiało dojść. Po prostu wykonacie mój rozkaz. Jasne?

- Tak jest - odparł z wahaniem porucznik.

- Jestem w ciągłym kontakcie z amerykańskim dowódcą. Nie rozłączaj się i czekaj na dalsze roz...

Reszty Nikita już nie usłyszał. Z boku doszedł go głuchy łoskot. Obejrzał się i zobaczył

granat toczący się po podłodze wagonu. Zanim zdążył zareagować, w wagonie rozległo się kilka ogłuszających wybuchów i oślepiły go błyski. Ludzie w wagonie zaczęli krzyczeć oszołomieni, ale mimo to usłyszał jeszcze jeden, duży cichszy wybuch, po którym rozległ się syk uchodzącego gazu.

Porwał ze stojaka karabinek *AKSU-74* i zaczął torować sobie drogę do wyjścia z wagonu, powstrzymując oddech. Musiał przyznać, że ktokolwiek to zrobił, zadał sobie dużo trudu, żeby nikomu nic się nie stało. Ten granat ogłuszający spowodował, że wszyscy zamknęli oczy, a gaz doprowadzi do tego, że nie będą próbowali ich otworzyć.

Domyślił się, że Amerykanom chodzi o to, żeby wykurzyć ich z wagonów, żeby nikt nie stawiał oporu, gdy będą odjeżdżać z pieniędzmi. Niewątpliwie napastnicy czekali wokół, rozrzucony w terenie i nie było sensu wyruszać w pościg za nimi. Cholera z nimi, niech sobie tam marzną w śniegu, jeśli chcą, on ich szukać nie będzie. Ale ani jego, ani transportu nie dostaną.

Dopchał się wreszcie do drzwi, klnąc w duchu łatwowierność ojczulka-generała, któremu się wydawało, że kowbojom można ufać. To jeszcze pół biedy, ale temu staremu głupcowi wydawało się, że oni bardziej dbają o przyszłość *Matuszki Rossiji*, niż Rybakow.

Wyskoczył z wagonu na ostatnim tchu. Zaczerpnął świeżego, mroźnego powietrza. W pierwszej chwili aż się nim zachłusnął

- Wierszyn, osłaniajcie nas! - krzyknął.

- Tak jest! - odkrzyknął Wierszyn, który właśnie rozmieszczał swych ludzi na pozycjach wokół pociągu. Fadijew pomagał wyskakiwać z wagonu cywilom.

Nikita odszedł od wagonu. Spojrzał na dach i zobaczył, że na dachu siedzi nadal wartownik.

- Iwanow, widzieliście kogoś?

- Nie, panie poruczniku.

- To jak, kurwa wasza mać, patrzycie!?! - wrzasnął na niego Orłow. - Przecież te granaty wrzucono z waszej strony!

- Ale panie poruczniku, naprawdę nikt nie podchodził.

To bez sensu, pomyślał Nikita. Durny gnój, musiał przysnąć. Czekał no, ptaszku, jeżeli znajdę po tamtej stronie ślady stóp, to ja z tobą zatańczę tak, że cię rodzona matka nie pozna.

Bo przecież jeżeli podeszli z tamtej strony, to jakieś ślady muszą być. Skrzydła im chyba nie wyrosły, nie? A podejść musieli, bo granaty zostały wrzucone przez okienka, nie wstrzelone z granatnika. Ktoś musiał podejść do pociągu wtedy, gdy zahamowali i wszyscy byli zajęci podnoszeniem się z podłogi.

Tak czy inaczej, rozejrzeć się trzeba. Nikita zdjął z ramienia *Kałasznikowa* i ruszył w kierunku lokomotywy, by ją obejść z przodu.

♦ Wtorek, 22.56 - okolice Chabarowska

Sierżant Grey, przycupnięty za głazem nie widział, jak Squires i Newmeyer wrzucali granaty. Gdy tylko jednak usłyszał pierwszą eksplozję, a właściwie jeszcze wcześniej, gdy zobaczył jej odblask na śniegu, rzucił się biegiem w stronę lokomotywy. Nie na darmo w ogólniaku był gwiazdą zespołu lekkoatletycznego. Dostrzegł Squiresa i Newmeyera, niknących w okienkach pierwszego i drugiego wagonu. Czekał na dźwięki strzałów z *Beretty*, ale słyszał tylko chaotyczne serie z *Kałasznikowów*.

Jak dotąd wszystko szło jak z płatka. Plan Squiresa był doskonały. Jeżeli uda się go przeprowadzić bez ofiar, pułkownik wejdzie do historii sił specjalnych.

Dobrze, ale na razie jeszcze miał robotę do wykonania, czas na rozpamiętywanie sukcesu będzie po powrocie. W błysku flary zobaczył w kabinie lokomotywy jakiś ruch.

Skoczył do góry, złapał za poręcz i podciągnął nogi, wykorzystując impet do skierowania ich w otwarte drzwi. Odepchnął się od poręczy jak od tyczki przy skoku i wylądował na podłodze kabiny.

Maszynista odwrócił się zaskoczony. Sierżant uderzył go krawędzią dłoni tuż nad górną wargą, jednocześnie podcinając mu nogi silnym kopnięciem. Żołnierz runął na podłogę, nawet nie jęknąwszy.

Grey nie chciał go pozbawiać przytomności na wypadek, gdyby miał trudności z uruchomieniem lokomotywy. Rozejrzał się i ze zdumieniem poznał, że kabina niemal niczym nie różni się od tej, w której jako mały chłopiec jeździł z wujkiem Ralphem, maszynistą pociągu wycieczkowego linii Eastern Pacific. Dźwignia hamulca trzymała mocno, musiał

pomóc sobie kopniakiem, żeby ją zwolnić. Potem złapał za dźwignię przepustnicy i przesunął

ją w prawo, do oporu. Koła zakreśliły się w miejscu. Grey lekko zredukował ciśnienie, skład gwałtownie ruszył naprzód.

- Wynocha! - krzyknął do maszynisty.

Młody Rosjanin był jeszcze oszołomiony; z wolna podnosił się z podłogi, zdołał

wreszcie wspiąć się na kolana. Najwyraźniej nie rozumiał po angielsku.

- Ty! *Do swidanija!* - Grey pokazał palcem na niego, a potem na okno, używając jedyne rosyjskiego zwrotu, którego znaczenia był pewien.

Rosjanin wyraźnie dochodził do siebie. Przez chwilę ociągał się, symulując oszołomienie, a potem nagle sięgnął ręką do odpiętej kabury Greya, który odwrócił się, by spojrzeć na manometr ciśnienia pary. Sierżant zauważył ruch za sobą i pchnął mocno w tył

łokciem, trafiając Rosjanina w splot słoneczny. Żołnierz poleciał w róg kabiny, zwijając się w narożniku jak znokautowany bokser.

247

- Ty skurwielu! - krzyknął Grey. Otworzył przepustnicę szerzej, a potem podszedł do Rosjanina, przerzucił go sobie jak worek przez bark i wyrzucił go przez drzwi kabiny w zaspę śnieżną przy torze. Wyrzwał przez drzwi i popatrzył przez chwilę na Rosjan, biegnących za pociągiem i próbujących go dopędzić. Squires i Newmeyer odganiaли tych, którym szło to najlepiej, strzałami z pistoletów. Pociąg przyśpieszył i strzały z tyłu ucichły.

Kiedy pociąg zakręcił kołami w miejscu, Nikita właśnie obchodził pług śnieżny, pchany przez lokomotywę. Zdażył tylko podskoczyć do góry, gdy pociąg nagle ruszył, cudem unikając uderzenia przez pług. Złapał się drabinki z przodu lokomotywy i wspiął się po śliskich, ośnieżonych stopniach na platformę nad zderzakami i sprzęgiem z przodu lokomotywy. Skulił się i ostrożnie wystawił lufę *AKSU*, a potem głowę zza kotła, spoglądając do tyłu. Widział, jak napastnik wyrzucił z lokomotywy bezwładne ciało Maksymowa, maszynisty. Widział, jak dwóch innych ogniem z pistoletów odganiało jego ludzi od wagonów. Pieprzeni rabusie, pomyślał, odbezpieczając karabinek.

I z tymi bandytami chciał się układać mój szanowny ojczulek-bohater! Przełożył krótki karabinek do lewej ręki i wszedł dwa stopnie wyżej, na podstawę kompresora. Stąd rozpoczynał się wąski chodnik, biegnący wzdłuż kotła do kabiny. Rozpoczął mozolną wędrówkę po oblodzonej kładce, jedną ręką trzymając się poręczy biegnącej wysoko nad głową, a w drugiej ręce trzymając *Kalasznikowa*. Pęd powietrza i wyboje, na których podskakiwał i kiwał się na boki pociąg, sprawiały, że co chwila musiał balansować ciałem i łapać utraconą równowagę.

Właśnie doszedł do kolektora pary, może dwa metry od kabiny, gdy Amerykanin znów wytknął głowę przez okienko.

248

♦ Wtorek, 16.02 - Moskwa

Minister Dogin był w dobrym nastroju. Nawet w znakomitym.

Wreszcie siedział sam w swoim gabinecie, mogąc rozkoszować się triumfem. Rybakow zajął już prawie całą Ukrainę i, poza odosobnionymi incydentami, wszystko szło jak z płatka.

W dziennikach na okrągło pokazywano ludność witającą czołgi z kwiatami i flagami ZSRR, które były także wywieszane na latarniach i bramach triumfalnych.

Polacy zarządzili mobilizację i gorączkowo przerzucali wojska nad granicę. NATO

zarządziło pogotowie w bazach w Niemczech, a nawet urządziło demonstrację siły, wysyłając samoloty nad Warszawę. W końcu ile ich to kosztowało? Najwyżej paliwo, a i to w jedną stronę, bo Polaczków ogarnął taki entuzjazm, że nosili pilotów na rękach. To pewnie i zatankowali ich na powrót za „Bóg zapłać”. Że też tych idiotów historia niczego nie nauczyła!

Przecież nikt nawet palcem nie ruszy, jak naprawdę zacznie śmierdzieć prochem. Nam nikt nie podskoczy. Wystarczyło, że na konferencji powiedziałem: „Nie” i znowu odłożyli termin przyjęcia ich do NATO o kolejne dwa lata. A zresztą nawet gdyby nie, Europa bez Ameryki nie kiwnie palcem, a Amerykę trzymają w szachu ludzie Sawczuka. Zajmiemy to, co nam się należy, a potem trzeba będzie znowu zacząć działać na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Łacińskiej, żeby im znaleźć zajęcie daleko od nas. Amerykanie po raz kolejny dali się przyłapać z opuszczonymi spodniami. Ich Departament Stanu przyjął wysłannika Dogina, Sakaszwiliego, zaraz po rozmowie z ambasadorem wysłanym przez Żanina, w ten sposób faktycznie uznając istnienie w Rosji dwóch rządów. I to z własnej woli, nie trzeba ich było do tego zmuszać dalszymi zamachami.

Sojusznicy Dogina zgodzili się zaczekać na wypłatę, a Żanin został kompletnie odcięty od informacji i łączności. Nie mógł reagować na to, co się działo, bo o wszystkich zdarzeniach dowiadywał się po czasie i nie mógł przekazywać swoich decyzji.

To już nie była rewolta sklerotycznych dziadków, jak zamach stanu Janajewa mający obalić Gorbaczowa w 1991 roku. Jego pucz był lepiej zorganizowany. Przywódcy nie trzeba izolować siłą i trzymać pod lufą. Wystarczy, że musi się dowiadywać o wszystkim z telewizji i może zadzwonić najwyżej do kumpli od domina. Nikt go wtedy nie żałuje i nikt nie śpieszy na ratunek. A i samemu przywódcy nie spieszo chwalić się, w jakiej się sytuacji znalazł, bo wtedy straciłby twarz do reszty. No bo co on rodakom powie? Drodzy bracia i siostry, czy ktoś mógłby mi z łaski swojej powiedzieć, co robi rząd, który sam mianowałem? Dogin zaśmiał się, wyobrażając sobie Żanina wypowiadającego te słowa w telewizji.

Jak dotąd bał się tylko tego, że zniecierpliwiony zwłoką Sawczuk zerwie umowę i zostawi ich na lodzie, rozpluwając się gdzieś za granicą. Zresztą niechby i zniknął, Doginowi to nie przeszkadzało, byle nadal miał dostęp do jego kontaktów.

Jak na razie zawiódł się tylko na generale Orłowie. Podczas gdy on i jego sojusznicy z narażeniem życia podejmowali wysiłki, aby uzdrowić chory kraj, co wiązało się z koniecznością obchodzenia jego chorych praw, ten kosmiczny wymoczek śmiał im przeszkadzać. Spodziewał się, że generał może być nieco niezadowolony z ich nieortodoksyjnych metod, ale nie przewidział otwartego oporu i wykorzystywania przewagi stopnia do ograniczania swobody działań pułkownika Rosskiego. Orłow sam kręcił bat na siebie, a jeżeli jeszcze raz stawi opór, może wykręcić nie bat, ale stryczek. O karierze może zapomnieć już teraz, o generalskiej emeryturze też.

Szkoda, bo do tej pory radził sobie znakomicie. Zdołał wymóc na niechętnych całej idei politykach poparcie, a nawet część funduszy na budowę Ośrodka. Zaufali mu, bo w odróżnieniu od nich był człowiekiem honoru i silną osobowością. Gdyby przyłączył się do sił

ratujących Rosję, zaszedłby daleko, a tak sam sobie przetrącił kark.

Popatrzył na stare mapy Rosji, by odegnąć od siebie niemiłe myśli. Pięknie będzie wyglądała mapa nowego Związku, pomyślał. Powieszę ją o tu, na środku, naprzeciw biurka.

Spojrzał na zegarek. Burza powinna się już kończyć, a pociąg powinien znajdować się koło Chabarowska. Podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z Ośrodkiem w Sankt Petersburgu, tfu, w Leningradzie. Gdy tylko otrzyma potwierdzenie pozycji pociągu, wyśle samolot, by przejął ładunek w Birobidżanie, stolicy Żydowskiego Obwodu Autonomicznego nad brzegami rzeki Biry. *Dalsielmaszstroj* w Birobidżanie miał odpowiednie lądowisko nawet dla *Ila-76*.

Głos człowieka, z którym nieraz już przecież rozmawiał, zaskoczył go. To już nie był

ten zmęczony, ale opanowany oficer, co zwykle. Wyraźnie czuć było w jego głosie agresję.

- No i co, panie ministrze? Pański plan wziął w łeb!

- Jaki plan? O czym pan mówi? - minister udał, że nie rozumie, o co chodzi Orłowowi, ale rozumiał aż za dobrze. Zrobiło mu się nagle duszno. - Czy coś się dzieje z pociągiem?

- Jakbyś pan zgadł, panie ministrze. Właśnie w tej chwili przejęli go amerykańscy komandosi.

Dogin zeszywniał.

- Za ten pociąg odpowiada pan głową! Pański syn też!

- Jestem pewien, że Nikita robił, co mógł, żeby do tego nie dopuścić. Jego ludzie mieli przewagę, bo Amerykanie nie chcieli nikomu robić krzywdy.

- Musieliby zwariować, żeby było inaczej! Gdzie jest Roski?

- Bawił się w kotka i myszkę ze szpiegami. Ale oni wystrychnęli go na dudka. Złapali oficera, który ich śledził i użyli jego radiostacji, żeby mnie połączyć z centrum kierującym tą akcją w Waszyngtonie. Stąd wiem, jakie mają zamiary. Próbowaliśmy załatwić sprawę bez rozlewu krwi.

250

- Nie chcę więcej słyszeć o pańskich porażkach! Kiedy Roski się pojawi, odda mu pan dowództwo nad Ośrodkiem.

- Szanowny pan raczył zapomnieć, że mnie mianować i odwołać może tylko prezydent.

O ile mi wiadomo, pan nim nie jest.

- Oddasz dowództwo, Orłow, albo każe cię stamtąd usunąć siłą!

- Proszę bardzo, tylko jak się tu ta siła dostanie, co? Od wyjścia Roskiego wszystkie wejścia są zablokowane od wewnątrz.

- Mam wystarczające siły, żeby zdobyć Ośrodek!

- Być może, ale zanim do tego dojdzie, pociąg i jego zawartość przejdzie do historii i co panu z tego przyjdzie?

- Słuchaj no, Orłow. Zastanów się dobrze, co robisz. Pomyśl o synu, o żonie.

- Pomyślałem. Kocham ich, ale w tej chwili myślę o Rosji i żałuję, że nie jestem tu z nimi. Żegnam pana, panie ministrze.

Orłow odłożył słuchawkę, a Dogin przez blisko minutę trwał bez ruchu. Tyle przygotowań. Tyle wyrzeczeń. I to wszystko staje pod znakiem zapytania z powodu jakiegoś wszawego sukinsyna, którego wychował na własnej piersi, chroniąc od zwolnienia z wojska wraz z innymi niepotrzebnymi już kosmonautami. Jak on mógł?

Z twarzą nabiegłą krwią i dłońmi trzęsącymi się z gniewu wezwał sekretarza i kazał się połączyć z Sankt Petersburgiem. Amerykanie nie wzięli się spod ziemi. Przylecieli na miejsce i ewakuować się muszą też drogą powietrzną. Uniemożliwi im to, a jeżeli coś stanie się z ładunkiem, to zwróci ich Ameryce po kawałku, za pośrednictwem Sawczuka.

251

♦ Wtorek, 23.10 - okolice Chabarowska

Squires patrzył na ostatnie, nikłe pasma łzawiącego dymu wydmuchiwane z wagonu przez okienka i drzwi. Wyrzwał na zewnątrz. Rozświetlone flarami miejsce zasadzki zostawało coraz bardziej w tyle. Wrócił do środka i poszedł na tył wagonu, do sterty skrzyń. Obejrzał je z bliska i omiół kieszonkowym licznikiem Geigera. Nie wyglądało na to, żeby zawierały broń nuklearną. Wyciągnął z pochwy na udzie nóż i podważył nim pokrywę. Skrzypnęły gwoździe. Zajrzał do środka.

To były pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Dochód z cierpień ludzi, który miał być przeznaczony na zadanie im kolejnych cierpień. Zamiast tego - spojrzął na zegarek - za pół

godziny, będzie z nich konfetti. Mieli zamiar jechać przez jakieś dwadzieścia minut, pokonując dystans, który nie pozwoli Rosjanom dobiec do pociągu przed eksplozją. Z

miejsca, w którym zostawią wagony, ruszą na lądowisko, jak jedyni sprawiedliwi ocaleni z Sodomy i Gomory.

Ruszył do drzwi oddzielających jego wagon od wagonu Newmeyera. Zamykał je właśnie za sobą, wychodząc na śliską platformę nakrywającą sprzęg, gdy do jego uszu dobiegł odgłos strzałów. Co jeszcze dziwniejsze, dochodził od strony lokomotywy. Do czego lub do kogo miałby strzelać Grey? A może to nie on, tylko do niego?

Krzyknął do Newmeyera, żeby poszedł za nim, i ruszył z powrotem przez pierwszy wagon. Otworzył przednie drzwi i w twarz buchnął mu obłok czarnego dymu, porwanego przez wiatr znad komina. Ostrożnie zaczął się wspinać po szczeblach drabinki na wierzch tendra.

Zdażył wystrzelić tylko krótką serię, ale wiedział, że Amerykanin dostał. Nic innego tak by nie szarpnęło jego ramieniem. Ruszył szybko naprzód, aby wykorzystać zaskoczenie napastnika i zdążyć opanować kabinę, zanim nadejdzie odsiecz. Doszedł do niej. Złapał za rurę wodną i podciągnął się przez okno do środka.

Wewnątrz nie było nikogo. Oczy Nikity gorączkowo sprawdzały zakamarki kabiny, oświetlane pomarańczowym blaskiem z paleniska. Podniósł oczy akurat w momencie, gdy w oknie pojawiły się na chwilę zarys głowy i ręka. Zdażył jeszcze zanurkować na podłogę, gdy rozległy się strzały. Amerykanin strzelał trochę na oślep, ale w zamkniętym pomieszczeniu o metalowych ścianach, których pocisk lub rykoszet musiał trafić i trafił. Rosjanin poczuł

uderzenie w prawe biodro. Krew zaczęła spływać nogawką i Nikita z grymasem bólu na twarzy ścisnął ręką biodro powyżej rany, żeby zatamować krwawienie. Rana zaczynała boleć coraz bardziej, noga zeszywniała, ale Nikitę bardziej teraz obchodziło to, że nie przewidział, że Amerykanin może ukryć się na dachu. Dobra, przechytrzył mnie i pies go trącał, pomyślał.

Co teraz?

Przewrócił się na lewy bok i podczołgał do dźwigni przepustnicy. Teraz najważniejsze było zatrzymać pociąg, by jego żołnierze mogli ponownie go opanować. Zbliżał się do dźwigni, czujnie spoglądając na okna, z palcem na spuście podniesionej w góry broni.

Amerykanin mógł się tu dostać tylko przez któreś z okien.

Nagle kabina rozświetliła się serią oślepiających błysków i rozrywających bębunki eksplozji granatu ogłuszającego. Ciasna kabina jeszcze spotęgowała jego działania. Puścił

broń i nogę, by obydwoma rękami zasłonić uszy, skuliwszy się na podłodze, klnąc w duchu swą bezbronność. Nie chciał strzelać na oślep, bojąc się rykoszetów.

To się nie może tak skończyć, pomyślał. Gdy tylko eksplozje ustały, spróbował

odepchnąć dźwignię nogą. Nie dał rady. Potem spróbował stanąć i sięgnąć ręką, ale stracił

oparcie, gdy lokomotywa podskoczyła na nierównym torze i opadł na kolana. Znowu sięgnął

ręką do dźwigni i tym razem udało mu się ją ruszyć. Ledwie ją puścił, czyjaś noga kopniakiem przestawiła dźwignię w poprzednie położenie. Nikita próbował ją złapać, ale trafił w powietrze. Porwał z podłogi *Kałasznikowa* i wystrzelił serię, omiatając rogi kabiny.

Nagle w blasku księżyca, który przedarł się przez chmury, zauważył sylwetkę w rogu.

Wycelował w głowę, zakładając, że napastnik ma pewnie na sobie kamizelkę kuloodporną.

- Nie rób tego - powiedział zza niego jakiś głos po angielsku.

Nikita nie zrozumiał, ale zaskoczony obejrzał się i w oknie zobaczył wycelowaną w swoje czoło lufę *Beretty*. Za nim stał mężczyzna w białym kombinezonie maskującym.

Rosjanin obrócił się, zdecydowany zastrzelić intruza choćby za cenę życia. Nie zdołał jednak.

Ten z rogu ożył nagle, podcinając go i łapiąc padającego w nożyce. Jego nogi ścisnęły Nikitę tak mocno, że nie zdążył się oswobodzić, zanim ten zza okna wszedł do środka i rozbroił go.

Nikita próbował z nimi walczyć, ale rana bardzo mu w tym przeszkadzała. Nowo przybyły klęknął mu na piersi, unieruchamiając go jeszcze dokładniej, a potem zarzucił pętlę na jego lewą nogę i przywiązał ją do poręczy drzwiczek.

Tych dwóch zaplanowało to na dachu, a ja się dałem złapać jak gówniarz, pomyślał.

- Bardzo mi przykro z powodu tej rany, panie poruczniku - odezwał się jeden z napastników,

zdejmując gogle. Trzeci napastnik wszedł do kabiny przez okno, po wymianie hasła z dwoma pozostałymi. Zajął się raną Amerykanina w rogu, a ten, który go rozbroił, Murzyn, wyraźnie zachowujący się jak dowódca, pochylił się nad nogą Nikity. Rosjanin wykorzystał ten moment, próbując znów sięgnąć do dźwigni przepustnicy. Amerykanin zauważył to kącikiem oka i złapał go za rękę, ściskając ją i wykręcając nadgarstek. Ból był

tak silny, że Nikita natychmiast przestał stawiać opór. Gdy Murzyn trochę mu popuścił, próbował go kopnąć prawą nogą, ale ból zranionego biodra był zbyt silny.

- Upartyś chłopie jak osioł. Medale u was za ból dają, czy co? - zapytał Murzyn.

Nikita nie odpowiedział, nie znał angielskiego. Murzyn odciął kawałek linki i użył jej jako opaski uciskowej na przestrzelone udo. Potem uciął drugi, dłuższy, którym związał ręce Nikity, a drugi koniec przeciągnął przez jakiś hak na podłodze.

- Słuchaj, za parę minut stąd wychodzimy. Zabierzemy cię ze sobą i dopilnujemy, żebyś otrzymał pomoc lekarską.

253

Nikita nie rozumiał jego słów, ale nawet gdyby, nic by to nie zmieniło. To był wróg i jego działaniom trzeba było stawiać opór za wszelką cenę.

Leżąc na związanych za plecami rękach wydłubał paznokciem kamień z sygnetu, który nosił na palcu. Sygnet był pamiątką, ale i odznaką świadczącą o ukończeniu kursu ucieczkowego, prowadzonego przez weteranów z Afganistanu. W razie potrzeby kamień można było wyjąć, odsłaniając centymetrowej długości ostrze ukryte wewnątrz sygnetu i mające służyć właśnie do cięcia więzów na rękach. Rozejrzał się, czy nikt na niego nie zwraca uwagi, i zaczął piłować linkę.

254

◆ Wtorek, 16.2 7 - Sankt Petersburg

Po przepchnięciu się przez tłum robotników Peggy i George weszli do holu muzeum, a stamtąd do toalet, gdzie przebrali się z mundurów w cywilne ubrania: dżinsy, koszule i tenisówki. Mundury złożyli i schowali do plecaków, a potem poszli na górę, trzymając się za ręce.

Pierwsze piętro Ermitażu mieści galerię malarstwa zachodnioeuropejskiego. Jednym z jej klejnotów jest „Madonna z Conestabile” Rafaela z roku 1502, nazywana tak od miasta w środkowych Włoszech, gdzie przez lata obraz ten się znajdował. Obraz jest niewielki, ma zaledwie 18 na 18 centymetrów i osadzony jest w ozdobnej złoczonej ramie, która z każdej strony ma szerokość równą całemu obrazowi. Przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem w ramionach, siedzącą w niebieskiej szacie na tle widniejących w oddali wzgórz.

Oboje agenci przybyli na krótko przed pierwszym terminem spotkania z Wołkowem.

Peggy udawała, że ogląda obrazy, kątem oka przyglądając się okolicy wokół jasno oświetlonej Madonny. George oglądał obrazy, bo i tak nie znał rysopisu spalonego szpiega.

Trzymał ją nadal za rękę i czuł się trochę głupio, bo ta sytuacja zaczęła mu się podobać, a to przecież nie była ręka jego żony. Podobało mu się ciepło tej dłoni, dotyk jej palców. To ciepło i łagodna miękkość w połączeniu ze świadomością morderczej sprawności tej samej ręki wyzwało w nim jakiś przyjemny dreszczyk.

Dokładnie o 16.29 dłoń Peggy drgnęła, ale nie rozluźniła uścisku. George obejrzał się w kierunku Madonny. W jej kierunku wolno pochodził jakiś facet, na oko metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, w luźnych białych spodniach, brązowych butach i błękitnej, wybrzuszonej się w pasie wiatrówce. W miarę jak zbliżał się do obrazu, uścisk Peggy był coraz silniejszy.

Rosjanin odszedł od przeciwległej ściany i skierował się prosto ku obrazowi, ale stanął z jego prawej, a nie lewej strony.

Peggy powoli odwróciła się i popchnęła George'a w kierunku wyjścia z sali, obejmując go ramieniem. Cały czas jej oczy czujnie śledziły otoczenie, powoli, dokładnie penetrując je, by nie zwracać na siebie uwagi rozbieganym spojrzeniem. Wszyscy oglądali obrazy albo przechodzili. Wszyscy, z wyjątkiem niskiego mężczyzny w sztywnych brązowych spodniach.

Jego okrągła, ale napięta i ponura twarz nie pasowała do świątyni sztuki, pełnej ludzi radośnie chłonących piękno.

Peggy zatrzymała się pod „Świątą Rodziną” Rafaela. Wskazała palcem od Józefa ku Dziewicy, jakby chciała mówić o szczegółach obrazu.

- Ten facet w brązowych spodniach śledzi Wołkowa - szepnęła.

- Który? Ja widziałem tylko tę kobietę.

255

- Gdzie?

- Stoi w drzwiach do sali obok, tej z obrazami Michała Anioła. Czyta przewodnik, zwrócona twarzą do tej sali.

Peggy udała, że kicha, żeby jej obrót miał jakieś uzasadnienie i rzuciła okiem we wskazanym kierunku. Zobaczyła kobietę z nosem wetkniętym w przewodnik, ale oczyma patrzącymi nad jego brzegiem na salę.

- Znają się na swojej robocie. Obstawili oba wyjścia. Ale chyba o nas nie wiedzą.

- Pewnie dlatego wystawiają Wołkowa. Użyli go jako przynęty, a on cię o tym ostrzegł.

Minęła minuta, może dwie. Wołkow rzucił okiem na zegarek i odszedł od obrazu. Krępy facet w brązowych spodniach odwrócił się i ruszył do wyjścia, gdy Wołkow zbliżył się do niego, ale kobieta zrobiła tylko pół obrotu, nadal wpatrując się w salę. Krępy stanął obok niej i też zaczął dyskretnie przypatrywać się zwiedzającym.

- Czego się gapisz, pokrako? -- półgłosem zapytała Peggy, gdy przeszli do kolejnego obrazu.

- Może nasz pasażer, ten od pieska, podał im nasz rysopis.

- To możliwe. Teraz się rozdzielimy i zobaczymy, co wtedy zrobią.

- To szaleństwo. W ten sposób nie będziemy się mogli ubezpieczać.

- Każdy będzie się musiał sam zatroszczyć o własny tyłek - ucięła Peggy. - Ty idź za Wołkowem, a ja przyjrę się tej babie. Spotkamy się na parterze przy wyjściu. Jak któremuś z nas powinie się noga. to ten drugi bierze tyłek w troki. Zgoda?

- Nie ma mowy.

Peggy otworzyła przewodnik na przypadkowo wybranej stronie.

- Słuchaj - mówiła spokojnie, ale stanowczo. - Ktoś musi się stąd wydostać i dać znać, co się stało. Przekazanie ich rysopisów spowoduje, że będą spaleni. Nie rozumiesz, że to jest najważniejsze?

George pomyślał, że jednak między agentem a żołnierzem Iglicy jest duża różnica. On był członkiem zespołu i w pojedynkę czuł się nieswojo, ona była samotną wilczycą, dla której on był tylko zbędnym balastem. I w dodatku miała rację.

- Dobra. Zrobimy jak chcesz.

Peggy podniosła oczy znad przewodnika i wskazała nimi salę Michała Anioła. George przymknął oczy na znak, że zrozumiał: pogłaskał ją po policzku.

- Powodzenia - szepnął, odchodząc w ślad za Wołkowem.

256

Podchodząc do krępego faceta w brązowych spodniach poczuł nagle, jakby go coś przyciągało do tajniaka. Twarz miał nadal zwróconą ku obrazom, jednocześnie szukał

wzrokiem Wołkowa, wchodząc do Sali Rafaela, której układ wzorowany był na galerii Muzeum Watykańskiego. Nie widział ani Wołkowa, ani krępego, gdy wchodził do galerii fresków Unterbergera.

- *Odnu minutoczku, pażalujsta* - usłyszał zza pleców. Odwrócił się ze zdumioną miną kogoś, kto nie rozumie, co do niego mówią. Nie musiał zresztą udawać. Krępy szedł w jego kierunku, celując w niego palcem. Nie miał pojęcia, co się teraz zdarzy.

Na wszelki wypadek uśmiechnął się promiennie i czekał. W tej chwili zza pleców krępego wybiegł Wołkow. W rękach trzymał ściągniętą z grzbietu wiatrówkę. To dlatego George nie mógł go zauważyć. Teraz podbiegł do krępego i zarzucił mu wiatrówkę na szyję, dusząc go.

- Ty skurwysynu! - wycharczał, czerwieniejąc na twarzy od wysiłku, który włożył w zaciskanie pętli na szyi zaatakowanego tajniaka.

Dwaj strażnicy muzealni wbiegli po schodach na górę i stanęli obok, wzywając pomoc przez radio.

- Czego się gapisz! Wiej! - krzyknął Wołkow do sparaliżowanego George'a.

Amerikanin nie rozumiał, ale dotarło do niego, co miał na myśli i wycofał się do wejścia do galerii zachodnioeuropejskiej. Zajrzał do środka, próbując wypatrzeć Peggy, ale ani jej, ani tajniaczki już tam nie było. Obejrzał się. Duszony tajniak wyszarpnął z kabury pod marynarką pistolet. Zanim George zdążył zareagować, sięgnął ręką za siebie i strzelił.

Jeden strzał wystarczył. Napastnik rozluźnił chwyt i upadł, brocząc krwią na podłogę.

George odwrócił się i, opanowując chęć udania się na poszukiwanie Peggy, ruszył powoli ku Schodom Teatralnym, by zejść na dół, do wyjścia.

Nie zauważył czujnie śledzącej go z narożnika sali kolejnej pary oczu.

257

♦ Wtorek, 23.47 - okolice Chabarowska

Śmigłowiec poruszał się jak cień Piotrusia Pana, zmieniając wciąż kształt na tle ciemnych skał na ziemi i ciemnego nieba ponad nim.

Matowy, czarny, gładki wirnik o zagiętych końcówkach łopat i rozplaszczony, obły kadłub odbijały bardzo mało światła, a pokrycie materiałami *RAM* zapewniało pochłanianie i rozpraszanie większości energii fali radarowych. Silniki były bardzo skutecznie wyciszone, a wszystkie części wyposażenia kabiny pomalowane na czarno, tak że wewnątrz też nic nie było widać.

Śmigłowiec niezauważony przelatywał nad wioskami i miasteczkami. Wewnątrz radar i kolorowy wyświetlacz obrazujące krajobraz, sprzężone z komputerowym autopilotem *CIRCE*, pomagały załodze omijać przeszkody, pozwalając przemykać niezauważenie tuż nad ziemią, gdzie inne samoloty nie mogły ich dostrzec.

Brytyjski okręt rozpoznania radioelektronicznego, operujący na wodach Oceanu Lodowatego, przechwycił rozkaz wysyłający samolot z Moskwy na spotkanie z pociągiem w Birze. Drugi pilot obliczył szybko na pokładowym komputerze, że samolot dotrze w rejon pociągu tuż po ich planowanym odlocie stamtąd. Uda im się wynieść, chyba żeby Rosjanin trafił na sprzyjający wiatr, a oni musieli się przebijać przez silny wiatr czołowy - wtedy mogło być niedobrze. W takiej sytuacji mieli rozkaz przerwać lot i wracać nad Morze Japońskie.

Ratunek Iglicy zależał od pojemności ich zbiorników, a nie współczucia.

- Wzgórze przed nami - powiedział Iovino.

Kahrs spojrział na wyświetlacz. Na ekranie widniał obraz rzeźby terenu, wygenerowany przez komputer na podstawie zdjęć satelitarnych, ukazując trójwymiarowy obraz okolicy, przez którą lecieli. Obraz był bardzo dokładny. Widać na nim było nawet konary drzew.

Kiedy przemknęli nad płaskim szczytem wzgórza, na wyświetlaczu zauważyli linię kolejową biegnącą dnem doliny.

- Przechodzę na podczerwień - powiedział Kahrs, podnosząc wzrok znad wyświetlacza i rozglądając się wokół z pomocą czułego systemu *FLIR*. Jakies dwa kilometry przed nimi zobaczył rozpalone na śniegu ognisko i grupę ludzi. To pewnie wysadzona obsługa pociągu, pomyślał.

Przycisnął klawisz wyświetlacza *HUD*. Wszyscy żołnierze Iglicy mieli zamontowane w podszwach butów nadajniki identyfikacyjne. Spojrział na komputerową mapę, szukając miejsc, z których odezwą się identyfikatory. Trzy czerwone światełka zabłyśły w jednym miejscu, a trzy w innym. Kahrs znowu podniósł wzrok. Zza wzgórz ujrzał buchające w górę kłęby dymu. Pojawiły się kolejne trzy światełka.

- Mam pociąg - powiedział.

Iovino wstukał koordynaty i spojrzał na mapę.

Ładowisko ewakuacyjne jest dwa kilometry stąd na północny zachód. Zespół musiał się rozdzielić, bo te trzy światełka są właśnie tam, koło mostu.

- Jak rozkład?

- Pięćdziesiąt trzy sekundy przed czasem.

Kahrs zaczął się zniżać, bo od przelotu nad wzgórzem utrzymywał wysokość 400

metrów, jednocześnie kierując się na północny zachód. *Moskit* reagował na stery jak szybowce z balsy, które Kahrs puszczał za młodu. Bezdźwięczny niemal wirnik podkreślał

jeszcze to uczucie. Obniżywszy lot do dwustu pięćdziesięciu metrów wyrównał i skierował się prosto na północ.

- Punkt orientacyjny odnaleziony. Ładowisko odnalezione - dodał, zauważając sylwetki trzech członków *Iglicy*.

- Kontakt za 46, 45, 44 sekundy - odliczał Iovino, wstukując koordynaty na klawiaturze obok wyświetlacza. Kahrs znowu spojrzał w kierunku dymu na horyzoncie.

- To tylko trzej z sześciu. Ładuj ich jak najszybciej i lecimy po resztę.

- Bez odbioru - potwierdził Iovino.

Kahrs nadlatywał nad cel, a Iovino śledził cyfry migające na ekranie. Siedem sekund przed planowanym kontaktem wcisnął przycisk otwierający właz z tyłu, który zaczął

przesuwać się w przód, niknąc w osłonie z boku kadłuba. Otwarcie włazu zajęło sekundę.

Pięć sekund przed kontaktem wcisnął drugi przycisk, wysuwający wysięgnik z dziesięciometrową drabinką sznurową, która rozwinęła się w ciągu czterech sekund.

Śmigłowiec stanął w zawisie, jak przymurowany.

Pierwszy na pokład wspiał się Ishi Honda. Iovino odwrócił się do niego.

- Gdzie reszta?

- W pociągu - rzucił przez ramię Honda, pomagając wciągnąć się Sondrze.

- Co zamierzają zrobić?

- Chcieli wysiąść i dołączyć do nas - odparła Sondra, gdy Honda wciągał do środka Pupshawa.

Iovino spojrział na Kahrsa, który kiwnął głową na znak, że usłyszał.

- Ile zyskamy lecąc im na spotkanie? - zapytał Kahrs.

259

Iovino już odliczał to na pokładowym komputerze. Czekając na nich zużyliby tyle samo paliwa, co lecąc po nich do pociągu. Nie wiedzieli, kiedy tamci trzej wysiądą i jak daleko trzeba będzie po nich lecieć, ale zakładając, że nadal są przy pociągu, zużycie paliwa będzie takie samo.

- Lećmy po nich - powiedział Iovino, wciskając guzik wyciągarki, która schowała drabinkę. Potem zamknął właz, by opór powietrza nie zwiększył zużycia paliwa.

- No to jazda - powiedział Kahrs, zawracając na południowy wschód i pochylając nos maszyny w kierunku dymu na horyzoncie.

260

♦ Wtorek, 8.49 - Waszyngton

- Co wy tam do cholery wyprawiacie w tej Rosji, Paul? - rozległ się z głośnika poirytowany głos dyrektora CIA, Larry'ego Rachlina. Piwne oczy widniejące za złotymi drucianymi oprawkami okularów miały błyskawice, w kąciку ust chybotął się nie zapalony papieros.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Mina Hooda i ton jego głosu były wcieleniem niewinności. Spojrzał na zegar w rogu ekranu. Iglica zostanie ewakuowana dopiero za dwie minuty, ale jeszcze dwie godziny miną, zanim hangar krążownika zamknie się za *Moskitem*, zacierając ostatnie ślady operacji.

Rachlin wyjął z ust papierosa, celując nim w Paula.

- Już wiem, dlaczego to ty jesteś szefem tego bajzlu, a nie Rodgers. Wybrali ciebie, bo przy twojej buźce pokerowa twarz Gable'a w „Przeminęło z wiatrem” to szczyt szczerości.

„Kto, ja? Nie, no, Lany, skąd? Ja prowadzę jakąś tajną operację? Chyba żartujesz” – zgrywał

się Rachlin. - Dobra, Paul. Koniec tej zabawy. Viens udaje głupiego i wciska mi ciemnotę, że mu się nagle wszystkie satelity zepsuły, ale moi ludzie przechwycili zdjęcia z chińskiego sputnika i wyobraź sobie, widać na nich grupę komandosów napadających na pociąg, jak w jakimś tanim westernie. Obejrzelismy to sobie, a tu nagle żółtki dzwonią, oficjalnie przysyłają ten sam filmik i pytają, czy to moja robota. W odróżnieniu od ciebie, ja nie mam o tym zielonego pojęcia, więc może byś mnie łaskawie oświecił, chyba że się od tego świat zawali.

Dla twojej wiadomości dodam, że Chińczycy połączyli to z przelotem tego *Ila-76*, którego wypożyczyłeś od nas, więc nie udawaj Greka, dobrze? Pytałem w Komisji Wywiadu, a tam mi powiedzieli, że nie wydawali zgody na żadne spaghetti-westerny. Oni też chcieliby wiedzieć, co się tam dzieje. No więc powtarzam: co wy tam do jasnej cholery wyprawiacie?

- Larry, muszę ci się przyznać, że jestem tym równie zaskoczony jak ty. Wiesz, byłem na urlopie...

- Tak, wiem. I wróciłeś z niego jak do pożaru.

- A wiesz, zapomniałem już, jak bardzo nie znoszę Los Angeles.

- Tak, tak. I co jeszcze? Wszyscy nie znoszą Los Angeles, tylko jakoś każdy się tam pcha.

- Może to dlatego, że drogi są doskonale oznakowane?

- Powiesz wreszcie, czy mam zapytać prezydenta? Bo przecież on wie o tym wszystkim, nieprawdaż?

- Poczekaj chwilę, zaraz zapytam Mike'a i Boba, może oni coś będą wiedzieć?

- Jasne, Paul. Nie ma sprawy. - Rachlin umilkł na chwilę. - Słuchaj, Paul, ty tu jesteś nowy. Ja, zanim usiadłem na moim stołku, byłem w FBI i w Pentagonie. Ty tu sobie przyjechałeś z Miasta Aniołów, ale Waszyngton nie jest miastem aniołów, tylko diabłów, które znają się jak łyse konie i popierają nawzajem. Nie próbuj nikogo ciągnąć za ogon, bo wylądujesz w smole. Jasne?

- Jasne, Larry. Jak mówiłem, rozejrzę się i dam ci znać.

- Zrób to - odparł dyrektor CIA, rozgniatając międlonego w palcach papierosa o klawisz wyłączający wizję.

Hood spojrzał na Rodgersa, stojącego za ekranem komputera, tak że rozmówca go nie widział. Byli w gabinecie dyrektora sami, oczekując na wieści od *Moskita*.

- Przykro mi, że musiałeś tego słuchać - powiedział.

- Nie przejmuj się nim - odparł Rodgers. - Mamy na niego parę kwitów, gdyby zaczął brykać.

- Jakich kwitów?

- Zdjęcia z orgietki, którą sobie urządził na jachcie, gdy żona wyjechała na urlop. On z kolei ma nagranie rozmów siostry prezydenta z japońskimi biznesmenami, od których brała pieniądze na jego kampanię wyborczą. Tylko dlatego Lawrence zastąpił nim Grega Kidda na stanowisku dyrektora Agencji.

- Powinien mianować na to stanowisko swoją siostrę. Może przynajmniej używałby jej przeciw naszym wrogom, a nie do wewnętrznych rozgrywek.

- Słuchałeś, co powiedział na końcu? Tu jest piekło, każdy tu jest czyimś wrogiem.

Odezwał się brzęczyk telefonu. Hood nacisnął przycisk głośnika.

- Tak?

- Transmisja z *Moskita* - powiedział Benet.

Rodgers pochylił się nad biurkiem.

- Melduje się szeregowy Honda.

- Jak to wygląda tam na miejscu? - zapytał generał.

- Wraz z Sondrą i Pupsem jesteśmy na pokładzie śmigłowca - Rodgers poczuł żelazną pięść ściskającą mu trzewia. - Pozostali są nadal w pociągu. Nie wiemy, co ich tam zatrzymało.

Rodgers trochę się rozluźnił.

262

- Jakież oznaki oporu?

- Wygląda na to, że nie ma, sir. Widzimy, że ruszają się w oknach kabiny maszynisty.

Kontakt za 39 sekund.

Rodgers oparł się pięściami na blacie biurka. Hood siedział obok i w duchu modlił się za Iglicę.

Spojrzał na Rodgersa. Generał podniósł wzrok na niego. Hood widział w jego oczach dumę, ale i niepokój.

I wtedy Honda odezwał się znowu, ale w jego głosie słyhać było coś. czego nie było poprzednio.

263

♦ Wtorek, 16.54 - Sankt Petersburg

Peggy zdawało się, że do wyjścia z muzeum ma równie daleko, co do Helsinek. A przecież było już blisko - tylko przejść przez galerię malarstwa bolońskiego, a potem Schodami Cesarskimi w dół i już tylko parę kroków.

Czuła za sobą obecność tamtej kobiety. Skoro ją śledzi, to musi być ktoś jeszcze, kto ją ubezpiecza. Może ktoś z Ośrodka Orłowa, może nawet działający bez jego wiedzy i zgody.

Peggy zatrzymała się, by obejrzeć obraz Tintoretta, a jeszcze bardziej po to, by rzucić okiem na swą opiekunkę. Była tam i gapiła się na nią, nawet tego nie kryjąc.

Widząc, że Peggy zatrzymała się, tamta też stanęła, jakby jej wręcz zależało na tym, żeby agentka wiedziała, że ma towarzystwo. Pewnie liczyła na to, że śledzona wpadnie w panikę i zrobi coś głupiego.

Peggy zastanawiała się, co robić. Przyszło jej do głowy kilka pomysłów, ale wszystkie odrzuciła. Rozważała różne rozwiązania, od wzięcia zakładnika po podpalenie, ale każde z nich ściągnęłoby jej tylko na głowę więcej tajniaków, redukując szansę na ucieczkę. Myślała nawet o tym, by próbować przebić się do Ośrodka i oddać w ręce Orłowa. To także odrzuciła.

Po pierwsze, nie wiedziała, gdzie jest Ośrodek. Po drugie, nawet gdyby dało się zaaranżować wymianę szpiegów, Orłow nie mógłby jej zagwarantować bezpieczeństwa. No i po trzecie -

główną zasadą w ich fachu jest nie dać się zapędzić w narożnik - a ta piwnica to nie tylko narożnik, ale od razu gotowa trumna.

Daleko nie ucieknie. Wyjścia są pewnie obstawione, a za chwilę zaczną przeczesywać klatki schodowe i galerie. Peggy pręcej dałaby się posiekać, niż żeby miała pozwolić Rosjanom wybrać czas i miejsce konfrontacji.

Jeżeli jeszcze nie zaczęli przeczesywać, to przede wszystkim musi ich oślepić, pozbywając się tej tajniaczki. Może w ten sposób zdoła ich też odciągnąć od tego amerykańskiego szczeniaka.

Postanowiła odciągnąć ją w miejsce, gdzie mogłaby z nią zrobić porządek, zanim tamtej przybędzie ktoś na pomoc. Odwróciła się gwałtownie od Tintoretta i szybkim krokiem, prawie biegnąc, ruszyła do schodów. Tamta chwyciła przynętę, dotrzymując jej kroku.

Peggy wybiegła z sali i ruszyła ku wspaniałej klatce schodowej o ścianach z żółtego marmuru i z rzędami kolumn. Biegnąc w dół po schodach, przepychała się przez rzednący już popołudniową porą tłum zwiedzających, kierując się ku głównemu wyjściu.

I wtedy, w pół drogi na dół, potknęła się i upadła.

♦ Wtorek, 23.55 - okolice Chabarowska

Dwie minuty przed planowanym zatrzymaniem pociągu, Nikita Orłow poprosił o papierosa.

Amerykanie stali w kabinie, kończąc pakowanie swego ekwipunku. Squires spojrział w dół na jeńca. Po rosyjsku nie rozumiał, ale w końcu słowo *cigariet* nie odbiega aż tak bardzo od amerykańskiej nazwy papierosa.

- Co ty, Iwan. My nie palimy, to już nie te czasy. Chyba że ty masz jakieś, to ci możemy podać.

Rosjanin coś odpowiedział, ale znowu nic z tego do nich nie dotarło.

- Newmeyer, obszukaj go i jak znajdziesz jakieś fajki, to daj mu jedną.

- Tak jest.

Newmeyer odszedł od rannego Greya i pochylił się nad Nikitą. Sięgnął do kieszeni jego kurtki i namacał znoszony skórzany kapciuch, ściągnięty szeroką gumową taśmą. Pod nią zatknięta była stalowa zapalniczka z wyrytymi literami i grawerowanym portretem Stalina.

- O, ładna. Pewnie pamiątka rodzinna - mruknął, oglądając zapalniczkę w czerwonym świetle kabiny. Otworzył kapciuch i wewnątrz znalazł kilka skrętów. Wyjął

jednego i wetknął Rosjaninowi w usta, a potem przypalił.

Newmeyer zamknął zapalniczkę, zwinął kapciuch i pochylił się nad jeńcem, by mu go wetknąć z powrotem do kieszeni. Nikita wydmuchnął dym nosem i nagle szarpnął się, trafiając go czołem w twarz. Newmeyer zachwiał się i z jękiem upadł, wypuszczając kapciuch. Nikita poderwał się, złapał go i wepchnął w tryby dźwigni przepustnicy. Zanim Newmeyer zdążył się pozbierać, Nikita szybko pchnął dźwignię przepustnicy, a tryby wciągnęły kapciuch. Za chwilę usłyszeli zgrzyt i trzask, gdy strzępy metalu dostały się w tryby przepustnicy i wysadziły koła zębate z łożysk, blokując przepustnicę.

Squires próbował ją zamknąć, ale na próżno. Dźwignia była jak przyspawana.

- Cholera!

Spróbował raz jeszcze. Nic.

- Cholera! - powtórzył.

Popatrzył na Rosjanina, potem na Newmeyera. Ten nawet nie rozcierał twarzy, choć widać było, że będzie miał niezłą śliwę pod okiem. Klęczał na piersi jeńca i widać było, że strasznie mu głupio, że tak dał się podejść.

- Przepraszam, sir - powiedział.

No i dobra, pomyślał Squires. Ten ruski skurczybyk zrobił dokładnie to, co każdy z nas by zrobił w jego sytuacji. Dobry jest, nie ma co.

Tyle że pociągu teraz nie dało się już zatrzymać. Skład po wyjściu z zakrętu szybko nabierał szybkości, a przed nimi w oddali jaśniał już most. Nie ma mowy, żeby zdołali wyskoczyć. Obaj ranni, Grey i ten pieprzony Rusek nie przeżyliby tego. Mieli tylko dwie minuty, potem ładunek pod lokomotywą może eksplodować w każdej chwili.

Wyjrzał przez okno raz jeszcze i zobaczył coś, co w jego goglach noktowizyjnych wyglądało jak chmara zielonej szarańczy. To był chyba śmigłowiec, ale Charlie jeszcze niczego takiego w życiu nie widział. Sylwetka i kolor natychmiast powiedziały mu, że to jakaś konstrukcja technologii *stealth*. Poczul się zaszczycony. Nawet Muammar Kaddafi nie zasługiwał na to, by z jego okazji zaprezentować *F-117A*, a tu proszę - premiera nowego śmigłowca dla ratowania tyłka sześciu ludzi, o których prawie nikt nie wie, że w ogóle istnieją.

Śmigłowiec podchodził do nich nisko i szybko. Widoczność była bardzo dobra, śnieg ustał już zupełnie. Pewnie nie potrwa długo, zanim się zorientują, że pociągu nie da się zatrzymać. Pytanie tylko, czy zdążą ich zabrać.

- Newmeyer, wynieś Greya na dach. Stamtąd będziemy się ewakuować.

- Tak jest.

Newmeyer wstał z Rosjanina i uważnie śledząc jego ruchy, choć unikając spojrzenia, odszedł w róg do Greya. Pochylił się nad nim, ujął go za ramiona i zarzucił sobie na ramię.

Ledwie przytomny sierżant próbował się go trzymać, gdy się prostował.

Przez chwilę ociągał się, patrząc jak Squires podnosi z podłogi jeńca.

- Zasuważ! Dam sobie radę sam - popędził go pułkownik, wskazując drzwi.

Newmeyer kopniakiem otworzył zawiane śniegiem drzwi, wychylił się i wyciągnął na podest, po czym wepchnął rannego na płaski dach.

Squires założył Rosjaninowi łokieć na szyję i unieruchomił go, lekko przy tym dusząc, gdy odwiązywał linki, którymi jeńiec był przywiązany do podłogi. Kiedy skończył, popchnął

go w kierunku drzwi.

♦ Wtorek, 16.56 - Sankt Petersburg

Wala zauważyła jakiś dziwny ruch, który uciekająca zrobiła na schodach. W pierwszej chwili myślała, że tamta sięga po broń, więc uskoczyła za kolumnę, ale zanim tam dotarła, zrozumiała, że potknęła się i spada po schodach. Wala ruszyła biegiem za nią. Liczyła na to, że korzystając z oszołomienia upadkiem zdoła ją obezwładnić, a może nawet coś z niej wyciągnąć. Zadziwiające, co upadek potrafi zrobić z człowiekiem - zanim się nie otrząśnie.

zupełnie traci wolę.

Zwiedzającym dech zaparł w piersiach widok kobiety, która przeleciała w dół ze dwadzieścia stopni starając się ochronić głowę, a potem tuż przed lądowaniem zarzuciło ją i wykonała jakby pół jakiegoś nie kontrolowanego salta, po którym ciężko zwała się na bok.

Leżała zwinięta w kłębek, cicho jęcząc. Tłum powoli gęstniał wokół niej. Ktoś zawołał do strażników, żeby ściągnęli karetkę, ktoś inny klęknął i ściągnawszy z siebie marynarkę, położył jej pod głowę.

- Nie dotykać jej! Rozejść się! - krzyknęła Wala, wyciągając z kabury pod swetrem pistolet. - Ta kobieta jest niebezpiecznym przestępcą, zbiegłym z więzienia.

Tłum powoli zaczął się rozstępować. Rosjanie, bo zrozumieli co mówiła, obcokrajowcy, bo zobaczyli broń w jej rękach.

Wala obeszła leżącą i spojrzała w twarz agentki. Kątem oka zauważyła jeszcze jakiegoś ociągającego się gapia.

- No co jest?! Wynocha, powiedziałam! - krzyknęła, machając ręką, gdyby ktoś nie zrozumiął.

Ostatni widzowie rozeszli się wreszcie i Wala wróciła do leżącej Peggy. Oczy agentki były zamknięte, leżała z prawą dłonią pod policzkiem, a lewa ręka bezwładnie spoczywała obok, zgięta pod nienaturalnym kątem. Wali nic nie obchodziło, czy tamta sobie coś połamala, czy nie. Przyłożyła jej lufę do czoła i powoli obróciła ją na plecy.

Peggy skrzywiła się i jęknęła z bólu.

- Paskudnie poleciałaś - powiedziała po angielsku Wala. - Rozumiesz mnie?

Peggy kiwnęła głową z widocznym trudem.

- Ech, wy Angole. Coś musi być w tym mieście, że padacie jak muchy. Ciągle mam przez was kupę roboty. Najpierw ten cymbał od komiksów i jego banda, teraz ty. Człowiek na pięć minut nie może oka zmrużyć. Odwiozę cię do szpitala, ale najpierw pogadamy.

Usta Peggy poruszyły się bezgłośnie.

- Co mówisz? - Wala pochyliła się i zabrała rękę z pistoletem.

- Na... najpierw...

- Patrzcie no ją, jeszcze się będzie targować. Powiedziałam najpierw pogadamy.

Chciałabym się dowiedzieć czegoś o tej waszej wycieczce. Na przykład, jak się nazywał ten facet, z którym w Helsinkach...

Peggy poruszyła się tak szybko, że Wala nawet nie zdążyła zdać sobie z tego sprawy.

Poczuła na szyi ostrze noża, który nagle nie wiadomo skąd znalazł się w ręku agentki. Cięcia, które rozplatało jej aortę i tchawicę już nie zdążyła poczuć. Tak samo jak nogi, która zablokowała jej rękę z pistoletem.

Rosjanka drgnęła kilka razy, jakby próbując się oswobodzić, więc Peggy pchnęła nóż głębiej i po chwili tamta zwiotczała.

- Najpierw trzeba się było upewnić, że to wypadek - dokończyła zaczęte zdanie. -

Zabiłaś o jedną muchę za dużo, moją muchę, ździro.

- Nie ruszać się! - usłyszała z góry jakiś głos wołający po rosyjsku.

Obejrzała się i zobaczyła krępego mężczyznę w mundurze pułkownika Specnazu. W

wyciągniętej, bardzo pewnej ręce, tkwił wycelowany w nią pistolet. Za pułkownikiem stał

zdyszany grubas w brązowych spodniach, którego widziała na sali z Madonną Rafaela.

- Spokojnie, tylko spod niej wyjdę - powiedziała i zepchnęła z siebie bezwładne, broczące krwią ciało.

Pułkownik ruszył w dół schodami, nie opuszczając broni. Peggy wstała plecami do schodów.

- Ręce do góry! - krzyknął pułkownik.

- Dobra, wiem - odparła, odwracając się powoli i unosząc ramiona.

Kiedy były już na wysokości piersi, szybko dokończyła obrót, trzymając w dłoni pistolet zabrany zabitej tajniaczce. Między nimi nie było turystów, więc strzeliła z podrzutu.

Pułkownik zatrzymał się i odpowiedział ogniem, jak na pojedynku.

Ale jej już tam nie było. Rzuciła się w lewo i przeturlała w bok, aż trafiła na balustradę.

Zapadła cisza, echo strzałów krążyło po marmurowych zakamarkach, jako jedyne przypomnienie o wymianie strzałów. I jeszcze czerwona plama, która wykwitła na piersi pułkownika Roskiego.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani trochę, ale po chwili ręka zaczęła drżeć, w końcu opadła, i po chwili rozległ się stukot upadającego na kamienne schody pistoletu. Za chwilę w 268

jego ślady poszedł sam pułkownik, padając z lekkim obrotem i zsuwając się bezwładnie ze schodów, aż zatrzymał się przy ciele swej podwładnej.

Peggy poderwała się zza balustrady biorąc na cel Pogodina, który dalej stał tam, gdzie widziała go na początku, w miejscu, skąd pułkownik ruszył w dół po schodach. Ten jednak nie czekał na jej strzał i uciekł w głąb korytarza. Peggy usłyszała z oddali tupot biegnących ludzi. Nie miała pojęcia, czy to strażnicy, turyści czy może ktoś inny. Nie mogła tracić czasu na gonitwę za Pogodinem. Wetknęła mały pistolet do kieszeni spodni i ruszyła biegiem w dół

schodów, krzycząc po rosyjsku:

- Ratunku! Tam jest zabójca! Ludzie, on oszalał!

Minęli ją jacyś strażnicy, nikt nie zwracał na nią uwagi. Krzycząc wciąż, pobiegła do wyjścia. Zginęła w tłumie, który ruszył do muzeum, by zobaczyć, co się dzieje. Uczestnicy wiecu pchali się, żeby zobaczyć, czy to czasem nie ktoś od nich, albo może jakaś prowokacja...

◆ **Wtorek, 8.5 7 - Waszyngton**

- Wchodzą na dach parowozu! - wykrzyknął podniecony Honda. Rodgers wiedział, że coś musi być nie tak, bo Japończyk był zawsze wcieleniem niewzruszonego spokoju. - O

Boże, pociągu nie da się zatrzymać!

- Nie mogą skakać?

- Nie, sir, właśnie wjechali na most. Stamtąd jest ponad sto metrów w dół do rzeki.

Widzę Greya. Cholera! O, przepraszam, sir.

Newmeyer wpycha go na dach. Sierżant rusza się, ale wygląda na to, że jest ranny.

- Ciężko?

- Nie mam pojęcia, sir. Jesteśmy prawie na jednym poziomie, a on leży płasko na dachu.

Teraz... teraz chyba jakiś Rosjanin, sir. Wyraźnie widać, że ranny, spore krwawienie z nogi.

- Co robi Rosjanin?

- Niewiele. Pułkownik Squires podaje go Newmeyerowi, ten trzyma go za włosy.

Wygląda na to, że Rosjanin stawia opór. Chwileczkę, sir.

Honda umilkł na jakiś czas, z pokładu śmigłowca dochodziły jakieś rozmowy, ale Rodgers nic nie mógł zrozumieć. W pewnej chwili usłyszał Sondrę.

- Dobrze, to wyrzucimy sprzęt i ubrania. Będzie lżej i paliwa wystarczy.

Wyglądało na to, że Squires zamierza zabrać na pokład jeńca, a pilot martwi się o zapas paliwa. Rodgers poczuł kroplę potu spływającą wzdłuż kręgosłupa.

- Pilot martwi się przekroczeniem masy ładunku i popędza nas z ewakuacją.

- Honda, pilot odpowiada za ten śmigłowiec i to on tam dowodzi. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

Hood, widząc napięcie w twarzy generała, poklepał go uspokajająco po ramieniu.

- Rosjanin jest już do połowy na dachu. Wygląda jakby był bezwładny.

- Ale żyje?

270

- Chyba tak, bo nadal wpychają go na dach.

Linia znowu zamilkła na chwilę. Obaj dyrektorzy popatrzyli na siebie, zapominając o przerwanych urlopie i kompetencyjnych przepychankach, w napięciu oczekując na rozwój wypadków.

- Widzę pułkownika. Wychyla się z okna. Pokazuje w głąb kabiny, a potem palcem po szyi.

- Urządzenia sterownicze wysiadły - domyślił się na głos Rodgers.

- Tak, my też tak to zrozumieliśmy. Chwileczkę, sir. Musimy nadlecieć nad pociąg. A potem... - przerwał na chwilę, a potem słysząc było z oddali, jak powiedział. - Tak, też tak myślę.

- Co tam się dzieje, Honda? - zapytał Rodgers.

- Pilot kazał spuścić drabinę - w głosie Hondy znów pojawiło się podniecenie. - Mamy 80 sekund na załadunek.

Rodgers wypuścił ze świstem powietrze. Z napięciem śledził migające cyferki na tarczy zegara.

271

♦ **Wtorek, 23.57 - okolice Chabarowska**

Moskit przemknął nad lokomotywą jak ciemna i cicha chmura gradowa. Squires śledził

go wzrokiem, jak minął ich, potem zatrzymał się, zawrócił i powoli zaczął podsuwać się do nich.

Drabinka opadła dokładnie na dach i Sondra zeszła parę stopni w dół. Pochyliła się ku nim i wyciągnęła ramiona.

- Dalej! Ruszajcie się! - krzyknęła.

- Newmeyer! - krzyknął Squires.

- Tak, sir?

- Puść Ruskiego i zajmij się Greyem. Potem ty.

Newmeyer bez dyskusji zastosował się do rozkazu. Potem długo się nad tym zastanawiał, wciąż na nowo przeżywając wydarzenia, w których brał udział, zadreptał się tym, aż wreszcie wylądował u Liz Gordon, psychologa Centrum. Ale wtedy posłuchał

rozkazu Squiresa bez gadania, bo tak go wyszkolono.

Puścił jeńca i podniósł Greya. Śmigłowiec zawisł dokładnie nad nim i pilot zniżał się, zbliżając koniec drabinki do niego. Newmeyer postawił stopę na ostatnim szczeblu i zaczął

się wspinać. Sondra i Pupshaw złapali Greya i wciągnęli do wjazdu. Po chwili Newmeyer także wciągnął się na pokład. Sondra wyjrzała na dach parowozu.

- Trzydzieści sekund! - oznajmił Iovino.

- Zostało tylko pół minuty! - krzyknęła do Squiresa.

- Dwadzieścia pięć!

Squires puścił włosy Nikity, podrzucił go sobie na ramię i usiadł na framudze okna.

Próbował wstać, ale Nikita opierał się, próbując wepchnąć go z powrotem do kabiny.

- Dwadzieścia sekund!

- Niech cię cholera! - krzyknął Squires, gdy Nikita zanurkował z powrotem w okno.

Zdążył jeszcze złapać go za kurtkę. Szarpnął z powrotem, ale jeńiec złapał się za poręcz wewnątrz i

trzymał.

- Piętnaście!

272

Na twarzy Sondry zaczęła się malować rozpacz.

- Panie pułkowniku, piętnaście sekund!

Squires gestem kazał pilotowi zejść jeszcze niżej. *Moskit* opadł na tyle, że koniec drabinki szorował po dachu koło pułkownika.

Squires pokazał, że chce jeszcze niżej.

- Dziesięć!

Squires puścił kurtkę Nikity i sięgnął do kabury. Wyjął z niej pistolet, wycelował w dół i strzelił jeńcowi w rękę. Rosjanin zawył z bólu, puścił poręcz i wpadł do kabiny.

Squires skoczył za nim.

- Nie! - krzyknęła Sondra i zbiegła w dół po drabince. Newmeyer ruszył za nią.

- Pięć sekund!

- Zaczekajcie! - krzyknęła Sondra.

Drabinka wisiała obok okna. Dysząc, Squires wypchnął bezwładne ciało Nikity przez okno, a Sondra i Newmeyer wciągnęli je na dach.

Pilot czekał, a Pupshaw sięgnął w dół i pomógł Newmeyerowi wepchnąć ciało Rosjanina.

Pułkownik ukazał się w oknie. Sondra wyciągnęła ku niemu dłoń, a on wytknął swoją.

W tym momencie wybuchł pierwszy wagon, a zaraz po nim drugi. Wybuchy wstrząsnęły lokomotywą, jej tył podrzuciło do góry. Pękł sprzęg między nią a tendrem, który sypnął węglem wypadając z torów, lokomotywa także wypadła z szyn.

- Pułkowniku! - krzyknęła przerażona Sondra, gdy Squires pod wpływem wstrząsu wpadł z powrotem do kabiny. - Niech pan jeszcze nie odlatuje! - zwróciła się do pilota.

Kahrs nie słuchał jej i odleciał w bok, by uniknąć odłamków.

- Właż z powrotem! - krzyknął załamującym się głosem Newmeyer do wiszącej na drabince Sondry.

Sondra kurczowo trzymała się drabinki, śledząc oddalający się pociąg. Widziała jak spod lokomotywy rozbłysła nagle czerwona kula, jak sama lokomotywa unosi się z toru i powoli kładzie na boku.

- On tam ciągle jest! Musimy po niego wracać! - krzyczała.

A wtedy osłabiona wybuchami kratownica przęsła mostu zaczęła się składać, pękając powoli, jakby na zwolnionych zdjęciach. Za chwilę eksplodował kocioł, rozrywając 273

lokomotywę i rozrzucając jej szczątki dookoła. Wielka czerwona kula ognia z żółtymi błyskami i czarnymi plamami zsunęła się w dół, na dno stumetrowego wąwozu, powoli gasnąc.

- Nie, nie, nie - powtarzała Sondra, gdy podciągnęli w górę drabinkę i silne ramiona wciągnęły ją do ładowni *Moskita*.

- Wciągajcie drabinkę! - krzyknął Iovino. Gdy tylko wciągnęli ją do środka i zwinęli drabinkę, zamknął właz. Pupshaw zmierzył jeńca wzrokiem, w którym widać było żądzę krwi, ale za chwilę opanował się i wyciągnął opatrunek osobisty, którym opatrzył ranę Greya.

Poza jękami jeńca strasznej ciszy w ładowni śmigłowca nic nie zakłócało.

- On tam był. Tuż obok - powiedziała wreszcie Sondra. - Jeszcze parę sekund, to wszystko, co było trzeba...

- Pilot czekał już i tak długo - tłumaczył Newmeyer. - To ten wybuch.

- Nie. To ja go nie chwyciłam w porę.

- Nic nie mogłaś zrobić.

- Gówno prawda! - rzuciła z błyskiem w oku. - Mogłam coś zrobić. Mogłam wyjąć pistolet i zastrzelić tego skurwysyna, którego on chciał ratować i nie zrobiłam tego.

Wyrzucmy bydlaka, będzie lżej - umilkła, zdając sobie sprawę z tego, że posunęła się za daleko. - O Boże, dlaczego?

Odwróciła się od ściany i zapłakała. Obok niej Newmeyer także schował twarz w rękach. Pupshaw wstał i związał jeńca najdelikatniej, jak na to pozwalała jego wystawiona na ciężką próbę miłość bliźniego.

♦ **Wtorek, 9.10 - Waszyngton**

Z tonu, jakim mówił Honda, Rodgers domyślił się, że było niedobrze.

- Newmeyer i Grey zostali ewakuowani z pociągu wraz z rosyjskim oficerem. Nie... Nie udało się ewakuować pułkownika Squiresa. Pułkownik został...

Honda umilkł i Rodgers usłyszał, jak przełyka łzy.

- Pułkownik Squires został w pociągu - ciągnął łamiącym się głosem Honda. - Pociąg uległ kompletnemu zniszczeniu. Zadanie zostało wypełnione.

Rodgers nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Coś sparaliżowało jego usta, gardło, ramiona. Nawet jego umysł, zahartowany w walce, gdzie nieraz widział ginących obok przyjaciół, zmroziło to, co usłyszał.

- Co z Greyem? - zapytał Hood.

- Postrzał w ramię, sir. Wylize się - odparł Honda.

- A Rosjanin?

- Postrzały w biodro i w ramię - sucho odparł Honda. - Z uwagi na sytuację paliwową nie możemy go wysadzić po drodze. Trzeba go będzie zabrać na Hokkaido.

- Rozumiem. Załatwimy to z ich ambasadą.

- Honda - odezwał się wreszcie Rodgers, mrużąc wilgotne oczy. - Powiedzcie reszcie zespołu, że dałem im do wykonania zadanie niewykonalne, a oni je wykonali. Jestem z was dumny. Powiedzcie im to.

- Tak jest, sir. Dziękuję, sir. Powiem im. Bez odbioru.

Hood wyłączył głośnik i spojrzał na Rodgersa.

- Mogę coś dla ciebie zrobić, Mike?

Generał odpowiedział dopiero po chwili.

- Możesz przywrócić do życia Charliego, a zabrać mnie zamiast niego?

Paul nie odpowiedział.

- On miał rodzinę. A co ja mam?

- Odpowiedzialność - odparł spokojnie Hood. - Ty musisz się wziąć w garść, żeby opowiedzieć rodzinie, co i dlaczego się stało, a potem pomóc im przejść przez to.

Rodgers podniósł wzrok na Hooda.

- Tak. Chyba masz rację.

- Zadzwoń do Liz. Ona ci pomoże. Potem będzie miała kupę roboty z Iglicą, jak już wróca.

- Iglica - powtórzył generał. - Muszę im znaleźć nowego dowódcę. Gdyby dostali jakieś zadanie, choćby jutro, ktoś przecież musi nimi dowodzić.

- Powiem majorowi Shooterowi, żeby się tym zajął.

- Nie, Paul. - Rodgers wstał i pokręcił głową. - Nie. To moja sprawa. Panie dyrektorze, dziś po południu omówię z panem ewentualne kandydatury - dokończył oficjalnym tonem.

- Bardzo dobrze.

Do gabinetu wtoczył się wózek Boba Herberta. Bob uśmiechał się od ucha do ucha.

- Właśnie dostałem wiadomość z Pentagonu. Chłopaki przechwycili transmisję z rosyjskiego samolotu, który przyleciał na spotkanie z pociągiem. Pilot widział wysadzoną załogę i zniszczony pociąg. Śmigłowca ewakuacyjnego nawet nie zauważył. No, co wy na to?

To się nazywa niewykrywalny śmigłowiec, co?

Uśmiech Herberta zamarł, gdy ujrzał twarz Rodgersa.

- Straciliśmy Charliego.

Twarz Boba stężała, a potem wykrzywiła się w maskę bólu.

- Boże, nie - jęknął. Na czoło wystąpiły mu zmarszczki, a puciołowate policzki wyraźnie pobladyły. - Nie, nie Charlie, nie on.

- Bob - powiedział Hood - potrzebujemy twojej pomocy. Mamy na pokładzie *Moskita* rosyjskiego oficera. Spróbuję się z nimi dogadać, żeby go...

- Człowieku, odbiło ci?! Rosjanin na pokładzie *Moskita*?! - krzyknął Herbert, nacierając wózką w kierunku dyrektora. - Jezu, co wyście najlepszego zrobili! A poza tym, człowieku, daj mi choć chwilę na to, żebym się mógł oswoić z tym gównem!

- Nie, Bob - odezwał się Rodgers. Jego głosowi wróciła już normalna siła. - Paul ma rację. Jeszcze nie skończyliśmy tej roboty. Lowell musi o wszystkim powiadomić Komisję Wywiadu, Martha będzie musiała oczarować Rosjan, trzeba poinformować prezydenta, a jak prasa zwącha, co się działo, a tego można być bardziej niż pewnym, Ann też będzie miała pełne ręce roboty. Na żalobę przyjdzie czas później. Na razie jest czas na pracę.

276

Herbert patrzył to na jednego, to na drugiego. Krew, która napłynęła mu do twarzy, stopniowo odpływała.

- No, tak, naoliwimy krwią tryby maszyny rządowej. W końcu jak mnie o mało nie rozerwało na kawałki, to dla mnie też tacy mądrze gówno zrobili. To niby dlaczego z następnym czarnuchem ma być inaczej?

- Bo w ten sposób będzie wiadomo, że Charlie nie zginął na darmo! - krzyknął Rodgers.

277

♦ Wtorek, 16.15 - Moskwa

Pięć minut po tym, jak Pentagon przechwycił transmisję z pokładu samolotu, Dogin odebrał telefon z biura generała Pokrywkina, dowódcy sił powietrznych.

- Panie ministrze, tu generał major Dragunow. Samolot wysłany zgodnie z pana poleceniem nie natrafił na żaden obcy statek powietrzny, naruszający przestrzeń powietrzną naszego kraju. Na miejscu byli tylko cywilni i wojskowi pasażerowie pociągu.

- W takim razie zespół dywersyjny musi tam nadal być w okolicy!

- Prosił pan ponadto o raport na temat pociągu, który wiózł pański ładunek z Władywostoku. Pilot zameldował, że widział ten pociąg na dnie doliny Obiernaja, na wschód od Chabarowska.

- W jakim stanie? - zapytał Dogin, choć znał odpowiedź. Cholerny Orłow!

- Pociąg został całkowicie zniszczony, panie ministrze - odparł Dragunow. - W tej chwili dogasają zgliszczą.

Dogin był przygotowany na uszkodzenie i dalsze opóźnienie, ale ta wiadomość uderzyła go jak obuchem. Przez chwilę siedział z otwartymi ustami, niezdolny do wydobycia z siebie głosu.

- Chcę mówić z Pokrywkinem - wydusił wreszcie.

- Niestety, panie ministrze, to niemożliwe, bo pan generał jest w tej chwili na Kremlu, na posiedzeniu Rady Wojennej, zwołanym przez prezydenta Żanina w związku z ostatnimi wydarzeniami na Ukrainie. To jeszcze może potrwać, bo narada zaczęła się dopiero godzinę temu. Czy coś mam przekazać, panie ministrze?

Dogin powoli pokręcił głową. No tak, szczury już uciekają.

- Nie, nie będzie nic do przekazania.

- Tak jest, panie ministrze. Czy coś jeszcze?

- Nie, Dragunow, dziękuję, to wszystko.

- W takim razie, do widzenia, panie ministrze.

Telefon umilkł. Po chwili milczenia minister dzielił aparat pięścią, strącając go z biurka.

To koniec, pomyślał. Koniec wszystkiego, jego planów, jego marzeń, jego nowego Związku Radzieckiego. A gdy Sawczuk dowie się o stracie pieniędzy, to i jego życia.

Sięgnął do drugiego telefonu i kazał się łączyć z Orłowem.

A może ten też zaszyje się w jakiejś dziurze? Akurat tej tradycji z dawnego Związku nie chciał przywracać w nowym. Ale nie, odebrał natychmiast.

- Właśnie miałem do was dzwonić, panie ministrze. W muzeum doszło do wymiany ognia, pułkownik Rosski jest w stanie krytycznym, a jego asystentka, Wala Saparowa nie żyje.

- Kto ją...? - więcej Dogin nie zdołał wykrztusić. Dzień cudów, nie ma co.

- Jeden z pary agentów, którzy trafili tu przez Helsinki. Zdołała uciec i zgubić pościg w tłumie robotników wiecujących na placu Pałacowym. Milicja szuka jej teraz w całym mieście.

- Orłow umilkł na chwilę. - Wie pan już o pociągu, panie ministrze?

- Tak wiem. Powiedźcie mi, Siergieju Iwanowiczu, wiecie coś o losie waszego syna?

Głos Orłowa był rzeczowy, całkowicie wyprany z jakichkolwiek emocji.

- Od czasu zatrzymania składu nie miałem żadnych wiadomości od eskorty pociągu.

Wiem tylko, że ich stamtąd już zabrano i że Nikity wśród nich nie było.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Diamenty nie giną w popiele, Orłow.

- Dziękuję, panie ministrze. Ja też mam taką nadzieję.

Dogin zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je ze świstem.

- Skoro już mówimy o ofiarach, Siergieju Iwanowiczu, to zdaje się, że ja będę jedną z nich. Ja, generał Rybakow, może jeszcze Mawik, ci z nas, którzy nie siedzieli w cieniu.

Pytanie tylko, kto wykończy nas pierwszy: rząd, Sawczuk czy Kolumbijczycy, którzy dali nam pieniądze.

- Niech pan się podda Żaninowi, on pana ochroni.

- Przed kim? Przed Sawczukiem? Bądźcie rozsądni, Siergieju Iwanowiczu! W kraju, gdzie za sto dolarów można zamówić wymordowanie całej rodziny do trzeciego stopnia pokrewieństwa? Nie, Orłow. Moje życie spłonęło wraz z tym pociągiem. To śmieszne, brzydziłem się tym bydlakiem i kiedy wreszcie poszedłem na całość, nawet ten plan wziął w łeb.

- Skoro pan się nim brzydził, panie ministrze, po co w ogóle się pan z nim zadawał? Po co była śmierć tylu porządnych ludzi?

- Nie wiem, Orłow. Naprawdę nie wiem. Rybakow przekonywał mnie, że Sawczuka da się potem wyślizgać, gdy staniemy mocno na nogach, a ja chyba bardzo w to chciałem wierzyć. Tak bardzo chciałem wrócić do tego, co było kiedyś. Wrócić do czasów, gdy 279

Związek działał, a inne państwa musiały się z nim liczyć, gdy nasza nauka, kultura i potęga militarna były wartościami, z którymi trzeba się było liczyć. Teraz, gdy to wszystko przysło, zdaję sobie sprawę, że to nie była właściwa droga do osiągnięcia tego celu.

- Panie ministrze - odparł Orłow - tego nie da się przywrócić w żaden sposób. Gdyby pan zbudował swoje wymarzone imperium, padłoby ono, zanim by się pan obejrzał. Miesiąc temu byłem na Bajkonurze. Wie pan, co zobaczyłem? Puste hale, w których hula wiatr, części rakiet rdzewiejące pod przegniłymi dachami, wśród których ptaki uwiły sobie gniazda, aparaturę, na którą kiedyś naród wypruwał z siebie flaki, a teraz stoi pokryta plandekami i niszczone zanieczyszczona przez ptaki. Patrząc na to, ja też chciałem powrotu do przeszłości, do ery Gagarina, do ery *Salutów*, do tych czasów, kiedy nasze *Burany* miały kolonizować kosmos. Ale zrozumiałem, że ewolucji nie da się zatrzymać. Dinozaury też były potężne, a mimo to wyginęły. Tego procesu, gdy się już zacznie, żadna siła nie powstrzyma.

- Być może. Ale w naturze człowieka leży niechęć do godzenia się z losem, walka.

Kiedy człowiek ginie, nikt nie pyta, czy ratunek kosztuje i czy jest niebezpieczny. Robi się to, co trzeba zrobić. Dopiero gdy pacjent umrze, a rozsądek zastąpi emocje, widać, że choroba była nieuleczalna. - Uśmiechnął się. - Muszę wam się przyznać, Orłow, że przez chwilę naprawdę wierzyłem w to, że mi się uda.

- I wtedy przeszkodzili Amerykanie...

- Nie, nie Amerykanie. Tylko jeden Amerykanin, agent FBI w Tokio, który ostrzelał

Gulfstreama i zmusił nas do przeładunku pieniędzy we Władywostoku. Pomyślcie o tym, Siergieju Iwanowiczu. To zadziwiające, jak czasem jeden człowiek potrafi wpłynąć na losy świata, nieprawdaż?

Doginowi wrócił już normalny oddech. Ta rozmowa wyraźnie go odprężyła. Pewną ręką otworzył szufladę biurka.

- Mam nadzieję, że nowa władza zostawi was w spokoju, Siergieju Iwanowiczu. Rosja potrzebuje takich jak wy. A gdy wasz syn wróci, nie osądzajcie go zbyt surowo. My chcieliśmy odzyskać to, co utraciliśmy, a on... On chciał po prostu zobaczyć na własne oczy to, o czym czytał w podręcznikach historii. Być może nasze metody nie były najwłaściwsze, ale nie można nikogo winić za marzenia. Żegnajcie, Siergieju Iwanowiczu.

Odłożył słuchawkę. Raz jeszcze omiół wzrokiem swoją kolekcję map. Zatrzymał wzrok na mapie z 1946 roku i patrzył na nią przez chwilę. Potem przeniósł wzrok na otwartą szufladę. Wyjął z niej

pistolet. Odciągnął lekko zamek, sprawdzając czy w lufie jest nabój.

Sprawdził bezpiecznik, broń była odbezpieczona. Potem znowu przeniósł wzrok na mapy, prawą ręką przystawiając sobie lufę do skroni. I pociągnął za spust.

♦ Wtorek, 16.22 - Sankt Petersburg

Generał Orłow z niejakim rozbawieniem zauważył, że główni aktorzy dramatu, który rozgrywał się przez ostatnie półtora dnia na jego oczach: Dogin, Hood i on sam, od początku całej historii nawet nie widzieli słońca na oczy, nie ruszając się z biurek.

Tylko jedno pozostało mu jeszcze do zrobienia, ale na razie jeszcze nie chciał tego robić. Nie chciał jeszcze dzwonić do Pokrywkina i wypytywać go o los Nikity, więc na razie mógł tylko siedzieć i czekać. I myśleć.

Opadł głęboko w fotel, opierając łokcie na podłokietnikach, tak że dłonie zwisały z nich z przodu. Zdawały się ważyć tonę. Miał o czym myśleć. Postawiono go na czele Ośrodka, ufając, że zrobi, co mu każą, nie pytając o powody. Zmusili go, by walczył ze swoimi rodakami, którzy też kochali ojczyznę, ale na swój, często niepoczytalny sposób. Dopiero teraz zaczęło do niego dochodzić, co się stało, a co gorsza, jaki on miał w tym udział.

Spojrzał na zegar. Zupełnie stracił poczucie czasu, jak zawsze, gdy był zmęczony.

Dlaczego nikt nie dzwoni? Przecież ktoś do cholery tam był, zabrał ludzi z ziemi, policzył ich... Dlaczego więc nie ma żadnego meldunku?

Jakby wywołany tą myślą zadzwonił telefon. Ten dźwięk zmroził go jak syk węża.

Sięgnął po słuchawkę.

- Orłow, słucham. - W skroniach mu huczało, tętno biło w brzeg słuchawki jak fala w nabrzeże.

- Rozmowa do pana, panie generale. Na łączach wideo.

- Łączcie.

Na ekranie pojawiła się twarz Paula Hooda. Amerykanin przez chwilę milczał, jakby się chciał upewnić, czy to na pewno Orłow.

- Generale, z pańskim synem wszystko w porządku.

Szczęka Orłowa przez chwilę zadrżała, a potem na twarzy pojawił się uśmiech ulgi.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Jest na pokładzie naszego samolotu ewakuacyjnego. Jego powrót załatwimy najszybciej jak to będzie możliwe. To może potrwać kilka dni, bo jest lekko ranny w nogę i rękę.

- Ale... mówił pan, że wszystko w porządku?

- Jest pod dobrą opieką, a jego życiu nie grozi niebezpieczeństwo.

Orłow zaczął powoli rozluźniać się. Spojrzał uważnie na twarz Amerykanina i zauważył

coś w jego oczach, co w parze z tonem jego głosu natychmiast powiedziało mu, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało? Czy mogę wam w czymś pomóc?

- Tak. Chciałbym... chciałbym, żeby pan przekazał swojemu synowi coś ode mnie.

Orłow wyprostował się w fotelu.

- Pański syn zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby pokrzyżować nasze plany, także ewakuacyjne. Nie wątpię, że powodowało nim poczucie obowiązku, honor, że wołał

zginąć, niż poddać się, ale jego opór kosztował życie dowódcy naszego zespołu.

- Bardzo mi przykro, proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje... Czy mógłbym w jakiś sposób...?

- Panie generale - przerwał mu Hood. - Nie chodzi mi o to, żeby go obwiniać, albo żądać usług. Szczątki dowódcy naszego zespołu odzyskamy kanałami dyplomatycznymi. Mój zastępca był w bardzo zażyłych stosunkach z poległym dowódcą zespołu i to on chciałby coś pańskiemu synowi przekazać.

- Oczywiście, przekażę mu to, gdy tylko będę miał okazję.

- Mike mówił mi, że w starej ruskiej legendzie o Sadko, Pan Mórz mówi bohaterowi eposu, że odebrać życie umie każdy wojownik. Prawdziwie wielkich poznaje się po tym, że umieją je oszczędzić. Niech pan się upewni, że Nikita to zrozumiał. Proszę mu pomóc być wielkim wojownikiem.

- Obawiam się, że nie jestem mistrzem świata w przekonywaniu mego syna do czegokolwiek, proszę pana, ale daję panu słowo, że z tego ziarna, które dziś zasialiśmy, jeszcze urosną wielcy wojownicy.

Orłow jeszcze raz podziękował Hoodowi i rozmówcy rozłączyli się. Generał skurczył

się w fotelu, znów rozmyślając, tym razem o tym bezimiennym człowieku bez twarzy, bez którego poświęcenia życie jego i jego żony ległoby w gruzach.

Po chwili wstał zza biurka, powoli, ciężkim krokiem, jakby nagle postarzał się o dwadzieścia lat, podszedł do wieszaka, wziął z niego swoją czapkę i wyszedł z gabinetu, a potem na dwór. Gdyby nie tłum wiecujących robotników, dzień wyglądałby tak samo jak wtedy, gdy wczoraj rano szedł do pracy. Zdał sobie sprawę, że od spięcia z Roskim minęło dokładnie trzydzieści sześć godzin.

Trzydzieści sześć godzin, w ciągu których światomal się nie zmienił.

Trzydzieści sześć godzin, odkąd trzymał w ramionach Maszę.

◆ Wtorek, 22.00 - Helsinki

Peggy z łatwością wydostała się z Ermitażu.

Gdy padły strzały, wśród robotników rozniosło się, że wojsko idzie ich rozgonić. Tłum zaczął się rozchodzić, ale prawie natychmiast wrócił na swoje miejsce, jak kropla rtęci, gdy zjawily się radiowozy. Tłum, zrozumiawszy, że strzelanina nie miała z nim nic wspólnego rzucił się ku Ermitażowi, zamieniając się w ciżbę gapiów, cisnących się do środka muzeum.

Na dole nie było strażników, którzy pobiegli zabezpieczać miejsce strzelaniny i tłum wlał się do środka, przerażając turystów, którzy chcieli się wydostać. Strażnicy zaczęli powstrzymywać napływ tłumu, początkowo bezskutecznie, ale wkrótce w ich rękach pojawiły się kije od szczotek, których zaczęli używać jako pałek, co pozwoliło opanować sytuację i uratować zbiory.

Peggy wmieszała się w tłum wraz ze spanikowanymi turystami. Na dworze już się ściemniało i Peggy, korzystając z zamieszania i zapadającego zmierzchu, przemknęła do stacji metra Newskij Prospekt. To była godzina popołudniowego szczytu, więc stacja była zapchana ludźmi, ale dzięki temu pociągi odchodziły co dwie minuty, więc zapłaciwszy za bilet na górze, mogła się szybko stamtąd wydostać. Pojechała kilka przystanków metrem, na Dworzec Finlandzki, na drugą stronę Newy. Teraz miała przed sobą już jazdę pociągiem, który przez granicę stawał tylko w Zielienogorsku i Wyborgu.

Amerykanin już tam był, siedział na ławce w poczekalni, czytając angielskojęzyczną gazetę, z torbą pamiątek z kiosku obok. Obserwowała go po tym, jak kupiła bilet, pokazując paszport w okienku kasowym. Cały czas rozglądał się, co chwila przerywając czytanie. W

pewnym momencie na dłużej podniósł oczy znad gazety. Nie patrzył na nią, ale była pewna, że ją zauważył. Potem wstał, zabrał swoją gazetę i wyszedł. Dał jej w ten sposób do zrozumienia, że ją zauważył. Peggy podeszła do kiosku i kupiła sobie kilka rosyjskich gazet i tygodników.

Nie dostrzegła żadnych oznak wzmożonej kontroli. Cała milicja z miasta miała pewnie dość roboty z zabezpieczaniem wiecu. Bez przeszkód wsiadła do pociągu, jej rosyjski paszport nie wzbudził żadnego zainteresowania. Wagony były nowoczesne, z przedziałami, choć wsiadła do drugiej klasy. Zaraz gdy pociąg ruszył, poszła do ubikacji i dokładnie obejrzała się, szukając śladów krwi tajniaczki, którą zabiła. O dziwo, nie było żadnych.

Dopiero teraz pozwoliła sobie na chwilę odprężenia. Oparła się rękami o brzeg stalowej umywalki wmontowanej w ścianę i spojrzała raz jeszcze w lustro.

- Nie przyjechałam tu po to, by szukać zemsty - szeptem przekonywała swoje odbicie -

ale skoro nadarzyła się okazja, pomściłam go i dobrze mi z tym.

Twarz patrząca na nią z lustra wyrażała zrozumienie. Uśmiechnęła się.

283

- Jeżeli w życiu po życiu znają instytucję zwolnienia warunkowego, to obiecuję ci, najdroższy, że będę zachowywać się wzorowo, by jak najszybciej trafić tam, gdzie ty trafiłeś.

I podziękuj Wołkowowi. Za to co zrobił, powinien dostać miejsce u stóp tronu Pana.

W ciągu podróży kilkakrotnie wpadała na korytarzu na George'a. Za każdym razem mówili sobie tylko: „przepraszam” i każde ruszało w swoją stronę. Jeżeli mieli się bezpiecznie stąd wydostać, musieli uważać, by ktoś ich ze sobą nie połączył. Bez wątpienia rozesłano za nimi listy gończe, ale szukać będą pewnie pary, a nie ich pojedynczo. Zresztą dwoje samotnie podróżujących też mogło budzić podejrzenie, więc Peggy przyłączyła się wkrótce do hałaśliwej kompanii złotej młodzieży, podróżującej w interesach do Finlandii.

Bardzo szybko uznali ją za jedną ze swoich, tak że gdyby coś poszło nie tak, pewnie mogłaby liczyć na ich pomoc. Tuż przed świtem, gdy dojechali na granicę, okazało się to całkiem przydatne, bo jeden z jej towarzyszy podróży porozmawiał chwilę z celnikiem, szybko wręczył mu coś i cała grupa przeszła przez granicę w ogóle bez kontroli. Gdy dojechali do Helsinek, pożegnała się serdecznie z nimi, dała nawet jednemu, który okazywał jej szczególne zainteresowanie, fałszywy numer telefonu i obiecała zadzwonić za tydzień.

A potem odwróciła się na pięcie i odeszła, mrużąc oczy przed blaskiem bijącego w oczy słońca. Za rogiem wpadła na George'a.

- Co się stało w muzeum? - zapytał niecierpliwie. - Słyszałem jakieś plotki o strzelaninie, rannych, zabitych.

- Uciekałam po schodach i udałam, że się potknęłam. Kiedy ta baba z przewodnikiem pobiegła za mną, musiałam ją zlikwidować. Chciałam wiać, ale wtedy pojawił się jakiś pułkownik Specnazu, więc musiałam i jego wykończyć. Całe szczęście, że ta tajniaczka miała pistolet, bo z nożem w ręku nie zrobiłabym na nim wrażenia.

- Jakby to ktoś pokazał w filmie, nikt by nie uwierzył.

- Życie jest zawsze bardziej interesujące niż filmy. To dlatego muszą robić takie drogie dekoracje.

Szli dalej ulicą, zastanawiając się nad dalszymi planami, George chciał wracać pierwszym nadarającym się samolotem, Peggy nie była pewna, kiedy wyjedzie z Helsinek, mówiła, że w tej chwili ma w planach trochę pospacerować i złapać trochę słońca, żeby zapomnieć o koszmarze godzin spędzonych w klaustrofobicznej klatce miniaturowego okrętu podwodnego.

Zatrzymali się przed Teatrem Narodowym.

- Muszę się przyznać, że myliłam się co do ciebie. Nie myślałam, że sobie poradzisz z tym zadaniem.

- Dzięki - odparł George. - Taki komplement nabiera szczególnego znaczenia w ustach kogoś o takim doświadczeniu, o tyle starszego ode mnie.

Peggy ujrzała żartobliwy błysk w oku Amerykanina i w ostatniej chwili powstrzymała chęć rzucenia nim o chodnik. Zamiast tego podała mu rękę.

284

- Twarz anioła, a dusza menela - odparła. - To dobra kombinacja, pasuje ci. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze się spotkamy.

- Ja też.

Zatrzymała się w pół obrotu.

- Aha, słuchaj, jak spotkasz tego faceta, który pozwolił mi wziąć w tym udział, podziękuj mu ode mnie.

- Pułkownikowi Squiresowi?

- Nie, nie wiem, jak on się nazywa, mówili do niego Mike. Nie wiem, kim on tam jest, ale dał mi szansę na odzyskanie części tego, co straciłam.

- Podziękuję mu na pewno.

Nie odpowiedziała już nic, tylko jak ćma skierowała się ku słońcu i odeszła pustą ulicą.

285

◆ Piątek, 8.00 - Waszyngton

Pas startowy bazy sił powietrznych Dover w stanie Delaware był lśniący od padającego całą noc deszczu. Na jego poboczu stała niewielka grupka ludzi, w smutnym i pełnym zadumy nastroju, oczekując na lądowanie samolotu transportowego *C-141*. Obok wyprężonej na odgłos nadlatującej maszyny kompanii honorowej stali dyrektor Centrum Operacyjnego Paul Hood, generał Mike Rodgers, Melissa Squires, żona poległego pułkownika Squiresa i jego syn Billy.

Kiedy jechali tu limuzyną za karawanem, Rodgers postanowił na użytek Billy'ego być nieugiętym, silnym facetem, jak na filmach bywają dowódcy, którzy wręczają flagę z trumny synowi poległego bohatera. Szybko zdał sobie jednak sprawę z tego, że to nie tylko nienaturalne, ale i niemożliwe. Kiedy otworzył się wjazd do ładowni samolotu i na taśmociągu pojawiła się okryta narodową flagą trumna, łzy potoczyły się po policzkach Rodgersa i generał był teraz tylko małym, skrzywdzonym chłopcem, zupełnie jak Billy. Tak jak on, sam potrzebował pociechy i do rozpacz doprowadzał go fakt, że znikąd jej nie otrzyma. Generał

stał na baczność i robił co w jego mocy, aby nie słyszeć szlochów wdowy i osieroczonego synka. Wdzięczny był Hoodowi za to, że podszedł do nich, obejmując ramionami i szeptał

słowa otuchy. Gdyby nie wojskowa etykieta, sam by to zrobił. Boże, jak ja nie doceniałem tego człowieka, pomyślał.

Ciszę poranka rozerwały salwy kompanii honorowej, a trumna została przeniesiona do karawanu, który miał ją zawieźć do Arlington. Stali jeszcze przez chwilę, czekając na przeformowanie kompanii honorowej. W pewnym momencie Billy odwrócił się do generała.

- Myśli pan, że tata się bał, wtedy... jak był w pociągu? - zapytał.

Rodgers zagryzł wargi, by nie wybuchnąć szlochem, a odpowiedzi udzielił mu Hood.

- Twój tata był jak policjant albo strażak - wyjaśnił, patrząc mu prosto w duże, jasne, brązowe oczy.
- Oni wszyscy walczą z przestępcami albo z ogniem, mimo że też się ich boją, ale chcą pomóc ludziom i z tego czerpią swoją odwagę.

- Jak oni to robią? - zapytał chłopiec, nadal pociągając nosem, ale wyraźnie zaintrygowany.

- Nie wiem - odparł Hood. - Ale na tym polega ich bohaterstwo.

- Czy to znaczy, że mój tata był bohaterem? - Ta możliwość wyraźnie mu odpowiadała.

- Był wielkim bohaterem.

- Większym niż pan, panie generale?

- O wiele większym - powiedział już opanowanym głosem Rodgers.

Melissa objęła Billy'ego ramionami i dziękując Hoodowi uśmiechem, popchnęła go do limuzyny.

Rodgers odprowadzał ich dwoje wzrokiem, aż wsiedli i zamknęli za sobą drzwi. Wtedy spojrzał na Hooda.

- Czytałem... - zaczął i przerwał, po czym zaczął znowu. - Czytałem największe mowy i dzieła ludzkiego umysłu, Paul, ale nic mnie tak nie wzruszyło, nie poruszyło mną tak głęboko, jak to co przed chwilą powiedziałeś temu brzdącowi. Panie dyrektorze, znać pana i służyć pod pana rozkazami to dla mnie zaszczyt.

♦ Wtorek, 13.30 - Sankt Petersburg

Paul Hood, jego żona i dwoje dzieci zrobili sobie długi spacer po parku obok Newskiego Prospektu. Sharon poszła z dziećmi obejrzeć mecz piłki nożnej, gry dla nich zupełnie egzotycznej, a Hood usiadł na ławce pod dużym drzewem obok niewysokiego mężczyzny w skórzanej lotniczej kurtce, karmiącego ptaszki okruchami z torebki.

- To zadziwiające - odezwał się człowiek z ławki poprawną, choć mocno akcentowaną angielszczyzną - że ci władcy niebios muszą się zniżyć na ziemię, by tu jeść, więc gniazda i składać jaja. - Wskazał niebo szerokim gestem. - Zdawałoby się, że tam ich miejsce.

Hood uśmiechnął się.

- I tak, patrząc stamtąd, mają specjalną perspektywę, spoglądając w dół. Może to im wystarcza? W końcu to też dużo, nie uważa pan, panie generale?

Były kosmonauta pokiwał głową.

- Może i ma pan rację. Jak się masz, drogi przyjacielu?

- Dziękuję, znakomicie.

- Widzę, że przyjechał pan z rodziną?

- No cóż, ta sprawa zepsuła nam urlop, musiałem im to jakoś wynagrodzić. A to dobre miejsce na wycieczkę, prawda?

Orłow raz jeszcze pokiwał głową.

- O tak, Piter to specjalne miejsce na Ziemi. Nawet jak był Leningradem, był najpiękniejszym miastem w całym Związku.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać. To jeszcze podnosi wartość tego wyjazdu.

Orłow spojrział na chleb, który kruszył, a potem rozrzucił garść okruchów.

- Mieliśmy obaj tydzień niezwykłych dokonań. Przetrawiliśmy grzbiet puczowi, zapobiegliśmy wojnie, obaj braliśmy udział w pogrzebach, pan - przyjaciela, ja - wroga, ale obaj skończyli za wcześnie.

Hood odwrócił wzrok i westchnął. To była jeszcze zbyt płytko zabliźniona rana.

- Przynajmniej z pańskim synem wszystko w porządku. To pocieszająca strona tego wszystkiego. Może to wszystko nie było na darmo.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie - zgodził się Orłow. – Mój syn dochodzi do siebie w naszym mieszkaniu, będziemy mieli kilka tygodnia na rozmowy i zasklepianie ran. Może teraz będzie mnie słuchał uważniej, zwłaszcza po tym, jak jego mentor ze Specnazu został

ciężko ranny i tylko dlatego nie siedzi na ławie oskarżonych wraz z Rybakowem i Mawikiem.

Mam nadzieję, że zrozumie, że na współdziałanie z wandalami nie trzeba mieć dużo odwagi. -

Sięgnął do kieszeni. - Mam nadzieję na coś jeszcze - powiedział, wyciągając z niej cienką, starą, oprawioną w skórę książeczkę ze złotymi, tłoczonymi literami na grzbiecie. Podał ją Hoodowi.

- Co to jest? - zapytał dyrektor.

- „Sadko”. To bardzo stary egzemplarz, jeszcze sprzed rewolucji. Proszę, niech pan to przekaże swojemu zastępcy. Wie pan, po tym pańskim telefonie sam ją przeczytałem i bardzo mnie ta baśń zainteresowała. To dziwne, że trzeba aż Amerykanina, żeby ukazał nam skarby naszej własnej kultury.

- Widać to też sprawa perspektywy. Czasem lepiej widać z góry, a czasem z dołu.

- Ma pan rację. Cała ta historia wiele mnie nauczyła. Kiedy obejmowałem swoje stanowisko, myślałem, pan pewnie też, że spędzę resztę aktywnego życia jako taki szpiegowski liczyportek, zaopatrujący wszystkich dookoła w informacje. Teraz widzę, że to jednak ogromna odpowiedzialność za to, do czego się tych wiadomości będzie używać. Kiedy mój syn wróci do służby, postaram się, by postawiono go na czele specjalnej jednostki, która wykończy tego bydlaka Sawczuka. Mam nadzieję, że zdołam pozyskać współdziałanie pańskiej instytucji w tym zbożnym dziele.

- Pomoc panu będzie dla nas zaszczytem.

- A skoro mówimy o Nikicie - powiedział, spoglądając na zegarek. - Razem z Maszą czekają na mnie z obiadem. Nie jedliśmy wspólnie od czasu, jak Niki skończył podstawówkę i bardzo mi na tym teraz zależy.

Wstał, a Hood razem z nim.

- Niech pan nie pozwoli swoim oczekiwaniom wzlecieć za wysoko, panie generale.

Nikita, Żanin, pan i ja jesteśmy tylko ludźmi. Ani mniej, ani więcej.

Orłow uściśnął jego dłoń.

- Moje oczekiwania zawsze będą tam, w górze – wskazał brwiami. Potem spojrział

gdzieś obok Hooda i uśmiechnął się. - A niezależnie od tego, co pan uważa, niech pan nie oducza swoich dzieci mierzyć wysoko. Sam się pan zdziwi, czego może dokonać człowiek.

Hood popatrzył za wzrokiem Orłowa i zobaczył, że patrzy w zakątek parku, gdzie była Sharon i dzieciaki. Sharon stała sama, przez chwilę szukał wzrokiem dzieci. Wreszcie znalazł: Alex i Harleigh grali z rosyjskimi dziećmi w piłkę.

289

- Też bym tak chciał - powiedział, ale Orłowa już nie było koło niego. Obejrzał się i zobaczył oddalającego się generała. Wsadził ręce w kieszenie i z lekkim sercem ruszył, ku Sharon.

KONIEC

* MPS - skrót nazwy „materiały pędne i smary”, którą określa się w wojsku gospodarkę tymi materiałami [przyp. red.].

290

